

A woman with reddish-brown hair tied back, wearing a vibrant red shawl and a light-colored dress, sits at a wooden table in a dimly lit cafe. She rests her chin on her hand, looking thoughtfully to the left. The background is blurred, showing other patrons and warm, ambient lighting.

Mike Greenberg

**Wszystko,
o czym
marzysz**

Mike Greenberg

**Wszystko,
o czym
marzysz**

przełożyła
Anna Esden-Tempska

Warszawskie Wydawnictwo Literackie
MUZA SA

Ta książka została napisana dla upamiętnienia Heidi Armitage. A poświęcona jest najlepszym przyjaciółkom, jakie sobie można wymarzyć – Stacy Steponate Greenberg, Jane Green i Wendy Gardiner, które były, są i będą zawsze Aniołkami Heidi.

Chodzi o to, żeby żyć, zanim się umrze.
To może być wielka przygoda, żyć.

John Irving
Świat według Garpa

CZEŚĆ I

BROOKE

CZYJ TO TYŁEK?

Na pewno nie mój.

Tak właśnie pomyślałam, patrząc. To znaczy, kiedy mu się przyjrzałam.

Mam świetny tyłek. Zawsze miałam. Wiem to od początku studiów na Uniwersytecie Colgate, kiedy przystąpiłam do zrzeszenia studentek Tri-Delt, wypiliśmy dwa plastikowe kubki ponczu wiśniowego z wódką i pozwoliłam się pocałować fajnemu chłopakowi z korporacji studenckiej Sigma Chi. Nazywał się Paul Didier, miał krótko ostrzyżone kasztanowe włosy, niebieskie oczy, ale ogólnie było w nim coś głupkowatego, co po alkoholu nie drażniło tak bardzo jak następnego dnia, na trzeźwo, kiedy pojawił się u mnie w akademiku z tuzinem róż. To był dla niego koniec. Głupkowaty przystojniak może i jest dobry do tańca i paru niezdarnych pocałunków, ale żeby zaraz róże?

Najwyraźniej zauważył mój brak entuzjazmu na widok bukietu. Aż zrobiło mi się go żal. Wyglądał jak szczeniak, który nasikał w pokoju i strasznie, ale to strasznie, chce cofnąć czas, żeby to się nie stało. Ale, jak wiadomo, pies po sobie nie posprząta, a głupkowaty chłopak nie może udawać, że nie kupił ci róż zaledwie po jednym wieczorze obściskiwania się po pijaku.

– Wiesz, ja też jestem tu nowy – wydukał, z każdą sekundą coraz bardziej upodabniając się do małego pieska – i nikogo nie znam. Jestem ze Środkowego Zachodu. Zrobiłaś na mnie wrażenie najfajniejszej dziewczyny na świecie.

– Dzięki – powiedziałam tonem, jakim karcie się psy. – Ale narzucasz za duże tempo.

– Wiem – zgodził się i ruszył do drzwi, nie wypuszczając róż z dłoni.

Już na zewnątrz zrobił szybki zwrot i mrużąc oczy w słońcu pogodnego wrześniego poranka, dodał:

– Masz świetny tyłek, Brooke. Naprawdę chciałem ci to powiedzieć. Cieszę się, że się na to zdobyłem.

To mi się spodobało, choć nie było zbyt wyszukane. Oczekałam, ile należy, zanim dogoniłam go na podwórzu, i wyrwałam mu bukiet.

– A ty dokąd się z tym wybierasz? – spytałam.

Głupkowaty uśmiech powrócił. Paul niepewnie zbliżył się do mnie.

– Mogę zajrzeć do ciebie jeszcze kiedyś?

– Możesz – powiedziałam, obracając się na pięcie i ruszając z powrotem.

Oczywiście wiedziałam, że na mnie patrzy, ale się nie obejrzałam. Mowy nie ma. Nie tak mnie wychowała mama.

Kiedy znalazłam się znów w pokoju, rzuciłam kwiaty na łóżko, uniosłam sweter marki Benetton i spojrzałam za siebie w duże lustro, które moja współlokatorka ćpunka przykleiła do drzwi.

Facet miał rację. Świetny tyłek.

To było dwadzieścia lat temu i nie jestem pewna, czy od tamtej pory kiedykolwiek porządnie przyjrzałam się swojej pupie. Chyba przez resztę studiów wspomnienie o tym, co powiedział wtedy szczeniakowaty chłopak (któremu pozwoiliłam się całować jeszcze ze dwa razy, nim go pogoniłam), dodawało mi wiary, że mój tyłek wygląda wspaniale. A potem poznałam Scotta, który od naszej pierwszej nocy sprawił, że czułam się piękna. I dalej tak na mnie działa, nawet po bliźniakach, cesarskim cięciu, po wszystkich psich kupach, opróżnianiu kocich kuwet, zatruciach pokarmowych, kawowym oddechu, zaropiałych oczach i przypadkowych pierdnięciach, które mogą odrzeć małżeństwo z całego romantyzmu. Scottowi nadal udaje się puścić do mnie oczko we właściwym momencie.

Uwielbiam, jak do mnie mruga. Kiedy puszcza do mnie oczko, znów jestem jego dziewczyną, superfajną nową studentką, która tak bardzo zawróciła mi w głowie, że on też coś mi przyniósł. Nie tuzin róż, nie, ale coś jeszcze bardziej kiczowatego – kalendarz ze zdjęciami różnych egzotycznych miejsc, na którym bladoniebieskim markerem wypisał nasze plany na przypadkowo wybrane dni.

– Oho, zdaje się, że ten chłopak nie ma już żadnych szans – stwierdziła moja przyjaciółka Charlotte, kiedy pokazałam jej kalendarz.

– No, nie wiem – odparłam i, jak sędzę, uśmiechnęłam się szerzej, niż mi się zdawało, bo Charlotte od razu też się rozpromieniła i obie już wiedziałyśmy, że za niego wyjdę.

I tak się stało. Była to najlepsza decyzja, jaką kiedykolwiek podjęłam. A teraz on kończy czterdzieści lat i znów coś sobie postanowiłam, tyle że tym razem to może być najgorsza decyzja w moim życiu.

Pomysł nasunął mi się dzięki Ingrid. To moja przyjaciółka, Szwedka. Jest piękna, była kiedyś modelką. Jakiś miesiąc temu piłyśmy kawę po partyjce

tenisa, gdy nagle złapała się za głowę.

– O cholera! – powiedziała z tym szwedzkim akcentem, który zmienia ją z jedynie pięknej w nieokrzesaną i tak cudowną, że nawet ja, choć jestem kobietą, nie umiałabym jej się oprzeć... (Jeśli dzieci bawią się u niej, to żaden ojciec z Greenwich nie przepuści okazji, żeby osobiście odebrać swoją pociechę, choć zwykle się do tego nie pali. Ale Ingrid jest przy tym wszystkim naprawdę urocza, szczerą i mniej krytyczną wobec innych niż reszta tutejszych dziewczyn, zamożnych pań domu, jakie zamieszkują te okolice).

– Co się stało? – spytałam.

– Powiedziałam Stefanowi, że dziś rano zostawię mu czek w skrzynce listowej. I zupełnie zapomniałam! – Zaczęła grzebać gorączkowo w torebce. – Przepraszam, Brooke. Muszę lecieć.

– Pojadę z tobą – zaproponowałam i tak zrobiłam, częściowo dlatego, że nie miałam wyboru, bo ona mnie przywiozła i obiecała zabrać z powrotem, a poza tym i ja zatrudniam Stefana... Zauważyłam, że spędza o wiele więcej czasu u Ingrid niż u mnie. Tak to już jest, że jeśli szuka się mężczyzny, który żyje z pracy rąk, najłatwiej go znaleźć przy domu najładniejszej blondynki na osiedlu.

Pospieszyłyśmy więc do Ingrid, a ona, śliczna nawet w tym rozgorączkowaniu, pognęła do swojego słonecznego gabinetu nad garażem i przekopała dwie szuflady w poszukiwaniu książeczki czekowej. To jeden z powodów, dla których lubię Ingrid – ten budowlaniec czekałby cierpliwie przy jej podjeździe choćby i do następnego czwartku, gdyby tylko mógł liczyć na jeszcze jeden uśmiech tej ubranej w idealnie dopasowaną, kusą sukienkę do tenisa kobiety. Ale ona jest jedyną na świecie osobą, która kompletnie nie zdaje sobie z tego sprawy. Gnała więc teraz jak na złamanie karku.

– Zaraz wracam – powiedziała i wybiegła z domu.

Chciałam za nią pójść, kiedy nagle coś przykuło moją uwagę, jakiś kształt, który przemknął po ekranie jej komputera. Z początku nie byłam pewna, co to jest. Podeszłam krok bliżej i zobaczyłam moją drogą przyjaciółkę całkiem gołą. Po chwili sylwetka znikła, a potem znów się pojawiła i znikła. To była seria fotografii – aktów, wysmakowanych i pięknych – które przepływały przez ekran jak pokaz slajdów. Naprawdę, aż dech zapierało w piersi. Tylko ona mogła sobie pozwolić na coś takiego. Żadna inna kobieta, którą znam, nie sprawiłaby sobie wygaszacza ekranu z serią swoich nagich fotosów, bo gdyby to zrobiła, wydałaby się żałosna, narcystyczna albo zdesperowana. Z Ingrid to

po prostu było piękne, pewnie dlatego, że tak pięknie wyglądała. I wtedy podjęłam decyzję, której teraz wcale nie jestem już taka pewna. Na czterdzieste urodziny swojego ukochanego, romantycznego i odnoszącego sukcesy zawodowe męża postanowiłam podarować mu to, czego pragnie każdy mężczyzna. Zdjęcia nagiej żony.

SAMANTHA

CO TU, DO DIABŁA, robi ta goła kobieta?

To pierwsze, co pomyślałam. Ale najdziwniejsze, że dość długo nie poczułam absolutnie nic. Najpierw byłam tylko zaskoczona, dość niewinnie, tak jakby odkrycie nagich zdjęć w poczcie elektronicznej męża nie różniło się niczym od znalezienia skarpetek w lodówce. *Skąd one się tu, do licha, wzięły?* Minęło kilka minut, nim dotarła do mnie powaga sytuacji. To nie to samo, co skarpetki w lodówce. Już bardziej jak szminka na kołnierzyku albo cudzy biustonosz pod poduszką. Poważniejszy problem.

Może nie pojęłam tego dość szybko, bo jeszcze nie piłam porannej kawy. Albo z powodu zdumienia, że w ogóle udało mi się dostać do jego poczty. A może po prostu dlatego, że wciąż bujałam w obłokach, jak to panna młoda. Przecież byłam mężatką dopiero od dwóch dni.

Powoli zaczęło mi świtać, co tu jest grane. Tak jak wtedy, kiedy bierze cię gorączka. Najpierw trochę kręci się w głowie, potem czujesz coś w brzuchu, w nogach i w reszcie ciała, aż po palce rąk i nóg. Minęła chwila, nim dostałam dreszczy, okropne, bo nie miałam żadnych ciepłych ubrań.

Nie sądziłam, że coś takiego może mi się przydać na Kauai.

Poszłam do cudownej łazienki naszego apartamentu, w tym luksusowym raj, gdzie zameldowaliśmy się poprzedniego wieczoru. Pod stopami miałam miękkie dywan. Ależ było przyjemnie, kiedy zrzuciłam buty po wczorajszej kolacji, szampanie, łabędziach, które pływały przed idealnym, oświetlonym świecami stolikiem i po pięknym, krótkim toaście wzniesionym przez Roberta: Nareszcie sami, tylko ty i ja.

Nasze wesele było wręcz podręcznikową katastrofą. Z dwóch powodów. Po pierwsze: pieniądze mojego taty. Po drugie: wybory. Ale idźmy po kolei. 1. Tata nie zaakceptował Roberta, bo on jest ode mnie o czternaście lat starszy. 2. Ambicje zawodowe Roberta wymagały, abyśmy w czasie formowania się naszego związku i przygotowań do ślubu każdą chwilę poza łóżkiem spędzali na rozmowach z kompletnie obcymi nam ludźmi i udawali, że interesuje nas każde ich słowo. Mnie to nie przeszkadzało, nawet jeśli nie było zbyt ciekawe, bo miałam wrażenie, że Robert przynajmniej w coś wierzy. Mój ojciec nie wierzył w nic poza pieniędzmi i właśnie dlatego nie pozwolił mi wyjść za

starszego ode mnie, poznanego parę miesięcy wcześniej w windzie mężczyznę bez podpisania umowy przedmałżeńskiej. Robert nie widział w tym żadnego problemu, wykazał zrozumienie i dojrzałość.

– Na miejscu twojego ojca też bym się martwił – powiedział.

I dlatego za niego wyszłam. Bo mówi to, co powinien mówić dojrzały człowiek.

To ja złościłam się na ojca. Nigdy nie akceptował mojego stylu życia, zamiłowania do sportów, biwakowania, wędrówek wśród dzikiej przyrody. Nigdy nie mógł zrozumieć, dlaczego nie obchodzi mnie jedyna na świecie rzecz, która dla niego się liczy – jego pieniądze.

– Pewnego razu, kiedy miałem jedenaście lat – opowiadał mi kiedyś – zgubiłem rękawicę do baseballa. Zapomniałem zabrać jej z parku, a kiedy po nią wróciłem, już jej nie było. Bałem się iść do domu. Bałem się przyznać ojcu, że ją zgubiłem. Nie lekceważyłem tego, że sporo kosztowała, ale zachowałem się, jakby tak było, i czułem, że bardzo zawiodę ojca.

Nie mogłam oprzeć się pokusie.

– Trudno żyć ze świadomością, że się rozczarowało ojca, prawda?

– Daruj sobie tę ironię.

– No dobrze. I co się stało?

– Z czym?

– Z rękawicą – dodałam. – Co się stało, kiedy w końcu przyznałeś się ojcu?
Swoim zwyczajem machnął ręką.

– Nic takiego.

– Nic się nie stało?

– Nie, nic specjalnego.

Pokręciłam głową.

– To jaki jest morał z tej historii?

– Nie każda historia musi prowadzić do konkretnej konkluzji, młoda damo – podsumował ojciec. – Chcę tylko, żebyś była szczęśliwa. Jako ojciec chciałybym uchronić cię przed popełnieniem największej pomyłki w twoim życiu.

Każda dziewczyna marzy, żeby usłyszeć coś takiego w dniu ślubu!

Ale to żadna pomyłka. Robert jest inny od wszystkich chłopaków, jakich

znałam, poczynając od tego, że to już nie chłopak, a mężczyzna. Prokurator okręgowy hrabstwa Los Angeles w Kalifornii. Wtrąca złoczyńców do więzienia. Czy może być bardziej męskie zajęcie?

Poznaliśmy się w Sacramento, gdzie przyjechałam na ślub koleżanki. Szłam właśnie do windy w hotelu, kiedy zauważyłam atrakcyjnego, starszego ode mnie mężczyznę, który mi się przyglądał. Miał na sobie granatowy garnitur w prążki i ciemnoniebieski krawat, jak bohaterowie filmów z lat czterdziestych. Ale pomimo oficjalnego stroju w jego oczach było coś łagodnego. Pozwoliłam windzie odjechać i nie dotknęłam przycisku, żeby znów ją przywołać.

Nie tracił czasu.

– Przepraszam – powiedział. – Nie chciałem się gapić.

Czekałam. Chyba się uśmiechnęłam.

– Posłuchaj – powiedział, wolno zbliżając się do mnie. – Nie chcę ci się naprzykrzać, ale miałem wspaniały dzień. Naprawdę wspaniały. Nie wyobrażam sobie, że miałbym teraz sam wrócić do pokoju i oglądać telewizję. Wiem, że mnie nie znasz, ale jestem sympatyczny i ty też robisz wrażenie sympatycznej... Byłbym szczęśliwy, gdybym mógł zaprosić cię na drinka, zwyczajnie posiedzieć z tobą i pogadać. Możemy rozmawiać na dowolny temat, o czymkolwiek, co cię interesuje. Masz moje słowo honoru, słowo dżentelmena, którym jestem, i skauta, którym nigdy nie byłem, ale tylko dlatego, że nie potrafiłem rozpalić ogniska, pocierając patykiem o patyk, że nie będę robił żadnych podchodów. Możemy pójść, gdzie tylko ci się podoba, i mówić, o czym tylko zechcesz.

Przerwał na chwilę, żeby złapać oddech, a potem dodał:

– To chyba dość okrężny sposób, żeby powiedzieć: cześć, jestem Robert, czy mogę postawić ci drinka?

Trzy miesiące później rzuciłam pracę, zostawiłam mieszkanie w Nowym Jorku i wprowadziłam się do niego do Valley. Zaręczyliśmy się. Oraz przygotowaliśmy się do wyborów.

Tamtego wieczoru przy windzie był taki zadowolony, bo tego dnia kierownictwo ogólnokrajowe partii poprosiło go, aby startował na stanowisko wicegubernatora. (Wcześniej nie miałam pojęcia, że na takie stanowisko kandyduje się w wyborach. Myślałam, że gubernator dobiera sobie tylko kogoś takiego jak wiceprezydent. Człowiek stale się uczy). Następane dwa miesiące

to był istny kocioł. Niekończący się wir koktajli, uścisków dłoni i rozmów za zamkniętymi drzwiami. Kiedy się to skończyło i wygraliśmy, żadne z nas nie miało już sił na planowanie wesela.

– Pobierzmy się po prostu w ten weekend – powiedział Robert w wielkiej, pustej sali balowej hotelu, kilka godzin po tym, jak umilkły owacje i muzyka, a ciszę zakłócał tylko szum ogromnych odkurzaczy zbierających konfetti. – Zróbmy to bez pompy, w domu. Za kilka tygodni możemy wydać przyjęcie, jeśli ci zależy, ale pobierzmy się teraz. Tak bardzo chcę się z tobą ożenić.

Potrafi mówić składnie i romantycznie zarazem. Nigdy nie spotkałam mężczyzny, któremu udawałoby się jedno albo drugie, nie mówiąc już o połączeniu obu aspektów. Jak mogłabym za niego nie wyjść?

No więc wyszłam.

Mój ojciec uparł się, że przyleci, więc przyleciał.

A jego dziewczyna uparła się, że wyda lunch, więc catering go urządził.

Biuro Roberta przysłało kwiaty, gubernator szampana, a dwie lokalne stacje telewizyjne reporterów i kamery. Pewnie większość dziewczyn nie tak wyobraża sobie swój ślub, ale, prawdę mówiąc, ja w ogóle nigdy go sobie nie wyobrażałam... Może to był dla mnie najlepszy sposób, żeby wyjść za mąż. Gdyby w kościele zebrało się trzystu gości, miałabym falbaniastą białą suknię z welonem i trenem, byłyby kwiaty, druhny, trąby i tak dalej, to najpewniej wybuchnęłabym histerycznym śmiechem. To po prostu zupełnie nie w moim stylu.

W każdym razie to właśnie miał na myśli Robert, kiedy powiedział: *Nareszcie sami, tylko ty i ja*, przy kolacji poprzedniego wieczoru. Potem przeniósł mnie przez próg wystawnego apartamentu i rozebrał bez pośpiechu w kompletnych ciemnościach, przy wtórze morskich fal uderzających o brzeg. Kochaliśmy się na stojąco i na leżąco, a kiedy skończyliśmy, przytuliliśmy się do siebie na miękkim dywanie. Przez skórę czułam, jak bije mu serce, a gdy zwolniło i jego oddech się wyrównał, pomyślałam: pierwszy raz w życiu wszystko jest tak, jak być powinno.

O ósmej Robert obudził się rześki jak skowronek. Zawsze rano jest pełen energii. Dowód tej energii wpijał mi się w udo, więc znów się kochaliśmy. Tym razem szybko. Potem on poszedł na masaż, a ja poleżałam sobie trochę, nim zadzwoniłam do recepcji, poprosiłam o kawę, płatki i jogurt. Też miałam coś umówionego w spa. Po południu zaczynaliśmy naukę nurkowania. Nie

powiem, żebym jakoś specjalnie myślała o swojej małej grze, kiedy usiadłam do komputera Roberta i go otworzyłam. Tak tylko z przyzwyczajenia klepałam te trzy słowa.

Do laptopa Roberta można się zalogować na dwa sposoby. Pierwsze hasło daje dostęp do takich standardowych funkcji, jak wyszukiwarki internetowe czy gry. Dzięki drugiemu otwiera się portal wymagający specjalnych uprawnień... Już na początku naszej znajomości Robert mówił mi o zobowiązaniu, które musi podpisać, przyjmując nowe stanowisko: nigdy, pod żadnym pozorem, nie wolno mu umożliwić dostępu do tej strony osobom nieuprawnionym, bez względu na to, jakie relacje go z nimi łączą.

– Przypomina mi się, jak Al Pacino uprzedzał Diane Keaton, żeby nie pytała go o interesy – zażartowałam, kiedy pierwszy raz mi o tym powiedział.

Jednak Robert wcale się nie śmiał. Odpuściłam więc.

Ale pierwsza rzecz, jaką robię każdego dnia, odkąd przeprowadziłam się do Los Angeles, to jedna próba przebicia się do portalu. Widziałam, jak on się loguje, siedząc w drugim końcu pokoju. I byłam niemal pewna, że wystukuje trzynaście znaków na klawiaturze. Trudno zorientować się na sto procent, bo robi to szybko, ale raczej trzynaście. Każdego ranka więc, przed śniadaniem, sprawdzam, czy uda mi się włamać. (Warto dodać, że naprawdę nie miałam żadnych podejrzeń ani nie wątpiłam w uczciwość Roberta. To była tylko gra, którą zaczęłam dla hecy, a potem przywykłam do niej i kontynuowałam co rano. Kiedy wpisywałam wadliwe hasło, komputer blokował dostęp na pół godziny i automatycznie włączał wygaszacz ekranu, na którym pojawiał się Magic Johnson wbijający kosza Celtom. Robert uwielbia Lakersów. Urodził się i dorastał w Los Angeles. Nie kręci go specjalnie piłka nożna ani baseball, ani jakikolwiek inny sport poza koszykówką, a w szczególności miejscowa drużyna, Lakersi. Co rano więc nalewam sobie kawy, wrzucam trochę płatków do miseczki, dodaję jogurtu, jakieś jagody, siadam przy biurku i witam się z magicznym Johnsonem. Taka sobie zabawa. Całkiem niewinna. Przynajmniej tak mi się zdawało, do tego poranka na Hawajach).

Dawno już uznałam, że hasło musi mieć coś wspólnego z Lakersami, więc próbuję jakiejś kombinacji nazwisk i haseł, które dają w sumie trzynaście liter: KobeMagicWest, MagicJohnson1, Worthy&Jabaar, PhilIsAGenius, LakersForever. Nic się nie sprawdziło i nie sądziłam, że kiedykolwiek mi się uda. I w tym rzecz – nigdy nie obchodziło mnie, co kryje się za blokadą. Aż do tego ranka w moim apartamencie w podróży poślubnej na Kauai – gdzie

kołyszą się palmy, gadają papugi, czekają plaża, morze i masażystka – kiedy to na fali euforii wymyśliłam coś zabawnego. Przeliczyłam litery, cztery, pięć i cztery. Zsumowałam. Wyszło trzynaście. Takie śmieszne, że żał nie spróbować. Upiłam łyżeczek kawy i lekkomyślnie, jak to tylko możliwe w przypadku świeżo upieczonej żonki, wpisałam hasło, które otworzyło przede mną sekret męża: ChujLarryBird.

No i weszłam za zamknięte elektroniczne bramy, w labirynt prowadzący Bóg raczy wiedzieć gdzie. To, co zrobiłam, było pewnie nielegalne... Złamałam prawo. Mój mąż mógłby właściwie mnie aresztować, oskarżyć i posłać za kratki. Na tę myśl po moich wargach przemknął uśmiezek. Musiałam teraz wykombinować, jak stąd wyjść i nie zostawić po sobie śladów.

A potem zaczęłam się śmiać. ChujLarryBird? Naprawdę? Nie wiem nawet, jak na to wpadłam. Robert lubi żartować: „nie nienawidzę kryminalistów, tylko wymierzam im sprawiedliwość”, więc jedyni ludzie, których nienawidzi, to Celtowie z Bostonu. Ale nigdy nie słyszałam, żeby powiedział coś takiego jak chujLarryBird. Prawie nigdy nie używa tego typu wyrażen.

Potem zauważyłam migającą dziwnie ikonkę. Jeśli to w ogóle możliwe, mrugała do mnie znacząco. Musiałam w nią kliknąć. Musiałam. No i stało się. Trafiłam na to nieprawdopodobne zdjęcie. Właśnie wtedy pomyślałam: Kim, u diabła, jest ta goła kobieta? Co ona robi w skrzynce e-mailowej mojego męża?

KATHERINE

PIEPRZYĆ GO.

To były pierwsze słowa, jakie wyrwały mi się z ust tego ranka. Nic zaskakującego, bo zaczynam od nich każdy dzień... Od dziewiętnastu lat, od ostatniego razu, kiedy widziałam Phillipa żywego.

Uwielbiam przedstawiać to w ten sposób. Phillip jest nadal żywy jak jasna cholera i wygląda kwitnąco, a na dodatek jest szalenie bogaty. Nie chcę być jakoś specjalnie złośliwa, nie. Ale mówiąc „po raz ostatni widziałam go żywego”, mam na myśli to, że potem dla mnie umarł. W każdym razie po wymówieniu „pieprzyć go” – z naciskiem na go – jeszcze leżąc w łóżku, myślę o doktor Gray i Thich Nhat Hanh i robię trzy długie, głębokie, oczyszczające oddechy. Liczę do pięciu przy pierwszym wdechu i układam usta w półśmiech. Potem odliczam do pięciu i wydech. Potem do sześciu, wdychając i tak samo wydychając. A potem do siedmiu, wdech, do siedmiu, wydech. Dzięki półśmiechowi na wargach moja głowa się uspokaja... Potem siadam wyprostowana na łóżku, opuszczam nogi, opieram je o drewnianą podłogę i łączam mocno dłonie na wysokości piersi. Wreszcie oddycham głęboko cztery razy i przy każdym wydechu powtarzam formułę medytacji:

Oby wypełniała mnie wielka dobroć

Obym była zdrowa

Obym była spokojna i swobodna

Obym była szczęśliwa.

I dopiero wtedy otwieram oczy. Mój oddech robi się głębszy i świadomy, wtedy przechodzę na drugi koniec sypialni i aby zaspokoić próżność, sadowię się przed lustrem. Oddychanie to mój łącznik z tu i teraz, z czasem teraźniejszym. Doktor Gray twierdzi, że za bardzo martwię się przeszłością. Thich Nhat Hanh mówi, że nie powinnam się zamartwiać o przyszłość. Zgadza się co do jednego – muszę poświęcać więcej uwagi chwili, która trwa. Skoro psychiatra z dobrej dzielnicy i mnich buddyjski mają w tej kwestii identyczne zdanie, pewnie warto się nad tym zastanowić.

Zmuszam się, żeby poruszać się po mieszkaniu powoli. Nie przychodzi mi

to łatwo – podobnie jak medytacja, oddychanie lub joga – jest trochę wbrew mojej naturze, ale pomaga.

W lodówce znajduję plastikową torebkę z napisem „Wtorek”. Wsypuję zawartość do miksera, dodaję pół filiżanki mleka migdałowego i włączam. Trzydzieści sekund później piję koktajl i wrzucam kanał CNBC, wiadomości biznesowe. Jest pięć po szóstej.

Dziesięć minut później jestem na bieżni, na uszach mam słuchawki i mrużę oczy w blasku wschodzącego słońca w tle drapaczy chmur. Wskazania giełdy przesuwają się pod gadającymi, ale wyciszonymi głowami na moim telewizorze. Nic tam ciekawego, nie dzieje się nic, o czym nie wiedziałabym od poprzedniego wieczoru. Przelatuję po kanałach, ani razu nie włączając głosu. Słuchanie telewizji z rana mija się z celem. Wystarczy czytać. Na kanałach biznesowych przedstawiają rokowania obligacji i wyniki rynków azjatyckich, na kanałach informacyjnych wiadomości dnia, sportowych – wyniki meczów, sieciowych – prognozy pogody. Wszystko to wiem z kilkucentymetrowego paska na dole ekranu. Rozprawiający ludzie to zupełna strata czasu.

Przyczepiam monitor pracy serca do swojego sportowego stanika i zaczynam iść. Po pięciu minutach rozgrzewki czas poważnie popracować. Podkręcam bieżnię do jedenastu kilometrów na godzinę, a nachylenie na trójkę. W moim mieszkaniu panuje absolutna cisza, jedyny dźwięk, jaki dochodzi z czternastu pokoi, to uderzanie moich butów do biegania o gumową nawierzchnię. Jeszcze nie włączyłam muzyki. Zachowuję ją sobie na dwadzieścia minut później, kiedy będę potrzebować małej zachęty. Dziś czuję się świetnie i bez problemu zwiększam tempo. Trzyście na godzinę, nachylenie cztery. To sporo, ale daję radę. Włączam iPoda i przelatuję listę wykonawców. Kogo dziś posłuchamy? Doktora Dre? Snoop Dogga? Eminema? Może to dobry dzień na odmianę. Wybieram Jaya-Z.

Po prysznicu przechodzę do garderoby, gdzie już poprzedniego dnia przygotowałam sobie ubranie. Obcisły wełniany żakiet i dobrana do tego spódnica firmy Brioni, a na to nieprzemakalna jedwabna parka wykończona futrem mongolskich owiec – bo ma padać – oraz botki do kostki Prady. No, a teraz, wracając do mojej próżności, głęboko wzdycham na widok swojego odbicia w lustrze. Niezbyt piękny obraz o tak wczesnej porze, zwłaszcza przy ostrym świetle padającym z okien z tyłu. Jednak na wszystko znajdzie się sposób. Kilka pociągnięć pędzlem, delikatny make-up, i już jestem jak nowa,

albo tak nowa, jak to dla mnie możliwe.

Potem powoli pochylam głowę i zamykam oczy. Wiem, że na dole czeka na mnie auto. Wiem, że za oknem czeka na mnie dzień. Wiem, że za każdym rogiem czyhają sępy, ale zostawmy je. Znów łączę się ze swoim oddechem. Wciągam głęboko powietrze, wypuszczam. Wdech, wydech. Wdech, wydech.

Oby wypełniała mnie wielka dobroć

Obym była zdrowa

Obym była spokojna i swobodna

Obym była szczęśliwa

Unoszę brodę, uchylam powieki.

– Pieprzyć go – mówię, patrząc sobie prosto w oczy – i wszystkich takich jak on.

W lobby zastaję Maurice’a, który po mnie przyjechał. Kiedy się zbliżam, unosi palce do czapki, jakby salutował, i podaje mi dużą kawę z chudym mlekiem bez pianki.

– Miłego dnia, Katherine – wita mnie tym swoim serdecznym tonem.

– Nawzajem – odpowiadam jak zwykle.

– Zimno dziś – mówi i podaje mi „Wall Street Journal”. – Lepiej się zapnij.

– Pokazuje z dezaprobatą na parkę. – Trzeba by ci kupić trochę cieplejszych ubrań.

Uśmiecham się.

– Maurice, przyjacielu, gdybyś wiedział, ile ta parka kosztowała. Powinna wystarczyć na najgorszy ziąb.

Jak na zamówienie, kiedy wychodzimy przez obrotowe drzwi, zrywa się taki wiatr, że mimo naszych wspólnych wysiłków ledwie dają się popychać. Maurice z miną „a nie mówiłem?” otwiera mi auto. Jest aż za dobry. Nie poradziłabym sobie z całym tym draństwem, gdyby nie on.

Prawdziwy ruch nowojorskiego poranka jeszcze się nie zaczął. Jedyne oznaki życia to kilku zapalonych biegaczy zmierzających do Central Parku i jakiś stary mężczyzna zamiatający przed francuską piekarnią po drugiej stronie ulicy. To moja ulubiona pora w mieście. Czasem proszę Maurice’a, żeby przejechał Piątą Aleją, i patrząc przez okno, delektuję się tym wielkim spokojem. Nie ma nic bardziej kojącego niż widok pustej arterii.

– Zatrzymujemy się gdzieś po drodze do biura? – pyta Maurice, siadając za kierownicą.

– Nie, dziś nie, dziękuję.

Telewizor w tylnej konsoli jest nastawiony na CNN. Patrzą na to, co leci na pasku, gdy moja torebka zaczyna wibrować. Telefon oczywiście, ale to dziwne, bo nikt nigdy nie dzwoni do mnie przed ósmą rano. Wygrzebuję smartfona z torebki i kiedy widzę numer, od razu wiem, kto telefonuje i dlaczego. Nie odbieram.

– Dzieje się dzisiaj coś specjalnego? – pyta Maurice z przodu.

– Nie, nic – odpowiadam.

Tyle że teraz nie mówię prawdy. To był telefon od matki, z którą nie rozmawiałam już ponad miesiąc. Ale wiem, czemu dzwoni. Rzucam okiem na górę strony „Wall Street Journal” i widzę, że mam rację. Przez cały ranek ani razu o tym nie pomyślałam.

– Hej, Maurice, musisz być dziś dla mnie dobry – zapowiadam.

– Dlaczego akurat dziś? – pyta.

– Bo mam urodziny – mówię. – I to dość ważne. Możesz mi wierzyć albo nie, ale kończę czterdzieści lat.

BROOKE

W PRZYSZŁYM MIESIĄCU SCOTT kończy czterdzieści lat.

Trudno mi w to uwierzyć.

Nadal jest w dużym stopniu tym samym chłopakiem, który zabierał mnie na koncerty zespołu Van Halen, robił drinki z żelkami w tawernie McSorley's i wiedział, gdzie zdobyć świetną kokainę, kiedy jeszcze można było zrobić użytek z tej informacji. Niewiele się zmienił, tyle że z chłopca zrobił się mężczyzna. Mężczyzna, który tak delikatnie trzymał nasze dzieci w swoich mocnych ramionach. Mężczyzna, który co rano wstaje przed piątą, podróżuje po całym kraju i często śpi w poczekalniach na lotnisku, ale nigdy nie opuści występu czy meczu syna i córki, a przede wszystkim nigdy nie zachowuje się tak, jakby to z jego strony było szczególne poświęcenie. To facet, który potrafi zdyscyplinować dzieci bez krzyków, przebiec maraton dla uczczenia urodzin i nadal uwodzi żonę, puszczając do niej oczko dokładnie wtedy, kiedy trzeba.

Nie zrozumcie mnie źle. On nie jest idealny. Ani myślę tego sugerować. Jak każdy mężczyzna pozostał chłopcem, a chłopcy to wieczne utrapienie – szczególnie ci bujający w obłokach. Podczas pierwszego spotkania z nim moja matka odciągnęła mnie na bok i powiedziała: „Z tym to lepiej uważaj”. A kiedy spytałam dlaczego, wyjaśniła: „Ci naprawdę przystojni są zawsze niebezpieczni”. I on jest. Kolana robią mi się miękkie na jego widok. Ma nadal te same roztańczone niebieskie oczy i falujące włosy, od piętnastu lat jego twarz właściwie się nie zmieniła. Może nawet wygląda teraz młodziej, bo zlikwidował wadę wzroku – czasami dopiero po chwili rozpoznaję go na starych zdjęciach, jeszcze w okularach, które nosił, ze szklami grubymi jak dno od butelki. Nie jest więc ideałem, ale nadal mnie rozśmiesza i wprawia w drżenie po siedemnastu wspólnie spędzonych latach. To chyba całkiem niezły wynik.

I jeśli on wygląda dziś młodziej niż po dwudziestce, to ja też wypadam nie najgorzej. Może jest trochę zmian – jakieś zmarszczki, zwłaszcza wokół ust – ale kiedy na nie patrzę, wiem, że powstawały długo, z każdym moim uśmiechem, więc nie oddałabym ich za żadne skarby świata. Nie ma mowy.

Pozostaje jednak kwestia mojej pupy, na którą nagle zaczęłam patrzeć innym okiem niż przedtem. Nadal jest kształtna, może i pulchna, ale nie w negatywnym sensie, raczej okrągła niż gruba. Coś jak u Beyoncé. Zawsze miałam kobiece kształty, co jest w porządku, póki nie robi się cellulit... Nigdy

go u siebie nie zauważyłam, teraz też nie, ale kiedy przypatruję się swojej pupie, mam wrażenie, że jeśli nawet nie idzie w kierunku pomarańczowej skórki, nie jest już całkiem gładziutka i coś czuję, że może mi się to nie spodobać na zdjęciach, jakie chcę zrobić.

Mój mąż prawie co tydzień jest w podróży i jeśli mam go powstrzymać przed rozglądaniem się za pornografią albo młodszymi, ładnymi dziewczynami, chyba powinnam dać mu coś w zamian. Na tym trzyma się nasze małżeństwo, od pierwszych wspólnych walentynek, kiedy to kupił mi najseksowniejszą bieliznę w sklepie Victoria's Secret. Była o dwa numery za ciasna (co najmniej), więc ukradkiem podmieniłam ją, zanim się w nią dla niego ubrałam, a on kompletnie oszalał z podniecenia i było fantastycznie. Scott jest inteligentny, na stanowisku, ale wciąż potrafię zamienić go w drżącego chłopaka, takiego, jakim był na studiach biznesu, przed bonusami, udziałami na giełdzie, range roverami i łodziami motorowymi. Krótko mówiąc, oboje wiemy, kto w naszym domu nosi spodnie – mój mąż. Ale i bezdyskusyjne jest, kto tu naprawdę rządzi.

Ten prezent na pewno mu się spodoba i będzie zachwycony, że na to wpadłam. Teraz tylko muszę zebrać się na odwagę, żeby wcielić swój pomysł w życie. Trzeba więc wrócić do kwestii mojego tyłka, na który gapię się w ciasnym pokoiku przy salonie manicure'u, gdzie przychodzę na depilację woskiem. Właścicielką jest Sarah, urocza Koreanka. Niewiele brakowało, a to ona jako pierwsza zobaczyłaby moje bliźniaki, jeszcze przede mną. Robiła mi pedicure, kiedy odeszły wody... Takie doświadczenia zbliżają ludzi, a że od czasu do czasu wpadając na manicure, przyprowadzam Megan – od kiedy skończyła trzy lata – Sarah obserwuje też, jak moja córka rośnie, a ja z kolei byłam świadkiem różnych zdarzeń w jej rodzinie. Jej dorosłe dzieci zaglądają do salonu. Uwielbiam słuchać, jak Sarah z dumą opowiada o córce, która jest pielęgniarką, i synu, który studiuje prawo... Czuję, że od wielu lat mnóstwo nas łączy, a jednak ciężko mi będzie wykrztusić, co mnie tu dziś sprowadza.

Bo chcę to zrobić jak należy. Zdjęcia będą gustowne i, mam nadzieję, piękne. Ale nie okłamujmy się, bardziej erotyczne niż artystyczne i jeśli chcę, żeby mąż wolał je od pornografii, to trzeba je troszkę upozować na porno. Żadnego rozkraczania się, wulgarności, nic z tych rzeczy, ale pełna, frontalna nagość, coś, co byłoby oznakowane jako nieodpowiednie dla osób, które nie ukończyły osiemnastu lat.

Potrzebny jest wosk.

Nigdy wcześniej tego nie robiłam, ale niektóre moje koleżanki tak. Mówiły mi, że trzeba po prostu zdjąć spodnie i bieliznę, że nikt nie zwraca uwagi na nagość. Tak też zrobiłam, po czym usiadłam na wyłożonej gąbką leżance okrytej długim paskiem papieru i czekałam.

Sarah weszła do pokoju z szerokim uśmiechem na twarzy i trzynastoletnią dziewczynką u boku.

– Cześć, Brooke! – zawołała, najwyraźniej nieświadoma, jak bardzo jestem rozebrana. – To moja siostrzenica! Napisała wypracowanie o pochodzeniu noża do steków. Na pewno chciałabyś je przeczytać!

Domyślałam się, że nie do końca to właśnie chciała powiedzieć, ale jej angielski bywa zaskakujący.

– Świetnie – stwierdziłam, kiwając głową i rozpaczliwie starając się naciągnąć koszulkę na dolne partie. Nie podałam ręki, bo obie miałam zajęte.

– Mieszkasz niedaleko stąd?

Dziewczynka skinęła głową. Nic nie mówiła. Sarah też już nie – tylko rozpromieniona patrzyła na siostrzenicę. Milczenie się przedłużało. Ktoś wreszcie powinien się odezwać.

– Dziś spróbujemy czegoś nieco innego, dobrze? – powiedziałam.

– Ach tak? Czego? – spytała Sarah.

Patrzyłam wprost na dziewczynkę. Nie miałam pojęcia, jak wyjaśnić, po co tu przyszłam, zwłaszcza w obecności tej małej, stojącej tak blisko, że gdybym chciała, mogłabym ją pogłodzić po włosach... Dziewuszka była tak cichutka i grzeczna, jakby czekała na moje polecenia, ale jak je niby wydać, czując się w negliżu tak niezręcznie? Głos uwiązał mi w gardle.

Na szczęście Sarah w końcu załapała. Może zauważyła, że tak się spieszyłam, albo dostrzegła moje zwinięte w kulkę stringi na leżance lub te trzy czwarte pupy wystające spod koszulki.

– Och, masz romans? – szepnęła mi do ucha.

Tak mnie to rozśmieszyło, że zaczęłam chichotać, zakrywając usta rękami i zapominając na chwilę o przytrzymywaniu koszulki. Ale zaraz się opamiętałam i znów ściągnęłam ją w dół, zerkając na dziewczynkę, która nawet nie mrugnęła okiem.

– No dobrze, kładź się – powiedziała Sarah i odwróciła się, mówiąc coś do małej, która ukloniła mi się i już jej nie było, a ja położyłam się na stole,

płasko na plecach. Sarah zaczęła grzać wosk.

– Wiesz, to będzie bolało – uprzedziła złowieszczo.

SAMANTHA

NI STĄD, NI ZOWĄD POCZUŁAM TAK STRASZNY BÓL jak jeszcze nigdy w życiu.

Odrętwienie, jakie ogarnęło moje ciało, ustąpiło miejsca porażającej męce. Nagle nie byłam w stanie sprostać zmasowanemu atakowi emocji – osłupieniu, morderczej wściekłości, rozpacz. I, co najgorsze, współczuciu. Jeszcze nigdy nie było mi nikogo tak bardzo żal, jak teraz samej siebie.

Wskoczyłam do łóżka i zagrzebałam głowę pod tyle poduszek, ile udało mi się znaleźć. Chciałam ukryć się w absolutnej, najczarniejszej ciemności. Chciałam oślepnąć. Tonęłam w żalu i zdałam sobie sprawę, że litowanie się nad sobą to najbardziej rujnujące z uczuć. Gniew może motywować, smutek stymulować, ale współczucie okalecza. Nie mogłam nawet płakać, bo nie miałam siły. Brakowało mi powietrza, w piersi czułam ucisk. Starłam się głęboko oddychać, zebrać myśli. Jak ja się w to wpakowałam? Miałam dwadzieścia osiem lat. Po studiach pracowałam jako wolontariuszka. Potem byłam producentką w telewizji w Nowym Jorku. A skończyłam jako oszukana panna młoda.

I wtedy poczułam jego zapach. Musiał spać na jednej z poduszek, pod którymi się zakopałam. Od razu znów był na całej mnie. Chciałam od tego uciec, niechcący przeturlałam się na jego stronę łóżka i znalazłam się w lekkim wgnieceniu, jakie po sobie zostawił. Moje biodro dotknęło wilgotnej plamy. Wskoczyłam z pościeli jak oparzona. Ten mokry ślad na materacu zrobiliśmy razem. Ile czasu minęło od tej pory? Wydawało się, że wiele dni, ale tak naprawdę ile? Godzina? Mniej? Czułam go na sobie i w sobie... Bez zastanowienia zrzuciłam z siebie wszystko i wskoczyłam pod prysznic. Nastawiłam temperaturę wody na tak gorącą, jak tylko dało się wytrzymać, zaczęłam się szorować. Kiedy moja skóra zrobiła się różowa i do cna czysta, zakręciłam wodę, włożyłam sportowy stanik, szorty, buty do biegania i już mnie nie było. Parę schodków i plaża. Potem zaczęłam biec.

Nie wiedziałam, dokąd zmierzam, nawet nie wiedziałam, gdzie jestem, czułam tylko, że muszę biec, by się pozbierać. Użalanie się nad sobą mogło mnie przyhamować, zwalić z nóg, więc ruszyłam naprzód. Nie będę się nad sobą roztkliwiać – przyrzekłam sobie w duchu. – To nie w moim stylu.

Naprawdę jest mi żal bardzo wielu ludzi, ale mnie samej nie. Jak każdy

współczuję: sierotom, cyrkowym cudakom, samotnym matkom, bezdomnym, owdowiałym ojcom, dzieciom kokainistek, narkomanom, ślepym handlarzom, głuchym żebrakom, ludziom bez rąk, nóg lub z innymi brakami. Jak wszyscy. Ale dla mnie to dopiero początek.

Było mi okropnie żal kobiety, która niedaleko domu mojego ojca w Connecticut sprzedawała przez okienko pączki podjeżdżającym autami klientom. Mogło być prawie trzydzieści stopni mrozu, a ona trwała na stanowisku, wychylała się z tego okna bez kurtki, rękawiczek, wydawała resztę, serwowała kawę, za każdym razem z uśmiechem. Zdziwiła mnie jej pogoda ducha, aż jej czasem tego zazdrościłam. Kiedyś spytałam, dlaczego zawsze jest taka zadowolona. Wtedy streściła mi historię swojego życia, niewiarygodnie straszną. Opowiedziała o mężu, który ją bije, i córce, która zginęła w wypadku samochodowym, o nocowaniu w przedsionku kościoła przez miesiąc. Podsumowała wszystko stwierdzeniem: „Tu, wśród tych wszystkich miłych ludzi, spędzam swoje najszcześniejsze chwile”. Rozejrzałam się dokoła i zobaczyłam tylko typowe grupki klientów sieciowej pączkarni. Wcale nie wydawali się mi sympatyczni. Ale dla niej praca to była najlepsza część dnia... Jej życie. Aż pewnego dnia już jej nie zobaczyłam. Nie wiem, co się stało, po prostu znikła. Pytałam o nią w pączkarni, ale nikt nie wiedział, co się stało. Nie pojawiła się, to wszystko. Menedżer powiedział mi: „Nasi pracownicy często znajdują sobie coś lepszego i nie zadają sobie trudu, żeby nas o tym powiadomić”. Ale ja wiedziałam, że to nie to. Nigdy nie rzuciłaby tej roboty, chyba że przytrafiło jej się coś strasznego. I nigdy nie dowiem się co... Kiedy wróciłam do domu wieczorem, uświadomiłam sobie, że nawet nie znam jej imienia czy nazwiska. I zrobiło mi się tak przykro, że długo płakałam, nim udało mi się zasnąć.

Często też jest mi żal ludzi, których nigdy nie spotkałam.

Na przykład ta kobieta, co wybuchnęła nieopanowanym płaczem podczas programu telewizyjnego *Dobra cena*, kiedy została wywołana z widowni do udziału w zgadywaniu, ile coś kosztowało. Musiało to być dla niej wspaniałe przeżycie, a tu jakiś palant postawił dolara więcej na koszt kosiarki do trawnika i to on wylądował na scenie, grając w kości, kiedy ona stała, czekając na następną szansę. Patrząc na zegarek, wiedziałam, że czas ucieka i nie ma już takiej możliwości. Jej pełna nadziei mina doprowadziła mnie do płaczu. Biedna kobieta całe życie marzyła, żeby ją wywołali, a trafiło jej się tylko tyle.

W tym samym odcinku wystąpiła jeszcze jedna uczestniczka, której współczułam. Ta dostała się na scenę i grała o samochód, który miał przypaść jej w udziale, jeśli zgadnie, ile kosztował. To była mała mazda. Nie wiem, czy dałoby się do niej wepchnąć dwójkę pasażerów i dwie torby zakupów, ale kobieta uznała, że auto kosztowało siedemdziesiąt osiem tysięcy dolarów. Prowadzący program Drew Carey był tak zszokowany jej oceną, że mało nie zemdlał... Ale ta gapa uważała, że ma rację, i przez minutę była absolutnie pewna, że wygrała nowiutki samochód. Oczywiście publiczność w studio i wszyscy telewidzowie zrozumieli od razu, że nic z tego. Przez tych parę chwil, kiedy była jedyną istotą na ziemi przekonaną, że trafiła, serce pękało mi z żalu.

Takie rzeczy przytrafiają mi się właściwie dzień w dzień. A jeśli doda się je do bardziej typowych przypadków, jak głodujące dzieci z wydętymi brzuskami, wychodzi na to, że współczuję na okrągło. Jedyna osoba, której nigdy nie żałowałam, to ja. Bo niby czemu? Od urodzenia cieszę się wszelkimi możliwymi przywilejami. Moja rodzina jest bogata. Nie choruję... Zawsze miałam wolny wybór... Prawda, mój ojciec lubi się dąsać, bywa nieczuły i, owszem, spotyka się teraz z kobietą tylko o cztery lata starszą ode mnie, ale tak naprawdę to nie moja sprawa. Żal mi mamy, która umarła zbyt młodo, i mojego młodszego brata, który zawsze idealizował naszego tatę, więc poczuł się przez niego zdradzony i mocno rozczarowany, ale to wszystko nie przeszkodziło mi w rozwijaniu zainteresowań czy życiu własnym życiem. Nie wyobrażałam sobie, że kiedykolwiek ktokolwiek mógłby mi współczuć, zwłaszcza ja sama, dopóki nie wklepałam „ChujLarryBird” na laptopie męża pierwszego dnia miodowego miesiąca i nie zobaczyłam zdjęcia gołej kobiety, którą rozpoznałam dopiero po chwili.

Była atrakcyjna, ale bynajmniej nie idealna, nic z tych rzeczy, jakie widuje się w „Playboyu” albo na dowolnej stronie z porno, gdzie zapuszczają się dziś panowie. Nie była podkolorowana, sztucznie opalona, wydepilowana czy upiększona w strategicznych miejscach, ale ładna i jakieś dwadzieścia lat starsza ode mnie. No, żeby nie skłamać, to dokładnie dziewiętnaście. Kiedy spotkałam ją po raz pierwszy podczas kampanii, okazało się, że mamy urodziny tego samego dnia, i uśmiełyśmy się z tego. Pamiętam, że powiedziała:

– Ale numer, mogliby zostawiać cię pod moją opieką, jak byłaś malutka.

W sumie nie było to aż tak zabawne, podobnie jak to, co napisała w e-mailu.

Żebyś pamiętał o mnie podczas pobytu z córką na Hawajach.

Biegłam więc teraz szybko, najszybciej, jak mogłam. Nie wiedziałam dokąd, ale to naprawdę nie miało znaczenia. Bo kiedy się od czegoś ucieka, a nie za czymś goni, kierunek nie jest ważny.

KATHERINE

MAWIAJĄ, ŻE LEPIEJ KOCHAĆ i przegrać, niż nigdy nie kochać.

Czy im kompletnie odbiło?

Takie powiedzenie albo przekonanie to bzdura, którą sobie wmawiamy, żeby poczuć się lepiej. Podobnie jak gadanie, że kiedy w dniu ślubu pada deszcz, to na szczęście. Jakie tam szczęście – czysty pech... Ale mówimy „szczęście”, by nie martwić się tym, że mokniemy w dniu własnego ślubu. Pamiętam, jak wychodziła za mąż moja przyjaciółka, Heidi. Tu, na Manhattanie. Razem z narzeczonym zamówili dwupoziomowy autokar z otwartą górą, żeby przewiózł gości z kościoła do klubu, gdzie miało być wesele. Problem w tym, że lało. Jak z cebra. Nigdy nie zapomnę widoku Heidi w worku na śmieci zarzuconym na suknię i czepku kąpielowym na włosach, żeby mimo deszczu jako tako wyjść potem na zdjęciach. Goście tłoczyli się jak sardynki na dolnym poziomie autokaru. Co to za szczęście?

Oczywiście to nie znaczy, że małżeństwo czeka marny los. Heidi jest nadal szczęśliwą żoną i ma trzech synów, których imiona chwilowo wyleciały mi z głowy. Ale rzecz w tym, że deszcz w dniu ślubu to żadne szczęście. I podobnie wcale nie jest lepiej kochać i przegrać, niż nigdy nie kochać.

– Och, pieprzyć go – powiedziałam.

– Co takiego, Katherine?

Zupełnie zapomniałam, że jest tu Maurice.

– Nie, nic.

– Stale coś do siebie mówisz. Zawiozę cię może gdzie indziej, a nie do biura – stwierdził wesoło. – Chyba powinien obejrzeć cię lekarz.

Uwielbiam Maurice’a. Jest naprawdę miły, a z moich doświadczeń wynika, że to dziś rzadkość. Jeśli jest coś takiego jak reinkarnacja – i we wszechświecie istnieje sprawiedliwość – Maurice powinien odrodzić się jako supermodelka albo gwiazda koszykówki, albo George Clooney. Gdyby wcielił się w Heidi Klum, ani przez sekundę nie wątpiłabym, że los słusznie obdarował ją nogami do nieba, idealną cerą i włosami, które wracają zawsze na właściwe miejsce, choćby szalało tornado. Byłabym naprawdę szczęśliwa, wiedząc, że zwycięzcy w genetycznej ruletce zasłużyli sobie na łaski dobrymi

uczynkami. W innym przypadku wszystko to loteria, kaprys losu. To, że niektórzy są cudowni i szczupli, a reszta z nas nie, nie ma żadnego uzasadnienia.

Gdyby Phillip miał powrócić w nowej postaci, też domagałabym się sprawiedliwości. I znalazłam idealną karę za życie z urodą i bogactwem bez doceniania tych darów. Wpadłam na to zeszłego wieczoru, kiedy oglądałam *Brudną robotę* (uwielbiam to show). Odcinek zaczynał się od nastrojowych sielskich obrazów. Wschód słońca w pogodny ranek. A potem pojawił się Mike Rowe i powiedział coś w rodzaju: „Piękny dzień, żeby zbierać końskie nasienie!”. Tym właśnie zajmował się przez kolejną godzinę... Kiedy program się skończył, poszukałam w internecie, przeczytałam wszystko o zbieraniu spermy ogierów i to było fascynujące. Okazuje się, że najbardziej popularna metoda wymaga wykorzystania sztucznej wagi, ale czasem to nie działa, więc ktoś musi ręcznie sprowokować wytrysk. Tak, tak, *ręcznie*. Kiedy o tym czytałam, jedno chodziło mi po głowie. Jeśli jest coś takiego jak reinkarnacja, mam nadzieję, że Phillip powróci jako spec od masturbacji koni.

Jestem wredna? Nie chcę bawić się w złośliwości. Ale był on drugim mężczyzną w moim życiu, który porzucił mnie w sposób tak dramatyczny, że nie dało się tego znieść. Pierwszy to mój ojciec. Jednak powiedzmy sobie szczerze, żeby nie wiem jak rozczarował nas ojciec, nie życzy się mu spędzenia życia na robieniu dobrze koniom.

Dni, kiedy byłam razem z Phillipem, nie wydają mi się już prawdziwe, to znaczy przypominam sobie wiele zdarzeń, ale już nie wiem, jak to wyglądało, jak smakowało, pachniało. Pamiętam, że w sekretariacie wydziału biznesu na Harvardzie poznałam nieśmiałego, inteligentnego chłopaka. Był ode mnie starszy o siedem lat. Pracował na Wall Street i jego firma opłaciła mu studia w Cambridge. Był geniuszem, od razu się zorientowali, każdy by się na nim poznał. Pamiętam jego czarną czuprynę, niesforną, z lokami opadającymi na szyję. Ta fryzura nie pasowała do jego twarzy. Pamiętam, że oboje byliśmy wyrzutkami. W pewnym stopniu. Ja z powodu ojca, a on, ponieważ pochodził nie z tej sfery. Jego rodzina mieszkała w Brooklynie. Phillip był z awansu. Jego ojciec, uroczy zresztą człowiek, rozwoził mleko. Phillip, który miał skończyć studia z najlepszym wynikiem w naszej grupie, mawiał: „Nie ucą nas tu niczego bardziej przydatnego niż to, czego nauczyłem się na ulicach Brooklynu”. Phillip był wojownikiem. I jeśli musiał, stosował brudne chwyt...

Widziałam jednak i inne jego cechy. Byłam jedyną osobą, przy której mógł się czasem odsłonić. Potrafił być bardzo dowcipny. Miał zgryźliwe, sarkastyczne poczucie humoru, co moim zdaniem zdradzało, jak niepewnie się czuje jako jedyny chłopak z Brooklynu na najbardziej prestiżowej z amerykańskich uczelni. Podobnie jak ja uwielbiał stare filmy... Właśnie to nas najbardziej do siebie zbliżyło. Szczególnie lubił Humphreya Bogarta. Wygłupiał się na lotniskach. Zawsze wracał do tych słynnych dialogów z *Casablanki*.

– Wsiądź do tego samolotu – mówił dramatycznym tonem, szczerząc zęby jak Bogart. – Jeśli tego nie zrobisz, pożalujesz. Może nie dziś, nie jutro, ale niedługo, i będziesz żałować do końca życia.

Uwielbiałam ten film. I szalenie kochałam Phillipa. To była miłość w stylu Ilsy Lund granej przez Ingrid Bergman, ale w przeciwieństwie do niej ja byłam zbyt samolubna, by nawet pomyśleć o tym, że mogłabym z niego zrezygnować dla dobra ruchu oporu. Nawet gdyby miał upaść Paryż, a Niemcy maszerowaliby po Piątej Alei, nie oddałabym Phillipa za żadne skarby świata. I dlatego tak zabolął mnie koniec tej historii, i dlatego do dziś mam nadzieję, że zobaczę go, jak wali koniowi konia.

Powiadają, że najlepsza zemsta to żyć szczęśliwie, ale na to też się nigdy nie nabiorę. Nikt nie żyje lepiej niż ja. Mam dwupoziomowe mieszkanie na Park Avenue, kierowcę, szefa kuchni, asystentkę i niesamowity dom w South Hampton i sama do tego wszystkiego doszłam. Ale nadal nie przebolełam tego, co stało się z Phillipem, i wątpię, czy kiedykolwiek mi się to uda. Życzę mu więc, żeby był dziesięć razy bardziej nieszczęśliwy ode mnie.

A jeśli wydam się przez to wredna, to trudno...

SAMANTHA

PIEPRZYĆ GO.

Powtarzałam sobie w myślach z każdym krokiem, kiedy tak biegłam. I te słowa były wyzwajające, oczyszczają mnie z użalania się nad sobą. Złość jest inspirująca. Wywoływała wojny, leczyła choroby, podbijała cywilizacje. Nie zawsze jest uczuciem dobroczynnym, ale na pewno jest cholernie skuteczna. Teraz mi pomagała. Wezbrała i napędzała mnie w biegu. Pomogła. I gdy tak biegłam, zaczęłam przypominać sobie, kim właściwie jestem.

Pieprzyć go.

Nie jestem żoną polityka. Jestem sportsmenką. Byłam kapitanem drużyny piłkarskiej i lacrosse w szkole średniej. Pod koniec college'u przebiegłam trzy maratony. Kiedy mieszkałam w Nowym Jorku, grałam w ultimate frisbee (łączy kilka dziedzin) w Central Parku, dzień w dzień. Uprawiam wspinaczkę skałkową i wysokogórską. Jeżdżę na nartach, surfuję. Prowizoryczne sceny w hotelowych salach balowych, idiotyczne uśmiechy i machanie rączką to nie mój świat.

Pieprzyć go.

Po powrocie z misji, gdzie byłam wolontariuszką, dostałam pracę w MTV Sport i bardzo mi się ta robota podobała. Robiłam programy o wyczynowcach, musiałam jeździć po całych Stanach i po całym świecie. Filmowałam wyścigi motocrossowe, skoki spadochronowe, skaczących z nadmorskich urwisk, akrobacje skaterów. Przez trzy tygodnie wędrowałam po pustyni Arizony, kręcąc materiał o gościu, który dla zabawy boso przebiega sześćdziesiąt pięć kilometrów dziennie. Prezentowałam facetów, którzy na rowerach wspinają się na góry i gołymi rękami mocują się z krokodylami. Sama przy okazji uczestniczyłam we wszystkich tych akcjach. Skakałam z samolotu ze spadochronem, ze zbocza góry na bungee, przeskoczyłam volkswagena na motocyklu. Chodziłam po rozżarzonych węglach, podbierałam miód rojowi pszczoł, pływałam z wielkim żarłaczem białym. Wydawało się, że to było tak dawno, jakby w innym życiu, a przecież to nieprawda. Jak się zastanowić, to pływałam z rekinem w tym roku, przy tej wyspie. Nadal jestem tamtą dziewczyną. Zrobiłam sobie tylko małą przerwę od siebie.

Pieprzyć go.

Niebo było niesamowicie niebieskie, ani śladu chmurki. Jeden z tych nieziemsko pięknych dni, jakie zdarzają się tylko na Hawajach – cudowne ciepło, możliwe jedynie na wyspach. Kiedy zaczęłam się pocić, moje nogi wpadły w przyjemny rytm. Nie pamiętam, kiedy czułam się równie swobodna czy silna. Każdy krok był wyzwajający, każdy oddech dodawał energii. Żadnego wysiłku, żadnego zmęczenia, bólu, tylko miarowe bicie mojego serca przy wtórze fal uderzających o brzeg. Nade mną głosy mew, z oddali płynęła jakaś polinezyjska piosenka. Najbardziej przepojone spokojem, idealne, piękne doświadczenie zen, jakie w życiu miałam. Czułam się jednością z niebem i morzem, i ziemią. Z każdym krokiem, każdym uderzeniem serca w głowie dźwięczały mi te same słowa.

Pieprzyć go.

Nie miałam pojęcia, jak długo biegnę, mogłabym tak biec w nieskończoność, ale wreszcie moje ciało upomniało się o paliwo. Czułam, że domaga się wody i jedzenia. Uświadomiłam sobie, że zapomniałam o śniadaniu. W samą porę, bo zbliżałam się do jakiegoś cudownego hotelu. Wbiegłam do niego, minęłam hall i odkryłam restaurację w ogrodzie przy basenie. Nawet nie byłam zdyszana, kiedy prosiłam o menu. Chciałam dostać to, co mieli najzdrowszego – najzdrowsze jedzenie, jakie można sobie wyobrazić. Czułam potrzebę posilenia się tym, co najbardziej elementarne.

– Poproszę jakieś świeże owoce – powiedziałam do bardzo miłego kelnera, który podszedł, by przyjąć zamówienie. – I orzechy, jeśli to możliwe, i płatki, i mnóstwo zimnej wody.

– Czy zapisać na pokój? – spytał.

– Nie. Nie mieszkam w tym hotelu...

Spytał więc gdzie. Powiedziałam mu i zapytałam, jak to daleko stąd.

– Nie jestem pewny – stwierdził. – Ale mogę ustalić dokładnie, jeśli sobie pani życzy.

– Gdyby to nie był zbyt duży kłopot.

Chwilę później pojawił się z najpiękniejszym talerzem, jaki kiedykolwiek widziałam. Na wielkim półmisku piętrzyły się kawałki dojrzałego grejpfruta, ananasa, jagody i inne smakołyki w jaskrawych kolorach.

– Spytałem w recepcji – powiedział, kiedy zatapiałam zęby w mango. – Jesteśmy około trzydziestu kilometrów od pani hotelu.

Przełknęłam i popatrzyłam na niego.

– Słucham?

– Trzydzieści kilometrów – powtórzył. – Tak mi powiedzieli. Jak długo pani tu jechała?

– Nie jechałam – odparłam – biegłam.

– O, to spory kawałek – zdziwił się. – Piękna sprawa na początek dnia. Mam nadzieję, że lunch będzie pani smakował.

Lunch? – pomyślałam.

– Która godzina? – spytałam.

– Dochodzi południe, proszę pani.

Biegłam trzy godziny.

– Bardzo panu dziękuję – powiedziałam.

Pochłonęłam wszystko, co dostałam na półmisku, rozkoszując się każdym kęsem. Zjadłam jagody, figi i rodzynki, migdały, orzechy laskowe i macadamia, mango, ananasa i kawałki kokosa. Wypiłam cały dzbanek wody, a potem poprosiłam o drugi i też wypić. Kiedy skończyłam, odchyliłam się w fotelu i wygrzewałam twarz w słońcu. Miałam ochotę jeszcze pobiegać albo popływać. Musiałam tylko kilka minut odpocząć po jedzeniu. Znowu pojawił się sympatyczny kelner. Nucąc cichutko jakąś melodię, uprzątnął stolik.

– Ma pani ochotę na coś jeszcze? – spytał.

Cudownie było czuć ciepło słońca na policzkach.

– Tak – powiedziałam, nie otwierając oczu. – Czy w tym hotelu są wolne pokoje?

BROOKE

CHYBA RZADKO MÓWIĘ coś zaskakującego.

Jestem matką i moje wypowiedzi są dość przewidywalne.

Nie, Megan, nie możesz spać u Parkerów, skoro następnego dnia masz być w szkole.

Tak, Jared, musisz skończyć szparagi, jeśli chcesz lody na patyku.

Jestem też żoną i nie sądzę, żeby Scotta często dziwiło to, co ode mnie słyszy.

Kochanie, w piątek spotykamy się z Ronsonami na kolacji. Nie zapomnij, że ona jest w ciąży, ale ty o tym nic nie wiesz.

Jeśli mamy to zrobić, zamknij drzwi, dzieci już chyba nie śpią.

Grywam też trzy razy w tygodniu w tenisa z koleżankami i muszę przyznać, że nasze rozmowy nie są zbyt szokujące.

Lada chwila będę miała okres.

Przysięgam, że jak jeszcze raz skrytykuje mojego fryzjera, to pošlę jej piłkę dokładnie w tył głowy.

Prawie nigdy więc nie widzę, żeby ktoś patrzył na mnie jak oniemiały. No i jest w tym właściwie coś okropnego. Nie sądzę, by ktokolwiek chciał być uznawany za osobę absolutnie przewidywalną. Jestem odpowiedzialna i to dla mnie powód do dumy, ale nie mam zamiaru być przewidywalna, bo to w gruncie rzeczy oznacza nudna. Dlatego przyznam szczerze, że sprawił mi frajdę wyraz twarzy Pameli, kiedy jej powiedziałam:

– Chciałabym, żebyś w przyszłym tygodniu sfotografowała mnie nago.

Najpierw ją zatkało. Potem spiekła raka i potrząsnęła głową, jakby chciała oczyścić uszy z wody.

– Że co, proszę?

– Chcę, żebyś porobiła mi zdjęcia na golasa.

Przez chwilę znów nic nie mówiła.

– Zaraz, zaraz, kochanie – wydukała wreszcie. – To znaczy, która z nas ma być nago?

I obie zaczęłyśmy chichotać tak, jak nam się dawno nie zdarzyło. Całkiem jak Megan i jej koleżanki, kiedy drocze się z nimi, że mają słabość do jednego

z członków zespołu Jonas Brothers albo tego ślicznego kędzierzawego chłopaka ze starszej klasy. Chichotałyśmy jak stare przyjaciółki od serca, którymi tak naprawdę nie jesteśmy, bo znam Pamelę dopiero od czterech lat, od wieczora, kiedy musiałam powstrzymać Scotta, żeby nie dał w szczękę pewnej babie.

Pamela jest z pokolenia moich rodziców. To jedna z takich przyjaciółek, jakie powinna mieć każda kobieta. Wiecie, co mam na myśli. Po pierwsze: kobiecie potrzebna jest siostra, a jeśli jej nie ma, to przynajmniej przyjaciółka, która jest jak siostra – troszczy się o twoje dzieci jak o własne i powie ci w aucie, że masz za dużo różu na policzkach. Poza tym trzeba mieć przyjaciółkę, która jest we wszystkim doskonale zorientowana i opowie ci wszystkie ploteczki. *Brad i Angelina naprawdę się rozstają, a ona zaręczyła się ze swoim astrologiem. Albo: Susan wróciła do domu i zastała Richarda w jacuzzi z Anną Demetrio, podobno mieli na sobie kostiumy kąpielowe, ale jednak to zdecydowanie niewłaściwe.* Każda kobieta potrzebuje i takiej przyjaciółki. A poza tym najważniejsza jest przyjaciółka jak matka, ale taka, której naprawdę będzie się słuchać. Kiedy mama mówi mi, że robię błąd, w połowie przypadków brnę w to dalej, bo nie lubię, jak mnie krytykuje. Ale każda kobieta potrzebuje przyjaciółki, dzięki której się opamięta. *Nie dawaj dzieciom jeść tilapii, ta ryba ma za dużo niezdrowych kwasów omega 6, a za mało korzystnych omega 3. Nie wybieraj tego hotelu, dzieci nie mają tam co robić, strasznie się unudzą, a do najbliższej porządnej restauracji jest dwadzieścia minut spacerem. Nie próbuj wafli Metamucil. Nie pomogą w przemianie materii, tylko spuchnie ci wątroba i będzie ci się odbijać.* Taka przyjaciółka to podstawa.

Dla mnie jest nią Pamela. Starsza, obyta w świecie, idealna powiernica. Nigdy mnie nie zawiodła, kiedy potrzebowałam rady. A w dodatku jest najlepszym fotografem w Greenwich... Dzięki temu się poznaliśmy. Kupiliśmy ją razem ze Scottem, albo raczej próbowaliśmy. A jej zrobiło się przykro, że się nam nie udało, i zgłosiła się sama. Muszę to wyjaśnić.

Chodziło o zbiórkę pieniędzy dla szkoły. Powiedziałam Scottowi, że musimy wybrać sobie coś z cichej aukcji i koniecznie wygrać licytację. Zdecydował się na sesję u Pameli, znanej fotografki, żebyśmy wreszcie mieli profesjonalne zdjęcia dzieci i porządną kartkę świąteczną. Przez cały wieczór warował w pobliżu stolika aukcyjnego, szybko przebijając każdą inną ofertę. Kiedy do końca aukcji pozostało pół godziny, było jasne, że pojedynek ograniczył się do Scotta i jakiegoś sympatycznie wyglądającego ojca starszych

dzieci. Obserwowałam, jak nerwowo podchodzą do kartki, kolejno podnosząc stawkę, jakby grali w prawdziwego pokera. (Mężczyźni bywają tacy śmieszni. Za każdym razem podnosili sumę tylko o dwadzieścia dolarów, ale napięcie rosło i miałam wrażenie, że wreszcie któryś uderzy drugiego w twarz białą rękawiczką). Ostatni cios zadał mój mąż, kiedy ogłoszono, że za minutę aukcja zostaje zamknięta. Zamaszystym gestem wziął pióro i przebił stawkę o dwieście dolarów. Tamten drugi popatrzył na sumę, potem na mojego męża i skinął głową z szacunkiem. Poddał się. Koniec. Scott wygrał.

Wtedy prowadzący zaczął odliczanie.

– Panie, panowie, aukcja zostanie zamknięta za dziesięć sekund. Dziewięć, osiem, siedem, sześć, pięć...

Ku memu przerażeniu do arkusza aukcyjnego przepchała się jakaś wyzywająca tleniona blondynka o ogromniastych piersiach. Chwyciła pióro i napisała coś, kiedy prowadzący doszedł w odliczaniu do jedynki. I szybko odeszła, kołysząc biodrami w zbyt opiętych białych dżinsach.

Spojrzałam na Scotta. Zamurowało go. Stał naprawdę jak skamieniały. Podeszłam więc do arkusza i zobaczyłam, że przebiła go o pięć dolarów. Do tej pory licytujący podnosili stawkę conajmniej o dwadzieścia, a ona nabazgrała sześćset pięć dolarów, swoje nazwisko i już. Kiedy wróciłam do Scotta, cały się trząsł.

– Przebiła mnie? – spytał.

Skinęłam głową. Naprawdę miałam nadzieję, że nie zada kolejnego pytania.

– O ile?

Powiedziałam mu, bo nie dało się tego uniknąć. Zrobił się czerwony jak burak.

– Kochanie, byłaś debiutantką na balu, na pewno jesteś zorientowana – powiedział. – Jakie obowiązują tu zasady? Bo gdyby to był facet, dałbym mu po gębie.

– Chyba lekko przesadzasz – stwierdziłam.

– W tym konkretnym przypadku? Czy nawet gdyby to był facet? Bo gdyby to był facet, to *dałbym* mu po gębie.

– Złotko – próbowałam łagodzić – zdajesz sobie sprawę, że możemy kupić sobie sesję fotograficzną u tej pani za trzysta dolarów mniej, prawda?

– Nie o to chodzi – powiedział i miał rację.

Nie o to chodziło.

W końcu okazało się, że Pamela jest na imprezie. Widziała, co się stało, i zgodziła się przyjąć też naszą ofertę, by ofiarować pieniądze na cele charytatywne. Naprawdę była dla nas przeurocza. Tamtego wieczoru wypiliśmy razem drinka i tak zaczęła się przyjaźń, która znaczy dla mnie wszystko. No, a teraz chichoczę z moją przyjaciółką i wyjaśniam jej, że ponieważ tak świetnie sfotografowała nasze dzieci, męża i mnie i zrobiła nam fantastyczne cztery kartki świąteczne, chcę zamówić u niej zdjęcia nago u mnie w domu.

Zaplanowałyśmy to na wtorek. Jak się okazało, musiałyśmy odczekać parę dni po depilacji, żeby zbladły podrażnienia na skórze. (A tak przy okazji, to bolało bardziej niż cokolwiek dotąd. Wolałabym już rodzić trojaczki bez znieczulenia na tylnym siedzeniu taksówki, niż raz jeszcze przechodzić przez coś takiego). Kiedy dzieci odjechały autobusem do szkoły, skupiłam się na aranżowaniu odpowiedniej atmosfery. Najpierw trzeba było wybrać pokój. Najbardziej naturalnym miejscem byłaby sypialnia, ale nasza nie należy do szczególnie seksownych. Jest bardzo wygodna i przytulna. Uwielbiam wylegiwać się tam i gadać ze Scottem, zwłaszcza gdy napalimy w kominku. Ale to w sypialni najczęściej się kochamy i zwykle nie jest specjalnie romantycznie. Na ogół to szybkie numery w weekendowe poranki, nim obudzą się dzieci. I nie możemy sobie pozwolić na zbyt dużą spontaniczność, a to z powodu mojej obsesji, by najpierw zamknąć drzwi. Przeraza mnie myśl, że mogłabym zostać przyłapaną na gorącym uczynku.

– Kochanie – wydyszał mi kiedyś do ucha. – Dzieci nie ma w domu.

– A jeśli wejdzie Lucy?

– Lucy to golden retriever.

– No tak, ale ona stale się tu pęta.

– To tylko pies.

– Nie potrafię się kochać na oczach psa – powiedziałam, siadając. – To nie wypada.

Od tamtej pory Scott bez szemrania zamyka już drzwi na moją prośbę. Pamela śmiała się jak szalona, kiedy jej to wyjaśniałam, i zasugerowała, że najseksowniej wyszłoby, gdyby sfotografować mnie gołą przy otwartych drzwiach.

To tyle na temat sypialni. Potem zastanawiałam się nad kuchnią, gdzie nasza

rodzina spędza większość czasu. Zwykle ja coś szykuję, krzątam się, a dzieci jedzą albo odrabiają lekcje przy stole, lub skulone na kanapie oglądają telewizję w połączonym z kuchnią pokoju dziennym. Scott stale mówi mi, że dla niego najseksowniej wyglądam, kiedy gotuję, ale szczerze mówiąc, pewnie stara się tylko w ten sposób wprowadzić mnie w odpowiedni nastrój i skusić na szybki numer po kolacji... Zwykle to działa. Nie narzekam. Jednak nie jestem pewna, czy to właściwe miejsce na te zdjęcia.

Gabinet Scotta chyba też nie. Poza biurkiem i krzesłem stoją tam tylko komputer, faks, kopiarka, drukarka, dwa telefony, mały telewizor i radio. Poza tym nic, co nie miałyby wtyczki do prądu.

Pokoje dzieci oczywiście odpadają. Podobnie jak łazienki, nawet ta główna, z masażem wodnym, bo jeśli na zdjęciu byłoby widać choć kawałek klozetu, to kompletnie zrujnowałoby efekt. I na pewno nie jestem gotowa pozować na zewnątrz, przy basenie. Bo jeśli moja sąsiadka, wścibska nuworyszka, która nie umie trzymać języka za zębami, zauważy choćby najmniejszy skrawek mojego gołego tyłka, to równie dobrze mogę pokazać go w wieczornych wiadomościach.

Mam więc dość osobliwy problem. To tak, jakby się pięknie ubrać i nie mieć dokąd pójść, tyle że sytuacja jest odwrotna. Chcę być pięknie rozebrana, ale we własnym domu nie mam gdzie się podziać.

SAMANTHA

KIEDY OTWORZYŁAM OCZY, kelner o miłym uśmiechu nadal stał przede mną i czekał – jak sądzę – żebym się roześmiała albo zapłakała, ale nie miałam zamiaru robić ani jednego, ani drugiego. Nagle oprzytomniałam i już wiedziałam dokładnie, czego chcę.

– Czy może pan tu poprosić menedżera hotelu? – spytałam.

– Oczywiście – zapewnił. – Jednak pani pozwoli, że jeszcze raz spytam, czy mogę dopisać lunch do rachunku za pokój?

– Nie. Nie jestem gościem tego hotelu – stwierdziłam. – Ale wkrótce będę.

– Oczywiście – zgodził się uprzejmie. – Będzie pani płacić gotówką czy kartą?

– Właściwie nie mam przy sobie pieniędzy – powiedziałam. – Ale wiem, skąd je wziąć.

Jego miły uśmiech stał się niepewny. Pewnie pomyślał, że zwariowałam, i biorąc pod uwagę naszą rozmowę, nie miałam mu tego za złe. – Nie ma problemu, zapłacę za lunch, niech się pan nie martwi – zapewniłam. –

Potrzebuję tylko trzech rzeczy. Zobaczyć się z menedżerem hotelu, telefonu i kieliszka szampana.

Najpierw przyniósł mi drinka. Cudownego, tak innego od tego, który wypiałam poprzedniego dnia, żeby wznieść toast za resztę swojego życia. Teraz, w świetle dnia, a zwłaszcza w promieniach słońca, pojęłam, jakie to było głupie. Nie tylko dlatego, że wklepałam ChujLarryBird w komputer i odkryłam, że mój mąż nie jest takim mężczyzną, za jakiego go uważałam, ale i z miliona innych powodów. W świetle słońca stało się jasne, że plany można robić najwyżej na resztę dnia. Nie sposób przewidzieć, co niesie kolejny tydzień, miesiąc czy rok, nie mówiąc już o całym życiu. Jedyny pewnik, to że wszystko jest niepewne. I właśnie wtedy to zrozumiałam, w tamtym miejscu, czując ciepło słońca na policzkach i smak szampana w ustach. Jak można sądzić, że wie się, czego się chce na resztę życia? To nielogiczne i nierozsądne. W najlepszym wypadku można kombinować, co smacznego zjadłoby się na lunch...

– Witam panią.

Głos dobiegł z tyłu. Tym razem czyjś inny. To nie był kelner, ale przystojny,

starszy pan w białej marynarce. Miał równie sympatyczny uśmiech, dużo niższy głos i robił wrażenie kogoś dużo tutaj ważniejszego. Wydawało mi się, że musi pochodzić z południa Europy, może z Hiszpanii.

– Pani pozwoli, że się przedstawię: Eduardo Marquez. Jestem menedżerem hotelu. W czym mogę pomóc?

Przez chwilę nie odpowiadałam... Głównie dlatego, że tak bardzo podobał mi się tembr jego głosu. Był jak z filmu *Narzeczona dla księcia*. Miałam ochotę siedzieć tak w ciepłym blasku słońca i pławić się w dźwiękach jego barytonu.

– Proszę pani – odezwał się znowu i czułam, że zaraz straci swój europejski spokój. – Powiedziano mi, że chce się pani ze mną widzieć. Czym mogę pani służyć?

Westchnęłam, zbierając siły.

– Proszę pana, sytuacja wygląda mniej więcej tak: miałam spędzać miesiąc miodowy w hotelu Four Seasons, ale okazało się, że mój mąż pieprzy się ze swoją pracownicą, co jest okropne, zwłaszcza, że mój ojciec od początku uważał go za dupka i teraz okazuje się, że miał rację. To niemal równie straszne, jak odkrycie, że moje małżeństwo nie przetrwa tygodnia. Rozumiałby pan to, gdyby pan znał mojego ojca. Na szczęście dla mnie to już skończone. I małżeństwo, i ten mężczyzna to już przeszłość. Potrzebowałam tylko trochę czasu, żeby poukładać to sobie w głowie, co udało mi się zrobić w drodze tutaj. Teraz brakuje mi tylko telefonu, żeby zadzwonić do ojca. Unieważnimy małżeństwo, a potem wezmę udział w najbliższym organizowanym tu na wyspie triathlonie. Na czas przygotowań do niego chciałabym zatrzymać się w państwie hotelu, bo mają państwo najlepsze owoce, jakie w życiu jadłam. Po zawodach wrócę do Nowego Jorku i swojej pracy w telewizji. Jeśli już nigdy nie zwiążę się z nikim, to żaden problem...

Szkoda, że nie widzieliście wyrazu twarzy Eduarda Martineza. To była najwspanialsza mieszanka niedowierzania i zdumienia, jaką można sobie wyobrazić. Oczywiście myślał, że wszystko to wyssałam z palca albo że zwariowałam, albo jedno i drugie, ale mnie było wszystko jedno, bo sama miałam cudowną pewność, że tak nie jest.

– W takim razie – powiedział wreszcie, poprawiając krawat – najpierw przyniosę telefon, o który pani prosi.

– Byłoby wspaniale – odparłam, wyciągając do niego dłoń, a kiedy podał

mi swoją, położyłam na niej drugą najdelikatniej jak mogłam i dodałam: –
Bardzo dziękuję za pomoc.

Skłonił się lekko i odszedł wolnym krokiem. Skorzystałam z okazji, żeby dokończyć szampana. Nadal świetnie smakował. Zaraz potem zapragnęłam czegoś zdrowego, koktajlu mlecznego, proteinowego lub nawet zielonej herbaty. Czekala mnie praca. Musiałam natychmiast zacząć trening. Popatrzyłam na fale uderzające o brzeg i nagle poczułam wielką ochotę, aby zanurzyć się w wodzie. Rzuciłabym się natychmiast do oceanu, gdybym nie była przekonana, że Eduardo Marquez oszaleje, jeśli nie znajdzie mnie tu po powrocie.

A potem zaczęłam myśleć o Robercie. Co odkryje, kiedy przyjdzie do apartamentu? Jak wszystko zostawiłam? Nie mogłam sobie przypomnieć. Niczego nie spakowałam – ubrań, biżuterii, kosmetyków, przyborów toaletowych. Wszystko zostało. Pewnie pomyśli, że po prostu wyszłam pobiegać, popływać albo pospacerować na plaży, i nie będzie się niepokoił. Może się trochę zdziwi, że nie zostawiłam mu wiadomości ani nie wysłałam esemsa, ale na pewno się nie przestraszy. Może znów się położy, czekając, aż wrócę i będzie mógł mnie poklepać po pupie, bo tak właśnie sygnalizuje, że ma ochotę na seks. Mogłam go sobie wyobrazić, jak leży, rozebrany do pasa, czyta gazetę i na mnie czeka. Kiedy wreszcie zacznie się niepokoić? Może już teraz? Może już mnie szuka? Może już pytał obsługę, czy nie widzieli wysportowanej blondynki, z którą zameldował się w hotelu? Przede wszystkim zadzwoni do mnie i poczeka na połączenie, co na wyspie chwilę zajmuje. W końcu gdzieś w pokoju usłyszy melodyjkę *I Gotta Feeling* Black Eyed Peas. Zna sygnał mojej komórki, zorientuje się więc, że zostawiłam swojego iPhone'a, i właśnie wtedy zacznie się martwić. Bo to kompletnie wbrew moim zwyczajom. Robert przejrzy moje rzeczy, odkryje torebkę i plecak, portfel, paszport i prawo jazdy, na pewno pomyśli, że zostałam porwana, uprowadzona wprost z pokoju, bo przenigdy nie wychyliłabym nosa za próg bez któregokolwiek z tych przedmiotów. To wywołało kolejny uśmiech na mojej twarzy. *Pieprzyć go*. Niech się martwi. Niech kontaktuje się z policją, zgłosi zaginięcie. Niech dzwoni do moich bliskich i pyta, czy się do nich nie odzywałam. Lepiej jednak, żebym to ja najpierw porozmawiała z ojcem. Żeby to on pierwszy zakomunikował mu, że nasze małżeństwo jest skończone. Nikt nie robi tego z większą przyjemnością niż tata. Wykaże cały swój kunszt i wstawi wszędzie, gdzie trzeba, „ty sukinsynu”. Jest w tym naprawdę dobry.

– Proszę pani, oto telefon należący do hotelu. Koszt rozmowy może zostać dopisany do pani rachunku pod koniec pobytu.

Wrócił Eduardo Marquez. Podkraść się cicho od tyłu. Coś się zmieniło, stał się bardziej łagodny – albo po prostu mniej podejrzliwy. Jego uśmiech zdawał się mniej wymuszony, nie tak wyreżyserowany. Miał w sobie coś bardzo sympatycznego, wręcz uroczego.

– Dziękuję – powiedziałam, biorąc od niego komórkę. – Nie mogę się już doczekać, kiedy tu się wprowadzę.

Potem wzięłam kilka oddechów, napełniając płuca, aż zaczęły mnie boleć nie mniej niż po przebiegnięciu tych trzydziestu kilometrów. Sól w powietrzu dodawała energii, poczułam się świeżo, myślałam trzeźwo. Wystukałam numer, nie patrząc na przyciski, jeszcze raz nabrałam powietrza i zaczęłam dzwonić.

– Cześć, tato, to ja – powiedziałam, kiedy odebrał. – Mam trochę nietypowy dzień.

KATHERINE

– CZEŚĆ, MAMO, DZIĘKUJĘ ZA TELEFON. Tak, to dość wyjątkowy dzień.

Nic nie przychodzi mi z większym trudem niż zachowanie dobrego humoru przy mamie. Ona ma niesamowitą zdolność sprowadzania każdego tematu – nawet życzeń urodzinowych – do tonacji mowy pogrzebowej. Myślę, że to przez zniżanie głosu przy pewnych słowach, ale nie tych, które zwykle się tak wypowiada, jak „rak” czy „oszustwa podatkowe”. Na przykład teraz. Zrozumiałabym, gdyby przeszła do szeptu przy słowie „urodziny” albo „czterdzieste”. Ale nie. To powiedziała normalnie. Za to już prawie jej nie słyszałam, gdy dodała: „Mam nadzieję, że wiesz, jak bardzo jestem z ciebie dumna”. Całe zdanie było stłumione, jakby zakryła słuchawkę grubą skarpetą. Słowo „dumna” ledwie dało się zrozumieć. Mówi tak, jakby wciąż przepraszała, że przeszkadza, tak było, odkąd pamiętam, a przynajmniej od czasu, kiedy odszedł ojciec.

Na jej usprawiedliwienie przyznam, że w czterdziestych urodzinach jest coś z pogrzebu. Oczywiście oznaczają one jakiś koniec. Nie życia, ale na pewno czegoś. Mojej młodości, na przykład. Nie jestem już i nigdy już nie będę młodą kobietą. Nikt już nie nazwie mnie dziewczyną. Wprowadzie i dotąd rzadko ktoś tak o mnie mówił, ale miło było pomyśleć, że jest taka możliwość. Gdybym to ja wybierała, kiedy przejść na szept, powiedziałabym „starzeję się”, „zaczynam czuć to w krzyżu” tak cicho, że trzeba by było czytać z ruchu moich warg.

Takie myśli tłukły mi się po głowie, kiedy wchodziłam do biura. Dzięki mamie z samego rana w swoje urodziny dumałam o kresie młodości i coraz bardziej dającym mi się we znaki bólu krzyża.

Pracuję na kierowniczym stanowisku w dużym banku inwestycyjnym na Manhattanie. Specjalnie dla mnie stworzono tytuł Chief Administrative Officer. O ile wiem, jest bardzo mało tego typu stanowisk w wielkich amerykańskich firmach. Zaczynałam w dziale prawnym, korzystając ze swoich dwóch dyplomów – z prawa i zarządzania – zrobionych na Harvardzie, a później awansowałam na głównego doradcę. Potem dodano mi dział kadr i tytułowano mnie zastępczynią wiceprezesa. Nieco ponad dwa lata temu chciał mnie zatrudnić inny, mniejszy bank w Kalifornii. Oferowali bardzo

wysokie stanowisko. Jednak Phillip nie chciał mnie stracić, częściowo ze względu na naszą wspólną przeszłość, więc specjalnie dla mnie stworzył nowy tytuł. Obecnie zajmuję najwyższą pozycję pośród kobiet na Wall Street, nadzoruję programy prawne, kadrowe i rozwój korporacji. Mam w swoim dziale jedenastu pracowników.

Moją asystentką jest Marie, zabójczo piękna laska z Brooklynu, nominalnie szefowa zespołu, a w praktyce pełniąca funkcję mojej totumfackiej. Uwielbiam Marie za to, za co na wstępie znajomości jej nie trawiłam... Wygląda jak dziwka. Pierwszego dnia przysłała tu wyraźnie zdeterminowana – i odpowiednio wystrojona – żeby znaleźć sobie faceta. Niektóre kobiety zdobywają dyplomy na prestiżowych uczelniach, ale Marie nie miała na to szans, nie była dość bystra, wkręciła się więc na Wall Street z nadmiarem różu na policzkach i w spódniczce ledwie zakrywającej jej włosy łonowe. W ciągu trzech miesięcy zaprosiło ją na randkę co najmniej sześciu naszych brokerów, a do końca roku z jednym z nich się zaręczyła. Sądziłam, że już więcej nie zobaczę jej imponującego dekoltu, ale ku memu zaskoczeniu nic z tych rzeczy. Kiedy przysłała na rozmowę kwalifikacyjną, starając się o obecne stanowisko, spytałam, dlaczego chce nadal pracować. Była wyraźnie zaskoczona. Sprawiałam jej przykrość.

– Bez urazy, pani Emerson – odparła ze swoim wyraźnym brooklińskim akcentem – sądząc po pani ubiorze, pani też nie musi pracować. Pewnie więc pracuję z tego samego powodu co pani. Kocham swoją pracę.

Od razu ją przyjąłem i to był jedyny przypadek podczas wszystkich lat mojej pracy na Wall Street, że kogoś przeprosiłam.

Teraz, w moje urodziny, Marie tylko rzuciła na mnie okiem i ruszyła za mną do gabinetu.

– Co jest, szefowo? – spytała, nie mówiąc nawet dzień dobry.

Nie chciałam wdawać się w dyskusje. Zaczęłam przerzucać papiery na biurku, udawałam, że jestem zajęta...

– Chodzi o jakiegoś faceta?

– Facet? Nigdy nie słyszałam o czymś takim.

– No, taka wstrętna kreatura, która zwykle kiepsko pachnie.

– Masz na myśli psa? – rzuciłam.

– Nie. Psy zawsze kiepsko pachną, ale wcale nie są wstrętne.

Uśmiechnęłam się do niej.

– Marie, fajnie mi się tak rozmawia w komediowym stylu, naprawdę, ale mam wariacki dzień, więc będę musiała cię prosić o wyjście lewą stroną sceny.

Popatrzyła w lewo, a potem znów na mnie nieco zmieszana. Jej naiwność zawsze mnie bawi. Marie jest świetnym przykładem na to, że w życiu najważniejsze są oczekiwania. Ułożyło się jej lepiej, niż mogłaby sobie wymarzyć, więc jest naprawdę najszczęśliwszą osobą, jaką znam. Tymczasem ja byłam wychowywana z wielkimi oczekiwaniami, moje życie oferuje mi niezliczone możliwości, a jestem naprawdę najbardziej niezadowoloną osobą, jaką znam. Dwa skończone fakultety na Harvardzie mogą czasem nieźle dać w kość...

– No dobrze – powiedziałam łagodniej. – Dziś są moje urodziny.

Zrobiła okrągłe oczy.

– Ojej! Wszystkiego naj...

– Proszę – ucięłam zdecydowanie, unosząc rękę. – Nie mam ochoty rozprawiać o tym cały dzień.

– Rozumiem – wyszeptła. – Wszystkiego najlepszego, szefowo.

– Dziękuję.

– Jakies plany? Jak chcesz to uczcić?

– Sama widzisz.

– Chwila, moment. – Potrząsnęła swoją śliczną główką. – To nie wystarczy.

– Dzięki za troskę.

– No nie!

Muszę przyznać, że mnie zaskoczyła.

– Zawsze byłaś dla mnie taka dobra – ciągnęła Marie już spokojniej. – Za nic nie pozwolę, żebyś spędziła urodziny w pracy, a potem poszła do domu. Gdzieś się razem wybierzemy wieczorem, gdziekolwiek chcesz, ja stawiam.

Smutno mi się zrobiło. Byłam zażenowana.

– To bardzo miło z twojej strony – szepnęłam. – Ale naprawdę nie musisz nic takiego robić.

– Wiem, że nie muszę. Chcę.

Nie mam pojęcia, dlaczego się opierałam. Jakaś część mnie zdecydowanie

zapaliła się do tego pomysłu, wydawało się, że fajniej będzie gdzieś z kimś pójść, niż wrócić do domu i oglądać w swoje urodziny *Idola*, na co byłam skazana, bo nie miałam nic nagranego na zapas. Chyba najbardziej żałowana rzecz, z której mogę się zwierzyć – nie zostało mi nic, czego bym już nie obejrzała. Wszyscy znajomi skarżą się, że nie mają kiedy oglądać programów, które sobie ponagrywali, i mają straszne zaległości. A ja jestem na bieżąco. Obejrzałam w telewizji wszystko, na co miałam ochotę.

– Co ci chodzi po głowie? – spytałam, starając się nie zdradzać zainteresowania.

– Wybór należy do ciebie – powiedziała. – Wymień, jaki chcesz klub, restaurację, bar, przedstawienie na Broadwayu, film. Jak zdecydujesz, tak zrobimy.

– No, wiesz, na Broadwayu widziałam wszystko, co jest na względnym poziomie, w kinach nie grają żadnego dobrego filmu, a nie należę do osób, które bywają w barach czy klubach – powiedziałam, marszcząc nos, jakby budziło to we mnie niesmak. – Nie wyobrażam sobie siebie w klubie.

– Czyli kolacja – podsumowała Marie. – Gdzie tylko chcesz.

Zastanawiałam się chwilę, aż jej oczy znów zrobiły się wielkie i okrągłe jak spodki. Gdyby była postacią z kreskówki, nad jej głową zapaliłaby się żarówka.

– Wiem, co powinniśmy zrobić! – zawołała z entuzjazmem.

– Co? – spytałam podobnie egzaltowanym tonem, żartując z niej bez powodu. (Ta uroczą dziewczyna z zapałem planuje, jak uczcić moje urodziny, nawet nie wiedząc które to, a ja się nad nią pastwię. Czasami rozumiem, skąd te wszystkie opinie o mnie).

– Mam fantastyczny pomysł, choć wątpię, że się zgodzisz – powiedziała niezrażona Marie. – Chciałabym jednak, żebyś o tym pomyślała, dobrze? Naprawdę, zastanów się, bo myślę, że to świetne rozwiązanie.

Czekałam.

– W moim domu mieszka facet, z którym strasznie chciałabym cię umówić...

O, to już było upokarzające.

– Przestań.

– Nie, poczekaj – zaproponowała. – Jest bardzo przystojny i sympatyczny.

Rozmawiałam z nim w windzie. Rozwodnik, nie ma dzieci, nosi fantastyczne garnitury, na oko jest mniej więcej w odpowiednim wieku, myślę, że to człowiek sukcesu.

Znam dom Marie. Mieszka na Central Park West. Jej narzeczony jest jednym z najlepiej prosperujących brokerów w dziale nieruchomości. Ale to i tak było wykluczone.

– Nie mogę – powiedziałam.

– Czemu nie?

– Bo nie – uparłam się. – Czy może być coś bardziej żalosego niż randka w ciemno dla uczczenia urodzin?

Uśmiechnęła się.

– Siedzenie w domu i oglądanie *Idola* – stwierdziła. – Który, nawiasem mówiąc, rzeczywiście wciąga. Jak się śledzi kolejne odcinki od trzech lat.

Nigdy w życiu nie wspominałam Marie o *Idolu*. Często okazuje się bystrzejsza, niżbym sądziła.

– A skąd wiesz, że facet jest dziś wolny? – spytałam.

– Mogę sprawdzić.

Wyraźnie aż się paliła, żeby to załatwić. Czująca, że się poddaje.

– Mam jego komórkę.

Wzruszyłam ramionami. Ciężko westchnęłam. Przewróciłam oczami. A potem wyczerpały mi się sposoby okazywania zniecierpliwienia.

– Dobrze. Zadzwoń do niego – powiedziałam, jakbym godziła się na bardzo wątpliwy interes, co w pewnym sensie robiłam.

– Zadzwonię! – wykrzyknęła uradowana. – Zaraz wracam.

Po pięciu minutach była z powrotem. Rozpromieniona.

– O ósmej – oznajmiła. – Tawerna Gramercy. Tylko wy dwoje. Będzie w niebieskim garniturze. Chyba starał się żartować.

Próbowałam się zaśmiać, ale nie mogłam.

– Powiedziałam mu, że od razu cię pozna po ubiorze.

– Dziękuję za dodatkową presję.

– Daj spokój, szefowo, wszystkie twoje kreacje są aż zbyt wspaniałe. Może zakradnę się, żeby choć podejrzeć przez okno, jak będziesz ubrana.

BROOKE

A CO MASZ na sobie?

Zabawne, ale nie umiałabym powiedzieć, ile razy mój mąż zadał mi to pytanie. Czasem dla żartu, czasem nie. Gdziekolwiek jest, wie, że nie wolno mu się kłaść do łóżka bez telefonu na dobranoc. Chcę, żeby to mój głos słyszał jako ostatni przed snem, i chcę mu w ten sposób dać wszystko, czego pragnie. Niezmiennie zaczyna rozmowę od pytania, co mam na sobie, i zwykle od razu wyczuwam, czy pragnie się dowiedzieć, że jestem we flanelowej piżamie, czy wolałby klimat Jenny Jameson i bardziej frywolny strój. Opowiem mu o każdym, jaki mu się marzy – choć dobrze wie, jak jest naprawdę – i mogę czarować tak długo, aż zrobi się senny. (Kiedy podróżuje do Europy lub Azji, zdarzają się komiczne sytuacje. Nieraz prowadziłam rozmowy ściszym głosem podczas treningu piłkarskiego albo na parkingu przy szkole). Jak już wspomniałam, liczę na to, że mąż będzie mi absolutnie wierny, i akceptuję, że to mnie też do czegoś zobowiązuje. Daję mu, czego potrzebuje, a on w rewanżu nie szuka tego gdzie indziej. Układ wydaje mi się sprawiedliwy.

Tak czy siak, on zawsze pyta: „Co masz na sobie?”.

A ja nie wiem już, ile razy mówiłam mu, że nic.

– Tylko szpilki, obcasy mają z piętnaście centymetrów, i uśmiech, kochanie – szeptałam seksownie.

Uderzyła mnie więc nieco ironia sytuacji, że po raz pierwszy, zupełnie pierwszy, naprawdę nie mam na sobie nic, ale to nie Scott do mnie dzwoni.

Telefonowała opiekunka do dzieci w rzeczywiście pilnej sprawie.

Długa historia.

A może nie tak długa. Zaczęło się w moim domu, gdzie Pamela i ja nie mogłyśmy znaleźć odpowiedniego miejsca do zdjęć. Na szczęście Pamela zna mnie na tyle dobrze, by wiedzieć, kiedy się zniechęcam. Zrozumiała, że wszystko stracone, jeśli szybko czegoś nie zdziałamy. Natychmiast podjęła decyzję. Spakowałyśmy się i pojechałyśmy do niej. W jej domu czuję się super, choć dom super nie jest. Pamela to rozwódka o świetnym guście, ale z niezbyt wielkim zasobem pieniędzy. Jej styl najlepiej określić jako „hipisowski szyk”. Pamela jest przecież dzieckiem lat sześćdziesiątych i do tej pory, od czasu do czasu, robi znak pokoju. Jej dom wygląda więc tak, jak można by się tego spodziewać po siedzibie starzejącej się hipisowskiej

artystki – mnóstwo krzykliwych kolorów, fajne oświetlenie, na ścianach tkaniny, kolekcja oprawionych okładek płyt rockowych w stołowym. Dla mnie to ekscytujące, bo zupełnie nie w moim stylu. Wspaniale robi się coś tak niezwykłego jak zdjęcia nago w miejscu tak niezwykłym, jak mieszkanie Pameli. Poprosiłam ją nawet o podgrzanie atmosfery jakąś muzyką. Miałam ochotę na rocka i żeby było głośno.

– Chyba wiem, co by pasowało – powiedziała z figlarnym błyskiem w oku.

Wypadła z pokoju, by włączyć płytę. Pomyślałam, że to właśnie mają na myśli modelki, kiedy mówią, że nawiązują idealny kontakt z jakimś fotografem. Zawsze sądziłam, że to jakieś wydumane hollywoodzkie frazesy, ale teraz zrozumiałam, że tak jest naprawdę. Byłam w stu procentach przekonana, że Pamela dokładnie wie, czego chcę. W tamtej chwili ufałam jej tak bardzo, że oddałabym życie w jej ręce.

Wtedy usłyszałam muzykę. Led Zeppelin.

O, tak.

Przyznam w sekrecie, że jestem fanką rocka. Wiem, że na taką nie wyglądam. I wiem, że trudno byłoby to po mnie poznać. Jestem teraz matką, gram w tenisa, należę do komitetu rodzicielskiego i stałam się atrakcyjną – mam nadzieję – panią domu z przedmieścia, ale w duszy nadal gra mi rock and roll. Aerosmith, Van Halen, Led Zeppelin, Cheap Trick, Pink Floyd, uwielbiam ich wszystkich. W momencie, kiedy moje uszy wypełnił głos Roberta Planta, ogarnął mnie nastrój, którego nie waham się nazwać *orgazmicznym*.

Kołysałam się i grałam na niewidzialnej gitarze, a Pamela, niech ją Bóg błogosławi, potrząsała głową, jakbyśmy były w Woodstock, i nie pamiętam już, kiedy się tak dobrze bawiłam...

– Może walniemy sobie drinka?! – spytałam, przekrzykując muzykę.

– Na przykład?!

– Czy ja wiem... Białe wino?!

– No nie! – zawołała, znów z błyskiem w oku. – Mam lepszy pomysł.

I pobiegła do kuchni, a ja zostałam w pokoju, zastanawiając się, co też wymyśliła... Śpiewałam na całe gardło razem z Led Zeppelin, na klęczkach, jak Tom Cruise w *Ryzykownym interesie*.

– Spróbuj tego!

Na srebrnej tacy Pamela przyniosła pokrojoną limonkę, solniczkę i butelkę tequili Patron.

– Poważnie? – spytałam.

– Jak najbardziej!

– O dziesiątej rano?

– Posłuchaj, skarbie – powiedziała, stawiając tacę na stoliku. – Chyba nie chcesz, żeby te zdjęcia wyglądały na dziesiątą rano. Prawda?

– Masz rację – przyznałam.

– No i dobrze – stwierdziła i naląła mi tequili.

Potem wzięła mnie za rękę i polizała nadgarstek od wewnętrznej strony. Posypała to miejsce solą i podsunęła mi kieliszek.

– Masz, kochanie. Zróbmy to, jak należy!

Bez wahania zlizalam sól, wzięłam kieliszek, wypiałam jednym haustem, po czym chwyciłam plasterek limonki i zatopiłam w nim zęby. Było fantastycznie, absolutnie fantastycznie. Od lat nie piłam tak tequili. Poczułam gorycz w ustach. Zrobiło mi się ciepło w żołądku. Co za smak, istna rozkosz.

– Mogę jeszcze jeden? – spytałam, po czym wychyliłam kolejny kieliszek. Tym razem było jeszcze lepiej.

Pamela wzięła aparat i spojrzała mi prosto w oczy.

– No dobrze, kochanie – powiedziała łagodniej, dodając mi odwagi – jesteś gotowa?

– Jeszcze jedna rzecz – odezwałam się.

– Co tylko chcesz.

– Czy masz *Cheap Trick at Budokan*?

Uśmiechnęła się i znów wyszła. Zaczęłam odpinać guziki. Pod spodem miałam skąpe body, które sobie kupiłam, kiedy zobaczyłam, że Scott, może nie całkiem licząc się z moimi uczuciami, zachwyca się czymś takim na Jessica Biel w jednym z filmów. Pomyślałam, że dobrze zacząć od tego. Pozwoliłam, by okrycie opadło na podłogę, i zagapiłam się w swoje odbicie w lustrze udekorowanym czaszkami – emblematami zespołu Grateful Dead.

– Niezupełnie jak Jessica Biel – powiedziałam sama do siebie. – Ale i tak nieźle.

Potem usłyszałam krzyki japońskiej publiczności, kiedy perkusja zaczęła

grać wstęp do *I Want You to Want Me* – chcę żebyś mnie chciała.

I zaraz w lustrze za mną pojawiła się Pamela.

– Liczy się tylko tu i teraz – powiedziała.

Nigdy w życiu nie byłam równie gotowa na coś, co mam robić, jak w tamtej chwili.

SAMANTHA

– CZYLI – ODEZWAŁ SIĘ OJCIEC – jesteś gotowa przyznać, że miałem rację?

– Co takiego?

– Zastanawiałem się tylko, czy doszłaś do jakichś wniosków na temat mojej opinii o tym facecie, którego postanowiłaś poślubić po kwadransie znajomości.

Najpierw nie mogłam uwierzyć własnym uszom. Nie chodzi o to, że starał się mnie zawstydzić, bo do tego przywykłam przez całe życie. Ale skąd wiedział, w czym rzecz? Przecież jeszcze nic mu nie powiedziałam.

– Co się dzieje, tato? – spytałam.

– Mam lepszy pomysł – odparł. – To ty mi wytłumacz, co się dzieje.

Co jakiś czas dociera do mnie, jakim cudem mój ojciec odnosi takie sukcesy w biznesie. Nie tylko jest bezwzględny (bo podejrzewam, że jest) i wyjątkowo inteligentny (o czym mogę sama zaświadczyć), ale przede wszystkim cwany, czego świetnym dowodem była jego reakcja. Najwyraźniej coś zwęszył, ale nie miałam pojęcia jakim sposobem.

– Słuchaj, tato – powiedziałam, rozpaczliwie starając się nie stracić resztek pozytywnej energii – jak wspomniałam, to dla mnie trochę nietypowy dzień. Na pewno oboje mamy sobie coś do powiedzenia i naprawdę byłoby mi lżej na duszy, gdybyś to ty zaczął.

Po drugiej stronie linii usłyszałam jego chichot. Ale nie tak złośliwy jak zwykle. Na ogół, kiedy się śmieje podczas kłótni, to raczej złowieszczo, jak Vincent Price w teledysku do *Thrillera* Jacksona. Tym razem było inaczej. Nie chciał mnie dołować. Czułam to.

– Kochanie – zaczął – dzwonił Robert.

Nie wiem dlaczego, był to dla mnie szok. Tylko dwie osoby na ziemi miały pojęcie o tym, co się święci. Ja i Robert. Logiczne więc, że skoro mój ojciec coś wie, to Robert musiał go zaalarmować. Ale dlaczego? Nie było mnie dopiero od kilku godzin.

– Powiedział mi, co się stało – stwierdził ojciec.

I wtedy mnie oświeciło. Przecież nie zamknęłam laptopa, nie wylogowałam

się, nie wyrwałam sznura ze ściany, nic. Zostawiłam włączony komputer, więc Robert też zobaczył na ekranie nagie zdjęcie menedżerki swojej kampanii. Poczułam, że się leciutko uśmiecham. Świetnie. To był najlepszy ze sposobów, żeby odkrył, o co chodzi.

– I co takiego mówił? – spytałam.

Dziwne, ale głos mi się trochę załamał. Tak jakbym miała się rozplakać. Byłam zaskoczona, kiedy łzy pociekły mi po policzkach.

– Prawdę mówiąc, był bardzo szczery – skonstatował. – Muszę przyznać, że jak na taką kupę gówna to dość uczciwy facet.

Zaśmiałam się lekko.

– Stwierdził, że musi mi coś powiedzieć – kontynuował ojciec. – I że chce, żebym od niego pierwszego to usłyszała. Przyznał, że łączyło go coś z jakąś kobietą zaangażowaną w jego kampanię. To chyba ta brunetka z wielkimi cyckami, która wygłosiła mi wykład na temat palenia.

– Rzeczywiście – potwierdziłam.

– Mówił, że związał się z nią wiele miesięcy wcześniej, zanim cię poznał, i że nie bardzo wiedział, jak się z tego wyplątać, ale że cię kocha i chce ratować małżeństwo. I że planował powiedzieć ci o tym wszystkim w odpowiednim czasie, ale najwyraźniej ty jakoś odkryłaś to już dzisiaj, co przyspieszyło cały proces. Dobrze zrozumiałem?

– Tak, dobrze.

– Prosił, żebym podszedł do tego bez uprzedzeń i pomógł mu cię odnaleźć, bo znikłaś bez śladu. To mniej więcej wszystko, co miał do powiedzenia.

Wzięłam głęboki wdech. Powietrze nadal było świeże i słone.

– A co ty mu na to?

– Kochanie – odparł – kiedy byłem w college’u, w tym samym domu co ja mieszkał taki duży chłopak. Miał na imię Alvin. Góra mięsa, prawie dwa metry dziesięć wzrostu, bardzo muskularny. To był kretyn i złodziej. Pewnego dnia odkryłem, że z mojego pokoju zginęło kilkaset dolarów, wszystkie pieniądze, jakie miałem. Byłem pewien, że Alvin je ukradł. Wiesz, co zrobiłem?

– Machnąłeś na to ręką i pozwoliłeś, żeby je sobie zatrzymał?

– Nie.

– Spytałeś go, gdzie forsa?

– Nie – zaprzeczył. – Nie całkiem.

– To w takim razie co, tato?

– Zostawiłem mu w pokoju liścik, napisałem, że wszystko wiem i że jeśli je po prostu zwróci, to nikomu o tym nie powiem i nie będę wracał do sprawy.

– No i?

– No i co?

– Co się stało z pieniędzmi?

– Prawdę mówiąc, kochanie, nie bardzo pamiętam.

– Tato – jęknęłam. – Nabierasz niepokojącego zwyczaju opowiadania anegdotek, które w żaden sposób nie pasują do sytuacji.

Znów leciutko zachichotał.

– Może i masz rację – przyznał. – Może się starzeję. Ale zdradzę ci teraz, co powiedziałem Robertowi, kiedy do mnie zadzwonił.

Nie byłam pewna, czy chcę to usłyszeć. Zamknęłam oczy.

– Powiedziałem twojemu mężowi, że wiele mi się w życiu udało, ale moje największe szczęście polega na tym, że nigdy nie musiałem występować przeciwko tobie w zarządzie. Tego bałbym się śmiertelnie, bo jesteś jedyną znaną mi osobą twardszą ode mnie.

Już nie mogłam powstrzymać łez i nawet nie próbowałam.

– Czemu to powiedziałaś? – spytałam.

– Z najlepszego powodu, dla którego ludzie coś mówią – wyjaśnił. – Bo to prawda.

– Chcę, żebyś unieważnił moje małżeństwo, tato – powiedziałam. – Pomożesz mi?

– Myślę, że to najlepszy pomysł, jaki wpadł ci do głowy od dłuższego czasu. Robert to ambitny facet, Samantha. Widzę to, bo sam byłem ambitny. I może nadal jestem, do pewnego stopnia. Zobaczył w tobie odpowiednią żonę dla przyszłego gubernatora, prezydenta czy co tam mu się marzy. Masz odpowiednie przygotowanie, pochodzisz z dobrej rodziny, wyglądasz, jak trzeba. Nie mogę mieć do niego pretensji, że chciał się z tobą ożenić.

Przerwał na chwilę.

– Problem w tym, kochanie, że Robert to dupek. I tego, koniec końców, nie da się przeskoczyć. Że tak szybko go rozszyfrowałaś, to chyba najlepsze, co

mogło się zdarzyć.

Zaśmiałam się cicho.

– Dziękuję, tato – powiedziałam. – Chyba zostanę trochę na Hawajach.

– Dobry pomysł – stwierdził. – Tu jest noc, kochanie. Z samego rana wyślę samolotem prawników. Niech oni się wszystkim zajmą. Dopilnują, żebyś odzyskała swoje rzeczy i miała wszystko, czego ci potrzeba.

– Dam sobie radę, tato.

I to było szczere.

– Wiem – odparł. – Zadzwoń do mnie jutro. A jeśli Robert cię znajdzie, to radzę ci kopnąć go z całych sił w jaja.

– Kocham cię, tato – powiedziałam.

– Ja też cię kocham.

Mam dwadzieścia osiem lat i od początku nie miałam bliskich relacji z ojcem. Jest tak wpływowy, a ja zamiast go podziwiać, jak wiele córek, zawsze miałam mu to za złe. Ojciec nigdy nie dał mi odczuć, że jestem dla niego najważniejsza. Zawsze był na spotkaniu albo rozmawiał przez telefon, albo przychodził do domu, kiedy już kładłam się spać. Mogłam najwyżej objąć jego niesamowicie szerokie ramiona i pocałować go na dobranoc, zanim podreptałam do łóżeczka, żeby nie zawracać mu głowy po długim dniu pracy. Może dlatego miałam słabość do Roberta. On też wiecznie rozmawia przez telefon albo jest na spotkaniu, a spędzał ze mną więcej czasu niż ojciec, bo dla niego byłam bardziej przydatna. Może wyszłam za niego, bo przypominał mi ojca.

Zagłębiać się w takie myśli to nic wesołego.

Ale na szczęście od teraz jestem wolna. Trafiłam do rajku i jedyne, na co mam ochotę, to ćwiczenia, pławienie się w słońcu i w przesyconym solą powietrzu. Do tego niepotrzebny mi żaden mąż i nie jestem już odrzuconą przez własnego ojca dziewczynką. Dzisiaj, kiedy naprawdę go potrzebowałam, tata mnie nie zawiódł. To się liczy. Nie nadrobi się tym wszystkiego, ale to bardzo ważne.

Pomachałam więc do menedżera i powiedziałam, że chcę wynająć pokój i poprosić o kolejny talerz owoców. Czułam się cudownie. Jeszcze nie przestałam płakać, ale byłam już pewna, że gdy łyzy obeschną, będzie dobrze.

KATHERINE

NIE POWIEDZIAŁABYM, że szukam faceta.

I nie pozwoliłabym też nikomu tego o mnie powiedzieć. Wkurzają mnie na maksa pytania, dlaczego w moim życiu nie ma mężczyzn – albo mężczyzny. Moje życie nie jest niepełne przez to, że nie dzielę go z mężczyzną. Nie sądzę, żeby mąż w jakikolwiek sposób mnie dowartościował. Jestem bystrą, odnoszącą sukcesy singielką i nie mam z tego powodu wyrzutów sumienia. Nie muszę się tłumaczyć przed mężczyznami, z którymi konkuruję na polu zawodowym, ani przed szczęśliwymi żoneczkami, które stale spotykam – tymi obwieszonymi biżuterią i torebkami od Hermèsa absolwentkami wyższych uczelni, licytującymi się między sobą na przykład o to, na jakie obozy letnie jeżdżą ich dzieci. A już *na pewno* nie muszę się tłumaczyć przed swoją matką, która nie ma prawa pouczać nikogo w sprawach małżeństwa. Prawda jest taka, że mam wszystko, co mi w życiu potrzebne, a jak mi czegoś brakuje, potrafię doskonale sama to sobie zapewnić.

Nie przeczę jednak, że miło by było mieć kogoś, z kim można się tym dzielić. Oczywiście. Byłoby cudownie nerwowo popatrywać na zegarek pod koniec dnia i uśmiechać się ukradkiem, bo to przecież moje urodziny i wiem, że on ma wobec mnie jakieś diabelskie plany. Byłoby bosko wrócić do domu, a tam światła przygaszone, otwarta butelka, szampan musuje w dwóch kieliszkach na stole i w tle śpiewa Billie Holiday. Byłoby fantastycznie. Tak naprawdę dobrze po prostu mieć kogoś, kto spyta, jak minął dzień, i kogo naprawdę to obchodzi. Mnie pytają o to tylko ci, którzy dla mnie pracują.

Ale jest, jak jest.

Nie akceptuję anachronicznego przekonania, że jestem gorszą kobietą albo osobą, bo w moim życiu nie ma mężczyzny. A to przecież nie tak, że nigdy nie byłam z mężczyzną. Miałam ich więcej, niż powinno na mnie przypadać. Zarówno przed Phillipem, jak i po nim. I poza tym, że obezwładniłam sprayem pieprzowym jednego, który chciał się ze mną żenić, nie doszło do zbyt wielu dramatów.

Ten incydent zdarzył się w czasach, które nazywam „p.P.” (przed Phillipem). Byłam całkiem inną dziewczyną, po pierwsze bardzo młodą, po drugie miałam typowe dziewczynskie złudzenie, że w mężczyznach można

przebierać bez końca. Pewnie nie byłam najpiękniejsza, ale dobrze sobie radziłam. Zawsze wiedziałam, jak ukryć wady, a wyeksponować atuty, jak narzucić sweter, udrapować szalik, przełożyć włosy związane w koński ogon. Umiałam być skromna, zalotna, nie tracąc rezerwy, którą powinna przejawiać każda przyzwoita, warta zachodu dziewczyna. Potrafiłam trzymać na dystans nawet najlepszych z nich, najprzystojniejszych, i zawsze byłam bardzo błyskotliwa, co w czasach „p.P.” chłopcy zwykle uważali za zaletę. (Odkryłam, że mężczyźni im starsi, tym mniej interesują się twoim intelektem, a przed laty sądziłam, że jest przeciwnie. Wydawałoby się, że im mężczyzna ma więcej pewności siebie, tym bardziej powinny mu się podobać mądre kobiety. Ale w tym rozumowaniu coś musi być nie tak. Może chodzi o założenie, że mężczyźni z wiekiem nabierają pewności siebie. Nie wiem).

W każdym razie w czasach licealnych sporo chłopaków prawilo mi komplementy, a w college’u jeden powiedział, że mnie kocha. To był Christian, chłopak, którego potraktowałam pieprzem. Żałuję. Nie tego, że się nie pobraliśmy, ale ten biedak nie zasługiwał na to, żeby go oślepić. Nawet jeśli ślepotą była przejściowa. Przecież tylko mnie kochał i zdeflorował, a ja chętnie uczestniczyłam w jednym i drugim, choć nigdy naprawdę nie brałam pod uwagę, że za niego wyjdę. A jednak powiedziałam mu, że owszem, może dlatego że miałam osiemnaście lat, a jak się ma lat osiemnaście i ktoś mówi ci „na zawsze”, to oczywiście nie sądzisz, że mówi poważnie, bo nawet przyszły czwartek wydaje się oddalony o wieczność.

Christiana poznałam na zabawie integracyjnej w czapce baseballówce włożonej daszkiem do tyłu i z plastikowym kubkiem pieniącego się piwa w dłoni. (Muszę uściślić: to on nosił czapkę i piwo. Ja miałam na sobie bladoniebieski bliźniak, a w ręku torbę firmy Coach). Był przystojny i ogromny. Uroczy niezguła w ciele futbolisty, tyle że nie grał w piłkę. W ogóle w niewiele grał, jeśli nie musiał. Wychowywał go ojciec, samiec alfa, który chciał tylko, żeby syn był sportowcem, i nigdy nie docenił jego geniuszu. Christian ukrył inteligencję, jak ktoś, kto maskuje bliznę na twarzy. Przykrył ją make-upem pijackich wygłupów, zapasów międzyuczelnianych i ogólnej błazenady. Ale od czasu do czasu tapeta się ścierała i spod niej wyłaniała się blizna. Muszę przyznać, że miał taką głowę do liczb, jak żaden z facetów, których do tej pory spotkałam na Wall Street. Był też jednym z czołowych zapaśników swojego roku w Ivy League, choć nigdy nie trenował i rzadko walczył. Zdawał się na swój wrodzony talent. Jestem święcie przekonana, że mógłby zostać olimpijczykiem, gdyby się tylko trochę postarał.

Od razu mu wpadłam w oko, jak sądzę dlatego, że byłam dokładnie typem dziewczyny, której jego ojciec i tępi przyjaciele by nie zaakceptowali. Nie piłam za dużo, nie używałam słowa „balanga” w formie czasownikowej i nie nosiłam tak wąskich dżinsów, że trzeba je dopinać na leżąco. Spotykaliśmy się co jakiś czas, od mojego pierwszego roku (studiował dwa lata wyżej ode mnie), a potem zrobiło się poważniej. Był moim pierwszym kochankiem i o tym wiedział. Za pierwszym razem traktował mnie bardzo delikatnie i czule. Cały czas niezręcznie się uśmiechał i stale pytał, czy mnie nie boli. Bardzo go lubiłam, ale na pewno nie kochałam, choć powiedziałam, że tak, kiedy wyznał mi miłość, głównie dlatego, że stale to powtarzał, byłoby więc niegrzecznie i głupio inaczej zareagować. Nigdy nie sądziłam, że złamię mu serce. Zawsze wyobrażałam sobie, że rozstaniemy się we łzach po jego dyplomie i będziemy się czule wspominać. Może spotkamy się przypadkiem po dziesięciu latach i spędzimy razem szalony weekend, jeśli żadne z nas nie będzie jeszcze po ślubie.

Dzień przed ukończeniem przez niego studiów miałam egzaminy i myślałam już o nim w czasie przeszłym. Mieszkałam sama poza kampusem i nie wiedziałam, że Christian zaprzyjaźnił się z wynajmującym mi lokum. Namówił go, żeby otworzył mi moje mieszkanie, kiedy zdawałam ostatni egzamin (literatura amerykańska dwudziestego wieku, czytaliśmy *Wielkiego Gatsby'ego*). Wracałam do domu z ulgą, gotowa spędzić pożegnalną noc z moim chłopakiem. Ostatnia rzecz, jakiej się spodziewałam, to zastać kogoś u siebie, nawet jeśli ten ktoś klęczał tuż pod drzwiami, trzymając w jednej ręce pierścionek, a w drugiej bukiet róż. Jedyne, co dostrzegłam po wejściu, to że ktoś jest tam, gdzie nie powinno nikogo być, i instynktownie sięgnęłam po gaz pieprzowy. Pewnie Christian wyznawał mi wieczną miłość albo właśnie się do tego zabierał, w każdym razie nie zorientował się, co robię, i nie uniknął gazu, którym psiknęłam mu prosto w oczy. Właściwie dopiero wtedy, kiedy padł na ziemię, a echo okrzyku bólu jeszcze nie wybrzmiało, zdałam sobie sprawę, kto to jest i co planował. Szkoda mówić, to nie było najłagodniejsze rozstanie. Oczywiście miał czerwone od gazu pieprzowego, jeszcze zanim odrzuciłam jego oświadczenia, i do dziś nie wiem, które łzy były wyrazem rozpacz, a które efektem działania pieprzu.

Tak wygląda opowieść o chłopaku, który chciał się ze mną żenić. Było i sporo innych, później, po Phillipie, kiedy osłabła moja pewność siebie. Muszę przyznać, że niektóre moje zachowania w związkach trudno uznać za powód do dumy. Podam kilka przykładów. Czy takie przygody przystoją

kobiecie mającej swoją godność?

Był Alan, który zaciągnął mnie na terapię dla par. Jakoś nie wpadło mi do głowy, że chodzenie na taką terapię jeszcze przed zaręczynami powinno dać mi do myślenia.

Henry był uroczy. Kiedyś przygotowałam coś do jedzenia, on przyszedł, zerwał ze mną i spytał, czy może zostać na kolacji. Chciał pooglądać trochę telewizję, aż ruch na ulicach zelżeje, a ja się zgodziłam.

Jack był jeszcze gorszy. Próbowałam skończyć to pewnego wieczoru, kiedy poszliśmy do restauracji. Ze łzami w oczach uprosił, abym go nie zostawiała. Potem wróciliśmy do domu i kochaliśmy się, po czym stwierdził, że może mam rację i powinniśmy ze sobą zerwać.

Ale żaden nie zranił mnie tak jak Phillip. Do diabła, wszystkie tamte rozstania razem wzięte nie bolały jak to. I konieczność spotykania go teraz codziennie wydaje mi się czasem nie do zniesienia. Pewnie dlatego każdy rano zaczynam słowami „pieprzyć go”. Przypuszczam, że zdrowi, dobrze przystosowani do życia ludzie z większym optymizmem witają nowy dzień.

Może ten wieczór będzie inny. Może będzie lepiej. Może ten gość, z którym umówiła mnie Marie, nie okaże się taki, jak tamci. Może coś między nami zaiskrzy. Podobno jest dowcipny, inteligentny, przystojny, choć na tym najmniej mi zależy, byle nie był odrażający. Jeśli jego widok i zapach będą dla mnie znośne (bo jak śmierdzi, to koniec), to wcale nie musi wyglądać jak Pierce Brosnan. W sumie wolałabym, żeby nie wyglądał jak on. Gdyby go przypominał, zawsze, kiedy bylibyśmy wśród ludzi, miałabym bolesną świadomość, że wszyscy zastanawiają się, dlaczego facet o aparycji Pierce’a Brosnana nie jest z jakąś kobietą w stylu Sandry Bullock. Sama bym się zastanawiała. Jest coś takiego jak zbyt dobra prezencja, w każdym razie dla mnie. Nie można być zbyt bogatym, ale można być aż za przystojnym.

Może ten przypomina bardziej Matthew Brodericka (taki zabawny) albo Denisa Leary’ego (taki męski) lub Stephena Colberta (wiem, nie mnie jednej się podoba). Może będzie uroczy i bystry, doceni, jak ciężko pracuję, a może nawet uwielbia stare filmy, włoskie jedzenie, pije wódkę z wytrawnym martini, nosi eleganckie garnitury i ma lekki zarost, nie jakąś brodę czy coś w tym rodzaju, ale nieco dłuższe baczki lub przystrzyżoną bródkę. Może jest człowiekiem sukcesu i staniemy się wpływową parą, a on będzie wysyłał mi nieprzyzwoite esemesy między rozmowami w Hongkongu, żeby dać mi znać, co ze mną zrobi, jak wróci do domu.

Może początek nowego dziesięciolecia naprawdę będzie dla mnie nowym rozdziałem. Może czterdziestka stanie się moją nową trzydziestką albo jeszcze lepiej trzydziestką, którą zmarnowałam, rozpaczając po Phillipie. Może ten wieczór zapamiętam na zawsze jako ten, który odmieni moje życie. Wkręciłam się w takie myśli, a to naprawdę bardzo groźne, kiedy się idzie na randkę w ciemno. Czy można mieć większe oczekiwania wobec osoby, której się nigdy nie widziało na oczy, niż roić sobie, że ona odmieni całe twoje życie? To nierealistyczne, bezcelowe, nierozsądne, a jednak chodziło mi po głowie, kiedy Jose suszył mi włosy, a potem Anastasia mnie malowała, a później kiedy wybierałam coś z szafy (bluzka z jagnięcej skóry Chanel i fantastyczne futrzane spodnie, buty na wysokich obcasach Madame Butterfly Christiana Louboutina, płaszcz Chantilly Lace Christiana Diora). Miałam motylki w brzuchu, kiedy Maurice zamykał drzwi auta. Ruszyliśmy. Nalałam sobie małą szklaneczkę chardonnay z butelki, którą chwyciłam z lodówki na górze. Mignęła mi w lusterku wstecznym moja twarz. Wzniosłam toast.

– Trzymaj się – powiedziałam do swojego odbicia. – To tylko mężczyzna i to tylko twoje urodziny. Jedno i drugie zdarzy ci się jeszcze wiele razy.

Dopijałam drugą szklaneczkę, kiedy podjechaliśmy do restauracji. Na moim zegarku było cztery po ósmej, co znaczyło, że mam dwie minuty do zabicia. Zawsze sądziłam, że trzeba być sześć minut przed czasem na spotkaniu biznesowym, a na randce sześć minut po. W obu przypadkach podoba mi się to, co dają tym do zrozumienia.

– Jesteś gotowa? – zapytał Maurice.

– Oczywiście – potwierdziłam. – Czemu miałabym nie być gotowa?

– Nie wiem – bąknął. – Po prostu dawno cię takiej nie widziałem.

– Masz na myśli tak pięknej? – rzuciłam lekko.

– Mam na myśli tak zdenerwowanej.

Miałam nadzieję, że tego aż tak nie widać.

– Nie żartuj, wcale nie jestem zdenerwowana.

Nic nie odpowiedział.

– Maurice – jęknęłam. – Mówię poważnie. Nie jestem.

– Jak sobie życzysz, szefowo – westchnął z dezaprobatą. – Jesteś gotowa, żeby już wysiąść?

– Tak, jestem – potwierdziłam i wychyliłam resztę wina.

Wysiadł i podszedł szybko otworzyć mi drzwi. Ostry podmuch wdarł się do auta. Wieczór był wietrzny i odruchowo uniosłam ręce, żeby ochronić fryzurę. Było coś ekscytującego w tym świeżym powietrzu i ciemnościach zapadających nad Manhattanem.

– Będę tu czekał – obiecał Maurice, gdy go mijałam.

Poklepałam go po policzku.

– Weź sobie wolne na resztę wieczoru – powiedziałam. – Do zobaczenia rano.

– O czym ty mówisz? Jak wrócisz do domu?

– Są tu taksówki – stwierdziłam. – Może nie słyszałeś, Maurice, ale nie każdy w Nowym Jorku ma szofera.

– Nie rób tego, Katherine – ostrzegł. – Nie traktuj mnie jak głupka.

– O czym ty mówisz? – Spojrzałam na zegarek. Było sześć po ósmej. Czas wejść. – Niby ja cię traktuję jak głupka?

– Dobrze wiesz, o czym mówię – uparł się. – Kiedy przyjadę po ciebie jutro rano, lepiej miej na sobie inny strój. Wiesz, co mam na myśli.

Zaśmiałam się.

– Maurice, od dziś jestem oficjalnie starszą panią. Jeśli najdzie mnie ochota na chwileczkę zapomnienia z nieznanym, to nie będę sobie żałować.

Puściłam do niego oczko i szybko cmoknęłam go w policzek.

– Trzymaj za mnie kciuki... Zobaczymy się jutro.

– Rób, co chcesz – powiedział Maurice i wsiadł z powrotem do auta, chowając się przed wiatrem.

Zatrzymałam się chwilę pod restauracją i wzięłam głęboki, oczyszczający wdech.

Oby wypełniała mnie wielka dobroć

Obym była zdrowa

Obym była spokojna i swobodna

Obym była szczęśliwa

Potem popchnęłam obrotowe drzwi i nim oczy przywykły do światła, zobaczyłam, jak w moją stronę sunie niebieski garnitur. Czekający na mnie mężczyzna zbliżał się z uśmiechem, krocząc pewnie przez tłum, wyciągając

rękę, by uścisnąć mi dłoń na powitanie.

– Boże – powiedziałam cicho. – Chyba sobie ze mnie żartujesz...

BROOKE

– CHYBA ŻARTUJESZ SOBIE ZE MNIE! – powiedziałam, kiedy Pamela stwierdziła, że to telefon do mnie.

Uprzedziłam wyraźnie, żeby dzwonić tylko w razie wypadków niecierpiących zwłoki. Najwyraźniej zaraz miałam się dowiedzieć o czymś w tym rodzaju, w każdym razie według Pameli i Lourdes, opiekunki do dzieci. Kompletnie nie byłam przygotowana na odbieranie telefonów w tamtej chwili. Nie dlatego, żebym się bała, co usłyszę. Po prostu tak bardzo wciągnęłam się w to, co robiłyśmy z Pamelą.

Przez całe życie kojarzyłam seks z miłością, sztuką, delikatnością, spokojem. Podkład muzyczny, jaki sobie wyobrażałam, to było zawsze coś z klasyki: Mozart jest seksowny, Czajkowski. Beethoven nie. Pisał muzykę, do której można maszerować. A Mozart do kochania się. Zawsze używam tego określenia. Scott i ja potrafimy wymknąć się na dół, kiedy dzieci oglądają telewizję, i zrobić to ze mną pochyloną na pralce, co ja nadal nazywam kochaniem się. I to jest dobre. Zawsze znajdzie się na to miejsce. Ale właśnie teraz zdałam sobie sprawę, że to nie jedyna możliwość. Jest też sposób rockandrollowy. Z Rolling Stonesami, AC/DC i Quiet Riot. Choć tego dnia nie uprawiałam z nikim miłości, ale kiedy tak się kołysałam, całkiem naga – a Pamela trzaskała mi zdjęcia, pokrzykując dla dodania otuchy i podsuwając mi kolejki tequili – bez wątpienia miałam mentalny orgazm. To było w głowie, nastroju, a przecież nie gorsze od tego, co się miewa w innych miejscach.

Pamela też to czuła.

– Mam wrażenie, jakbyśmy się pieprzyły! – zawołała do mnie, przekrzykując wiatrak i ochryply głos Janis Joplin.

Tak naprawdę nigdy nie używam tego słowa. W każdym razie w tym kontekście. Najwyżej czasem sobie zaklnę. *Znów zginęły mi te pieprzone kluczyki od auta! Co za pieprznik w pokoju Megan! Pieprzę to, że ma wielkie kolczyki.* W takich sytuacjach to w porządku. Ale powiedzieć *pieprzyły się?* Za nic, nigdy w życiu. To takie prymitywne, wulgarne. Paskudne.

Przynajmniej do dziś. Dziś było inaczej. Kiedy Pamela tak powiedziała, i pozwoliłam temu połomotać mi się w głowie, nie brzmiało to już nieprzyzwoicie. Tylko podniecająco.

Właśnie tego się dzisiaj nauczyłam. O seksie i sobie samej. Przekonałam

się, że seks nie musi być słodki i romantyczny. Nie musi polegać na kochaniu, przynajmniej nie zawsze. Seks może oznaczać siłę i rock and rolla. Może chodzić w nim o pieprzenie się. Czasem to jest okay...

I wtedy zadzwonił mój telefon.

Niech powtórzę. Wydałam Lourdes wyraźne dyspozycje, aby mi nie przeszkadzała, chyba że w sytuacji awaryjnej. Gdyby dzwonek się odezwał i jej numer wyświetliłby się po trzeciej, tobym się przestraszyła, ale była dopiero dwunasta. Dzieci jeszcze w szkole. Gdyby coś im się stało, zadzwoniłby ktoś ze szkoły, nie Lourdes.

– Odbierz, proszę – powiedziałam, rzucając telefon Pameli. – Jeśli to nic naprawdę pilnego, nie mam zamiaru słuchać, o co chodzi.

Pamela odebrała, a ja sobie tańczyłam. Nie chciałam, żeby nastrój przysł. Podobało mi się tu, w tej ekscytującej, nabuzowanej lekko, rockowej rzeczywistości.

– Kochana, myślę, że jednak powinnaś odebrać – powiedziała Pamela z dziwnym wyrazem twarzy.

Klapnęłam na kanapę i zakryłam dłońmi piersi.

– Chyba sobie ze mnie żartujesz – stwierdziłam zasapana.

Pamela rzuciła mi telefon, który wylądował na moim nagim udzie. Wzięłam słuchawkę.

– Tak?

– Proszę pani! – To była Lourdes i krzyczała. – Jestem na ostrym dyżurze!

Od razu mnie podniosło, kompletnie wytrzeźwiałam mimo tej całej tequili.

– Co się stało?

– Sprzątałam, a z półki spadła lalka, jeden z tych chłopaków z ciężką głową, i chyba złamał mi palec u nogi!

– O rety! Który?

– Myślę, że Jeff!

– Chodzi mi o to, który palec?

Nie odpowiedziała. Usłyszałam jakieś głosy. Ktoś inny coś do niej mówił.

– Słucham, o co pani pytała?

– Chciałam wiedzieć, który palec jest złamany, nie która lalka spadła.

Lourdes znów nie kontaktowała. Słyszałam jakieś głosy w tle.

– Lourdes! Wszystko w porządku?

– Wołają mnie do gabinetu, proszę pani – wyjaśniła. – Przepraszam, ale nie będę mogła odebrać dzieci ze szkoły!

I się rozłączyła. Czułam, jak łzy napływają mi do oczu. Popatrzyłam w górę i ku memu zdumieniu odkryłam, że Pamela też płacze.

– Musisz iść, prawda? – powiedziała. Ściągnęła wełniany koc z fotela, narzuciła go na mnie, a potem usiadła obok na kanapie. – Do licha, było tak fajnie.

Zaśmiałam się.

– Dziękuję – powiedziałam i pocałowałam ją w policzek.

– To ja ci dziękuję – odparła.

Usiadłam i potrząsnęłam głową. Musiałam jechać, odebrać dzieci, być znowu sobą.

– Przyniosę ci ubranie – powiedziała Pamela, przyglądając mi palcami włosy.

– Chwila, potrzebne mi jeszcze coś.

– Co takiego, kochanie?

Popatrzyłam jej prosto w oczy. Uśmiechała się.

– Miałabyś dla mnie papierosa? – spytałam. – Rzuciłam palenie lata temu, ale w tej chwili naprawdę chciałabym sobie jednego zapalić.

SAMANTHA

– NIE, DZIĘKUJĘ – zaproponowałam, kiedy Eduardo Marquez zaproponował mi papierosa. – Nie palę.

Właśnie zamówiliśmy kolację i zaczęłam główkować, czy przypadkiem nie jestem na randce. Albo czy chciałabym na niej być.

– Będzie ci przeszkadzało, jeśli ja zapalę? – spytał.

– Nie, skąd – odparłam nie całkiem zgodnie z prawdą.

Nie znosiłam dymu, nawet z kominka. Niektórym strzelające płomienie kojarzą się z przytulną atmosferą zimą, ale mnie nie. Nie znoszę zapachu dymu na swoich ubraniach, włosach. A jeśli chodzi o papierosy i cygara – to nie ma dla mnie nic bardziej obrzydliwego. (Robert uparł się, żebym zaciągnęła się jego zwycięskim cygarem w wieczór wyborczy, i o mało nie popsuję sobie całej imprezy). Jednak było coś wytwornego w geście, jakim Eduardo wyjął papierośnicę z kieszeni marynarki i wyciągnął z niej papierosa, a potem przysunął do niego zapalniczkę. Bardzo elegancką, z nierdzewnej stali albo srebra, ciężką i wyglądającą solidnie, z wygrawerowanym na niej jakimś hiszpańskim słowem, którego nie zdołałam odczytać, może to było imię. Czyje imię mógłby mieć wygrawerowane na zapalniczce? Żony? Dziewczyny? Czy w ogóle miał kogoś takiego? Czy zatem byłam na randce?

– To zwyczaj, nad którym bardzo boleję – powiedział. – Ale nigdy nie rzucę palenia.

– A kiedy zacząłeś?

– Jak miałem dziewięć lat. – Zaśmiał się lekko na widok przerażenia, które na pewno musiało malować się na mojej twarzy. – Tak, to okropne. Ale w szkole wszyscy chłopcy palili.

– Dorastałam w Connecticut – wtrąciłam. – Pamiętam, że niektóre dzieciaki zaczynały palić w wieku dwunastu, trzynastu lat. Ale dziewięć to szaleństwo.

– Nigdy o tym nie myślałem, dopóki nie przeprowadziłem się do Stanów. W zeszłym roku w Madrycie przypalałem w restauracji papierosa kobiecie w ciąży. Dość zaawansowanej. Po tylu latach mieszkania w Ameryce zawahałem się trochę.

– Mam nadzieję.

– Ale pomyślałem, że jeśli tego nie zrobię, i tak znajdzie kogoś, kto poda jej ogień. Papieros zwisał jej z ust. Niegrzecznie byłoby go wyrwać, więc go tylko przypaliłem.

Delikatnie trzymał papierosa. Miał długie, szczupłe palce.

– Szkoda, spędziłaś na wyspie cztery tygodnie i nic nie widziałaś – powiedział. – Podziwiam, z jakim oddaniem trenujesz, i na pewno była to świetna terapia na kłopoty osobiste, o których poinformowałaś mnie już w pierwszym dniu, kiedy tu się pojawiłaś, ale trudno mi wyobrazić sobie, że nie masz nawet odrobiny czasu, by poznać widoki i kulturę tej wyspy.

– Naprawdę jestem tu już cztery tygodnie? – Miałam wrażenie, że dopiero co przyjechałam, a reszta to tylko sen.

– Tak, jutro będą cztery tygodnie.

– Jak to zleciało, naprawdę – powiedziałam. – Nasze śniadania były cudowne.

Każdego ranka, od tamtego pierwszego, zaczynałam dzień od pływania w oceanie. O szóstej rano. Spędzałam zwykle ponad godzinę w wodzie. Potem biegłam plażą, żeby odpocząć na wygodnym leżaku koło basenu, gdzie mówiłam kelnerowi (zwykle był to ten sam o miłym uśmiechu, co pierwszego dnia), że jestem gotowa na herbatę i płatki. Prosiłam też, by dał znać sen~orowi Marquezowi, że wróciłam bezpiecznie. Tak było od drugiego ranka w hotelu, kiedy Eduardo zdecydowanie zabronił mi wchodzenia do oceanu tak wcześnie, bo nie ma wtedy jeszcze ratownika.

– Pozwól, że spytam – odparowałam – co mi zrobisz, jak mnie na tym przyłapiesz?

– Słucham?

– Chodzi mi o to, że na pewno nie idzie się do więzienia za pływanie w pojedynkę, kiedy nie ma ratownika. Nikt mnie nie aresztuje ani nic w tym rodzaju. Mogę zostać wyrzucona z hotelu?

– To zależy od decyzji kierownika – stwierdził.

– A czy to nie ty jesteś kierownikiem?

– Si, sen~ora.

– No to, czy pan kierownik wyrzuci mnie z hotelu, jeśli codziennie rano będę pływać w pojedynkę?

Zawahał się.

– Pewnie, że nie. Nie pochwalam tego, ale zgodzę się pod jednym warunkiem.

– Jakim?

– Codziennie, kiedy skończysz pływać, musisz mi natychmiast dać znać, że bezpiecznie wróciłaś.

Wyciągnęłam dłoń, a on lekko ją uścisnął.

– Umowa stoi – powiedziałam.

I tak, każdego ranka, zamawiałam śniadanie oraz upewniałam się, że Eduardo Marquez wie o moim powrocie. I każdego ranka niezmiennie pojawiał się kilka minut później, by nieproszony przyłączyć się do śniadania.

– To była dla mnie przyjemność – powiedział tego dnia wieczorem, zaciągając się z ukontentowaniem papierosem i uprzejmie starając się trzymać go jak najdalej ode mnie. – Codziennie się na nie cieszę.

– Ja też – przyznałam.

Zaskoczona zdałam sobie sprawę, że myślę, jakby to było z nim w łóżku. Zastanawiałam się, czy on też o tym myśli. Dziwne, ale nie potrafiłam zgadnąć. Może wyszłam z wprawy? A przecież nie byłam mężatką z trzydziestoletnim stażem. Moje małżeństwo trwało ledwie trzydzieści godzin. A związek z Robertem zaczął się tylko kilka miesięcy przed ślubem. Trudno uwierzyć, ale rok temu o podobnej porze byłam kompletnie wolna, aktywnie adorowana przez dwóch, trzech mężczyzn, którzy mieli dla mnie większe lub mniejsze znaczenie. Rok temu na pewno nie miałabym problemu, żeby odczytać intencje jakiegokolwiek mężczyzny lub stopień jego zainteresowania i zorientować się, czy jestem na randce, czy nie.

– Po zastanowieniu poproszę o kieliszek wina – powiedziałam, choć z początku odmówiłam.

Przez cały ten miesiąc nie wzięłam do ust nawet łyżeczka alkoholu. Każda sekunda była podporządkowana przygotowaniom, treningowi, ale nagle poczułam ochotę na kieliszek wina.

– Coś wytrawnego, świeżego.

– Wiem, co by pasowało – powiedział, dając znak kelnerowi.

Oczywiście wiedział. To był właśnie jeden z tych mężczyzn. Jak się zastanowić, to mężczyzn dałoby się podzielić na kategorie według tego, co piją i jak się na tym znają. Na przykład piwosze, wiadomo – weseli,

przyjacielscy, w czapkach z daszkiem do tyłu, umawiający się z tobą na kolację po grze w softball. Są amatorzy whisky, którzy traktują się bardzo poważnie i – czy to przyznają, czy nie – są największymi wrogami kobiet z wszystkich pijących. Ci, którzy piją gin, są purytańscy, pijący wódkę mają głębokie dusze, a ci, którzy wybierają szampana, są zwykle bardzo gejawaci. No i są tacy jak Eduardo Marquez, którzy piją wino i bardzo dużo o nim wiedzą. Z kimś takim jeszcze nie byłam. Wychowywał mnie amator szkockiej, wyszłam za piwosza, spotykałam się z wszystkimi innymi, pijącego szampana włączając (tak, był gejem), ale nigdy nie byłam blisko ze znawcą win.

Do tego wieczoru.

– Marco, przynieś butelkę rocznik osiemdziesiąt osiem z piwnicy pod moim biurem – poprosił.

– Ojej – uniosłam dłoń, żeby go powstrzymać. – Dla mnie tylko jeden kieliszek, proszę.

– Jak nie chcesz więcej, nie ma problemu – powiedział i odesłał gestem kelnera. – Ale skoro masz zamiar spróbować tylko jednego gatunku z naszej listy, to będzie najlepsze.

– Podejrzewam, że zwykle nie sprzedajesz go na kieliszki – powiedziałam.

– I masz rację.

Zatrzepotałam rzęsami i uśmiechnęłam się. Matko jedyna, patrzcie, patrzcie, czaruję mężczyznę o dziesięć lat starszego niż ten, którego poślubiłam, który zresztą też był dla mnie za stary. Dziwne, bo Eduardo nie ma w sobie nic, co zwykle by mnie pociągało. Nie jest przebojowym, aroganckim mięśniakiem... Może to tamta chwila, ta wyspa, powiew znad oceanu i szum fal, a może hormony we mnie szalały od przetrenowania, a może byłam w kiepskim stanie po tamtych wszystkich przygodach. A może, może, wreszcie troszeczkę zmądrzałam? Muszę wierzyć, że w grę wchodzi i taka ewentualność.

KATHERINE

PODEJRZEWAM, ŻE Z WIEKIEM nie stajemy się mądrzejsze.

W każdym razie mnie rozumu nie przybyło.

Skończyłam czterdzieści lat i potrafię się ludzić, że jakaś laseczka z biura może mi załatwić randkę, nie pakując przy tym w makabryczną sytuację. Żenującą. Upokarzającą. I zwyczajnie smutną.

Wszystko to czułam, kiedy weszłam do restauracji i powitałam swoim najmocniejszym uściskiem dłoni mężczyznę, z którym zostałam umówiona. Nazywał się Ken Walker. Był wysoki, czyli świetnie, miał wykwintny garnitur, szafirowy w cienkie zielonkawe prążki, srebrny krawat i źle dobraną do całości chusteczkę w kieszonce na piersi. Włosy też miał srebrne, bujne, gęste, z równiutkim przedziałkiem, jakby je dopiero co przeczesał, czekając na mnie. Miał silne dłonie o zgrubiałej skórze, paznokcie czyste – pewnie regularnie robił sobie manicure – ale zrogowacenia świadczyły, że grywa w golfa albo podnosi ciężary. Robił świetne wrażenie, pod wieloma względami, był tylko jeden oczywisty problem i to spory, szczególnie tego wieczoru.

Ken Walker musiał mieć z sześćdziesiąt lat.

Co najmniej.

Przy odrobinie botoksu, samoopalacza, ćwiczeń z odpowiednim instruktorem mógł być nawet bliżej siedemdziesiątki.

No istne żarty.

Rozmawialiśmy trochę, ale kompletnie mi się to zatarło. Nie umiałabym dziś powiedzieć, gdzie on pracuje – choć zapamiętałam, że jest prawnikiem, albo gdzie dorastał – choć wiem, że przeniósł się do Nowego Jorku po skończeniu college’u. Ale już gdzie studiował, nie mam pojęcia. Powiedział mi, że jest rozwiedziony, czego już byłam świadoma, i że mieszka przy parku, co też wiedziałam. Opowiadał mi, jak bardzo lubi moją asystentkę, Marie, wyczułam też, że traktuje ją po ojcowsku, co mnie strasznie wkurzyło. Ludzie! Marie to niesamowita szprycha, biuściasta jak cholera, a ten stary drań zachowuje się tak, jakby była jego córką, której nigdy nie miał.

Słuchałam Kena jednym uchem częściowo dlatego, że odtwarzałam sobie w myślach poranną rozmowę z Marie. Kiedy namówiła mnie na tę klęskę, na

randkę z Kirkiem Douglasem. Czy opisując go, nie wspomniała, że „jest mniej więcej w odpowiednim wieku”? Chyba tak. Co rodzi dwa pytania. Na ile lat ona go ocenia? I, o zgrozo, na ile lat ocenia mnie? Jakie myśli, pytam, mogłyby być bardziej przygnębiające?

BROOKE

POWIEDZCIE, CZY MOŻE być coś bardziej przygnębiającego niż gnanie do domu z nagiej rockandrollowej sesji fotograficznej, żeby ochłoniąć, nim dzieci wrócą ze szkoły?

Muszę przyznać, że uważałam się trochę nad sobą, kiedy odjeżdżałam od Pameli, w płaszczu przeciwdeszczowym narzuconym na ramiona, przypięta pasem wrzynającym mi się między piersi. Nie mam zbyt wielu okazji, by się wyluzować. A jeśli już, zwykle jest to ściśle zaplanowane. Na przykład mogę być gdzieś zaproszona i zdecydować: tego wieczoru naprawdę się zabawię. Albo Scott wynajmie nam apartament w pięknym hotelu i powie: „Będziemy zachowywać się tak, jakbyśmy znów byli studentami”. I wszystko to ładnie, pięknie, i jest fajnie, ale rzecz w tym, że jakbyśmy byli studentami, dużo mniej byśmy o tym gadali. Pamiętam niejedną wieczór, który zaczął się niewinnie w bibliotece, a kończył tym, że obściskował mnie jakiś ledwie mi znany ładny chłopak. Krótko mówiąc, nie planowałam ani nie oczekiwałam, że podczas tej sesji tak zasmakuję w tequili i będzie aż tak fajnie, i właśnie na tym w dużym stopniu polegała frajda. A teraz – jak myślałam, pomalutku jadąc do domu, bo śmiertelnie bałam się, że pijaną i właściwie nagą zatrzyma mnie policja – już po zabawie z powodu lalki o ciężkim łbie.

Ironia losu w tym, że mąż i dzieci od dawna dworują sobie z przechowywania tych figurek. Mamy ich kilkadziesiąt, choć córka i syn przestali się nimi interesować lata temu. Ale ja trzymam zabawki z wszystkich etapów ich życia. Podczas każdego święta Bożego Narodzenia dzieci robią przegląd swoich skarbów i ich część oddają do kościoła na cele charytatywne, bo powinny rozumieć, ile mają szczęścia oraz że nie wszystkie dzieci mają czym się bawić, nie mówiąc już o nadmiarze zabawek. Ale to, co nie idzie do kościoła, chowam.

Nadal mam wszystkie puzzle, które układaliśmy razem, siedząc na podłodze. Nadal mam pluszowe zwierzaki, bez których Megan nie poszłaby spać. Nadal mam wszystkie książki, jakie czytywałam dzieciom na dobranoc. Nie wyrzucę ich, tak samo jak starych zdjęć. To nie są zwykłe rzeczy do zabawy. W nich zapisane są chwile mojego życia, które już nie powrócą, chwile, których nie chcę zapomnieć: kiedy moje dzieci były małymi dziećmi, kiedy stale mnie potrzebowały i chciały tylko jednego – być stale z mamą.

Dlatego też, zanim zrobiłam sobie długi gorący prysznic, aby kompletnie

wytrzeźwieć, móc odebrać dzieci i razem z nimi odwiedzić w szpitalu Lourdes z jej palcem, zatrzymałam się na chwilę, by popatrzeć na te książki i zabawki. Jak zawsze łza zakręciła mi się w oku. A potem, kiedy prysznic w pełni przywrócił mnie do życia, zaczęłam się śmiać. I przestałam się martwić tym, że musiałam przerwać sesję fotograficzną. Są rzeczy ważne i ważniejsze.

SAMANTHA

CO, U LICHA, jest ze mną nie tak?

O tym myślałam, kiedy pozwoliłam, aby Eduardo nalał mi trzeci kieliszek wina.

Trenowałam tu bez przerwy, pompowałam ciało najczystszym paliwem, najbardziej naturalnym, pysznym i zdrowym jedzeniem w tym tropikalnym rajku – świeże owoce, jarzyny, chude mięso, litry wody, parujące filiżanki organicznej zielonej herbaty. Ale teraz to wino smakowało tak cudownie i tak przyjemnie wchodziło, czułam ciepło w piersi i gardle. Pasowało idealnie do bryzy, zapachu słonej wody oceanu i mężczyzny, który potrafił je wybrać i nalewał mi je z takim wdziękiem. Było coś z wysportowania w zręczności palców Eduarda, coś bardzo zmysłowego w staranności jego ruchów. Przypominał mi kota. Podczas gdy Robert – i wszyscy inni mężczyźni, z którymi byłam – raczej psy, zdyszane, chętne, durnowate, niezręczne. Zawsze wolałam psy od kotów, ale teraz, kiedy czułam na języku smak wina i bryzę we włosach, zaintrygował mnie właśnie kot.

– Wydaje mi się, że kobiety w tym kraju żyją pod zbyt wielką presją – mówił Eduardo. Siedział wyprostowany, w idealnie zawiązanym krawacie. – Szkoda. Ten kraj daje kobietom więcej wolności, niż mają gdziekolwiek indziej, a przynajmniej tam, gdzie podróżowałam, odnosi się jednak wrażenie, że zamiast cieszyć się swobodą, duszą się nią...

– W jakim sensie?? – spytałam zaciekawiona.

– W każdym. Widuję je codziennie. Piękne Amerykanki w podróżach poślubnych, na urlopach, z rodzinami. Nie korzystają z tego tak jak mężczyźni. Strasznie się spinają, żeby dobrze wyglądać, prezentować się, konkurują ze sobą. Czasem aż się obawiam, że nie sprawia im to żadnej przyjemności.

– Nie masz racji – zaoponowałam. – Jestem tu miesiąc, cały czas trenuję i fantastycznie się bawię.

W jego oczach pojawił się przekorny błysk.

– Tak, ale wydaje mi się, że twoja sytuacja jest nieco inna, prawda?

– Pod jakim względem? – spytałam, choć znałam odpowiedź. Byłam ciekawa, jak on to ujmie.

– Cóż, ty starasz się osiągnąć specyficzny cel. W twoim triathlonie ktoś zwycięży, a wszyscy, którzy dotrważą do końca, osiągną coś wyjątkowego. Kiedy patrzę na Amerykanki konkurujące ze sobą, to nie widzę zwycięzczyń, tylko w różnym stopniu przegrane. Mają wobec siebie nierealistyczne i, jak sądzę, szkodliwe oczekiwania. Amerykanki odnoszą więcej sukcesów, więcej osiągają, są inteligentniejsze i piękniejsze niż kobiety w innych krajach, ale jakby nie chciały zdawać sobie z tego sprawy.

– Daj spokój – zaprotestowałam. – Byłam w Hiszpanii, we Włoszech, Francji, nie można powiedzieć, że Amerykanki mają więcej szyku czy urody niż Europejki.

– A ja mogę to stwierdzić – odparł, wolno kiwając głową. – I chyba dodam, że sama jesteś najlepszym przykładem.

Nawet nie pamiętałam, dlaczego w ogóle zaczęliśmy o tym rozmawiać. Przyszło mi teraz do głowy, że pod garniturem Eduardo może nie być specjalnie umięśniony, co stanowiłoby miłą odmianę. Robert był taki nabity, jego ramiona, tors, nogi, i zawsze myślałam, że to mi się podoba. Jestem wysportowaną kobietą, dlaczego nie miałabym lubić wysportowanych mężczyzn? Ale w tym mężczyźnie było coś przyjemnego na inny sposób. Może nie jest tak twardy we wszystkich miejscach jak Robert, może nie aż tak owłosiony? Może ma skórę gładką jak u kobiety i delikatną w dotyku? Może kochałby się tak, jak mówi, subtelnie i elegancko, nie jak Robert, który jest przy tym gwałtowny i głośny. Robert uprawiał miłość, jakby to były zawody sportowe, i obawiam się, że naprawdę tak ją traktował... Kiedyś miałam wrażenie, że odlicza, jakby próbował osiągnąć dwa cele za jednym zamachem: połączyć seks z ćwiczeniami na mięśnie brzucha. Kochanie się z Robertem kręciło się wokół niego, on je inicjował, narzucał, jak to robi, a kiedy kończył, było po wszystkim. Może z Eduardem chodziłoby, przynajmniej częściowo, o mnie?

Z zaskoczeniem poczułam motylki w brzuchu, kiedy patrzyłam, jak podpisuje nasz rachunek eleganckim piórem, które wyjął z kieszeni na piersi marynarki. Potem odesłał gestem kelnera. Kolacja skończona. Na środku stołu stała opróżniona butelka.

– Było bardzo miło – powiedział z uśmiechem, promiennym w blasku świecy. – Dziękuję, że spędziłaś ze mną ten cudowny wieczór.

– Cała przyjemność po mojej stronie – powiedziałam niezobowiązująco. Jeśli coś ma się zdarzyć, to z jego inicjatywy.

– Rozumiem, że planujesz jutro jak zwykle trenować o świcie? – zapytał.

– Najpewniej.

Skinął głową i spojrzął na zegarek.

– To trzeba cię odprowadzić do pokoju – stwierdził. – Mogę cię eskortować?

– Możesz.

I rzeczywiście mnie eskortował, to właściwe słowo. Wstał i zapiął guzik swojej sportowej marynarki. Podał mi ramię, oparłam na nim rękę, a Eduardo poprowadził mnie przez hotel jak pannę młodą do ołtarza. Żadne z nas nic nie mówiło, kiedy czekaliśmy na windę ani kiedy drzwi się zamknęły, a potem rozsunęły się na moim piętrze. Milczeliśmy też, idąc długim korytarzem w kierunku mojego pokoju. Kiedy dotarliśmy, lekko opuścił ramię i obrócił się uprzejmie, aby stanąć naprzeciw mnie.

– Jeszcze raz chciałbym wyrazić, jak wielką przyjemnością był dla mnie ten wieczór – stwierdził. – Mam nadzieję, że zanim opuścisz wyspę, będziemy mogli to jeszcze powtórzyć...

Ujął moją rękę i uściśnął ją mocno, a potem powoli uniósł do ust i najdelikatniej pocałował.

– Dobranoc – powiedział z lekkim ukłonem, a potem odwrócił się i ruszył wolno w kierunku windy.

Z zapartym tchem patrzyłam, jak odchodzi. Nie drgnęłam, póki nie usłyszałam dzwonka oznajmającego, że winda podjechała. Słuchałam, jak drzwi się rozsuwają, a potem zamykają, i stałam cicho, czekając na odgłos kroków, ale na próżno.

– Mój Boże – powiedziałam z westchnieniem. – To był najlepszy uścisk dłoni, jaki mi się w życiu zdarzył.

Wyłowiłam klucz z torebki i otworzyłam drzwi. W środku zatrzymałam się przed wielkim lustrem. Wyglądałam fantastycznie. Wiatr potargał mi włosy, ale dobrze mi z tym było, szczególnie przy ciemnej opaleniznie. Ramiona prezentowały się szczególnie ładnie, szczuplejsze niż kiedykolwiek, silne. Chyba nigdy nie wyglądałam lepiej, a przynajmniej nie pamiętam, żebym się sobie bardziej podobała.

Nagle usłyszałam cichutkie pukanie do drzwi i serce zabiło mi mocniej. Nie miałam wątpliwości, po co wrócił. Nie miałam też wątpliwości, że tego chcę. Wydawało się to właściwe. Odwróciłam się bardzo wolno i podeszłam do drzwi. Trzymając dłoń na zamku, zawahałam się, ale tylko przez chwilę, a potem wzięłam głęboki wdech i otworzyłam.

Gdy tylko to do mnie dotarło, poczułam lód w sercu. Mój uśmiech zniknął, opuściło mnie całe ciepło, miękkość, energia i światło. Łzy napłynęły mi do oczu, musiałam zebrać wszystkie siły, żeby się opanować i nie pozwolić im popłynąć. Nie miałam pojęcia, co zrobić, co powiedzieć ani jak się czuć. Bo mężczyzna, którego zobaczyłam na progu, to był ktoś, kogo najmniej na świecie bym się spodziewała. To wcale nie był Eduardo Marquez.

Ale Robert.

KATHERINE

MUSZĘ PRYZNAĆ, że jeszcze nigdy nie byłam tak zaskoczona.

Gdzieś dopiero w połowie mojej randki z obywatelem w jesieni życia zaczęłam naprawdę zwracać uwagę na to, co mówi. Byłam tak wstrząśnięta jego wiekiem i zdruzgotana tym, co to oznacza, że niewiele pamiętam z przystawek i aperitifów. Ken Walker podtrzymywał rozmowę, ja jednocześnie konferowałam z samą sobą, a jak mówią do ciebie dwie osoby naraz, z których jedna to ty sama, to ona w końcu zwycięży. W efekcie nie umiałabym powiedzieć, o czym on mówił, póki nie zadziałało drugie martini.

Uwielbiam martini. Zawsze biorę je z wódką i zagryzam oliwkami. Uwielbiam oliwki. Do licha, uwielbiam wszystko, co łączy się z martini. Lubię dotykać kieliszka. Uwielbiam, kiedy lodowaty nalot na nóżce zaczyna się topić i pozostaje na palcach. Martini jest jak niegrzeczna panienka, pięknie ubrana i czysta, ale pełna tajemnic, które ujawni w swoim czasie.

Martini dobrze mi robi, kiedy mam jakiś problem, a jeśli jeden kieliszek nie zadziała, to drugi już na pewno. Drugie martini wypijam zwykle pod koniec wieczoru, bo trzeciego bym nie zdzierżyła. Ale teraz z siedzącym naprzeciw Kenem Walkerem gadającym o Bóg wie czym, kończyłam drugiego drinka, zanim podano przystawki.

– ...jeszcze nigdy w życiu nie byłem tak zaskoczony – dobiegło mnie, kiedy trochę oprzytomniałam i uświadomiłam sobie, że pewnie nie trafi mi się ciekawszy moment, aby jednak włączyć się do rozmowy.

– Przepraszam, ale co cię tak zaskoczyło? – spytałam.

– Chyba to, że jest gejem – powiedział.

No, niezła niespodzianka. Nie bardzo dało się to pominąć. Nie potrafiłam wykoncypować, jak uniknąć pytania, o kim mówi. Zastosowałam więc jedyny fortel, jaki mi pozostał.

– Przepraszam – powiedziałam, składając serwetkę. – Wybacz na chwilę, zaraz wracam.

Wstał, kiedy się podniosłam, co, muszę przyznać, mi się spodobało. Tego rodzaju zachowania są dla mnie atrakcyjne, zwłaszcza że zwykle je tępię. Dziewięćdziesiąt procent moich kontaktów z mężczyznami odbywa się na

płaszczynie zawodowej. A ja, jak wszystkie pracujące kobiety, jestem bardzo czuła na punkcie równych praw. Nie chcę, żeby faceci przytrzymywali mi drzwi, kiedy wchodzi na naradę, nie chcę, żeby wstawali, kiedy stoję, albo witali mnie pocałunkiem w policzek, wymieniając z resztą zebranych tylko uścisk dłoni. Nie chcę być w pracy na specjalnych prawach...

Jeśli jednak idę gdzieś na kolację, takie traktowanie mi nie przeszkadza.

W każdym razie wcale nie chciałam korzystać z łazienki, ale że musiałam pobyć tam minutę, dwie, przy okazji sprawdziłam, jak wyglądam, i kiedy to robiłam, w głowie kołatała mi tylko jedna myśl.

Co, do licha, widzi Marie, że uznała mnie za tak starą?

Skóra wygląda świetnie, nawet wokół oczu. Nie mam zmarszczek, worków, kurzych łapek, plam, zmian skórnych i w ogóle nic jeszcze z twarzą nie robiłam. Nie poprawiałam oczu, ust, nosa, nie podciągałam uszu ani policzków. Nie stosowałam Restylane'u, botoksu, juvedermu, latissu, a nawet chemicznych peelingów. Na pewno kiedyś zacznę używać wszystkiego, co działa, i będzie cudnie. Ale na razie wyglądam cholernie dobrze, bez względu na to, co sądzi o tym Marie.

Czułam się więc nieco pewniejsza siebie, wracając do stolika, i kiedy Ken znów się podniósł, byłam w zdecydowanie lepszym nastroju.

– Przepraszam za tę przerwę – powiedziałam. – Zaczniemy do nowa. Bardzo jestem ciekawa twojej historii.

Uśmiechnął się.

– Nie widziałem Cheta od dwudziestu lat. Dorastaliśmy razem, studiowaliśmy razem na prawie, mieszkaliśmy naprzeciwko siebie w Scarsdale, kiedy pierwszy raz się ożeniłem. Przeprowadził się do Kolorado na początku lat dziewięćdziesiątych, ze względu na pracę. Ja niedługo potem się rozwiódłem i jakoś straciliśmy kontakt. A tu, jakiś miesiąc temu, jak grom z jasnego nieba, telefon. Mówi, że przyjechał i chciałby pogadać, co słyhać, wspominać dawne czasy. Zaprasza mnie na drinka. Ucieszyłem się bardzo i spotkaliśmy się w Village jakieś dwa tygodnie temu. Kiedy tylko się pojawił, od razu widziałem, że jest jakiś inny. Miałem wrażenie, że ma pomalowane oczy, ale nie zastanawiałem się nad tym, tylko zaczęliśmy rozmawiać, o studiach i takie tam rzeczy. Potem spytałem, co u Barbary, a on popatrzył na mnie dziwnie.

– Wiesz, że od piętnastu lat nie jesteśmy małżeństwem?

Powiedziałem, że nic do mnie na ten temat nie dotarło. A u niego pojawił się zagadkowy, przekorny błysk w oku.

– Cóż, wreszcie wyszedłem z szafy i teraz mieszkam z dwudziestodwuletnim mężczyzną, Evanem – powiedział.

Ken urwał na chwilę, wziął łyk martini i wrócił do swojej opowieści.

– Nie wiedziałem, co powiedzieć. Nigdy w życiu nie byłem tak zaskoczony.

– A co w tym najbardziej cię zdziwiło?

– To jasne, po pierwsze, że on jest gejem. Nigdy go o coś takiego nie podejrzewałem. Oczywiście, nie chodzi o to, że mnie to robi jakąś różnicę.

– Pewnie, bo cóż w tym złego – powiedziałam i zaśmiałam się.

Chyba nie załapał.

– No, wiesz, cytat z serialu Seinfelda – odrzuciłam.

– Ach tak, nigdy nie obejrzałem nawet jednego odcinka.

Chwileczkę. Kto mógł nie widzieć w telewizji ani jednego odcinka Seinfelda? Czy Ken Walker był na to za stary? Czy powinnam raczej powoływać się na takie gwiazdy, jak Dick Van Dyke?

– W każdym razie – ciągnął – musiałem coś powiedzieć, więc spytałem go, jaki jest ten jego chłopak. A on na to: wiesz, w łóżku jest fantastycznie, ale taka różnica wieku to spore wyzwanie.

Cisnęło mi się na usta: świetnie rozumiem, o co chodzi. Ale ugryzłam się w język.

– A co ty na to?

– Powiedziałem: pewnie, musi być trudno spędzać czas z kimś, kto nie pamięta, jak zastrzelili Kennedy’ego.

To dopełniło czary goryczy. Czy teraz Ken Walker sugeruje, że ja to mogę pamiętać? Nie pamiętam, jak zastrzelili obu Kennedy’ch. Dla mnie JFK zawsze oznaczało tylko inicjały w nazwie lotniska.

– Wiesz – wtrąciłam, starając się opanować – ja też nie pamiętam, jak zastrzelono Kennedy’ego.

Roześmiał się.

– Pewnie, że nie – powiedział.

Potem przynieśli dania, jedliśmy więc, a ja zamówiłam trzecie martini, kiedy tylko podali mi przystawkę, i dopiłam je, zanim skończyłam filet mignon.

W taksówce do domu, po kawie i crème brûlée, i po tym jak on poprosił o mój numer telefonu, a ja poprzestałam na cmoknięciu go w policzek, zadzwoniłam do Marie. Odebrała po pierwszym dzwonku.

– Jak poszło? – spytała.

– Fantastycznie. Może za niego wyjdę.

– O, nie – jęknęła. – Co się stało?

– Nic – odparowałam. – Po prostu nie wyobrażam sobie bycia z kimś, kto nigdy nie widział żadnego odcinka Seinfelda.

– Co takiego?

– Nieważne – powiedziałam. Musiałam o całej tej przygodzie zapomnieć. – Pakuj się, wyjeżdżamy. Robię sobie wakacje i zabieram cię ze sobą.

– Katherine – zawahała się Marie. – Odkąd u ciebie pracuję, nigdy nie wzięłaś urlopu.

– Nie miałam urlopu dużo dłużej. Pakuj się, kochana, jutro ruszamy.

– A dokąd?

– Jeszcze nie wiem – odparłam. – Później ustalimy szczegóły.

BROOKE

UWIELBIAM ZDJĘCIA.

Zawsze lubiłam, od dziecka. Pamiętam, jak kiedyś ojciec zabrał mnie do Muzeum Sztuki Współczesnej na wystawę fotograficzną. Zapomniałam nazwisko autora – miałam zaledwie sześć lat – ale pamiętam, że fotografie były czarno-białe, z Nowego Meksyku albo Arizony. Przedstawiały codzienność rdzennych Amerykanów, pracujących na farmach, pompujących wodę, doglądających zwierząt, jeżdżących na traktorach. Do tej pory mam przed oczami ich wyraziste twarze. To właśnie uwielbiam w fotografii – co może zabrzmieć jak truizm – jest w niej prawda. Mama zachwyca się surrealistycznym malarstwem, impresjonizmem, Salvadorem Dalim i René Magritte’em, wszystkimi tego typu artystami. A mnie ich obrazy najczęściej denerwują. Nos powinien być na twarzy, a nie oderwany wisieć nad nią, przyczepiony do ptasich skrzydeł. Wolę fotografie, bo one zawierają historie.

To dlatego lubię patrzeć na zdjęcia wiszące na ścianie między pokojami moich dzieci. Wszystkie czarno-białe, a kiedy ogląda się je po kolei, opowiadają o moim życiu. Zaczynają się ode mnie i Scotta w college’u. Miał wtedy długie, wijące się włosy. Dobrze się w nich czuł. Stale mi obiecuje, że jak rzuci Wall Street, już nigdy więcej nie pójdzie do fryzjera. Od tak dawna strzyże się krótko i czesze z przedziałkiem, że prawie nikt ze znajomych nie pamięta już jego bujnej grzywy, ale ja tak. I nadal mogę ją oglądać na tych wiszących na ścianie zdjęciach, kiedy tylko zechcę. A kiedy to robię, wracam do dni, gdy mnie adorował. Był taki słodki i niepewny, w tych swoich grubych okularach, dżinsowych kurtkach i czarnych butach. Tak go pamiętam.

Jeśli idzie się wzdłuż ściany, od lewej do prawej, patrząc od góry do dołu, można prześledzić naszą podróż poślubną. Scott i ja na Hawajach, kiedy bał się nurkować z powodu rekinów, żeby go nie zjadły. Zanim się zanurzyliśmy, stale powtarzał: cały czas słyszę muzykę ze *Szczęk*. Potem zeszliśmy pod wodę i wcale nie było strasznie, a przynajmniej mnie się tak wydawało, nawet kiedy mała rybka wielkości mojego kciuka skubnęła mnie w nogę, ale Scott zobaczył krew i był pewien, że wyczują to wszystkie żarłaczki białe w Oceanie Spokojnym. Spanikował i wynurzył się trochę za szybko. Zdjęcie, które wisi na ścianie, przedstawia nas dwoje po tym nurkowaniu. Mamy mokre włosy i kombinezony piankowe. Scott wypija trzecie piwo, żeby się uspokoić. Na jego twarzy nadal widać strach. Uwielbiam to zdjęcie.

Na kolejnym stoję z jakimś leciwym panem na szczycie Łuku Triumfalnego, z wieżą Eiffla w tle. To była nasza pierwsza wspólna podróż. Paryż wiosną. Tego roku się pobraliśmy... Scott poprosił starszka, żeby zrobił nam zdjęcie, ale jego francuski ze szkoły podstawowej nieco zardzewiał i ten człowiek zrozumiał, że Scott chce sfotografować jego ze mną. Prześmieszna sytuacja. Starszy pan potraktował zadanie z powagą. Objął mnie w pasie, trzymając dłoń dokładnie na mojej pupie. Na żadnym swoim zdjęciu nie śmieję się tak bardzo, jak na tym.

Są tu też bardziej typowe fotki. Ślub, przyjęcie na cześć przyszłej mamy i jej pociech, ja z bliźniakami, kiedy miały godzinę, i Scott trzymający oboje nad głową, po każdym w jednej ręce, kiedy mają dwa lata. Jest Scott w dniu, kiedy jego zespół zadzwonił na otwarcie sesji na nowojorskiej giełdzie, nasza czwórka łowiąca ryby z łódki, dwójka dzieci jednocześnie upadająca na nartach wodnych, a także wszystkie przebrania córki i syna na Halloween, w tym zdjęcie ze wspianego roku, kiedy namówiłam Scotta, żebyśmy my też się przebrali, i wyruszyliśmy we czwórkę – jako Batman, Kobieta Kot, Robin i Dziewczyna Nietoperz. Wszyscy wyglądamy na tym zdjęciu niesamowicie.

Dziś wieczorem pokażę mężowi nowe zdjęcia. Ale na pewno nie zostaną wystawione tam, gdzie ktokolwiek, a już szczególnie nasze dzieci, mógłby je zobaczyć.

Zdjęcia wyszły fantastycznie. Kiedy Pamela przyniosła mi je dzień po sesji, byłam bardziej zdenerwowana niż w dniu ślubu. Z łobuzerskim wyrazem twarzy przyczała się pod domem, schowana w krzakach przeczekała, aż ruszy szkolny autobus, i dopiero wtedy wślizgnęła się do środka.

– Zachwycisz się – stwierdziła, wyciągając dużą kopertę ze swojej przepastnej torby. – Gotowa?

Skinęłam głową, a ona rzuciła fotografie na stół. Przez chwilę byłam zdezorientowana. Pamela robiła dla mnie zdjęcia przynajmniej kilka razy i zwykle przynosiła ponad sto ujęć do wyboru. A tu było tylko osiem. Popatrzyłam na nią zdziwiona.

– Czy reszta była tak okropna, że nie miałaś serca mi ich pokazać?

Jej uśmiech dodał mi otuchy...

– Wręcz przeciwnie. Te, kochana, są idealne. Nie chcę, żebyś przeglądała ujęcie za ujęciem, sprawdzając, jak na nich wyszedł twój tyłek w porównaniu z tymi zdjęciami. Jesteś tak piękna na tych ośmiu zdjęciach, że aż chce mi się

płakać.

Wzięłam pierwszą odbitkę ostrożnie, tak jakby mogła rozpaść się pod dotykiem mojego paznokcia. Stałam przed wielkim oknem, przez które wpadały promienie słoneczne i przepływały po mojej sylwetce. Twarz miałam zwróconą do światła. Łuk pleców rysował się seksownie, skóra była gładka, a piersi lekko w cieniu. Coś oszałamiającego. Oczy zaszczyły mi łzami, kiedy odkładałam zdjęcie z powrotem na stół i brałam następne, na którym byłam odwrócona tyłem od obiektywu, stojąc między bujną kolekcją roślin doniczkowych w jaskini Pameli. Moja pupa była pełna i okrągła, ale nie miękka. Prawą ręką sięgałam płatków orchidei, bardzo zmysłowych w dotyku.

– To moje ulubione – powiedziała Pamela.

Uśmiechnęłam się.

– Zawsze miałam świetny tyłek – powiedziałam.

Reszta zdjęć była równie idealna, jak te dwa pierwsze. Pamela wybrała dokładnie to, co trzeba. Wiedziała doskonale, jakich zdjęć chciałam, i je wytypowała. Fotografie były seksowne, wysublimowane, śmiałe, gustowne. Piękne.

Kiedy skończyłam je oglądać, oparłam się na kanapie.

– Pamela, właśnie tak sobie to wyobrażałam. Jak udało ci się uchwycić, o co mi chodziło?

– Na tym polega sztuka, kochanie – powiedziała. – To twoje ożywione fantazje.

– Moje fantazje – odparłam. – Ale twoje prace.

– Tak myślisz? – spytała. – Popatrz na nie raz jeszcze. Kogo widzisz?

Podniosłam zdjęcie i zbliżyłam do oczu.

– To twoja praca – powiedziała Pamela. – Twoja sztuka. Ja tylko naciskałam spust migawki.

KATHERINE

KOLEJNY DZIEŃ, STARSZA O KOLEJNY ROK, tak samo witam świt.

Pieprzyć go.

Tego dnia słowa te miały szczególnie cierpki smak w moich ustach, bo tego dnia czekała mnie rozmowa z Philem. Zawsze jestem szczególnie poirytowana, kiedy z samego rana muszę być w jego biurze, co zwykle zdarza się trzy, cztery razy w miesiącu i nigdy nie z mojej inicjatywy... Po raz pierwszy po wszystkich latach, odkąd jestem jego podwładną, czyli dobrze ponad dziesięciu, dziś to ja proszę go o spotkanie.

Oby wypełniała mnie wielka dobroć

Obym była zdrowa

Obym była spokojna i swobodna

Obym była szczęśliwa

Po ćwiczeniach oddechowych, koktajlu proteinowym i solidnym wypoceniu się na bieżni jestem przed lustrem, kontemplując buddyzm i swoją nienawiść do Phillipa. Jedno nie bardzo pasuje do drugiego, ale w jedno i drugie głęboko wierzę. Thich Nhat Hanh pisze: jednym z naszych największych błędów jest to, że nie świętujemy braku bólu zęba. Wyjaśnia to mniej więcej tak: wszyscy wiemy, jak bardzo potrafi dać się we znaki bolący ząb, wszyscy cierpimy, kiedy nam się zdarzy, ale dlaczego nigdy nie myślimy, jak to dobrze, kiedy ząb nas nie boli?

To, jak myślę, mądre i bardzo trafne spostrzeżenie, bo daje się zastosować do wszystkiego, a jednak nie odpowiada na fundamentalne pytanie: co robić, jeśli ból zęba nie ustępuje nigdy?

Wiem, co można sobie pomyśleć, oczywiście nie bez racji. Phillip to nie bolący ząb. Pewnie jest jakieś podobieństwo, ale kiedy boli ząb, idziemy do dentysty i ból zostaje złagodzony. A ja tę wizytę odkładam już prawie od dwudziestu lat. Mogłabym pójść na nią, kiedy tylko zechcę, mogłabym zapomnieć o tym, jak byliśmy razem, zostawić to, pracować gdziekolwiek dla kogokolwiek innego i nigdy więcej nie oglądać Phillipa na oczy, a jednak tego nie robię i to niczyja wina, tylko moja własna. Sądzę, że to nie tyle jak ból

zęba, ile jak wbicie drzazgi w dziąsło i zostawienie jej tam na dwadzieścia lat, co jest głupie i wiem to, ale mimo wszystko nadal jej nie wyciągam. I za każdym razem, kiedy mnie boli, powtarzam te same słowa:

Pieprzyć go.

W aucie Maurice znów był jowialnym miłym sobą.

– No, szefowo, musisz mi opowiedzieć, co się stało wczoraj.

– Nie widziałeś, jak kuśtykałam do samochodu? Czy to nie dało ci do myślenia? Wątpię, żebym dała radę normalnie chodzić przez jakiś tydzień.

– Oj, nie kupuję tego i nie podobają mi się te twoje żarty.

– Akurat z kuśtykaniem to wcale nie udaję – powiedziałam. – Plecy mnie bolą jak jasna cholera.

To prawda. Już od dwóch miesięcy. I jest coraz gorzej. Kolejna rzecz, która przypomina mi o tym, że się starzeję, tak jakby umówienie mnie na randkę z czymś dziadkiem nie było wystarczającą udręką.

– Katherine, wiem, że nie mam prawa o nic pytać, biorąc pod uwagę, że to ja dla ciebie pracuję, a nie odwrotnie, ale naruszałem dozwolone granice już przedtem i zrobię to jeszcze raz: powiedz mi zaraz, jak było wczoraj wieczorem.

– Tak naprawdę, jeśli już musisz wiedzieć, rozczarowałam się, bardzo, i wróciłam do domu, smutna i samotna.

Aż go zatkało.

– Tak mi przykro, szefowo.

– Daj spokój – odparłam. – Było, minęło. Mam dla ciebie inną wiadomość.

– Mam nadzieję, że dobrą?

– Tak myślę. Jadę na urlop.

Nadal obserwowałam odbicie jego twarzy w lusterku wstecznym. Zażenowanie zmieniło się w zdziwienie, co przyjął z ulgą.

– Naprawdę? – zapytał. – Nie przypominam sobie, żebyś kiedykolwiek brała urlop.

– Ja też nie, i chyba to źle – stwierdziłam. – Wyjeżdżam po południu.

– A dokąd to, szefowo?

– Na Zachód, przyjacielu. Do Kolorado.

NIE ZNOSZĘ ASYSTENTKI PHILLIPA. Nazywa się Danielle LaPierre i z przyjemnością dodam, że po francusku to znaczy tyle, co „wacek”. Z przyjemnością dorzucę też, że jeśli o jakiejś kobiecie można powiedzieć „fiut”, to właśnie o Danielle. Zawsze kiedy czekam przed gabinetem Phillipa, spoufala się i gada tak, że mało mi ucho nie odpadnie. Zawsze o tym samym.

O facetach.

To rozwódka koło czterdziestki, dość atrakcyjna, bezdzietna i ma obsesję na punkcie znalezienia męża, zanim – jak to uroczo ujmuje – „będzie za późno”. Rozmawia ze mną tak, jakby sądziła, że jedziemy na tym samym wózku. Takie odnoszę wrażenie. Wkurzające, ale nie to mnie najbardziej w niej niepokoi.

Naprawdę martwi mnie, że nie mam pojęcia, czy ona wie o tym, co mnie łączyło z Phillipem. Podejrzewam, że tak. Choćby dlatego, że Danielle to osoba, która wie wszystko, czego wolałoby się, żeby nie wiedziała. A jeśli wie, to bez wątpienia celowo przyciera mi nosa. Uwielbia opowiadać o luksusowych wakacjach Phillipa z rodziną, o słodkich prezencikach, jakimi zaskakuje żonę „ot, tak”, bez żadnej specjalnej okazji. Jeśli Danielle wie o naszej dawnej relacji, to bez dwóch zdań jest wredną suką... Ale ponieważ nie mam pewności, czy wie, i pewnie nigdy nie będę miała, zawsze tylko się nad tym zastanawiam, co sprawia, że czas z nią spędzony jest niemal nie do zniesienia.

W ostatnich miesiącach zaczęłam się zabawiać opowiadaniem Danielle o wyimaginowanych chłopakach, a potem doprowadzaniem każdej historii do nagłego, szokującego końca. „Alex” został przeniesiony do Juneau na Alasce. „Henry” stracił głowę w wypadku, kiedy jego auto rozplątał pociąg towarowy. „Stanley” natknął się przypadkiem na porachunki mafijne i został objęty programem ochrony świadków.

Tego dnia po moich urodzinach przekazałam Danielle wstrząsającą wiadomość o „Miltonie”, którego znaleziono martwego w łazience, bo podczas kąpieli niechcący upuścił krótkofalówkę do wanny.

– Nie znosił prysznic – chlipnęłam.

I wtedy nadszedł Phillip.

– Chodź, Kat.

Nigdy nie zwraca się do mnie Katherine, a ja nigdy nie mówię do niego Phillipie. Myślę, że w ten sposób oboje pożegnaliśmy naszą wspólną przeszłość, zawsze zachowamy w pamięci tamte imiona jak Bogart i Bergman

zachowali w niej Paryż. Teraz jesteśmy tylko „Kat i Phil”, co pasuje bardziej do kumpli z wojska niż dawnych kochanków.

– Coś się stało? – spytał, ściągnając marynarkę i wieszając ją na oparciu krzesła.

– Nic takiego, wszystko w porządku – odparłam.

Przez chwilę zastygł w bezruchu i wpatrywał się we mnie, a potem przechylił głowę jak pies, który usłyszy coś, co go niepokoi.

– Dzieje się coś? Nie wyglądasz dobrze.

– Nie, wszystko w porządku – powiedziałam, a Phillip popatrzył na mnie minutę w milczeniu, więc żeby to przerwać, palnęłam to, czego zaraz pożałowałam.

– Wczoraj były moje urodziny.

– O, rzeczywiście. Przepraszam. Nie złożyłem ci życzeń. Wszystko przez to wariactwo tutaj, zupełnie straciłem głowę. – Wyszedł zza biurka i uściskał mnie zdawkowo. – Szczęścia, zdrowia i wszelkiej pomyślności.

– Dziękuję. – Doskonale wiedziałam, że nie pamiętał o moich urodzinach. – Skończyłam czterdzieści lat.

– No i jak? – spytał, ponownie sadowiąc się za biurkiem, z rękami splecionymi za głową. – Powoli mamy już z górki, co? Ja niedługo kończę czterdzieści siedem.

– W przyszły czwartek.

– Zgadza się. Słuchaj, wszystkiego najlepszego. Planujesz jakoś to uczcić?

– Tak, mam taki zamiar, właśnie to przyszłam ci powiedzieć. Chcę wziąć miesiąc wolnego.

– Ach tak. – Wyraz jego twarzy był bezcenny. – Od kiedy?

– Od popołudnia. Zabieram na cały ten czas swoją asystentkę, chcę, żeby miała urlop płatny. I chciałabym skorzystać z samolotu. Do piątku nie jest ci potrzebny.

Jeśli są jakieś korzyści z pracy dla mężczyzny, który kiedyś złamał ci serce i dobrze o tym wie, to właśnie takie. Kiedy chodzi o coś osobistego, mówię mu, czego chcę, a on nie potrafi mi się sprzeciwić. Nie jestem pewna dlaczego, przecież gdyby odmówił mi firmowego samolotu, nie popłakałabym się i nie powiedziałabym nic w rodzaju: Nie dość, że ożeniłeś się z tą suką, z którą mnie zdradzałeś, to jeszcze teraz przez ciebie muszę lecieć Deltą! Ale

coś w tym jest i korzystam z tego, kiedy mi pasuje.

– Dokąd się wybierasz?

– Do Aspen – powiedziałam. – Ostatni raz byłam tam jako mała dziewczynka. Powspinał się na kilka gór, pojeżdżę na paru koniach.

– Nie przypominam sobie, żebyś kiedykolwiek brała wolne.

– Rzeczywiście, tak to jakoś zleciało – westchnęłam, wstając. – Uporządkuję parę spraw i koło południa wychodzę. Powiedz im, proszę, żeby szykowali się do startu na trzecią. Będę w Teterboro trochę wcześniej.

Posłał mi ładny uśmiech, taki, jakiego już u niego właściwie nie widywałam.

– Baw się dobrze – powiedział. – Wracaj bezpiecznie.

Po chwili szłam już przez sekretariat. Skinęłam głową Danielle.

– Biorę trochę wolnego – rzuciłam jej na odchodne. – Milton chciałby, żebym to zrobiła.

KIEDY OŚWIADCZYŁAM PHILOWI, że potrzebuję kilku godzin, nim wylecę do Kolorado, mówiłam prawdę, ale nie całą. Dawałam do zrozumienia, że muszę załatwić kilka spraw i spakować się, choć jednym i drugim zajęłam się już w nocy. Pozostało mi jednak jeszcze jedno ważne spotkanie, które musiałam odbyć przed jazdą na lotnisko, o czym nie powiedziałabym za nic Philowi, choć to mój szef. W ogóle nie powiedziałabym o tym nikomu, nawet Maurice'owi.

Mój mały sekret to doktor Gray.

Nie trzeba mi tego mówić, wiem dobrze: nie ma powodu wstydzić się leczenia. I, naprawdę, nie wstydzę się. Ale to trochę krępujące. Delikatny temat. Jakkolwiek to nazwać, nikomu nie przyznałam się, że przechodzę intensywną terapię u psychoanalityka właściwie przez całe dorosłe życie. Rzecz w tym, że funkcjonuję w świecie rywalizacji. Przyznanie się, że potrzebuję pomocy, byłoby równoznaczne z przyznaniem się do słabości. Wiem, że wszyscy faceci, z którymi pracuję i którzy pracują dla mnie, tylko czekają na to, by odkryć moje wady, słabe punkty, no to niech się odpieprzą, bo ja im nic nie podpowiem. I choć wiem, że jedno z drugim nie ma wiele wspólnego, trzymam swoją terapię w sekrecie z tego samego powodu, z jakiego nie skarżę się na bóle menstruacyjne na zebraniu zarządu, bo coś, co

ściąga mnie na niższy poziom w stosunku do tego, co osiągnęłam, lepiej pominąć.

Doktor Gray praktykuje tu stosunkowo od niedawna. Uwielbiam ją. Poznałam cały szereg najlepszych i najbardziej dyskretnych nowojorskich psychiatrów. Tkwię w tym tak długo, że jeden z nich przeszedł już na emeryturę, a jeszcze inny zmarł. Czytałam też chyba każdy ważniejszy poradnik dotyczący zdrowia psychicznego z tych, które wyszły w ostatnich dwudziestu latach, a nawet niektóre starsze. Wszystko. Od *Drogi mniej utartej* po *Nie zadręczaj się głupstwami*. I nauczyłam się z nich różnych rzeczy. Zagłębiałam się w swoją przeszłość, raz i drugi, by zawsze dojść do tego samego wniosku: nie ufam mężczyznom, bo ci dwaj, którzy naprawdę się dla mnie liczyli, zawiedli, walczę więc z nimi jak z duchami przeszłości, a zarazem wszystkimi innymi w czasie teraźniejszym. Problem w tym, że to nie rokuje dobrze na przyszłość. To oczywiście trudne znaleźć faceta, kochać go i zaufać mu, jeśli witam każdy dzień słowami: Pieprzyć go i wszystkich takich jak on.

Tak naprawdę nie potrzebowałam psychoterapeuty, żeby mi to wszystko wyjaśnił. Myślę, że nie trzeba mieć dyplomu z psychologii, by rozumieć, że dziewczyna, którą tak bardzo zawiódł ojciec, będzie miała problemy z facetami. A mój ojciec, jak sądzę, rozczarował mnie w najgorszy z możliwych sposobów i nigdy nie miał szansy tego naprawić. Co gorsza, zawsze twierdził, że zrobił to wszystko dla mnie, bo widział w tym najlepsze rozwiązanie, ale się mylił. Nie potrzeba mi więc terapeuty i książek, by rozumieć, że po części na tym polega mój problem. No, a potem był związek z Phillipem i jego finał. Przypuszczam, że pewnie to przesądziło o moim smutnym losie.

Pytanie więc: skoro tak dobrze znam swoje problemy, to po co kontynuuję terapię?

Z dwóch powodów. Pierwszy dość przykry, ale prawdziwy, wynika z tego, że nie mam przy sobie kobiety, z którą mogłabym pogadać od serca... Jedyne kobiety w moim życiu to te, które (a) dla mnie pracują, (b) konkurują ze mną albo (c) to moja matka. I jest za dużo spraw, o których nie wolno mówić kobietom podpadającym pod jedną z tych kategorii. Takie życie. Ale istnieje też druga przyczyna – moje głębokie przekonanie, że w końcu się pozbieram. Trzeba tylko, żebym trafiła na właściwego lekarza albo właściwego partnera, albo żeby mnie jakoś olśniło, coś z tych trzech rzeczy, i wydaje mi się, że jeśli chodzi o lekarza, to najwięcej tu zależy ode mnie, dlatego nie mam zamiaru

postawić na tym kreski. A jeśli nawet coś takiego zaświtało mi w głowie, to kompletnie przeszło, odkąd poznałam doktor Gray.

Doktor Gray uczy przede wszystkim buddyjskich zasad skupienia. Chodzi o to, że cokolwiek się robi, twój umysł musi być na tym w pełni skoncentrowany. Wieczne patrzenie w przyszłość jest równie niebezpieczne, jak zapatrzenie w przeszłość, bo żyjemy tylko w czasie teraźniejszym. I choć brzmi to jak banał, mój związek z doktor Gray jest może najlepszy w moim życiu, wartościowy, cudowny. Dlatego dzień po moich czterdziestych urodzinach i umówionej dla mnie randce w ciemno z mężczyzną, który mógłby być moim ojcem, nie chciałam ruszać na pierwsze prawdziwe wakacje od kilkudziesięciu lat bez naradzenia się z nią.

– Myślę, że świetnie ci to robi – powiedziała. – Nie przypadkiem buduje się klasztory na szczytach gór. Spokój działa cuda. Daruj sobie zakupy i restauracje, tego i tutaj nie brakuje. Wspinaj się, pojeźdź konno, oddychaj głęboko, a kiedy wrócisz, chcę, żebyś odpowiedziała mi na jedno pytanie. Gdybyś zastanawiała się nad nim godzinami każdego dnia, to tym lepiej.

– Jestem gotowa – powiedziałam.

– Po powrocie powiesz mi, dlaczego warto żyć.

– O, świetnie – stwierdziłam. – Bałam się, że chodzi ci o coś naprawdę trudnego i głębokiego.

Pokiwała nade mną głową. Nie złapała dowcipu... Spróbowałam raz jeszcze.

– Wiesz, większość przyjaciół zadowoliliby się jakąś koszulką z napisem Aspen, w dowód pamięci.

Znów pokiwała głową.

– Dobrze – powiedziałam. – Zapiszę sobie, żeby poświęcić temu nieco czasu.

– Świetnie. Ale, Katherine, staraj się o tym pamiętać bez zapisywania.

I z tą wskazówką ruszyłam w drogę.

SAMANTHA

UCZUCIA TO COŚ ZABAWNEGO, bo czasem trudno je wyjaśnić.

Nie zawsze wiem, dlaczego w jakiejś sytuacji reaguję tak, a nie inaczej. I przyzwyczaiałam się do tej niepewności. Prawdopodobnie dlatego nie byłam zbyt zaskoczona, kiedy po otwarciu drzwi na widok byłego małżonka wybuchnęłam histerycznym śmiechem.

Wiem, nerwowy śmiech to nic nadzwyczajnego. Jasne, ale nie o to chodzi. Uśmiełam się tak, jakby odkrycie Roberta pod drzwiami było sceną w komedii.

Widząc moją reakcję, Robert kompletnie osłupiał, i nie mogłam mieć mu tego za złe. Stał w progu i czekał, aż się uspokoję, żeby móc coś powiedzieć, choćby „cześć”, ale ja po prostu nie mogłam przestać. Wyłam ze śmiechu, musiałyby wrzeszczeć, żeby mnie przekrzyczeć, lecz najwyraźniej nie miał ochoty się wydzierać. Patrzył na mnie z powagą, jakby przyszedł oznajmić coś bardzo ważnego. Z takim wyrazem twarzy podchodzi się do rodziny zmarłego na pogrzebie, co w zasadzie pasowało do sytuacji. Trochę to trwało. Ja się zaśmiewałam, a on zmieszany stał w korytarzu. Pewnie mogłam go zaprosić do środka, ale nie byłam pewna, czy chcę. Czekał więc cierpliwie, aż się uspokoję, i dopiero wtedy się odezwał.

– Cześć, Samantho – powiedział. – Cieszę się, że nie opuściło cię poczucie humoru.

Niezły tekst i niezłe powiedziane. Nigdy nie tracił rezonu, to muszę mu przyznać.

Zawahałam się.

– Cześć, Robercie. Dawno cię nie widziałam.

– Zbyt dawno, i to moja wina... – przyznał – Mogę wejść?

Naprawdę nie umiałam od razu odpowiedzieć.

– Wierz mi – kontynuował bez odrobiny skrępowania – zdaję sobie sprawę, że zawałam. Nie oczekuję przebaczenia ani niczego w tym rodzaju. Naprawdę nie proszę, abyś mnie wpuściła, bo łudzę się, że do czegoś między nami dojdzie. Po prostu mam ci coś do powiedzenia i myślę, że lepiej będzie, jeśli wejdziemy do środka...

To mnie przekonało.

– No dobrze – stwierdziłam i cofnęłam się do pokoju. Wyciągnęłam krzesło zza stolika do pisania i postawiłam na środku. Sama siadłam na kanapie i skinęłam głową, żeby on zajął miejsce na krześle. Jak w sali rozpraw. On był oskarżonym, a ja sędem.

– Przedstaw, proszę, co masz do powiedzenia – zażądałam. – Masz tyle czasu, ile ci trzeba.

– Jeśli sąd pozwoli – podchwycił z uśmiechem – zacznę od początku.

Zawsze swobodny, wygadany. Zrozumiałe, czemu dziewczyny tak na niego lecą.

– Nie będę starał się usprawiedliwić tego, co znalazłaś w moim komputerze – zastrzegł na wstępie. – To był efekt związku, który zaczął się na długo przedtem, zanim się poznaliśmy, i nie skończył się, tak jak powinien, zaraz po naszej pierwszej nocy w Sacramento. Zastanawiałem się, jak cię za to przeprosić. Słowa to o wiele za mało, a jednak nie potrafię wymyślić nic lepszego. Gdybym mógł coś zrobić, żeby lepiej wyrazić przeprosiny, to nie cofnąłbym się przed niczym, ale do głowy nie przychodzi mi nic bardziej odpowiedniego niż słowa. Jest mi więc bardzo, bardzo przykro, przepraszam cię, Samantha, za swoje niewybaczalne zachowanie. Jesteś wspaniałą osobą i nic takiego nigdy nie powinno cię spotkać.

Skinęłam głową. Miał rację.

– Chcę też powiedzieć coś innego, dla jasności: że nie kocham Stephanie i nigdy nie kochałem, a bezgranicznie kocham ciebie. To, co między nami było, jest dla mnie bardzo ważne, autentyczne, choć moje zachowanie zdaje się temu przeczyć i nie mogę mieć cienia pretensji, gdybyś mi nie wierzyła, ale to prawda. Nie mam pojęcia, czy to dla ciebie coś zmienia, czy nie. Ale gdyby to miało znaczenie, to chciałem, żebyś wiedziała.

Znów skinęłam głową.

– Ma. Trochę.

– To dobrze. Cieszę się.

Potem odchrząknął. Jego wyraz twarzy się zmienił. Rozpoznałam tę minę, pamiętałam ją z kampanii. Mówiła: „A teraz do rzeczy”. Wiedziała, że jest już gotów powiedzieć mi to, z czym naprawdę przyszedł.

– Jeszcze jedna rzecz, Samantha, może najważniejsza. Chcę ci

wytłumaczyć, dlaczego nie pobiegłem za tobą tamtego dnia, nie próbowałem cię odszukać i dlaczego od tamtej pory nie próbowałem się z tobą skontaktować.

– Nie sądziłam, że wiesz, gdzie jestem – wtrąciłam.

– Najpierw nie wiedziałem oczywiście, ale łatwo było to sprawdzić. Zameldowałaś się pod swoim nazwiskiem i posłużyłaś się kartą ojca.

– Prawda. To dlaczego się tu nie pojawiłaś?

Westchnął i nachylił się bliżej niż przedtem.

– Cóż, mogę ci teraz powiedzieć prawdę albo skłamać, tak jak oszukiwałem się sam przez ten miesiąc.

– To zaczyna się robić ciekawe – stwierdziłam. – Chętnie wysłucham obu wersji. Nigdzie się nie spieszę.

– W dniu, kiedy odeszłaś, kiedy tylko się pozbierałem, zadzwoniłem do twojego ojca. Wiedziałem, że nie wrócisz, ale zostawiłaś portfel i wszystkie karty kredytowe w pokoju, więc bez taty nie dałabyś sobie rady. Zatelefonowałem do niego i powiedziałem, co się stało. Przeprosiłem i zapewniłem, że zrobię wszystko, co on uzna za najlepsze dla ciebie. Odparł, że dla niego najważniejsze jest twoje bezpieczeństwo i tylko tym się martwi. Nie podobało mu się, że jesteś sama bez portfela i telefonu. Przyznałem, że ja też się tym martwię, ale jestem prawie pewien, że raczej nic ci nie grozi i na moje wycucie odezwiesz się do niego wcześniej niż do mnie. Jak się okazało, miałem rację. Zadzwonił zaraz po rozmowie z tobą, by poinformować, że jesteś bezpieczna. Cały czas był bardzo serdeczny. Powiadomił mnie rzeczowo, że chcesz unieważnić małżeństwo. Spytałem, czy sądzi, że mam jakieś szanse cię od tego odwieść, ale on był pewien, że żadnych. Dodał też, że ty nigdy nie zmieniasz zdania i że ma szczęście, bo nigdy nie miał ciebie przeciwko sobie na zebraniu zarządu.

Uśmiechnęłam się. Nie mogłam się powstrzymać.

– Chyba dorzuciłem, że ja na szczęście nigdy nie musiałem się z tobą zmierzyć w sądzie, a on stwierdził, żebym się o to nie martwił. Mówił, że jego prawnicy skontaktują się ze mną jeszcze tego dnia, co zrobili, i że dopóki nie będę się domagał czegokolwiek od ciebie lub od niego, nie będzie problemu, i nie było. Następnego dnia zadzwoniłem do niego i prosiłem tylko o to, żeby mieć szansę porozmawiać z tobą, powiedzieć, jak bardzo mi przykro. Uśmieł się i stwierdził, że na pewno wiesz, jak mi przykro, i najlepsze, co mogę dla

ciebie zrobić, to dać ci święty spokój. I tak zrobiłem. Zorganizowałem zabranie twoich rzeczy z naszego pokoju, a ja poleciałem z powrotem do Los Angeles i powiedziałem sobie, że tak będzie najlepiej dla ciebie: dać ci spokój i pozwolić ci żyć dalej swoim życiem. To kłamstwo powtarzałem sobie od tamtego czasu.

Pokój stał się najcichszym miejscem, w jakim kiedykolwiek się znalazłam. Z jakiegoś powodu nie słyszałam już oceanu, szumu wiatraka na suficie czy muzyki z bufetu przy basenie. Wszystkie te znajome już odgłosy rozplynęły się w oddali. Byliśmy tylko Robert i ja.

– Jednak prawda jest dużo prostsza – rzekł. – Zrobiłem to dla siebie. Kiedy twój ojciec powiedział, że dla twojego dobra powinienem trzymać się z daleka, dał mi wygodną wymówkę. Usprawiedliwienie, dlaczego nie spojrzę ci w oczy, nie poniosę konsekwencji tego, co zrobiłem. Powtarzałem je sobie tyle razy, że naprawdę w to uwierzyłem. Ale potem, zeszłej nocy, uderzyło mnie, że nie trzymam się z dala od ciebie, bo tak ci będzie łatwiej, ale dlatego, że mnie było z tym łatwiej. A tak naprawdę, jeśli miałbym coś dla ciebie zrobić, powinienem zdobyć się na odwagę i sięść tu, i pozwolić ci wszystko mi wygarnąć... I dlatego tu jestem. Zasługujesz na to, żeby powiedzieć mi, co o mnie myślisz, a ja zasłużyłem sobie, żeby to usłyszeć, a jeśli potrzebujesz trochę czasu do zastanowienia, chętnie poczekam na dole, godzinę lub nawet do rana, jeśli wolisz. Nie spiesz się, pomyśl, co chcesz mi powiedzieć. Posłucham. Jestem ci to winny. Mam nadzieję, że dzięki temu właśnie naprawdę będzie ci łatwiej.

Odchylił się w krześle, ja też oparłam plecy.

– Jest jeszcze jedno – dodał łagodniej. – Jeśli się mylę i rzeczywiście nie masz mi nic do powiedzenia, a moje pojawienie się tu tylko pogarsza sprawę, to wystarczy jedno twoje słowo. Natychmiast sobie pójdę i już nigdy więcej nie będę ci się naprzykrzał.

Mój ojciec i mój mąż, obaj zawsze wiedzą, co powiedzieć.

– I już naprawdę ostatnia sprawa – dorzucił.

Teraz wyglądał na ździebko speszzonego. Nachyliłam się odrobinę ku niemu.

– Nie wiem, jak to najlepiej wyrazić, ale jeśli jakimś cudem chciałabyś nam dać drugą szansę, jeśli w głębi serca czujesz, że między nami było coś na tyle ważnego, że mogłoby przeważać moje niewybaczalne, przyznam, zachowanie, to wiedz, że niczego pod słońcem nie pragnę bardziej. Nie

musielibyśmy sobie niczego obiecywać, po prostu spróbowalibyśmy zacząć od nowa. Tym razem zrobię to, jak należy. Nie w młynie wyborów. Staralbym się o ciebie, byłyby randki, kolacje i kwiaty przysłane naprawdę przeze mnie, a nie któregoś z pracowników. Gdybyś miała choć odrobinę ochoty, by spróbować, uznałbym to za cud i zrobiłbym wszystko, żebyś była szczęśliwa. Gdybym miał zrezygnować ze swojego stanowiska, zrobię to nawet jutro. Jeśli chcesz wrócić i znów mieszkać w Nowym Jorku, nie ma sprawy, otworzę prywatną praktykę. Staram się powiedzieć, że pojąłem wreszcie to, co powinno być dla mnie jasne od momentu, kiedy zobaczyłem cię przy tej windzie. W moim życiu ty jesteś najważniejsza i jeśli jest cień nadziei, że tego do końca nie zniszczyłem, proszę, powiedz mi. Jeśli jest choćby ślad nadziei, najmniejszy, uznam to za błogosławieństwo i przez resztę życia będę robił, co w mojej mocy, by ci dowieść, że jestem tego wart.

Rzucił się z krzesła i padł przede mną na kolana.

– Kocham cię całym sercem, Samantha. Wiem, że nie masz podstaw w to wierzyć, i wiem, że prawie nie ma szans, abyś zechciała rozważyć powrót. Proszę tylko, pomyśl o tym, choćby minutę, a jeśli to wykluczone, zrozumieć. Ale, proszę, wiedz, że cokolwiek postanowisz, kocham cię i przez całe życie będę żałował tego, co zrobiłem.

I szybko wstał.

– Zaczekam na dole – powiedział. – Nie spiesz się. Mamy czas.

Patrzyłam na miejsce, gdzie przed chwilą klęczał. Nigdy wcześniej nie zwróciłam uwagi na wykładzinę. Pomarańczowa w czarne zygzaki. Wszędzie indziej wyglądałaby idiotycznie, ale tu jakoś świetnie pasowała. I kiedy tak siedziałam z opuszczoną głową, usłyszałam cicho zamykające się drzwi. Podniosłam wzrok. Roberta już nie było. Zamknęłam oczy i wyobraziłam go sobie tak, jak wyglądał tuż przed wyjściem, z dłonią na kłamce... Czy miał na palcu obrączkę? Mam wrażenie, że tak. Ja zdjęłam swoją przy basenie w dniu, kiedy tu przybiegłam, kiedy poznałam Eduarda, kiedy uciekłam od swojego małżeństwa. Ale Robert miał dziś swoją na palcu. Czy nosił ją cały czas? Czy włożył ją tylko przed przyjściem do mnie? Ciekawe.

Nagle zerwałam się z kanapy, pobiegłam do drzwi i pognałam korytarzem. Dopadłam Roberta przy windzie.

– Zaczekaj – powiedziałam. – Wracaj. Nie potrzebuję czasu. Ja już teraz wiem, czego chcę.

BROOKE

KOCHAM DNI, kiedy wszystko wydaje się jakieś inne.

Pewnie nie powinnam o tym mówić w ten sposób. Przecież nie lubię niektórych dni, gdy jest inaczej, na przykład ktoś umrze i następuje wielka zmiana. Takich nie kocham na pewno... Pamiętam dzień, kiedy umarła babcia, mama mamy, Brooke, na której cześć mam imię i do której obie z mamą jesteśmy bardzo podobne. Czasem patrzę na jakieś stare zdjęcie i zawsze chwilę potrwa, nim się zorientuję, że to ona, nie ja. Zwykle muszę przyjrzeć się ubraniom. Była niesamowicie elegancka, futra na wszystkie okazje, fantastyczne kapelusze, ale wyglądamy bardzo podobnie – więc rozpoznaję nas dopiero po stroju.

Dzień jej śmierci nie przypominał żadnego innego. Miała raka, o czym nikt mi nie powiedział. Kiedy zaczęła chudnąć, tłumaczyli, że jest na diecie. Kiedy traciła włosy i musiała nosić perukę, twierdzili, że wypróbowuje nowy styl. Wobec tego ja też chciałam mieć perukę i mama kupiła mi, trzynastolatce, taką o długich blond włosach. Gdy babcia umarła, to był dla mnie kompletny szok. Nie widziałam jej od miesiąca. Leżała w szpitalu, a mnie powiedzieli, że wyjechała do przyjaciół do Europy. Aż pewnego wieczoru mama oderwała mnie od telewizji.

– Muszę pomówić z tobą o czymś ważnym – stwierdziła.

I powiadomiła dość sucho, że babcia odeszła. To było tak, jakbym stała między kulą do rozbijania ścian a zrujnowanym budynkiem. Najpierw kula uderzyła mnie, co bolało, potem popchnęła z impetem na mur. Byłam zdruzgotana. Uszło ze mnie całe powietrze.

– Kiedy? – spytałam. – Jak to?

– Chorowała już od jakiegoś czasu – oznajmiła mama, nie okazując emocji.

– Umarła przedwczoraj. Na górze masz nową sukienkę na pogrzeb.

– Chorowała? Na co? Nie wiedziałam, że jest chora.

– Kochanie – przerwała mi mama tonem, jaki zawsze przyjmowała, kiedy mówiła o czymś, czego według niej nie potrafiłabym zrozumieć. – Po prostu nie miałam serca ci powiedzieć.

Z dnia pogrzebu najlepiej zapamiętałam swoje zdumienie, jak dla wszystkich innych może to być zwyczajny dzień. Patrzyłam na robotników na budowie, którzy siedzieli przy pudełkach z lunchem, jedli kanapki i popijali

z termosów, i myślałam: dlaczego zachowują się tak, jakby nic się nie stało? Czy nie wiedzą, że babcia umarła? Czy nie wiedzą, że nigdy już nie poczuję jej długich paznokci drapiących mnie lekko po plecach? Czy nie wiedzą, jakie pyszne były jej owsiane ciasteczka? Nie pamiętają, że zabrała mnie na *Annie* na Broadway, a potem kupiła mi nagranie i śpiewałyśmy razem *Maybe* na całe gardło? Jak mogą dalej robić swoje, jakby to był jakikolwiek zwykły dzień? Nie wiedzą, że wszystko jest inaczej?

Takich innych dni nienawidzę.

Ale dziś jest jeden z tych, które kocham. Bo to ten wieczór. Urodziny Scotta. Dostanie swój prezent. Czułam motylki w brzuchu od rana, ledwie się obudziłam. Odwożąc dzieci do szkoły, zatrzymując się przy markecie spożywczym, sklepie z elegancką bielizną Soleil Toile – żeby kupić coś specjalnego pod szlafrok – szykując sypialnię, kominek, rozstawiając świece i wybierając muzykę. A potem zapakowałam album ze zdjęciami do pudełka z aksamitu, zawiązałam kokardę i przyczepiłam laurkę z życzeniami od dzieci (Za ciebie też podpisałam, powiedziała Megan bratu. Bliźniaki są takie zabawne). Później podrzuciłam je do mamy na noc. Kiedy Scott przyjedzie do domu, będziemy tylko we dwoje. I będzie inaczej niż w jakikolwiek wieczór do tej pory. W pozytywnym sensie. Nawet nie każe mu zamykać drzwi.

SAMANTHA

KIEDY WRÓCILIŚMY DO POKOJU, zmieniałam nasze stanowiska...

Tym razem siadłam na krześle pośrodku, a jego skierowałam na kanapę. Wyraźnie było mu tam gorzej. Mężczyźni tacy jak Robert potrafią siedzieć prosto na krzesłach o twardych oparciach, wiedzą, jak nie pognieść kantów spodni, nie pozwolić, żeby marynarka unosiła się im do góry na plecach. Domyślałam się, że to lata treningu w klasach i internatach, a w przypadku Roberta i w salach sądowych. Na kanapach czują się dużo mniej swobodnie. Najbardziej dystyngowany i wytworny facet posadzony na kanapie wygląda tak, jakby właśnie przyszedł zapytać twojego tatę, czy może cię zaprosić na bal maturalny.

Teraz Robert siedział na sofie w moim pokoju hotelowym i coś tam majstrował przy ubraniu, starając się wygładzić spodnie, koszulę i marynarkę. Założył nogę na nogę. Na jego twarzy malował się ostrożny optymizm. Znam tę minę. Robił ją podczas debat, kiedy przeciwnik go atakował. Jego spojrzenie mówiło, że jest gotów odpowiedzieć, bez względu na to, jakie słowa zaraz padną. Widziałam to w jego twarzy: był pewien, że przyjmę go z powrotem.

– Robercie, chciałabym tylko, żebyś wiedział, że twoje pojawienie się tutaj rzeczywiście pomogło. Bardziej, niżby mi się wydawało. Gdybyś spytał mnie wczoraj, czy twoje przyście tu coś zmieni, powiedziałabym „nie”, ale myliłabym się z kilku powodów. Po pierwsze dzięki temu czuję się mniej głupio. Cały ten czas zastanawiałam się, jak to możliwe, że zakochałam się w takim dupku. A teraz widzę, że przynajmniej nie do końca jesteś dupkiem. Od biedy można ci wybaczyć i to dla mnie jakaś pociecha. Co oznacza, że znów mogę sobie zaufać. I to pomaga.

Nie wiem czemu, ale wstałam i zaczęłam przechadzać się po pokoju. Mówiłam dalej. Nie patrzyłam na Roberta, tylko na podłogę, waząc każde słowo.

– Przedziwne, ale mam dla ciebie więcej szacunku teraz, niż zanim to wszystko się stało. Nie wiem, ilu mężczyzn zdobyłoby się na coś takiego. Myślę, że wielu trzymałoby się z dala, bo tak jest łatwiej.

– No, nie róbmy ze mnie takiego bohatera – wtrącił Robert.

– Nic nie mów – uciszyłam go. – Powiedziałaś wszystko, jak trzeba. I tak to

wolałabym zapamiętać.

Uśmiechnął się i zrobił taki gest, jakby zamykał usta na klucz i go wyrzucał.

– Bohaterem nie jesteś na pewno – ciągnęłam dalej. – Ale może uczciwym człowiekiem albo przynajmniej kimś, w kim jeszcze pozostała resztką przyzwoitości. Gdybyś nie przyszedł, nigdy bym się o tym nie dowiedziała. Więc i z tego się cieszę.

Kiedy tak mówiłam, ogarniał mnie wielki spokój, napięcie mijało. I zdałam sobie sprawę, że choć przez cały ten miesiąc robiłam wszystko, żeby się rozluźnić, to wcale nie byłam zrelaksowana. Ale teraz mi przechodziło...

– Rzeczywiście wydaje mi się, że nie przyszedłeś tu z jakichś ukrytych, egoistycznych pobudek, dla kariery czy czegoś w tym rodzaju. Nie uwierzyłabym w to, kiedy zaczynałeś mówić, ale teraz tak, i to też mi zaimponowało. Naprawdę doceniam, że to dla mnie zrobiłeś. A to, co powiedziałeś i jak, jest bez zarzutu. Przeprosiłeś dokładnie za to, co trzeba i jak trzeba, więc wierzę, że naprawdę rozumiesz, co zrobiłeś, i że naprawdę żałujesz. Cudownie... Zabrzmi to może dziwnie, ale dziękuję ci. Bo zdobyłeś się na wysiłek i to pomogło, i będzie pomagać dalej. Wszystkie te złe rzeczy przestały być aż tak okropne i w tej sytuacji nie mogłabym oczekiwać niczego więcej.

Skończyłam. Wypowiedziałam na ten temat już wszystko, co chciałam... Nagle poczułam się zmęczona. Może po raz pierwszy, odkąd przybyłam do tego hotelu i zaczęłam trening.

Robert wstał z kanapy i ruszył do mnie. Znów wiedziałam, co mówi wyraz jego twarzy – był w naprawdę uwodzicielskim nastroju. Podeszedł blisko i zajrzał mi głęboko w oczy. Uniósł dłoń i musnął mnie po policzku, tak jakby ocierał łzę. Ale ja nie płakałam.

– No, to teraz pytanie – westchnął – dokąd to nas prowadzi?

Nie uciekłam przed jego wzrokiem.

– Do etapu, który jest dużo lepszy, niż byłby w przeciwnym wypadku – stwierdziłam. – I tyle.

Wzdrygnął się nieco. Patrzyliśmy sobie w oczy i widziałam, że szuka słabego punktu, szansy na negocjacje. Twardo nie spuszczałam wzroku, zmobilizowałam wszystkie swoje siły. Nie było szansy na nic.

– Czy przynajmniej możemy pozostać przyjaciółmi? – zapytał.

– Naprawdę nie ma sensu – odparłam. – Chcę odciąć się od tego okresu w moim życiu. Dostałam nauczkę, zapamiętam ją na zawsze, ale nie będę niczego hołubić z nostalgią. I choć nie nienawidzę cię ani nie życzę ci źle, nie mam też ochoty nigdy więcej z tobą rozmawiać.

Nadal patrzyliśmy na siebie, ale to już była formalność. To on powinien pierwszy odwrócić wzrok, i po chwili tak się stało. Spuścił oczy i skinął głową, a potem pomału odwrócił się i ruszył do drzwi.

– Jakie masz plany? – zapytał przez ramię.

– W przyszłym tygodniu zawody. Potem wracam do Nowego Jorku.

Już z dłonią na klamce dorzucił:

– Trzymaj się.

– Powodzenia – zrewanżowałam się. – Gdybyś kiedyś startował na prezydenta, będę o tobie mówić same dobre rzeczy.

Obejrzał się, nie puszczając drzwi. Oczy miał zamglone, jakby miał zaraz się rozpłakać. Nie tutaj, przede mną, ale potem.

– I to będzie szczere? – zapytał.

Uśmiechnęłam się tylko. Nie musiałam tego mówić. Oboje znaleźliśmy odpowiedź.

KATHERINE

KIEDY JEŹDŻĘ KONNO, zawsze przypomina mi się ojciec.

Moja matka panicznie boi się koni, od zawsze. W ogóle nie lubi zwierząt. Pamiętam, jak raz powiedziała mi, że kiedy kot spojrzy na nią w pewien szczególny sposób, to jest bliska ataku serca.

Ale mój ojciec przepadał za końmi, uwielbiał wszystko, co się z nimi wiązało. Jakiś kilometr od naszego domu znajdowały się stajnie. Nie zliczę, ile sobót jako dziewczynka spędziłam tam razem z tatą. Mama smażyła nam naleśniki na śniadanie, a potem – jeśli była ładna pogoda – ja i tata wędrowaliśmy, trzymając się za ręce, by zobaczyć konie. Kiedy byłam malutka, jeździliśmy razem. Tata sadzał mnie przed sobą w siodle. Czuję jeszcze zapach pasty do skóry i charakterystyczny powiew ze stajni, zmieszany z aromatem wody po goleniu taty. Gdybym miała opisać swoje dzieciństwo, a przynajmniej to, co w nim było najlepsze, opowiedziałabym, jak pachniały te sobotnie popołudnia.

Zacząłam brać udział w zawodach jeździeckich, kiedy miałam dziewięć lat, i startowałam aż do odejścia taty... Namawiał mnie, żebym się nie wycofywała, ale straciłam do tego serce. Zresztą nawet gdybym chciała kontynuować, mama by mi nie pozwoliła. Nie było mowy o tym, żeby włączyła się ze mną po stajniach, różnych zawodach hippicznych, nie wolno mi było nawet wejść do domu w butach do jazdy konnej.

– Brodziłaś w łajnie – mówiła mama.

Musiałam zostawiać je w plastikowej torbie w garażu.

Pierwszą rzeczą, jaką chciałam zrobić, kiedy dotarliśmy z Marie do Aspen, to pojechać wierzchem. Przy Buttermilk Mountain proponowano jazdę konną i prywatne lekcje dla początkujących... Zachęcałam Marie, by spróbowała.

– No nie wiem, szefowo – broniła się. – Jeśli coś nie ma silnika, to nie jestem pewna, czy dam radę na tym jeździć.

– Słuchaj, po pierwsze na tej wycieczce daruj sobie to tytułowanie – upomniałam ją. – Jesteś tu dla przyjemności, tak samo jak ja. A po drugie jeśli nigdy nie korzystałaś z transportu niewymagającego przekręcenia kluczyka, żeby ruszyć, to czeka cię dzień niezapomnianych wrażeń.

– Katherine – Marie była wyraźnie wystraszona – ja nawet nie bardzo umiem jeździć na rowerze. Nie ma mowy, żebym wsiadła na konia.

Zastanowiłam się nad tym chwilę.

– No dobrze. Umówmy się tak. W tej podróży ja ci pomogę, a ty pomożesz mnie. Nauczysz się jazdy konnej, moja w tym głowa, za to ty wesprzesz mnie w odkrywaniu, dlaczego warto żyć. Kiedy obie osiągniemy swoje cele, ty będziesz umiała jeździć konno, a ja odpowiedzieć na to pytanie, wrócimy do Nowego Jorku.

Marie tylko gapiła się na mnie. Potem zamrugła i jeszcze raz zamrugła, a potem jeszcze kilka razy z tym samym wyrazem twarzy.

– Czyli trochę tu posiedzimy – odezwała się wreszcie.

– Zgadza się.

Miała zmartwioną minę.

– O co chodzi? – spytałam.

– Co mam powiedzieć Adamowi?

To jej narzeczony, który jest też moim pracownikiem w banku. Czasem można korzystać z takiej przewagi.

– Powiedz mu, że jesteś mi tu potrzebna.

Zastanowiła się chwilę.

– Nie wzięłam dość rzeczy – stwierdziła.

– Widziałaś, jakie tu są sklepy?

– Katherine, nie stać mnie na zakupy w Aspen – zaproponowała.

– Pozwól, że ja się tym zajmę – uspokoiłam ją. – Twoim zadaniem jest wykoncypowanie, dlaczego warto żyć. Jeśli znajdziesz odpowiedź, koszty nie grają roli.

– Mówisz poważnie? – spytała.

Wzięłam ją za rękę.

– Śmiertelnie poważnie – zapewniłam.

Wreszcie Marie się uśmiechnęła.

– Niech mnie diabli, Katherine – powiedziała. – Ale będzie fajnie.

WSZYSCY TU POLECALI WSPINACZKĘ do jeziora Cathedral.

Miejscowi doradzali ją ze względu na widoki. Była wystarczająco trudna, ale w granicach rozsądku dla dwóch w miarę sprawnych kobiet, choćby rzadko wyprawiających się na wycieczki na wysokość ponad trzech tysięcy trzystu metrów.

Pierwszego dnia spróbowałyśmy krótszej trasy dla rozgrzewki. Poszłyśmy tak zwanym szlakiem przemytników. Skalista ścieżka, gdzieś tam kępa traw. Im wyżej, tym bardziej niesamowity widok na miasto. Ze szczytu ruszyłyśmy przełęczą na cudowną łąkę, ze słonecznikami i trawą po pas, a potem w dół trudniejszym szlakiem, który przecinał płynący z hukiem strumień, Hunter's Creek.

Drugiego dnia wyruszyłyśmy na podbój góry.

Miałyśmy nowe buty, plecaki, butelki z wodą, nowe okulary przeciwsłoneczne i dobre nastroje – podjechałyśmy dwadzieścia kilometrów drogą Castle Creek, aż do skalistego parkingu przy wejściu na szlak. Było kilka minut po siódmej, kiedy ruszyłyśmy. Umówiłyśmy się, że każda będzie iść swoim tempem i spotkamy się przy jeziorze. Górskie powietrze było chłodne i suche jak papier ścierny, ale promienie słońca rozgrzały mi twarz i poczułam ciepło wypełniające mnie aż po palce. Kiedy pokonałam osiem ostrych podejść pnących się zygzakiem, byłam cała mokra. Czuję się dobrze. Lepiej, cudownie. Nie przeszkadzał mi nawet ból pleców, przynajmniej nie tak bardzo, jak zwykle. Co innego pocić się w samotności w mieszkaniu albo w mrocznej, pełnej ćwiczących ludzi sali gimnastycznej, a co innego być na powietrzu i robić coś, od czego się człowiek poci.

Po godzinie marszu byłam zakochana. Pokochałam zielen sosen, śnieżną biel szczytów gór, blady błękit bezchmurnego nieba. Uwielbiałam zapach tutejszego powietrza, jak cukru, jeśli to możliwe, albo śmietanki, słodki, świeży i czysty. Najpierw miałam słuchawki, ale szybko je zdjęłam i wcisnęłam iPod'a do plecaka. Dźwięk kamyków pod stopami, przelatujące ptaki, pasiaste wiewiórki śmigające przez ścieżkę – to było więcej, niż trzeba do szczęścia. Prawie dwie godziny zajęło mi dotarcie do jeziora. Ale żeby to w pełni opisać, musiałabym mówić dłużej. Na widok spokojnej tafli wody oniemiałam. Przywykłam do oceanów i rzek, gdzie są prądy i rytm, gdzie woda wydaje dźwięki. Ta stała w absolutnej ciszy, żadnych rytmów, tylko zapierający dech w piersiach bezruch. Chciałam rzucić w nią kamień i to zrobiłam, a potem obserwowałam wolno rozchodzące się po wodzie kręgi, aż znikły. I kolor był czymś, co trudno sobie wyobrazić. Mówiono mi, że jest

turkusowozielony, ale to mało powiedziane, był dużo bogatszy, bardziej nasycony, tak intensywny, że niemal czuło się jego smak. Naprawdę go czułam. Wiesz, że kolor cię poruszył, jeśli to, co widzisz, jest tylko początkiem wrażenia...

Dopiero gdy usłyszałam szmer, przypomniałam sobie o Marie. Podeszła do mnie. Klapnęła na ziemię i wzięła spory łyk wody z butelki.

– No i co myślisz? – powiedziałam, stając nad nią.

– Jestem wykończona – szepnęła zdyszana. – Daj mi chwilę, żebym się pozbierała.

To sprawiło, że poczułam się jeszcze lepiej. Marie musi być jakieś dwanaście czy trzynaście lat młodsza ode mnie i jest w świetnej formie, a tu proszę, siedzi na tyłku, kiedy ja stoję na pewnych nogach.

– Zjedzmy coś – zaproponowałam i przysiadłam na skale.

Spokój jeziora i odległych szczytów gór, w tym i Cathedral Peak o wysokości ponad cztery tysiące dwieście metrów, był niebiański.

Miałyśmy pyszny lunch w plecakach. Smakowite kanapki, sałatkę kartoflaną, proteinowe koktajle czekoladowe, wodę mineralną. Jedzenie było jak eliksir mocy – zdrowe, pożywne. Kiedy skończyłam, poczułam się syta i silna, tak jak powinno się czuć po jedzeniu, ale co bardzo rzadko mi się zdarza. Muszę spędzać więcej czasu na szczytach gór, pomyślałam. Przyjemniej jeść – tu wszystko lepiej smakuje.

Skończyłyśmy lunch i powkładaliśmy resztki jedzenia w torebki ekologiczne.

– Mogę cię o coś spytać? – odezwała się Marie.

– Pewnie – potwierdziłam, choć nie podobał mi się ton jej głosu. Tak jakby się czegoś bała, a nie byłam w nastroju, żeby dać sobie popsuć niebiańskie samopoczucie.

– Dlaczego w twoim życiu nie ma mężczyzny?

Moje serce, które dostroiło się do spokoju tych gór, odzyskało swój nowojorski rytm. Bum-bum, bum-bum.

– A kto mówi, że nie ma?

– Przecież wiem – powiedziała. – I zawsze zastanawiam się dlaczego.

W roztargnieniu zaczęłam szukać płaskich kamyczków. Na jakimś obozie okazało się, że jestem dobra w puszczaniu kaczek, i byłam pewna, że nadal to

potrafię.

– Wiesz, czasem dziwnie się to układa – powiedziałam wolno. A potem postanowiłam być z nią szczerą, bo jakoś nie wypadało kłamać przy tym jeziorze wśród gór, więc dodałam: – Mówię sobie, że przy mojej pracy stały związek jest niemożliwy. Ale to nie do końca prawda. Udałoby się w sprzyjających okolicznościach. Tyle że od dawna mi się nie trafiły.

– Miałaś kiedyś męża? – spytała Marie.

– Neeee.

– A prawie?

Wstałam. Trzymałam pięć, sześć gładkich kamyków w dłoni.

– Co to za przesłuchanie?

Marie podniosła ręce do góry, jakby chciała mnie ułagodzić.

– Przepraszam, Katherine. Nie chciałam być wścibska. Ale powiedziałaś mi, że zostaniemy tu, aż odkryjemy sens życia, i to wydaje się dość skomplikowane. A choć niby dobrze cię znam, czuję, że w zasadzie nie znam cię wcale. Na przykład nie wiem, czy jesteś rozwódką i tego typu rzeczy.

Chyba sama się o to prosiłam.

– Nie, nie jestem rozwódką. Nigdy nie wyszłam za mąż. Raz mi się ktoś oświadczył. Ale to nie był właściwy mężczyzna. Przez jakiś czas miałam tego właściwego, jednak potem on zdecydował, że ja nie jestem właściwą kobietą, i tak to się skończyło.

– Kochałaś go?

– O, Boże, jeszcze jak!

Uśmiechnęła się.

– A, to interesujące – stwierdziła. – Złamał ci serce?

Rzuciłam kamyk. Odbijał się ładnie od tafli jeziora. Było coś kojącego w widoku rozpływających się kręgów.

– Tak, złamał – przyznałam, patrząc na wodę, obrócona plecami do Marie.
– Złamał mi serce.

Umilkła. Słyszałam jej oddech za sobą.

– Dalej, spytaj mnie, jak to było. Co mi tam, nie pogniewam się.

No i spytała. Po raz pierwszy od prawie dwudziestu lat, odkąd Phillip stał się Philem, opowiedziałam komuś poza psychiatrą, co się stało,

o niepewności, kłamstwach, wreszcie o wieczorze, kiedy było po wszystkim. Ani razu nie spojrzałam na Marie, tylko rzucałam kamykami o wodę. Kiedy skończyłam, odwróciłam się i zobaczyłam, że ma łzy w oczach.

– Strasznie mi przykro, że spotkało cię coś takiego – powiedziała cicho.

– Fakt – przyznałam. – To dało mi w kość.

Podeszłam do niej kilka kroków i siadłam na skale. Objęłam Marie ramieniem.

– Ale poczekaj, nie powiedziałam ci jeszcze najlepszego.

Marie popatrzyła mi w oczy zdziwiona.

– Nie powiedziałam ci, jak on się nazywa.

– To ktoś, kogo znam?

– Tak.

Aż się wyprostowała.

– Dobrze znam?

– No, nie tak jak ja.

Przysunęła się i położyła mi dłonie na kolanach.

– Och, mój Boże, Katherine, kto to jest?

Uśmiechnęłam się.

– Phillip Rogers.

Zapadło milczenie. Nikt nigdy nie nazywał go już pełnym imieniem, nawet ja. Wreszcie załapała i zrobiła wielkie oczy, omal nie wypadły jej ze zdumienia. Mrugała nerwowo, kiwała głową i trzęsła się, jakbym powiedziała jej, że właśnie wygrała na loterii.

– Masz na myśli Phila?

– Zgadza się.

– Naszego prezesa?

– Zgadza się.

– Przepraszam za wyrażenie, ale jaja sobie ze mnie robisz, czy co?

– W żadnym razie, moja droga – powiedziałam, wstając i otrzepując tył spodni. – Nie robię sobie z ciebie jaj.

Marie jakiś czas siedziała w milczeniu i wreszcie wydukała:

– Musi ci być ciężko codziennie w biurze.

– Czasem wydaje mi się, że to zbyt wiele – przyznałam. – I myślę, że powinnam odejść. Zresztą parę razy niewiele brakowało. Stawał na głowie, żeby mnie zatrzymać. Nie jestem do końca pewna dlaczego. Wolałabym wierzyć, że nie potrafi się ze mną rozstać, ale czasami myślę, że w ten sposób łagodzi swoje poczucie winy. A może to trochę jedno i drugie.

– Nie wiem, jak ty dajesz radę.

Zaśmiałam się.

– Może wreszcie któregoś dnia wstanę i rzucę to wszystko. Przeprowadzę się z powrotem do Connecticut albo tutaj.

– Nie wolno ci tego zrobić – powiedziała poważnie. – Nie przeżylibyśmy tego.

– Daj spokój, jestem przekonana, że bank by to wytrzymał.

– Nie mam na myśli banku. Ale nas wszystkich. Przede wszystkim kobiety, które w nim pracują. Jesteś dla nas wzorem.

– Nie bądź śmieszna – zaoponowałam. – Większość mnie nienawidzi.

– Nieprawda – rzuciła zdecydowanie. – Uwielbiają cię, bo mężczyźni się ciebie boją. Jesteś jedyną kobietą, jaką znam, której mężczyźni się boją.

Mówiła szczerze. Widziałam to.

– No, nie jest tak pięknie, jak gadają.

– Wiem, na pewno jest ci trudno – powiedziała – ale potrzebujemy cię, szefowo.

Zaczęłam krążyć, rozglądając się po ziemi, niebieskoszarych kamieniach, miękkiej trawie i cieniach rzucanych przez wysokie sosny, omijając wzrokiem tylko Marie. Potem popatrzyłam w niebo, zdjęłam okulary przeciwsłoneczne i pozwoliłam, by złociste promienie rozgrzały mi twarz.

– Jak przyjemnie – powiedziałam z zamkniętymi oczami. – Nie wiem, czy to dlatego warto żyć, ale jest przyjemnie.

BROOKE

NIE ZDOŁAŁAM POKAZAĆ mu zdjęć.

W każdym razie nie od razu. Zaatakował mnie, zanim zdążyłam je pokazać, zanim mogłam o nich nawet wspomnieć, zanim w ogóle udało się mi cokolwiek powiedzieć, i było pięknie. Jesteśmy małżeństwem od dawna i na tym etapie najlepiej porozumiewamy się bez słów. Na przykład siedzimy na jakimś przyjęciu, on popatrzy na mnie, ja na niego i on już wie, że mam dość, czas wracać do domu. Albo spędzamy cały dzień z dziećmi, one się awanturują i Scott rzuca mi spojrzenie, które mówi, że potrzebuje pół godziny spokoju, bo inaczej odgryzie sobie palec. Znam go, on mnie, nasze oczy zwykle potrafią powiedzieć wszystko nie gorzej niż usta, a czasem nawet więcej.

Tego wieczoru po powrocie do domu Scotta spotkała niespodzianka. Jestem pewna, że spodziewał się takiego urodzinowego przyjęcia jak zwykle, domu udekorowanego laurkami i tortu ozdobionego łąpkami ukochanych dzieci. Nigdy na to nie narzekał. Pamiętam, że w zeszłym roku po uroczej kolacji urodzinowej w ścisłym gronie naszej czwórki podniósł kieliszek z winem i powiedział: „O czym więcej można marzyć?”.

Nawet dzieci, które miały wtedy siedem lat, rozumiały, jakie to miłe.

Dla mnie te słowa zabrzmiały jak muzyka, bo czuję to samo. Wiele kobiet, które znam, pragnie mnóstwa rzeczy, marnują czas i energię na myślenie o tym, czego im brak, zamiast cieszyć się tym, co mają. Staram się być inna. Mam dobrego męża, który mnie kocha, mam piękne, zdrowe dzieci, o czym jeszcze kobieta może marzyć?

Wiem więc, że Scott ucieszyłby się, gdyby wrócił do domu, do rodzinnego ciepła, bałaganu zrobionego przez bliźniaki i ich mamy, ale tym razem miało być inaczej. Tego wieczoru wracał do domu do żony, a nie matki swoich dzieci. Na stoliku, na którym kładzie teczkę, zostawiłam wiadomość napisaną płomiennie czerwonym tuszem na biało-różowej papeterii. Miał otworzyć butelkę szampana, która czeka w wiaderku z lodem w stołowym, a potem zdjąć krawat i buty i wejść na górę. Dodałam, że nie musi zamykać drzwi.

Usłyszałam go, gdy je otwierał i wszedł do sypialni. Miał pod pachą butelkę, kieliszki między palcami, a liścik w zębach. Nie zauważył mnie. Mógłby, gdyby popatrzył we właściwym kierunku, ale nie patrzył, wypatrywał

mnie w łóżku, a ja leżałam na szezłagu. Kiedy projektantka, która pomagała mi urządzić sypialnię, opisywała szezłag, dodała, że służy do uprawiania miłości. Śmiałam się z tego, choć ona mówiła poważnie. To było siedem lat temu i dopiero tego wieczoru nadarzyła się wreszcie okazja, by sprawdzić, czy miała rację.

Oczy Scotta nie przywykły jeszcze do półmroku. Widziałam, że stara się skoncentrować wzrok, wyciąga wolną rękę, próbuje namacać biurko, żeby nie walnąć w nie kolanem.

– Brooke? – Jego głos brzmiał niepewnie.

Westchnęłam.

– *Happy Birthday*, panie prezydencie – powiedziałam.

Scott odwrócił się szybko. Długie kieliszki zadzwoniły w jego palcach. Nadal nie widział za dobrze. Podeszedł do mnie ostrożnie.

– Nie widzisz mnie? – spytałam zmysłowo.

– Nie.

Wcisnęłam przycisk lampy za sobą.

– No i co powiesz?

Leżałam wyciągnięta jak struna, z prawą nogą założoną na lewą. Rozpuszczone włosy opadały mi na plecy. Podkręciłam je, tak jak lubi. Miałam na sobie satynowy szlafroczek, zawiązany mocno, żeby nie było widać, co jest pod spodem. Jedną rękę delikatnie oparłam na brzuchu, a drugą na krawędzi stołu obok szezłaga. Dotykałam dłonią różowego aksamitnego pudełka. W środku czekały zdjęcia.

– Napijesz się szampana? – zapytał. Powiedział to niskim głosem. Wiedziałam, że specjalnie się o to stara.

– Z przyjemnością – odparłam.

Napełnił kieliszki i podał mi jeden, stojąc tuż nade mną. Postawił butelkę na stoliku, przy aksamitnym pudełku. Potem ukląkł przy szezłagu, tak że jego twarz znalazła się przy mojej. Jego oczy mówiły wszystko. Że mnie kocha i mnie pragnie. Że żaden mężczyzna na świecie nigdy nie pragnął nikogo tak bardzo, jak on teraz mnie.

Uśmiechnęłam się.

– Wszystkiego najlepszego z okazji czterdziestych urodzin – powiedziałam i stuknęłam jego kieliszek.

Oboje pijemy niewiele. Szampan był lekki, słodki i świeży.

– Mam dla ciebie wyjątkowy prezent – powiedziałam.

Nie wiem, czy mnie usłyszał, czy nie, nie jestem nawet pewna, czy dokończyłam to zdanie, bo zaczął mnie tak mocno całować, że nie mogłam się ruszyć. Przycisnął usta do moich, moja głowa wpadła w miękkie oparcie szezłaga i byłam do niego przyparta. Czułam, jak Scott drży, jego bicie serca. Oderwał się ode mnie szybko i wypił jednym haustem resztę szampana, a potem postawił kieliszek na podłodze.

– Chcę cię... teraz... – powiedział.

Moja dłoń nadal leżała na aksamitnym pudełku. Wyobrażałam sobie, że najpierw dam mu zdjęcia. Ale nie szkodzi, jeśli poczekają... Zdjęcia miały go podniecić, ale nie sądzę, żeby mógł być jeszcze bardziej podniecony...

Leżałam i pozwoliłam mu wylądować na mnie. Było mi dobrze, nawet jeśli nie wszystko mi pasowało. Dyszał ciężko prosto w moje ucho, czułam żar jego oddechu, wilgoć języka.

– Pocałuj mnie – poprosiłam.

I zrobił to.

Potem, kiedy złapałam oddech, a on jeszcze był bez tchu, znów położyłam dłoń na pudełku.

– Czas, żebym dała ci twój prezent.

– Już dostałem najlepszy prezent, jaki mógł mi się marzyć – powiedział nadal lekko zdyszany.

– Ale masz tu coś jeszcze.

Położył mi dłoń na brzuchu, bardzo czule i popatrzył mi w oczy.

– Tak naprawdę, Brooke, myślałem o tym dzisiaj. Sądzę, że wiem, czego najbardziej, naprawdę chciałbym na czterdzieste urodziny.

Uśmiechnęłam się i czekałam na jakąś ekstremalną, perwersyjną seksualną sugestię. Scott lubi takie żarty. Ale powiedział mi, o co mu chodzi, i poznałam po jego oczach, że nie żartuje. Położyłam rękę na jego dłoni i ścisnęłam ją mocno, a po policzkach zaczęły mi płynąć łzy.

SAMANTHA

ZASTANAWIAM SIĘ, czy tak jest ze wszystkimi.

Dla mnie tak było zawsze. Kiedy jestem w najlepszej formie fizycznej, silna, zdrowa, to jednocześnie najbardziej poddaję się uczuciom. I może nigdy nie byłam silniejsza niż wtedy, kiedy po raz ostatni szłam brzegiem morza. Wręcz tryskałam energią. Przez ostatnich sześć tygodni jadłam i piłam tylko najlepsze paliwo (z wyjątkiem tamtych trzech kieliszków wina z Eduardem), sypiałam co noc po dziewięć godzin, ćwiczyłam oddychanie jogi podczas długich spacerów nieskazitelnie czystą plażą, słuchałam fal i śmiechu bawiących się przy brzegu dzieci. Teraz od dwóch dni odpoczywałam, zachowując wszystkie siły na jutro, nie pozwalając sobie na nic bardziej wyczerpującego niż ten ostatni spacer po piasku. Jutro startuję w zawodach, a potem wracam do mojego życia, tego, które miałam przed Robertem. Do Nowego Jorku, pracy, podróży. Do mężczyzn też, jak sądzę. Nie byłam pewna, jak chcę teraz do tego podchodzić. Podejrzywałam, że to się jakoś samo ułoży. Nie planowałam, że będę sobie kogoś szukać, ale miałam nadzieję, że ktoś znajdzie mnie. Może to zajmie parę miesięcy, może lat albo niecały tydzień. Jakkolwiek to się stanie, będzie świetnie. Byłam mądrzejszą, silniejszą kobietą niż przedtem. Byłam inną osobą. Chciałam zobaczyć, jak poradzi sobie ona w świecie, niczym postać filmowa, z którą się utożsamiam. Tym właśnie jestem, uświadomiłam sobie. Postacią. Utożsamiałam się ze sobą.

Jeśli więc byłam tak silna jak nigdy, fizycznie i psychicznie, to czemu nie potrafiłam opanować płaczu? Każdy dźwięk, każda fala, każda mewa i każdy oddech mnie wzruszały. Już tęskniłam za tym skrawkiem mojego życia, choć jeszcze nie dobiegł końca. Ale kiedy wiemy, do czego coś prowadzi, to oznacza, że jest już w pewien sposób skończone, a ja wiedziałam, dokąd wszystko zmierza. Jutro wystartuję w zawodach i na pewno będzie wspaniale. A potem wracam do świata i zaczynam od nowa. I nawet jeśli kiedyś wrócę w to miejsce, już nigdy nie do tego samego czasu. Ten czas mnie uratował. Odrodził, pozwolił mi znów stać się sobą, a nawet więcej – sprawił, że stałam się lepsza niż dotąd... Kiedy wyjadę, będzie to już zamknięty rozdział. W jakimś stopniu bardzo chciałam tu zostać, a nawet spędzić resztę życia, ale wiedziałam, że nie mogę, bo to nie było moje życie. Wszystko to były przygotowania, jeszcze nie wiedziałam do czego. Ale miałam pewność, że do

czegoś, a kiedy to nadejdzie, zorientuję się.

Przeszłam się do końca plaży i z powrotem, prawie pięć kilometrów piaskiem, a kiedy wróciłam, zobaczyłam, że czeka na mnie Eduardo. Miał na sobie białą marynarkę, osłaniał dłonią oczy przed słońcem. Po południu wiatr się wzmógł, targał mu włosy. Aż szokujące, bo Eduardo zawsze był tak nienagannie elegancki.

– Wyglądasz bardzo sportowo – powiedziałam. – Powinieneś próbować tego częściej.

– Nie spędzam zbyt wiele czasu na plaży – stwierdził. – Ale twojego ostatniego dnia z chęcią zrobię wyjątek.

W jego głosie brzmiał smutek. Trzeba było dobrze znać Eduarda, żeby to wyczuć, ale ja nie miałam wątpliwości.

– Nic ci nie potrzeba?

– Jem mnóstwo węglowodanów. Rano spałaszowałam naleśniki. Dla organizmu to był chyba szok. Mam tyle energii, że jak ten wyścig się opóźni, chyba wyskoczę ze skóry.

– Poprosiłem szefa kuchni, żeby przygotował ci coś specjalnego na wieczór – powiedział. – Domowy makaron. Robi go sam. Z cudownym sosem, w którym jest tylko trochę śmietany i świeże warzywa. Fantastyczny. Podaje mi go na urodziny.

Sięgnęłam dłonią jego policzka.

– O której chcesz, żeby ci to przynieśli do pokoju? – spytał.

– Około piątej – powiedziałam. – Spróbuję położyć się o ósmej. Nie wiem, czy w ogóle usnę, ale się postaram. Będę na śniadaniu na dole o piątej rano.

– Dopilnuję, żeby w kuchni byli gotowi.

Moja dłoń nadal dotykała jego policzka. Drugą objęłam go w pasie, wtuliłam twarz w jego ramię i już się nie hamowałam. Ryczałam jak bóbr, naprawdę głośno, i to było cudowne. Eduardo się nie odezwał, ale objął mnie lekko w talii.

Czekał, aż sama się uspokoję, stałam więc tak wtulona w jego marynarkę, w jego ramionach, zapachu, aż łzy przestały płynąć, właściwie trochę dłużej. Miło mi było w jego objęciach.

– Dziękuję ci bardzo za wszystko – powiedziałam, nadal opierając czoło na jego ramieniu. – Wszystko było dla mnie idealne, dzięki tobie.

Nie odpowiedział, co było do niego niepodobne, zerknęłam więc w jego twarz i odkryłam, z zaskoczeniem, że on też płacze. Cicho, nie dałoby się tego usłyszeć, ale stojąc tak blisko, widziałam przecież, że jego oczy są pełne łez. Gdybym go o to spytała, powiedziałby, że to od słońca, ale by kłamał. Znow przycisnęłam twarz do jego ramienia i pozwoliłam, żeby mnie tulił. Nie było powodu tego tłumaczyć. Nie było powodu w ogóle nic mówić.

KATHERINE

JEŚLI JEST COŚ, Z CZEGO JESTEM DUMNA, to z tego, że czuję muzykę ulicy.

Chcę przez to powiedzieć, że mam we krwi rytmy czarnych gangów. Tak, jestem białą dziewczyną z Greenwich, nie mam tatuaży, nigdy nie chodziłam z bronią w kieszeni i nie brałam udziału w strzelaninie, ale zносиło mnie w stronę hip-hopu, odkąd usłyszałam *The Message* Grandmastera Flasha. Znam ten gatunek tak dobrze, że mogłabym poprowadzić program hip-hopowy w miejskiej radiostacji. Od Grandmastera Flasha do Sugarhill Gangu, Run-D.M.C., Public Enemy, N.W.A, Tupaca Shakura, Biggie Smalls, Snoop Dogga, Jaya-Z – przerabiałam to wszystko, dokładnie, każdy kawałek. Umniejszam inne formy wyrazu w muzyce i patrzę z góry na każdego, kto nie docenia piękna, prostoty, pasji i autentyczności w hip-hopie.

Trudno mi więc wyjaśnić fenomen Johna Denvera.

Zacznę od tego, jak schodziłyśmy z Marie szlakiem znad jeziora Cathedral. Wśród lasów, na brzegu strumienia, kiedy w uszach brzmiał mi szum wody, zdałam sobie sprawę, że całe życie tęskniłam za tym miejscem i nawet o tym nie wiedziałam. Zawsze miałam wrażenie, że czegoś mi brak, a teraz już wiedziałam, o co chodzi.

Czułam się tak, jakbym nareszcie była u siebie. Tyle naopowiadałam Marie, nim doszłyśmy na dół. Oparłam się o maskę auta i wyciągnęłam butelkę z wodą. Bolały mnie plecy, próbowałam je rozluźnić, pocierając dłonią.

– Przydałby mi się masaż – powiedziałam.

Marie podeszła od tyłu i zaczęła ugniatać mi ramiona. Roześmiałam się.

– To nie była prośba. Tylko sugestia. Wracajmy do hotelu i zamówię masaże. Ja stawiam, jeden dla ciebie, drugi dla mnie.

– Nigdy nie brałam masażu – stwierdziła. – To dziwne?

– Tak, to dziwactwo, że nigdy nie miałaś masażu. Ale masaż to nic dziwnego. To raczej bardzo przyjemne. Idealne zakończenie popołudnia spędzonego na wspinaczce i zejściu z gór.

– Muszę być nago?

Wzięłam długi łyk wody.

– W tej podróży nie ma nic, co musisz.

Chyba jej się to spodobało.

Popatrzyłam w słońce, na odległe szczyty, orła krążącego leniwie na horyzoncie.

– Boże, jak tu pięknie – powiedziałam. – Czuję się jak w domu.

– Jak John Denver.

O mało się nie zakrztusiłam.

– Co?

– W takiej piosence o górach śpiewa, że wrócił do siebie, choć nigdy nie był w tych stronach. To właśnie o tym miejscu. Mieszkał w Aspen. – Marie uśmiechnęła się. – Moja mama uwielbiała Johna Denvera. Bez przerwy słuchałyśmy go, kiedy byłam nastolatką.

– Naprawdę? – spytałam. – Wychowywałaś się w Brooklynie na tandetnych kawałkach country?

– Po pierwsze John Denver nie był piosenkarzem country, ale folkowym – sprostowała Marie. – Po drugie był poetą, i to świetnym. Żadna tandeta. Jeśli lubisz wędrowki po lasach, to zakochasz się w Johnie Denverze, bo wszystkie jego piosenki są właśnie o tym.

– Dobra, dobra. – Wycofałam się. – Przepraszam, że to powiedziałam. Mam propozycję. Rozbierzmy się z wszystkiego, co mamy na sobie, i wynajmijmy dwóch przystojniaków, żeby nas dobrze wymasowali. Co ty na to?

Uśmiechnęła się.

– Nie wiem, czy to, co mówisz, spodobałoby się Adamowi, ale mi pasuje. W rewanżu zmuszę cię do posłuchania Johna Denvera i obiecuję, że ci się spodoba.

Rozciągnęłam obolałe plecy, wsiadłam do auta i wcisnęłam gaz, kierując się w drogę powrotną do miasta. Z przyjemnością myślałam o perspektywie masażu, steku, butelki wina. Nie sądziłam, że usłyszę jeszcze o Johnie Denverze tego dnia, podczas tej podróży czy w ogóle kiedykolwiek.

No i bardzo się myliłam.

NASZ PIERWSZY TYDZIEŃ w Aspen był rozkoszny, absolutnie, a ja nie rzucam słów na wiatr. Wstawałam ze słońcem co rano i nic. Powiem wyraźniej – nie było żadnego „pieprzyć go”. Nie miałam powodu przeklinać. Może dlatego, że byliśmy tak wysoko. A może przez ten blask wschodzącego za górami słońca, smak jedzenia, zapach powietrza, szum wiatru. Do auta wsiadałam tylko, żeby podjechać do bardziej odległych szlaków, wszędzie indziej szybko docierało się piechotą albo na rowerze. Nawet wsadziłam Marie na konia. Zaciskała powieki, kiedy stara klacz o imieniu Czołg truchtała po polu przed stajniami przy Buttermilk Mountain.

Siódmego dnia dotarła do nas wiadomość o Phillipie.

Najpierw do Marie. Miała swój smartfon na stole, kiedy jadłyśmy razem płatki z jogurtem i naleśniki z mąki pełnoziarnistej w Brzoskwince, uroczym lokalu serwującym śniadania. Telefon zawibrował tak mocno, że aż zadzwoniły leżące obok sztuczce, a Marie spokojnie podniosła go, żeby zobaczyć, co się dzieje.

– Esemes – powiedziała. – Sprawdzę tylko, czy to nie coś pilnego.

Potem jej wielkie oczy zrobiły się jeszcze bardziej okrągłe, jak w kreskówce, i przestraszyłam się, że to rzeczywiście pilne, a jednak ona nie wyglądała na zmartwioną. Raczej na zachwyconą. Miała taką minę, jakby oglądała w kinie film sensacyjny i nagle zorientowała się, kto zabił.

Popatrzyła na mnie z uśmiechem.

– Co takiego? – spytałam.

Spojrzała raz jeszcze na smartfon.

– Nie mam pojęcia, jak na to zareagujesz – powiedziała. – Pokażę ci.

Podawała mi telefon ostrożnie, jakby się bała, że go upuści.

– Co do licha? – burknęłam, nim popatrzyłam na ekran. – Denerwujesz mnie. Zła wiadomość? Mam się martwić? Wiesz, że nie mam zamiaru się tu dołować.

– Tylko przeczytaj. Nie zmartwisz się.

Przeczytałam więc i się nie zmartwiłam.

BROOKE

KIEDY BYŁAM MAŁA, chciałam zostać kłownem.

W cyrku. Uwielbiałam kłownów, bo przepadałam za malowaniem twarzy. Zawsze bardzo mi się to podobało. Czasem myślę, że minęłam się z powołaniem, właściwie powinnam była pojechać do Hollywood i zająć się makijażem artystycznym. Pewnie przy tym najlepiej bym się bawiła. Uwielbiałabym przerabiać przystojnego aktora na wilkołaka albo zombie, lub choćby mniej dramatyczne transformacje – żeby aktorka wyglądała najpiękniej, jak to możliwe. To musi być frajda.

Jako dziewczynka uważałam, że makijaż to coś fantastycznego. Pewnie dlatego, że mama nie pozwalała mi się malować. W ogóle. Czy do kościoła, czy do szkoły albo kiedy zostawałam na noc u koleżanek, a nawet jak byłam sama w domu.

– To dla dorosłych kobiet – upominała mnie, gdy tylko dotknęłam jej cieni albo szminki. – Nie jesteś jeszcze dorosła. Bądź dziewczynką. Masz mnóstwo czasu, żeby być kobietą.

Nie poszłam w jej ślady, wychowując córkę. Pozwalałam Megan bawić się w malowanie, od kiedy skończyła trzy latka. Kupiłam jej błyszczki, cień do powiek i róż, żeby sobie do woli eksperymentowała. I uwielbiam patrzeć na jej pomalowaną buzię. Ale nigdy nie cieszyłam się tym tak, jak dziś.

Kiedy tak leżę na łóżku, w lokówkach, a butelka szampana chłodzi się w kubeczku z lodem na stoliku, obserwuję, jak Edith maluje Megan. Edith to moja stylistka fryzur. Farbuje mi odrosty i układa włosy od pięciu lat, zwykle w salonie. Po raz pierwszy jest u mnie w domu. Ale wyjątkowe okazje wymagają specjalnych przygotowań, a niewiele okazji bywa równie ważnych jak ta.

Megan ma jasne oczy, duże jak moje, ale szczęściara odziedziczyła turkusowy odcień po tacie. Patrzę, jak Edith nakłada jej trochę tuszu na rzęsy, odrobinę różu na policzki, kapkę cienia na powieki. Bez przesady, w sam raz dla ośmiolatki. Edith dokładnie wie, o co chodzi. Gadałyśmy z godzinę przez telefon, żeby ustalić szczegóły. Dziś nie muszę się już o nic martwić.

W ogóle nie mam się o co martwić. Obudziłam się w łóżku sama. Scott spędził noc w hotelu. Pan młody nie powinien zobaczyć panny młodej przed ceremonią w dniu ślubu, nawet jeśli tylko go odnawia.

Poćwiczyłam na bieżni czterdzieści minut, kiedy Scott zabrał dzieci na śniadanie do baru. Zjedli naleśniki, jak go znam, choć obiecywał, że każe im wziąć też jajecznicę. Chyba mu nie wierzę. Sam spałaszowałby nawet but, gdyby mu go polać syropem klonowym, i to nieszczęsne upodobanie przeszło w genach na dzieci, ale to nie dzień, żeby się o coś takiego spierać. Niech jedzą nawet czekoladowe batoniki, jeśli chcą – nie będę sobie psuć nastroju.

Poćwiczyłam, a potem zabrałam Lucy na długi spacer po lesie. To raj dla golden retrievera. Był jeden z tych wiosennych poranków, które zapowiadają ciepłe popołudnia, ale jeszcze o dziewiątej trzeba narzucić lekki sweter. Lucy i ja wędrowałyśmy po lesie z pół godziny, a potem wróciłyśmy do domu, gdzie w sypialni czekało na mnie łóżko do masażu.

Potem przyszła Edith i przyniosła szampana, napiłyśmy się i poświęciłyśmy około godziny moim włosom. A teraz wyleguję się w łóżku i patrzę, jak mój aniołek szykuje się, żeby być drużną na ślubie mamy. Robi wrażenie równie szczęśliwej jak ja w tej chwili. I nie ma powodu, by było inaczej. Połowa jej przyjaciół ma rozwiedzionych rodziców, dwie pary dołączyły w tym roku, są w separacji. Bałam się, że może dzieciom będzie głupio na myśl, że ich rodzice chcą odnowić przysięgę małżeńską, ale z wielką radością zauważyłam, że przyjęły to jak trzeba – jako o niebo lepszą alternatywę.

Jared jest na dole z ojcem. Dumny jak jego siostra, ma osiem lat i jest drużbą taty. To pierwsze, co mi przyszło do głowy – dzieci muszą tym razem w tym uczestniczyć. Sentymentalizm zapewne, ale tak ma być.

Wesele trochę inne niż pierwsze, mniejsze przyjęcie z duchownym na liście gości. Sześć par, tylko najbliżsi przyjaciele i mama. Piętnaście osób w sumie, wliczając dzieci. Siedemnaście ze Scottem i mną. Jeśli pastor zechce zostać, to osiemnaście przy stole. Powiedzieliśmy, że będzie mile widziany, na co odparł, że zdecyduje na miejscu.

Teraz Edith skończyła malować Megan i moja córeczka wygląda jeszcze piękniej niż zwykle.

– Edith, wyszło fantastycznie – mówię, wracając na krzesło, żeby skończyła układać mi włosy. Już prawie czas. Odnowimy śluby o szóstej, potem koktajle przez jakąś godzinę i siądziemy do uroczystej kolacji. Wszyscy już są i mam nadzieję, że smakują im przekąski. Kto by nie lubił krewetek w bekonie? I wędzonego łososia na krojonych ogórkach? I morza szampana?

Dołączę do nich za jakieś dwadzieścia minut. Megan zejdzie pierwsza i ogłosi, że nadeszła pora. Nie będzie muzyki, maszerowania do ołtarza ani nic

z tych rzeczy. Wszyscy usiądą, a ja podejść do Scotta na środku pokoju. On weźmie mnie za rękę, dzieci staną po bokach, a wielebny Walsh powie kilka słów o tym, jak budujące w naszych czasach jest odnowienie ślubów między ludźmi, którzy się wcześniej nie rozwiedli. I wszyscy trochę się z tego pośmieją, serdecznie, bo na dobrą sprawę to dość zabawny tekst. Potem doda coś o tym, jaka to wyjątkowa chwila dla dzieci, które mogą być przy tym obecne, wyjątkowa dla nich i dla nas, i jeśli się rozpłaczę, to pewnie w tym momencie. Ale nie szkodzi, bo Scott też pewnie będzie miał łzy w oczach, a nawet jeśli nie, Pamela zachlipie na sofie, więc nie będę sama. A potem pastor zapyta po prostu, czy Scott i ja przysięgamy sobie, że spędzimy razem resztę życia, a my powiemy „tak”. A potem wszyscy siądziemy do steków i strzępiela. I będzie pięknie.

– To – mówię, podnosząc kieliszek, kiedy Edith ostatnimi muśnięciami kończy układać mi fryzurę – najlepszy dzień w moim życiu.

SAMANTHA

NIE MAM POJĘCIA, dlaczego zaczęłam się pakować.

Wyścig jutro. Do Nowego Jorku nie wybieram się wcześniej niż pojutrze albo nawet popojutrze. Jeszcze nawet nie sprawdziłam lotów. Z tego, co wiem, przez najbliższy tydzień nie mogłabym opuścić wyspy statkiem. A jednak, z jakiegoś powodu, poczułam, że muszę się spakować już tego wieczoru.

Może to tylko nerwy, konieczność rozładowania energii. Robię coś z tej prostej przyczyny, że muszę coś robić. Dobrze pamiętam to uczucie, byłam przecież prawdziwą sportswomenką. I chyba nadal jestem i do czegoś dążę, nie jak jakaś zwyczajna dziewczuszka, która lubi sobie pobiegać, za jaką można mnie teraz uznać. Rozgrywałam mecze, chodziłam na treningi, ćwiczyłam, miałam koleżanki z drużyny, liczyłam zwycięstwa i porażki. Uwielbiałam to. Uwielbiałam ten ucisk w żołądku, kiedy zbliżały się wielkie rozgrywki piłkarskie, grywałam też w hokeja na trawie, koszykówkę, ale najbardziej lubiłam football, przede wszystkim z powodu biegania. Przy koszykówce się drybluje, w hokeju trafia kijem, a przy piłce nożnej trzeba było biegać, co zawsze kochałam. W szkole średniej byłam najlepszą zawodniczką w Greenwich i przed meczem nie umiałam usiedzieć w miejscu, musiałam się kręcić i czymś zająć, chodzić z piętra na piętro, biegać w miejscu i teraz też to czułam. Nie mogłam usiedzieć w miejscu. Zwiesić spokojnie rąk. Pakowałam więc walizkę, choć jeszcze nigdzie się nie wybierałam.

Z rozbawieniem patrzyłam na niektóre przywiezione tu rzeczy. To był w końcu mój miesiąc miodowy, przynajmniej z taką myślą się tu wybierałam. Ta bielizna! Boże, to wszystko wygląda na strasznie niewygodne. Koronkowe koszulki, majteczki z falbankami, seksowne stringi, do tego trzy pary szpilek i fantazyjna biżuteria, żeby połyskiwała podczas nastrojowych kolacji przy świecach. Żadnej z tych rzeczy nie włożyłam. Ani razu. Przydały się tylko sportowe biustonosze, bawełniane topy, buty do biegania i szorty. Na kolację chodziłam w dżinsach. Nie malowałam się ani trochę, nawet na tamten wieczór z Eduardem. Wszystkie te kreacje, biżuteria i kolorowe kosmetyki wydawały się mi stare, jak rekwizyty z życia, które istniało dawno temu, ale już zaginęło. Kim była tamta dziewczyna? Co ona myślała? Czego chciała? Gdzie jest teraz?

I dokąd zmierza?

To pytanie naprawdę się liczy. Mogę sobie przypomnieć, kim była, a najlepiej pamiętam to, że ona naprawdę nie wiedziała, czego chce. Lubiła swoją pracę, ale nie o to jej w życiu chodziło. Marzył jej się mężczyzna i znalazła sobie takiego, który okazał się nie tym właściwym, ale nawet jeśli tak było, to nie jest cała odpowiedź. Kiedy się teraz nad tym zastanawiam, uświadamiam sobie, że dziewczyna, która nosiła te rzeczy, nie wiedziała, czego chce. Szła przez życie z nadzieją, że to, czego pragnie, samo ją znajdzie. Już wiem, że to był błąd. Nie wolno zamykać oczu i wierzyć, że jakoś to będzie. To niezła strategia, gdy trzeba wyskoczyć z samolotu, ale nie jako sposób na życie. Żeby gdziekolwiek zajść, trzeba najpierw wiedzieć, gdzie się chce być. Potem można myśleć, jak się tam dostać. Taki więc będzie mój kolejny krok. Skończę wyścig, wrócę do domu, a potem zastanowię się, gdzie chcę się znaleźć, i ułożę sobie plan, jak tam dotrzeć.

Skończyłam pakowanie i zaczęłam krążyć po pokoju, kiedy usłyszałam pukanie.

Uśmiechnęłam się leciutko. Wreszcie przyszedł. I wiedziałam, co chcę zrobić. Chciałam podejść do drzwi. Chciałam tego przez cały swój pobyt. Nie miałam co do tego żadnych wątpliwości. Przeszłam wolno przez pokój, wzięłam głęboki wdech i powoli otworzyłam. I znowu aż mnie zatkało na widok tego, kto stał na progu.

– Witaj, kochanie – powiedział.

– Cześć, tato.

– Nie myślałaś chyba, że zostawię cię w takim dniu samą, co?

Wtuliłam twarz dokładnie pośrodku jego piersi i dałam mu się uściskać, a on objął mnie mocno. Tak bardzo, że trudno mi było oddychać, i chciałam, żeby mnie puścił. Mało jest w życiu rzeczy idealnych. Ale ten moment był tego bliski. W jakimś sensie to była najlepsza chwila w moim życiu.

KATHERINE

CZY DOŚWIADCZYLIŚCIE kiedyś olśnienia?

Mogę powiedzieć, że to jest niesamowite.

Jestem pewna, że olśnienia można doznać na tysiąc sposobów, można zobaczyć łzy płynące z oczu rzeźby w kościele albo obraz, który oddycha, i jestem pewna, że bywają też okropne objawienia, i aż się wzdrygam na samą myśl o nich, bo moje spadło na mnie jak tona cegieł i jeśli byłoby też

przerażające, nie jestem pewna, czybym sobie z tym poradziła.

Dla mnie to był moment, kiedy dotarło do mnie, jak bardzo byłam wrogiem samej siebie i jak długo to trwało. Chwila, gdy zdałam sobie wreszcie sprawę, co mówiła mi doktor Gray i wszyscy inni terapeuci przed nią: że tak naprawdę to ja rządę swoimi uczuciami, a nie kto inny. To ja robiłam sobie krzywdę przez wszystkie te lata, nie inni mnie. To na siebie w efekcie byłam zła, a nie na kogoś innego.

Nie przyszło to do mnie w formie wizji ani we śnie, ani na szczycie góry z widokiem na ścielący się w dole świat, ale jako treść esemesa, kiedy siedziałam nad talerzem naleśników. Ten esemes wszystko zmienił, bo kiedy przeczytałam te słowa, uświadomiłam sobie, że nic nie znaczą, choć czekałam na nie pół życia.

Małżeństwo Phila się rozpadło, wyprowadził się, chodzą plotki, że to ONA GO zdradzała!

Nie wiedziałam, kto był nadawcą, ale zrozumiałam, że to prawda. Małżeństwo Phila skończone. Ona wystrychnęła go na dudka. I najwyraźniej wszyscy o tym wiedzieli. W sumie to równie paskudne, jak trzepanie konia koniom.

Popatrzmy: Phillip rzucił mnie dla Holly dziewiętnaście lat temu i w niecały rok później ożenił się z nią, więc czekałam na te słowa osiemnaście lat. Marzyłam o nich, fantazjowałam na ich temat, modliłam się o nie, wypisywałam je, wyśpiewywałam w medytacjach, wypowiadałam na głos codziennie, a teraz miałam je przed oczami na wymazanym różem ekranie smartfona Marie. I wywarły na mnie silniejsze wrażenie niż cokolwiek, czego doświadczyłam w kościele, w sali konferencyjnej czy w pierwszym rzędzie na koncercie.

Było mi smutno.

Żadnej radości, euforii, żadnego „dobrze ci tak”. W zasadzie zdałam sobie sprawę, że to ja najwięcej straciłam. Bo tu nie chodziło w ogóle o mnie. Tylko o nich. Jedynie mnie wydawało się, że odgrywam tu jakąś rolę, i każdy psychiatra, do którego chodziłam, starał się mi to uświadomić. Ale chyba w życiu do tych naprawdę ważnych wniosków trzeba dojść samemu. I kiedy przeczytałam te słowa, tak się właśnie stało.

– No i co myślisz?

Marie. Prawie zapomniałam, że tu jest.

– Myślę, że dziś spróbowałabym posłuchać Johna Denvera podczas wycieczki – stwierdziłam. – Pożyczysz mi swojego iPoda?

PO ŚNIADANIU POJECHAŁAM rowerem do podnóża Smuggler Mountain, czyli góry przemytników. Spacery tu stały się moim ulubionym sposobem na początek dnia w Aspen. Dwudziestopięciominutowy marsz, przeważnie strome podejścia, skaliste, surowe podłoże, cudowna panorama miasta i gór w oddali. Najwspanialsza była nagroda na szczycie – taras z niesamowitym wręcz widokiem. Miało się wrażenie, że można byłoby patrzeć na to bez końca. Co rano wspinałam się tam szybko po śniadaniu, przyspieszając akcję serca, lekko spocona, a potem siadałam na tyłku i zaczynałam głęboko oddychać. Jeśli nikt nie nadchodził, zamykałam oczy i robiłam krótką medytację.

Oby wypełniała mnie wielka dobroć

Obym była zdrowa

Obym była spokojna i swobodna

Obym była szczęśliwa

Zwykle zabierałam na drogę słuchawki ze swoim hip-hopem, ale dziś było inaczej. Dziś słuchałam Johna Denvera. Co byłoby dla mnie wielką odmianą, nawet jeśli mi się nie podobało, ale podobało się, na przekór mnie samej.

Po pierwsze chwyciłam to, czego nigdy bym nie przypuszczała. I może tak naprawdę nie udałoby się to nigdzie indziej. Znajdowałam się jednak dokładnie tu, gdzie on pisał swoje kawałki, przynajmniej tak mówiła Marie, a po przesłuchaniu pierwszej piosenki przekonałam się, że musi mieć rację, bo to wydawało się oczywiste.

Śpiewał o orle i jastrzębiu, mieszkających w skalnych katedrach sięgających nieba, i widziałam to wszystko, nie w myślach, ale naprawdę miałam przed oczami i ptaki, i horyzont.

Albo śpiewał o wierszach, modlitwach, obietnicach, o dzieciach, kwiatach i o kobiecie, którą czuł każdym zmysłem, cały świat jego wyobraźni był przede mną, zachwyciły mnie liryczne opowieści o miłości, wewnętrznym spokoju i urodzie natury, każde słowo. Nim dotarłam na szczyt i padłam na kolana na tarasie widokowym, byłam już fanką Denvera.

Wyciągnęłam słuchawki z uszu i zaczęłam odkręcać korek butelki z wodą, gdy usłyszałam kroki za plecami. Na tej górze to zawsze dla mnie rozczarowanie. Nie ma nic cudowniejszego, niż pobyć samotnie na tarasie. Chciałam się tylko napić i posiedzieć, słuchając muzyki, patrząc na wszechświat w dole.

I wtedy go zobaczyłam.

Był wysoki, chudy i wyglądał mniej więcej na tyle lat co ja. Nie tyle, ile daje mi Marie, ale naprawdę. Też był w niezłej formie. Jeszcze zanim dostrzegłam twarz, zauważyłam silne bicepsy i ramiona, ręce sportowca, żyłaste i długie, nieprzesadnie umięśnione, nie takie, jakie się ma od podnoszenia ciężarów, ale bardziej od robienia rzeczy, po jakie przyjeżdżamy tu my, ludzie z miasta. Miał ciemne włosy i mocno zarysowaną szczękę, wydatne kości policzkowe i trochę zarostu, tak w sam raz. I miał jeszcze jeden decydujący atut, na smyczy. Prześlicznego golden retrievera. Pies szedł wolno, węsząc przy ziemi. Wyglądało na to, że na tej górze spędzają mnóstwo czasu.

Przyglądałam włosy, na ile się dało.

– Piękny dzień – powiedziałam, siląc się na swobodny ton.

– Prawda? – miał wyższy głos, niż się spodziewałam, mniej surowy niż sugerowałyby zarys jego brody i zarost. Ale nie szkodzi.

– Jaki śliczny pies – odezwałam się. Musiałam wciągnąć go w rozmowę. W gadaniu jestem dobra.

– Tak, to suczka – odparł i cmoknął ustami w kierunku psa, a ten dotruchtał do niego i wtulił pysk w jego biodro. – Ma dziesięć lat i nadal wdrapuje się na Smugglersa w dwadzieścia minut.

Ukląkł przy suce i ją objął.

– Dobra dziewczynka – szepnął do niej. Potem spojrział na mnie, mrużąc nieco oczy w słońcu. – Ona ma na imię Florence, a ja Stephen.

– Katherine – powiedziałam. – Bardzo mi miło.

– Jesteś z Nowego Jorku?

– To widać?

– Nie, ale w tym mieście wszyscy się znają, a inni są albo z Nowego Jorku, albo z Chicago. Zaryzykowałam. Wyglądasz bardziej na Nowy Jork niż Chicago.

– Czy to komplement?

– Twoja uroda przyćmiewa słońce, to jest komplement. A to było tylko spostrzeżenie.

Na pewno nie spodziewałam się, że ten silny, przystojny wędrowiec będzie też taki bystry. W sumie wolałabym mieć nad nim przewagę intelektualną. Teraz wiem, jak czuli się ci wszyscy faceci, z którymi się spotykałam.

– Z tego wniosek, że ty jesteś stąd – powiedziałam wreszcie, bo nie mogłam wymyślić nic dowcipnego.

– Pochodzę z Chicago, ale mieszkam tu od piętnastu lat. Powiadają: przyjeżdżasz na zimy, a zostajesz na lata. Jestem tego żywym przykładem.

Wyciągnął z plecaka butelkę i małą miszkę, nalał do niej wody i postawił przed psem.

– Kiedy dorastałem, moja rodzina przyjeżdżała tu na narty – ciągnął. – Ja przyjechałem kiedyś tuż po dwudziestce na letni festiwal muzyczny i już zostałem. Nie wyjadę stąd. Nie ma takiego drugiego miejsca na ziemi.

– Też mam takie wrażenie – stwierdziłam. – Czuję, że to powietrze może przedłużyć życie o dziesięć lat.

– Powietrze, wysokość, ludzie, spodoba ci się tu – powiedział. – Na jak długo przyjechałaś?

– Nie mam pojęcia. Jeszcze nie ustaliłam.

Zrobił na to dziwną minę. Jeśli się nie mylę, wyglądał na zainteresowanego. A może był po prostu serdeczny, gościnnie, dumny ze swojej przybranej ojczyzny, ale chyba nie tylko. Spuścił wzrok i pomyślałam, że przygląda się mojej lewej dłoni.

– No to z przyjemnością pokażę ci okolice – zaproponował. – Byłaś u Jimmy’ego?

– Nie.

– Lubisz hamburgery? Są tam najlepsze na świecie.

– Uwielbiam – powiedziałam. Nie jadłam hamburgera od dziesięciu lat.

– Cudownie. To w centrum. Będziemy tam około szóstej na drinku, wpadniesz?

Serce mi zamarło.

– My? – powiedziałam jakby nigdy nic.

Poklepał psa.

– Florence i ja. Zobaczymy się tam?

Staralam się naprawdę nie dać po sobie poznać, jak bardzo mi ulżyło.

– Do zobaczenia.

Odwróciłam głowę, tak żeby wyglądało to naturalnie, kiedy odchodził. Patrzyłam na dolinę, słuchając, jak trzaskają pękające gałązki za mną. Schodzili razem, mężczyzna i pies, pewnie łąką, wzdłuż Hunter's Creek. Może on szedł w jakieś miejsce, o którym nic nie wiem. W każdym razie musiałam zobaczyć, jak wygląda od tyłu.

– Hej! – zawołałam i obejrzałam się szybko, mogłam więc dobrze rzucić okiem, zanim się odwrócił. W formie, ale bez ekstrawagancji, fajny kształt, ale nie afiszował się z tym. Świetny.

– Dlaczego nazwałeś ją Florence?

– To moje drugie w kolejności ulubione miasto.

– Fajne – przyznałam. Rzeczywiście, uwielbiałam Florencję. – Do zobaczenia wieczorem.

Skinął głową i poszli sobie. Mężczyzna i pies. Cudowny mężczyzna i jego pies. Może niedługo to będzie *mój* mężczyzna i jego pies. Czemu nie? Trafiają się dziwniejsze przypadki.

Kiedy patrzyłam, jak odchodzi, coś się we mnie zmieniło. Na lepsze, pomyślałam, i na zawsze. Od tej chwili, zdecydowałam, naprawdę będę pełna dobroci. Naprawdę będę spokojna, swobodna. Naprawdę będę szczęśliwa. Kto wie, co może się zdarzyć? Może Stephen zrobi dziś pierwszy krok? Może czeka nas jedna szaleńcza noc, która stanie się drogim sercu wspomnieniem, a może będzie to coś więcej, dużo więcej? Może obudzę się w jego łóżku po nocy uniesień i eksplozji uczuć, wyjrzę przez okno, zobaczę słońce wschodzące za górami i zdecyduję, że zrobię jak on, zostanę tu na zawsze? I może będziemy razem...

A może nic takiego się nie zdarzy, ale czy to nie cudowne, że w ogóle mogłoby?

Wstałam, otrzepałam spodnie, podeszłam do brzegu tarasu i przyglądałam się temu wszystkiemu: drzewom, strumieniom, wagonikowi kolejki u stóp gór. Patrzyłam na samolot, który przeciął całe niebo, nim wylądował na lotnisku kilka kilometrów stąd. Horyzont był bezkresny, tak jak moje życie, z nieskończoną liczbą możliwości. Zdałam sobie sprawę, że to właśnie odpowiedź na pytanie, dlaczego warto żyć. Chodzi o cudowne rzeczy, które

mogą się wydarzyć. Jeśli tylko im na to pozwolimy. Stojąc w tamtym miejscu, przeczuwałam, że pewnego dnia spojrzę wstecz i powiem: to był najlepszy dzień w moim życiu.

CZĘŚĆ II

Samantha R.

Forumrakapiersi.org

Greenwich, Connecticut

data dołączenia do forum: 30/9/2011

Cześć, nazywam się Samantha Royce, mam raka piersi.

Czy tak powinno się zacząć?

Nie znam tutejszej etykiety. Ten mój początek przypomina trochę wystąpienia na spotkaniach Anonimowych Alkoholików, na których, przy okazji dodam, też jeszcze nigdy nie byłam, ale widywałam je na filmach i czytałam o nich w książkach. Przedstawiasz się grupie, a potem opowiadasz o swoim problemie. Może podobnie funkcjonuje to w internetowych grupach wsparcia dla osób z rakiem piersi. Naprawdę nie wiem. Podejrzewam, że tak jak wielu innych rzeczy teraz będę się musiała wszystkiego nauczyć.

Myślę, że powinnam wam opowiedzieć trochę o sobie, bo jestem nie tylko pacjentką. I dla mnie to ważne, żebyście o tym wiedzieli. Mam nadzieję, że nie zrozumiecie tego źle. Wiem, że wszystkie jesteście pacjentkami z rakiem, jak ja, i nie chcę tego lekceważyć, naprawdę, ale to mnie nie określa, i jak sądzę, Was też nie. Przypuszczam, że tak jak ja wszystkie jesteście kimś poza tym, czyjaś córką, siostrą, może żoną. Może czyjaś szefową. Ja też, choć nie tym wszystkim. Nie jestem niczym szefem czy żoną i nie jestem pewna, czy kiedykolwiek będę. Chcę przez to powiedzieć, że nie byłam pewna już w zeszłym tygodniu, zanim dowiedziałam się o chorobie, co było jak uderzenie obuchem w łeb, a teraz to tym bardziej.

No to kim jestem? Mam dwadzieścia osiem lat. Wychowałam się w Greenwich, w stanie Connecticut. Uwielbiam sporty, nie tyle im kibicować, ile je uprawiać. Świeże powietrze, wędrowki, jazda na rowerze, bieganie. Jestem wysportowana. Trzy tygodnie temu ukończyłam triathlon Ironmana w Kona na Hawajach. Trzy kilometry osiemset do przepłynięcia, sto osiemdziesiąt kilometrów na rowerze, a potem pełen maraton. Ukończyłam zawody w dziesięć godzin, dwadzieścia trzy minuty i siedemnaście sekund. Nigdy nie czułam się zdrowsza, silniejsza, nigdy w życiu nie czułam się lepiej.

Do głowy by mi nie przyszło, że mogę być chora. Dwa dni po wyścigu wróciłam z ojcem do Nowego Jorku i zaczęłam odbudowywać swoje życie. (To dość długa historia, dlaczego się rozpadło. Pominę szczegóły, może innym razem. Powiem tylko, że wyszłam za niewłaściwego człowieka. Ale nie ma co mi współczuć. Założę się, że małżeństwo to cudowna rzecz, jeśli się wybierze właściwą osobę, i może kiedyś taką znajdę, ale nie będę rozpaczać, jak się nie uda. Takie podejście miałam i przed diagnozą, i teraz).

Planowałam wrócić do pracy w telewizji jako producentka i nadal mam ten zamiar, ale przez kilka tygodni nie mogłam zobaczyć się z dawnym szefem, więc zrobiłam sobie trochę wolnego. Nawet mi się to spodobało, że nie muszę od razu wpadać w wir zajęć. Odwiedziłam starych przyjaciół, jadłam w kilku fantastycznych restauracjach, zaczęłam chodzić do nowej siłowni i szukać dla siebie mieszkania. Było miło, lekko i przyjemnie. Po dwóch miesiącach na Hawajach cieszył mnie zgiełk miasta.

Jedną ze spraw, jakie miałam załatwić, była wizyta u ginekologa. Nie odwiedzałam swojej pani doktor w Greenwich ponad rok, bo podróżowałam, a potem było to nieszczęsne małżeństwo i wiele różnych innych powodów, choćby ten, że miałam dość kazań prawionych mi przez lekarkę. Wiedzicie, moja mama umarła na raka jajników, kiedy miałam ledwie jedenaście lat, a u trzydziestoletniej cioci Judith stwierdzono raka piersi, moja pani doktor wbijała mi więc do głowy, że powinnam zacząć robić sobie mammografię dużo wcześniej niż większość kobiet, i nawet radziła, żebym skonsultowała się ze specjalistą od genetyki, bo historia rodzinna kwalifikuje mnie do grupy wysokiego ryzyka. Doceniam jej troskę, naprawdę, ale jak się jest młodym i zdrowym, to się nie myśli w ten sposób.

Jednak tym razem posłuchałam.

Po części dlatego, że czułam się tak dobrze. Zapewniałam swojemu organizmowi, co tylko najlepsze, na wszelkie sposoby – jedzenie, ćwiczenia, trening. Badania lekarskie pasowały do tego planu. Poza tym, jak wspomniałam, miałam trochę wolnego czasu.

Poszłam więc.

Moja ginekolog umówiła mnie w centrum radiologii piersi na Manhattanie w zeszły wtorek. Kompletnie mnie to nie stresowało. Czułam się silna i po prostu robiłam coś jeszcze dla zapewnienia sobie zdrowia. Przez cały czas, kiedy moja pierś była ściśnięta w maszynie, zastanawiałam się, czy nie zostać weganką, i wyrzucałam sobie, że nie lubię soku z marchewki.

Badanie wcale nie było takie straszne, jak się obawiałam. Najgorsze, że nie wolno wcześniej używać żadnych balsamów do ciała i dezodorantu. Miałam paranoję, że zacznę brzydko pachnieć. Ale samo ściśnięcie piersi w maszynie to nic takiego, trochę niewygodnie, choć na pewno bywało gorzej. Nie miałam też wrażenia, że to trwa długo. A kiedy się skończyło, umyłam się, ubrałam i czekałam, cały czas podejrzliwie węsząc, jak tam moje pachy. Potem przyszła do mnie pani radiolog. Miała dziwną minę. Nigdy takiej nie widziałam. Od razu pojęłam jednak, o co chodzi. Miała dla mnie wiadomość i próbowała nie zdradzić jej wyrazem twarzy.

– Samantho – zaczęła – zrobiliśmy mammografię, USG i kilka dodatkowych ujęć. Stwierdziliśmy nietypowe zwapnienia w lewej piersi. Ze względu na historię rodzinną, o której mówiłyśmy, sądzę, że trzeba zrobić biopsję.

– Co takiego? – spytałam. Słyszałam dobrze, ale po prostu nie wiedziałam, jak zareagować. Mogłam tylko poprosić, żeby powtórzyła to, co powiedziała.

– Masz jakieś nietypowe zwapnienia w lewej piersi. Mogę wyjaśnić ci bardziej szczegółowo, co to znaczy, jeśli chcesz...

– Nie trzeba – przerwałam jej. – Wiem, o co chodzi.

Ale nie wiedziałam. Nie miałam pojęcia, co to znaczy. Zwyczajnie nie chciałam, żeby mi to wyjaśniali.

– Czy powinnam się z kimś jeszcze skonsultować, mieć drugą opinię? – spytałam.

– W zasadzie nie ma potrzeby – stwierdziła. – Jeśli chcesz, żeby ktoś inny popatrzył na twoje zdjęcia, zanim zrobimy biopsję, możemy to zorganizować, ale nie ma wątpliwości, co widzimy. Nie chcę cię straszyć. Możliwe, że w ogóle nie ma się czym przejmować, ale biorąc pod uwagę twoją historię rodzinną, jestem całkowicie pewna, że powinniśmy zrobić biopsję.

– Na kiedy się umawiamy? – spytałam. Potarłam dłonie, wydawały się zimne i lepkie.

– Pozwól, że szybko zadzwonię – powiedziała. – Jeśli dostanę zgodę z ubezpieczeń, zrobimy to od razu.

I tak się stało. Znieczuliła górną część mojej piersi zastrzykiem, potem wbiła w nią igłę i pobrała trochę tkanki. Bolało. Bardzo. Mimo lidokainy. Powiedziała, że będziemy miały wyniki w czterdzieści osiem godzin. To był wtorek, po południu. Chyba w ogóle nie spałam w nocy, w środę też nie. Oduściłam sobie siłownię w ciągu tych dwóch dni. Nie odbierałam

telefonów, nie odpowiadałam na żadne esemesy i e-maile. Czas włókł się niemiłosiernie. Choć dopiero co tryskałam energią i byłam pełna nadziei, nagle popadłam w apatię, ogarnął mnie wielki smutek. Potem zadzwonił telefon. Blisko szóstej, w czwartek wieczorem. Nie rozpoznałam numeru, więc odebrałam.

– Cześć, Sammy.

To była pani ginekolog. Tylko ci, którzy znali mnie od dziecka, jak ona, bo dorastałam z jej synem, tak mnie nazywają. Od dziesięciu lat nie używałam tego zdrobnienia. Nie przeszkadzało mi, że tak się do mnie zwróciła, ale zastanowił mnie ton jej głosu. Miałam wrażenie, że faktycznie stara się, by mnie nie przestraszyć, co przerażało dużo bardziej, niż gdyby nie owijała niczego w bawełnę.

– Jaki jest wynik badania? – spytałam.

– Myślę, że powinnaś przyjść jutro rano, to porozmawiamy.

I w tym momencie nagle wyrwana z apatii wpadłam w panikę. Ręce mi się trzęsły. Odsunęłam telefon od głowy i patrzyłam, jak drży w moich palcach.

– Proszę powiedzieć mi teraz – zażądałam nadal ze słuchawką daleko od ust. – Nie mogę czekać do rana.

Przełączyłam telefon na głośnomówiący i położyłam na podłodze, a potem położyłam się obok, płasko na brzuchu, żeby usłyszeć, jaką ma dla mnie wiadomość.

– Samantha, znaleźliśmy wadliwe komórki, komórki nowotworowe – oznajmiła piskliwym głosem bez wyrazu. – Porozmawiamy o tym osobiście, ale musisz skonsultować się z chirurgiem specjalizującym się w operacjach piersi.

Czułam, jak serce mi wali o drewnianą podłogę.

– To złośliwe komórki, ale nieinwazyjne, co w tłumaczeniu na zwyczajny język oznacza, że to rodzaj, który nie powinien dawać przerzutów, ale trzeba się tym zająć. Kiedy się spotkamy i naradzimy, podam ci nazwisko chirurga od piersi.

Usiadłam po turecku i krzyknęłam w kierunku telefonu:

– Czyli mastektomia?!

– Nie, nie – zaproponowała, a ja słuchając jej, zaczęłam głęboko oddychać, wdech, wydech, jak na początku ćwiczeń jogi. – W dawnych czasach byli

chirurdzy, którzy zajmowali się wszystkim, wycięli dwa pęcherzyki żółciowe, zlikwidowali przepuklinę, a potem operowali pierś. A teraz są specjaliści, którzy zajmują się tylko piersiami. Wyślę cię do jednego z nich.

Zaczynało to do mnie docierać. Właściwie znałam odpowiedź, zanim jeszcze zadałam kolejne pytanie.

– Czyli trzeba będzie mi usunąć pierś?

Pomiędzy moimi kolanami a telefonem zapanowała długa chwila ciszy. Wypełniłam ją najlepiej, jak mogłam, oddechami. Nie spieszyło mi się, żeby usłyszeć, co powie.

– Decyzja nie należy do mnie – odezwała się w końcu. – Podejmiesz ją sama w porozumieniu z chirurgiem. Ale, szczerze mówiąc, przyznam, że to wchodzi w grę, tak.

Nic nie powiedziałam. Nic nie pomyślałam. Wciągałam i wypuszczałam powietrze. Wdech. Wydech.

– Jak wiesz, Sammy, takie przypadki były już w twojej rodzinie – ciągnęła – co oznacza, że jesteś w grupie podwyższonego ryzyka, jeśli chodzi o raka piersi. Możesz spróbować poprzestać na lumpektomii, wycinając tylko zajęte tkanki, ale sądzę, że chirurg porozmawia z tobą o usunięciu całej piersi, i muszę przyznać, że według mnie to byłaby rozsądna opcja.

Położyłam dłonie na piersiach, objęłam je, ścisnęłam. Nieduże, zawsze takie były, ale jędrne i ładne. Naprawdę niewiele o nich myślałam od czasów, kiedy byłam dziewczynką. Lubię je, chyba, ale nie sądzę, żebym aż kochała, i na pewno wiem, że nie są mi niezbędne.

– Mam pytanie – powiedziałam, nadal siedząc po turecku i krzycząc w stronę telefonu – czy jeśli pójdę na operację i wytną mi pierś, to na tym się skończy? Czy to będzie oznaczało, że już po raku i wychodzę na prostą?!

– Nie potrafię jednoznacznie odpowiedzieć. Nie chcę robić ci bałaganu w głowie, wiesz, lekarze bywają czasem jak prawnicy, nie lubimy dawać zdecydowanych odpowiedzi... – Jej głos zanikł.

Otworzyłam oczy, wzięłam telefon, wyłączyłam tryb głośnomówiący i wypaliłam wprost do słuchawki:

– Pani doktor, znam panią od dziecka. Pani znała moją mamę, mnie, całe moje życie. Grałam w butelkę z pani synem Elliotem w szóstej klasie, a on żuł gumę o smaku winogronowym, kiedy mnie pocałował. Teraz proszę, żeby wyjaśniła mi pani szczerze sytuację, nawet jeśli nie powinno się tego robić.

Jak przyjaciółka przyjaciółce, nie lekarz pacjentce, bo jestem śmiertelnie wystraszona i jedyna rzecz, jaka może mi pomóc, to poznanie całej prawdy, niezależnie od tego, czy wiadomość jest dobra, czy zła.

Milczała chwilę.

– Elliot jest już lekarzem – powiedziała. – Pracuje w szpitalu New York Presbyterian na Broadwayu. Jestem pewna, że bardzo chętnie by się kiedyś z tobą spotkał. Zaczekaj, zamknę drzwi.

Usłyszałam stuknięcie, jakby odłożyła telefon, potem jakieś szmery, a potem wróciła i lekko zdyszana odezwała się nieco ściszym głosem.

– No dobrze, wygląda to następująco. Mamy tu do czynienia z kilkoma „a co będzie, jeżeli”, nie mogę ci więc nic obiecać. Ale jeśli to nowotwór nieinwazyjny, czyli taki, który nie powinien dawać przerzutów, i nie znajdą nic więcej po przeprowadzeniu mastektomii, to, w zasadzie, będziesz zdrowa. Nie lubimy twierdzić nic na pewno, i nie chodzi jedynie o krycie własnego tyłka, ale o to, że czasem dzieje się coś nieprzewidzianego, co nie powinno się stać. Ale odpowiedź na twoje pytanie brzmi: tak, w gruncie rzeczy po usunięciu piersi możesz uważać się za wyleczoną.

I w tym momencie podjęłam decyzję, tu, na tej podłodze, z telefonem w dłoni, z jej głosem w uszach, choć cały przekaz jeszcze do mnie w pełni nie docierał. Usłyszałam wszystko, co trzeba. Będą kolejne pytania, ale na nie nadejdzie czas później. Wtedy wiedziałam już wszystko, co chciałam. Chciałam zobaczyć się z chirurgiem jak najszybciej. Poszłabym do niego jeszcze tego wieczoru, jeśliby się dało.

I wiedziałam, kim byłam, kim jestem, może wyraźniej niż kiedykolwiek przedtem.

Jestem zbyt silna, żeby to mnie złamało.

Jestem zbyt zdrowa, żeby dać się pokonać komuś lub czemuś. Jestem zbyt zdecydowana, aby się bać.

I żyję. Czego nigdy nie będę już uważać za oczywistość.

Nie obchodzą mnie moje piersi. I niepotrzebny mi żaden facet, dla którego to miałyby znaczenie. Jeśli z tego powodu straciłabym jakiegoś mężczyznę, to znaczy, że od początku nie był mnie wart.

Zrobię tę operację, a potem wrócę do swojego życia bez wahań. Najważniejsze to mieć w życiu plan, wiedzieć, co chce się osiągnąć, a potem zastanowić się jak i obrać kurs, aby to się udało. Tak też zrobiłam. Widzę

drogę i dokąd ona prowadzi, widzę siebie na jej końcu i bardzo podoba mi się, gdzie i kim będę, kiedy tam dotrę.

Czułabym się zaszczycona, gdyby któraś z Was, czytających to, towarzyszyła mi w tej podróży, a w zamian ja też chętnie przejdę z każdą z Was po Waszych ścieżkach. Czekam na odpowiedź. Na razie mam zamiar dać sobie radę ze wszystkim. Nigdy w życiu nie byłam czegoś aż tak bardzo pewna, jak tego.

Brooke B.

Forumrakapiersi.org

Greenwich, Connecticut

Data dołączenia do forum: 30/9/2011

Pamiętam dobrze słodkie szesnastki.

To ważny etap w życiu dziewczyny, przynajmniej w moich stronach. Niektóre koleżanki wyprawiały przyjęcia urodzinowe z okazji szesnastych urodzin jako momentu wejścia do świata dorosłych. Zaczęłam być na nie zapraszana, od kiedy skończyłam jakieś dwanaście lat. Było bardzo elegancko, tak jakby się miało uczestniczyć w gali oscarowej co weekend. Musiałam za każdym razem mieć inną sukienkę, co oznaczało, że czasami potrzebowałam dwóch czy trzech nowych miesięcznie, i tak to trwało przez cztery lata.

Następny etap to ten, kiedy moje przyjaciółki zaczęły wychodzić za mąż. Kolejny regularny cykl, który zaczął się, kiedy miałam dwadzieścia dwa lata – Scott i ja musieliśmy uczestniczyć w jakichś trzydziestu ślubach, a ja byłam drużną na przynajmniej połowie z nich. To był cały rytuał. Wybieranie sukien dla druhen, narzekanie na kolory za plecami panny młodej, organizowanie wieczorów panieńskich w nocnych klubach i herbaciarniach. Fryzury, makijaż, pończochy, łyzy wzruszenia – i tak przez trzy lata.

Szybko potem weszliśmy w kolejny etap. Dzieci. Z mojej grupy pierwsza matką została Jill Armel. Byłyśmy wtedy jeszcze takie młode i niedoświadczone. Cztery z nas poszły odwiedzić ją w szpitalu parę godzin po porodzie. Nigdy nie zapomnę jej widoku, tak była wyczerpana i blada. Rodziła jedenaście godzin. Spytałam ją wesoło: „Jak się masz, kochanie?“, a ona naburmuszona odparła: „Nie siusiałam od dwóch dni”. To mnie trochę otrzeźwiło.

Od tamtej pory tak się to posypało, w mojej grupie dziewczyn, które, jedna

po drugiej, zmieniały te okropne suknie drухen na podobnie okropne ciężowe swetry i ogrodniczki. Chyba w jednym roku wydałam cztery tysiące dolarów w sklepie dla matek Liz Lange, a nie byłam jeszcze w ciąży. To były prezenty, kolejny etap mojego życia.

Następny okazał się straszny. Fala ruszyła, kiedy dobiegałyśmy trzydziestki, same młode mamy, a nasi rodzice zaczęli umierać. Pamiętam, że pierwszy umarł tata Davida Michela. Miał sześćdziesiąt jeden lat i raka wątroby. Sam był onkologiem, bardzo znanym w Greenwich. Pamiętam, że mama nie potrafiła zmusić się, aby pójść na pogrzeb. „To był taki miły człowiek”, powiedziała. „Mam wrażenie, że znałam go całe życie”. Ja na pewno tak. Wszystkie mamy i ojcowie moich rówieśników byli dla mnie jak rodzina, a raptem, jedno po drugim, zaczęli odchodzić. Tu zawał, tam niewydolność nerek, szło to falami. Wreszcie przyhamowało. Teraz też się zdarza, ale nie tak często jak wtedy. I tak, kiedy tu siedzę dziś wieczorem i przedstawiam się Wam, przerażona, zszokowana, niezdolna zaakceptować faktów, pełna lęku, smutku i poczucia winy, nie potrafię przestać myśleć o tym, czy nie zaczynam dla innych kolejnego etapu. Staje mi przed oczami straszna wizja, jak moi przyjaciele spotykają się za dziesięć lat na drinku i wspominają ten czas, kiedy zaczęli umierać ich koledzy. I to o *mnie* będą mówić, tak jak ja opowiadam o Jill w szpitalu. Prawie już słyszę te westchnienia: „Brooke poszła pierwsza. Rak piersi”. I parę razy przycisną do oczu papierowe chusteczki. „Biedactwo, miała dopiero czterdzieści lat”.

Nie mam pojęcia, jaki obowiązuje tu *savoir-vivre*. Całe życie szczyliłam się tym, że wiem, co kiedy „wypada”. To było ulubione określenie mamy, kiedy byłam mała. Używała go w przeróżnych kontekstach.

Na odpowiednio zorganizowanym przyjęciu nie wypadałoby posadzić nas obok siebie.

Wypada powiedzieć: „Tak, tatusiu, dziękuję”. Proszę, trzymaj widelec, jak wypada, dziewczynka, która nie umie zachować się przy stole, jest jak wiosna bez słońca.

Maniery przy stole to była wielka sprawa. W wieku sześciu lat zaczęłam uczęszczać na lekcje etykiety, na których uczyłam się ogłady w sytuacjach towarzyskich. Chodziłam na takie zajęcia, kiedy większość moich przyjaciół szła na religię. Dla mojej mamy religią była kultura osobista...

Wiem, że niektóre dziewczynki buntowałyby się przeciwko takiemu dzieciństwu, ale ja nie. Wręcz odwrotnie: lubiłam to. Lubiłam używać

odpowiedniego widelca do pierwszego dania kolacji. Lubiłam wiedzieć, jak odpowiednio zareagować na zaproszenie. Lubiłam to wszystko i nadal lubię – życie jest dużo łatwiejsze, kiedy wiadomo, jak kiedy się zachować. Między innymi dlatego to teraz takie trudne. Nie mam bladego pojęcia, jaka jest właściwa reakcja na wiadomość, że się ma potrójnie negatywny nowotwór piersi. To stało się tak szybko, że mam wrażenie, jakby dotyczyło kogoś innego, jakiejś powieściowej postaci, której teraz naprawdę współczuję.

Jestem kobietą, która w życiu stykała się tylko z dwoma lekarzami – ginekologiem i pediatrą. I z tej dwójki dużo częściej spotykam się z pediatrą, doktorem Marksem. Jest młody, przystojny, zabawny i uroczy. Często myślałam, że z takim właśnie facetem mogłabym mieć romans, gdybym miała romanse (a to, muszę zaznaczyć, wykluczone, nigdy w życiu). Wspomniałam doktorowi Marksowi, jakiś miesiąc temu, kiedy wpadliśmy na siebie przypadkiem w aptece, że mój mąż właśnie kończy czterdzieści lat, i ja też, za parę tygodni. A on, jak to on, spytał, czy umówiłam się już na pierwszą mammografię. Powiedziałam, że myślałam o tym. Kazał mi obiecać, że jeszcze tego samego dnia zadzwonię do ginekologa. I może dlatego, że jest taki fajny, zrobiłam, co polecił. Tydzień później byłam na oddziale radiologicznym w Greenwich, bez bluzki.

– Poznaje pan, czy są prawdziwe? – spytałam technika, żeby go rozśmieszyć, kiedy manewrował przy moich piersiach w najmniej seksualny sposób, jaki można sobie wyobrazić.

– Tak.

– Myślałam o implantach – powiedziałam. – Czy utrudniają badanie?

– Niespecjalnie, nie.

– Chyba za dużo gadam, jak się denerwuję – stwierdziłam.

– Nie ma się czym denerwować – uspokoił mnie, kiedy ścisnął moją pierś maszyną, która była błyszcząca, zimna i pachniała sprayem, którego używam przy odkurzaniu płyt. – Nie ma tu nic strasznego.

Okazało się, że co do tego nie miał racji.

Gdybym naprawdę była postacią z powieści, to następny rozdział zaczynałby się tym, że radiolog mówi o cieniu, jaki widzi. Coś bardzo małego, zbyt małego, bym to wyczuła, byłby zaskoczony, gdybym potrafiła to wyczuć. USG wykazuje zwapnienie, które wymaga biopsji. Pyta, czy chcę najpierw zadzwonić do męża. Mówię, że nie. Tak naprawdę nie słucham. Albo słucham,

ale nie słyszę, nic do mnie nie dociera. Tak jakby dotyczyło to kogoś innego. To jakaś fikcja, kiedy mówią ci, że masz raka, nawet gdyby chodziło o postać z powieści.

Potem radiolog dezynfekuje skórę piersi watką, miękką, mokrą i bardzo zimną, i zaraz wbija mi igłę. Robi mi biopsję monitorowaną obrazem USG. Boli, ale nie aż tak, żebym płakała. Zresztą nie wiem, czy potrafiłabym w ogóle płakać. Trudno mi oddychać. A potem po prostu jestem w aucie, wracam do domu. Przez czterdzieści osiem godzin nie będzie wyniku. Na szczęście mąż wyjechał. Pewnie zadzwoni późno wieczorem. Dam sobie radę. Najpierw muszę przebrnąć przez kolację.

Kiedy przyjeżdżam, dzieci są już w domu. Jedno potrzebuje pomocy przy pracy domowej, drugie martwi się, bo „Connor powiedział, że jestem głupi”. To dla nich prawdziwe problemy. Potrzebują mnie, a ja jak zawsze jestem cała dla nich. Pomagam w matematyce, i rozmawiamy, jak powinno się zwracać, a jak nie do kolegów. „Nie wolno nikogo przezywać”, tłumaczę. „Nie wypada tak się zachowywać w szkole”. W myślach słyszę głos mamy.

Planowałam zrobić łososia na kolację, ale teraz nie jestem w nastroju na tyle zachodu, stawiam więc na kuchni garnek z wodą, żeby się zagotowała. Makaron z oliwą, trochę masła, parmezan. Wiem, że dzieci to lubią. Nawet nie robię warzyw, choć zwykle wymagam, aby je zjadły, jeśli chcą dostać deser. Poza tym miałam wrażenie, że zachowuję się całkiem normalnie, dopóki moja córka nie zauważyła:

– Mamusiu, jesteś smutna.

Siedzę przy stole. Dzieci po moich bokach. Jedzą. Dociera do mnie, że zupełnie nie pamiętam, jak nakrywałam do stołu, odcedzałam makaron, dodawałam masło, posypywałam serem, nalewałam mleko.

– Przepraszam, kochanie – mówię z uśmiechem, który przychodzi mi łatwiej, niżbym się spodziewała. – Pewnie tęsknię za tatą.

– Czemu nie napijesz się trochę wina? – pyta syn.

– Nie wiem, kochanie, myślę, że może przez jakiś czas nie będę pić wina.

Dzieci wymieniają spojrzenia.

– Mamo – mówi Jared po chwili. – Nie jestem pewien, czy to taki dobry pomysł.

Zaczynam się śmiać, aż łzy ciekną mi po policzkach, przepraszam dzieci, biegnę do łazienki i rozkręcam mocno kran. Jestem pewna, że to zagłuszy mój

płacz.

Nawet nie pamiętam, jak wróciłam do stołu ani co powiedziałam, ani jak usprawiedliwiłam przed dziećmi swoje łzy. Kolejne, co sobie przypominam, to jak śpią mocno w swoich łóżkach, a ja stoję w małym hallu pomiędzy ich pokojami. Widzę w półmroku, jak spokojnie oddychają. Nie ma piękniejszego widoku na ziemi niż moje śpiące dzieci. Są idealne i moje.

– Czego więcej może pragnąć kobieta? – zadaję na głos pytanie.

Potem dzwoni telefon. Jestem gotowa. To Scott i wiem, czego chce. I dam mu to. To nie jest taki zły pomysł, tak naprawdę, wręcz przeciwnie. To chyba normalne, a w tej chwili „normalne” brzmi cudownie.

– Cześć, duży – mówię tak kusząco, jak tylko mogę, wślizgując się pod kołdrę na naszym wspólnym łóżku. – Co mogę dla ciebie zrobić?

Konwersacja nie trwa długo, tak jest prawie zawsze. A potem leżę sama w swoim pokoju, patrzę w sufit i czekam, aż moje oczy przywykną do ciemności. I myślę o ulubionej powieści, z bohaterką, którą uwielbiam. Książka ma tytuł *Hotel New Hampshire*, a dziewczyna nazywa się Franny. I pewnego razu, kiedy Franny jest zrozpaczona, a ktoś pyta, czy może jej jakoś pomóc, ona mówi: „Dajcie mi tylko dzień wczorajszy i większość dzisiejszego”. I zdaję sobie sprawę, że właśnie tego chcę. Dnia wczorajszego i większości dzisiejszego.

NASTĘPNY ROZDZIAŁ ZACZYNA SIĘ dwa dni później, kiedy znów dzwoni telefon. Po drugiej stronie odzywa się głos, którego nie znam.

– Dzień dobry, Brooke, tu doktor Downey.

Przez chwilę nie mogę skojarzyć żadnego doktora Downeya. Potem przypomina mi się infekcja gardła dwa lata temu. To lekarz pierwszego kontaktu i kiedy firma mojego męża zmieniała ubezpieczyciela, musiałam wybrać sobie internistę i wskazałam doktora Downeya. Choć nie widziałam go od tamtej pory ani razu, jego nazwisko jest na wszystkich moich papierach ubezpieczeniowych. I dlatego odbieram telefon, na który czekam tak niecierpliwie, od prawie nieznaney mi osoby.

– Witam, doktorze – mówię ze ściśniętym gardłem.

– Mam nadzieję, że będziesz mogła wpaść do przychodni dziś rano – mówi.
– Są już wyniki badań, które robiłaś, i myślę, że powinniśmy o nich porozmawiać.

A potem jestem w jego całkiem mi obcym gabinecie, patrzę na jego kompletnie obcą mi twarz i słucham jego całkiem obcego głosu.

– Stwierdziliśmy nowotwór piersi – oznajmia. – Inwazyjny. To znaczy, że mógł zająć węzły chłonne. Myślimy, że jest na ograniczonym obszarze, ale trzeba zrobić trochę więcej badań, żeby mieć pewność. Mam nazwisko wspaniałego chirurga od piersi tu, w Greenwich, i radzę umówić się do niego na wizytę. Oczywiście jeżeli masz innego chirurga, z którym wolisz się skontaktować, to idź do niego czy do niej. Ale w każdym razie następnym krokiem ma być konsultacja z chirurgiem od piersi.

Gdybym była Wami, to w tym miejscu odłożyłabym książkę. Nie znoszę, kiedy takie rzeczy zdarzają się bohaterom, których lubię. Nie zliczę, ilu książek nie doczytałam do końca, bo nie podobało mi się, dokąd zdawała się zmierzać narracja. Jeśli więc to byłaby powieść, którą czytam, to nie chciałabym brnąć dalej. Ale kiedy jest się głównym bohaterem, to nie ma się wyboru.

Jeśli nadal czytasz, to jesteś odważniejsza niż ja.

Następna scena ma miejsce sześć dni później, najpierw w sali operacyjnej, gdzie chirurg przeprowadza lumpektomię, wycina guz z piersi i wpuszcza kontrast, który popłynie do określonego węzła chłonnego pod pachą. A potem przewożą mnie do salki pozabiegowej i czekam. Czekam. A sekundy wloką się jak godziny, tak jak wtedy, kiedy bliźniaki były malutkie, a ja siedziałam z nimi w domu sama i w niektóre dni dzieci kaprysiły, nie dało się ich zabawić i wtedy czas jakby stawał w miejscu. Różnica polega na tym, że teraz często tęsknię za tamtymi dniami, ale jestem całkiem pewna, że za tym, co przeżywam w szpitalu, tęsknić nie będę.

Potem, nareszcie, doktor wraca i wiadomość jest dobra.

– Brooke, wycięliśmy guz, ma około sonometra i pół...

– To znaczy ile? – pytam.

– Około dwóch i pół centymetra.

Podoba mi się twarz lekarza. Nie chodzi mi o to, że jest przystojny, ale że nie wygląda na zmartwionego. Zapewne miałby inną minę, gdyby przyszedł powiedzieć mi, że mam umrzeć.

– A najważniejsze, że badanie węzłów chłonnych dało wynik negatywny – ciągnie.

– To dobrze?

– Bardzo dobrze, tak – mówi. – Pewnie przyda się tylko trochę naświetlań, żeby zapobiec odnowieniu się nowotworu w piersi, co oznacza, że pewnie unikniemy mastektomii. Powinnaś jeszcze skonsultować się ze specjalistą, by zdecydować, czy inne formy leczenia wchodzą u ciebie w rachubę.

– Mówisz tak, jakbym miała tu jakiś wybór.

– Oczywiście, że masz – mówi. – Jesteś pacjentką. To twoje ciało i twoje życie, więc to ty powinnaś podejmować decyzje. Nie zapominaj o tym.

Nie zapomnę. Tak naprawdę to właśnie te słowa najmocniej wryły się mi w pamięć podczas całej tej męki.

Następny rozdział dzieje się w innej przychodni. Teraz słucham, jak onkolog, specjalizujący się w raku piersi, wyjaśnia mi, co ma na myśli, kiedy mówi: „Pierś i reszta”.

– Twój nowotwór jest potrójnie negatywny – tłumaczy. – To znaczy, nie reaguje na hormony i wiele innych leków, jakie zwykle stosujemy, ani terapie, o których mogłaś czytać w prasie.

Kiwam głową, choć nigdy nie czytałam nic o metodach leczenia raka. Unikam historii o raku w czasopiśmie i w ogóle.

– Zastosujemy chemię – ciągnie dalej – bo to daje nam większą pewność, że nie pojawią się przerzuty gdzieś poza piersią.

– Zaraz, chyba nie rozumiem – mówię. – Miałam mały guzek w piersi. Usunęli go. Rak nie zaatakował węzłów chłonnych. Po co mi chemioterapia?

Wyraz twarzy doktora się zmienił, troszeczkę. Teraz wygląda bardziej jak profesor, który tłumaczy coś studentowi.

– Na podstawie badania patologicznego, wielkości guza i innych czynników nie możemy wykluczyć, że nowotwór pojawi się gdzieś indziej. Dlatego robimy naświetlania piersi, a chemię na resztę. Nazywamy to podejście „pierś i reszta”.

Zastanawiam się nad tym chwilę, starając się myśleć jasno. Nadal nie jestem pewna, czy rozumiem.

– Ale po co robić to teraz? – pytam.

– Jeśli poczekamy, aż nowotwór pojawi się gdzieś indziej, stracimy naszą szansę. Możemy podjąć terapię, kiedy zaatakuje wątrobę, mózg czy kości, ale na razie naszym celem byłoby wyeliminowanie go.

– Ale...

Naprawdę nie wiem, co powiedzieć po tym „ale”. A może tak wiele jest do powiedzenia, że nie wiem, od czego zacząć. Zadaję więc pytania, mnóstwo. A lekarz jest cierpliwy i chce mi pomóc, ale nigdy nie mówi tego, co chciałabym usłyszeć. Nie pozwala mi odzyskać mojego wczoraj i większej części dnia dzisiejszego.

W końcu proponuje:

– Brooke, powiem ci to wprost, na ile potrafię, i mam nadzieję, że wybaczysz ten język, ale nie przychodzi mi do głowy, jak to lepiej ująć: czas się zesrać albo wstać z nocnika. Nie za kilka lat lub nawet kilka miesięcy. Najlepszym sposobem na pokrzyżowanie szyków tej chorobie, zminimalizowanie ryzyka nawrotu, jest to, co nazywamy naświetlaniami wspomagającymi na pierś i wspomagającą chemoterapią na resztę twojego organizmu. Chemia będzie nakierowana na wszystkie mikroskopijne komórki, których obecnie nie da się wykryć. A celem jest to, żeby nigdy nie stały się one problemem.

I w tamtej chwili powiedziałam mu, że muszę jechać do domu. To po prostu za dużo naraz. Rozumiem, co mówi, i niedługo wrócę, tak szybko, jak mi każe, ale nie mogę o tym dłużej rozmawiać. I, ku memu zaskoczeniu, on mnie nie krytykuje, nie beszta, nie straszy. Widzę zrozumienie w jego twarzy, w tonie jego głosu, kiedy woła pielęgniarkę i prosi, by zapisała wizytę na jutro, nawet jeżeli będzie to wymagało odwołania innych pacjentów.

I tak to dzisiaj było.

Jutro tam pójde. Dzisiaj mam opiekunkę do dzieci, jest z nimi na dole. Zadzwoniłam do niej i poprosiłam, żeby przyszła na noc, bo ja chyba mam grypę. Chciałabym. Nie sądziłam, że kiedykolwiek coś takiego może mi się marzyć, ale teraz grypa wydaje się czymś tak dobrym, normalnym. A ja czuję się tak daleko od normalności. Nie mam pojęcia, kiedy mogę się spodziewać, że znów poczuje się normalnie. Tak bardzo bym tego chciała. Nigdy nie pragnęłam niczego innego. Chcę wczorajszego dnia i większości dzisiejszego.

Czy ktoś tu powie mi, jak to zdobyć?

Prywatna wiadomość (PW)

Od: Samantha R.

Do: Brooke B.

Forumrakapiersi.org

Cześć, Brooke, mam na imię Samantha.

Też jestem z Greenwich. Skończyłam Greenwich Academy w 2001 roku. Ty też tam studiowałaś? (Czy może być jakieś mniej zręczne przedstawienie się niż to? Przepraszam, to mój pierwszy prywatny e-mail na tym forum).

Moja sytuacja jest nieco inna od Twojej. Tak naprawdę całe moje życie jest inne niż Twoje. Nie mam męża ani dzieci i podejrzewam, że nie ma gwarancji, czy kiedykolwiek będę mieć jedno albo drugie. Ale za to czeka mnie podwójna mastektomia w przyszłym tygodniu. Lekarz twierdzi, że mimo wszystko będę mogła rodzić dzieci, jedyny skutek operacji to, że nie da się karmić ich piersią. W tej chwili wydaje się mi, że to drobiazg. Wyobrażam sobie, że jeśli kiedyś dojdę do tego etapu, to może nie być drobiazg, ale teraz naprawdę nie planuję tak daleko naprzód. Skupiam się na tym, co właśnie się dzieje, na dziś, może na jutrze, ale niewiele dalej.

Nie piszę do Ciebie dlatego, że jesteśmy z tego samego miasta. Może z tego powodu zwrócił moją uwagę Twój wczorajszy wpis wśród setek innych, ale nie z tej przyczyny czytałam go wiele razy, tak wiele, że mogłabym chyba wyrecytować go z pamięci. To nie z tego powodu czuję, że Cię znam, choć nigdy się nie spotkałyśmy. To nie dlatego odzywam się do Ciebie teraz. Piszę, żeby Ci podziękować, bo dzięki Tobie zdałam sobie sprawę, że lodówka przestała hałasować. I, jak się okazuje, to była najważniejsza rzecz, jaka przydarzyła mi się podczas tych wszystkich przejść.

Widzisz, jestem płaczką. Straszna. Tak jak inni zachowują się na koniec wyciskacza łez w kinie, ja często reaguję na reklamy telewizyjne. Zasłynałam tym, że szlocham po reklamie subaru. Wiem, to żałosne, ale nie mogę się opanować.

I dlatego ciekawe – nawet nie zauważyłam, że ani razu nie zapłakałam nad swoją diagnozą. Chodzi mi o to, że ryczę, jak jakaś mama wybiera sobie płatki na śniadanie, a nie uroniłam łzy, kiedy lekarz powiedział: „Samantho, masz raka”. Nie płakałam tamtego dnia i od tamtej pory. Ani razu.

Aż do zeszłej nocy.

Jak mówiłam, z początku otworzyłam Twój wpis, bo jesteśmy z jednego miasta. To był może pięćdziesiąty post, jaki czytałam, od kiedy włączyłam się do dyskusji na forum w zeszłym tygodniu. Wszystkie mnie poruszyły, zainspirowały, sprawiły, że poczułam się mniej samotna. Zrobiły to, po co, jak sądzę, wszystkie tu jesteśmy. Ale żaden nie dał mi tyle, ile Twój.

Doprowadziłaś mnie do płaczu i dziękuję Ci za to.

Też czytałam Johna Irvinga. Mam chyba wszystkie jego książki i kiedy zacytowałam Franny, która mówi, że chce dnia wczorajszego i większości dzisiejszego, przypomniałam sobie to zdanie. I Franny. Zdałam sobie sprawę, że ona miała całkowitą rację, jak Ty. Ja też tego chcę. Tego wszystkie chcemy. Obudzić się i niechby było wczoraj, przed badaniami i lekarzami, i decyzjami. Chciałabym pamiętać, czym martwiłam się wczoraj. Cokolwiek to było, dziś chętnie bym to wzięła na siebie.

Położyłam się do łóżka z laptopem i czytałam Twoje słowa stale od nowa, a potem zaczęłam płakać. Nagle zrobiło się tak, jak w chwili, kiedy lodówka przestaje hałasować, i zdajesz sobie sprawę, że nawet nie uświadamiałaś sobie tego szumu, dopóki nie ucichł. To było właśnie takie uczucie. Nawet nie zdawałam sobie sprawy z tego, że nie płakałam, dopóki Ty nie doprowadziłaś mnie do łez. Siedziałam więc tam, w pełni świadoma ciszy, która zastąpiła szum, i szlochałam, siedząc samotnie na łóżku, z Twoim wpisem na ekranie przed sobą. Nie miałam chusteczek ani nic, ale było mi wszystko jedno. Pozwoliłam łzom płynąć, gdzie chciały.

Teraz czuję się sobą bardziej niż przedtem. Nie jest całkiem tak jak wczoraj albo przez większość tego dnia, ale jest lepiej, niż było i mam wrażenie, że będzie jeszcze lepiej, może nawet już jutro. Czuję, że powinnam Ci za to podziękować, przynajmniej częściowo, bo musiałam wreszcie usłyszeć, że lodówka szumi, a dopiero Twój post mi to uświadomił.

Proszę, nie czuj się zobowiązana mi odpisać. Wiem, ile masz teraz na głowie, możesz nie mieć czasu ani potrzeby, aby z kimś korespondować. Chciałam tylko dać Ci znać, nawet jeśli to tylko głos wołający na puszczy, że Twoje słowa zostały przeczytane i bardzo komuś pomogły.

Będę jednak śledzić Twoją historię, na ile zechcesz się nią dzielić w tych tygodniach, i wiedz, że z całego serca trzymam palce za bohaterkę Twojej powieści.

Serdeczności

Samantha z Greenwich

Brooke B.

Forumrakapiersi.org

Greenwich, Connecticut

Data dołączenia: 30/9/2011

Następnego ranka leżałam w wannie.

Woda była gorąca, aż parzyła. Od dziecka uwielbiam się kąpać, ale rzadko sobie na to pozwalam, prysznice są dużo bardziej efektywne. Ale to nie był ranek, żeby myśleć o tym, co jest, a co nie jest efektywne. Musiałam się trochę zastanowić i wczuć w sytuację, choć nie byłam całkiem pewna, czy dam radę. Od kilku dni chodziłam odrętwiała, i robiło się coraz gorzej, w ostatnich godzinach zupełnie nie do wytrzymania. Obudziłam się dziś wyprana z wszelkich emocji, nie czułam nic. Chciałam zobaczyć, czy zareaguję na gorącą wodę, i udało się, ale tylko trochę. Nie tak, jak powinnam. Przypominało to smak soku pomarańczowego zaraz po umyciu zębów – wiesz, że jest, ale nie ma w nim tego, za co go lubisz.

W nocy spałam tak mocno, że sama byłam tym zaskoczona. Nie spodziewałam się, że w ogóle zasnę. Tymczasem spałam twardo i długo, a kiedy się obudziłam, poduszka była wilgotna. Opiekunka do dzieci nocowała u nas. Zajmie się dziećmi rano. Wyprawi je do szkoły. Czastka mnie rozpaczliwie chciała być z nimi na dole, nalewać im mleko do płatków, pakować do plecaków drugie śniadanie, wyściskać, pożartować, pouśmiechać się i ucałować ich buzie. Poranki to najlepszy czas dla dzieci, zanim codzienne obowiązki odbiorą im część energii. Rano mają najwięcej czasu i uczucia dla mamy. Ale już pierwszy zmarszczony nosek, jaki zobaczyłabym na dole, mógł wywołać u mnie histerię, nad którą nie umiałabym zapanować. Wolałam więc pozostać w odrętwieniu. Lepiej wypróbować gorącą wodę, sprawdzić, czy ją czuję, i zrobić to w samotności. Będą jeszcze inne poranki w kuchni. Choć może już nigdy nie zdarzy się kolejny taki, jak ten.

Kiedy zanurzałam stopę w wannie, uświadomiłam sobie, że nie tylko spałam tej nocy, ale coś mi się śniło, co też było niezwykle. Rzadko już miewam sny. Jak czasem mówię Scottowi: nie potrzebuję śnić. Wszystko, czego chcę, mam na jawie.

Ale teraz, kiedy zanurzałam się w parującej wodzie, zatrzymując się chwilami, by przyzwyczaić ciało do jej temperatury – czując, jak parzy, ale tylko trochę – myślałam o tym, co mi się śniło. I kiedy wreszcie całkiem się zanurzyłam, wstrzymując oddech, zaciskając palcami nos, znów zobaczyłam to wszystko pod zamkniętymi powiekami.

Zaczęło się przy schodach prowadzących z garażu do domu. Byłam sobą,

ale z dawnych czasów, miałam trzynaście lat, i towarzyszyła mi babcia, po której otrzymałam imię i która zmarła, gdy byłam w tym wieku. Bardzo ją kochałam i nadal czasem smutno mi, że nie miała szansy zobaczyć domu, w jakim teraz mieszkam. Bardzo by się jej tu podobało. Jest urządzony w najdrobniejszych szczegółach, tak jak zrobiłaby to babcia. Uzmysłowiłam sobie, że podejmując większość decyzji, zastanawiam się, co by na to powiedziała babcia. Uświadomiłam to sobie w wannie, z głową pod wodą. Nie we śnie. W nim miałam trzynaście lat i oprowadzałam babcię po domu, którego nigdy nie widziała, bo nie żyła dość długo.

Zatrzymywałyśmy się co dwa, trzy stopnie. Nie pominęłyśmy żadnego drobiazgu. Żaden centymetr kwadratowy nie pozostał bez komentarza. Lustro na ścianach na podeście z tyłu schodów. Seria zdjęć dzieci w tylnym korytarzu. Obraz, który Scott kupił od malarza na ulicy w Paryżu za niecałego dolara. Szafki, przybory kuchenne, kieliszki do wina, stołki, na których siadamy do śniadania, dywan w wejściu, meble w salonie, biurko z kałamarzem. Chodnik na schodach głównych, żyrandol w dużym pokoju, kolory ścian w pokojach dzieci, pościel w naszej sypialni. We śnie opowiadałam z dumą o tym wszystkim, niby licencjonowany przewodnik w muzeum. Każdy z moich wyborów był dokonywany przy babcinej niemej akceptacji. I to sprawiło, że, choć moja głowa była nadal pod wodą, na moment oczy zaszyły mi łzami, bo zrozumiałam, że w pewien sposób babcia nadal jest ze mną. Najprzyjemniejszą częścią mojego snu było pokazywanie jej wszystkich zdjęć na ścianie między pokojami dzieci. Czasy, kiedy chodziłam ze Scottem, ślub, na którym rolę „czegoś starego” odegrała babcina broszka z brylancikami, a potem fotografie dzieci, które dostały imiona na jej cześć – bo babcia miała na drugie Megan, a nazwisko Jarret, i stąd wziął się Jared. Czy zrobiłam to świadomie? Z Megan tak, oczywiście, ale jak to było z Jaredem, nie potrafię sobie przypomnieć. Wiem tylko, że powiedziałam Scottowi: „Zawsze bardzo mi się podobało imię Jared”. I na tym stanęło. We śnie oznajmiłam babci, że mój syn otrzymał je ze względu na nią. Kiedy tak leżałam w wannie, po raz pierwszy dotarło do mnie, że to prawda.

Sen skończył się ciepłym uśmiechem babci, takim, z jakim najbardziej lubię ją wspominać, a w powietrzu jakimś cudem unosił się zapach pieczonych przez nią ciasteczek. Babcia powiedziała: „Ogromnie się cieszę, że właśnie tak ułożyło ci się życie”.

A ja, trzynastoletnia, odparłam: „Ja też. Gdybym już teraz zobaczyła wszystkie te zdjęcia, pomyślałabym, że będę miała najlepsze życie na

świecie”.

„Tak, kochanie, powiedziała babcia na koniec tego, co ze snu pamiętam. Masz wszystko, o czym tylko można marzyć”.

Usiadłam w wannie i pozwoliłam wodzie ściekać mi z włosów, a potem mocno potarłam twarz dłońmi. Nabrałam nieco sił, choć nadal niewiele czułam... Może na szczęście. Popatrzyłam na zegar w radyjku, którego mąż słucha podczas golenia. Dzieci poszły już do szkoły, ale ja bardzo chciałam zostać w wannie jeszcze kilka minut. Nie umiałabym zmusić się do pośpiechu. Leżałam więc i pozwoliłam włosom znów się zanurzyć i wtedy dotarło do mnie, że ani razu, odkąd wszystko to się dzieje, nie pomyślałam, że babcia, mama mamy, umarła tak młodo na raka.

Spóźnię się na wizytę. Piszę teraz, choć już powinnam tam być, a z zasady nigdy się nie spóźniam... Ale dziś wydaje się to bez znaczenia. Nie wypada kazać na siebie czekać, ale dziś mi to specjalnie nie przeszkadza, nie tak, jak powinno.

PW

Od: Samantha R.

Do: Brooke B.

Forumrakapiersi.org

Cześć, Brooke,

piszę do Ciebie z pokoju 324 A szpitala w Greenwich, tego samego, gdzie się urodziłam, a może i Ty też. Dużo o tym myślałam, tak jakby życie zatoczyło krąg, co brzmi jak banał, ale dla mnie to istotne odkrycie.

Jako dziewczynka spędziłam sporo czasu w tym szpitalu... Nie z powodu choroby. Mój ojciec był prezesem zarządu. Musiałam towarzyszyć mu podczas setek akcji zbierania funduszy. Niektóre pamiętam bardzo dobrze, szczególnie wspaniałe imprezy świąteczne, z błyszczącymi dekoracjami, reniferem i odwiedzinami Świętego Mikołaja. Kiedy trochę podrosłam, chodziłam też na kolacje z tańcami. Eleganckie suknie, stoły przystrojone kwiatami, orkiestra na żywo grała standardy jak *It Had to Be You*. Mój pierwszy wolny taniec z chłopakiem zaliczyłam właśnie w tym szpitalu, na jednym z takich balów. Uprawiałam wtedy sporty, byłam dziewczyną, która nie poświęca zbyt wiele uwagi strojom czy fryzurze. Nie interesowali mnie też specjalnie chłopcy. Może dlatego, że nie wydawało mi się, aby oni się mną interesowali...

Miałam czternaście lat. Tata oddalił się od stolika, żeby napić się whisky i porozmawiać o interesach, a ja zeszkrobywałam dekoracje z tortu czekoladowego, gdy podszedł do mnie Andrew Marks. Był w szkole o dwie klasy wyżej niż ja, przystojny, wysportowany i inteligentny, kapitan drużyny koszykówki i przewodniczący klubu dyskusyjnego, co dla mnie, jak by kto pytał, jest wymarzoną kombinacją. Jego ojciec był ordynatorem na pediatrii, widywałam więc Andrew podczas wielu szpitalnych akcji od lat, ale nigdy z nim nie rozmawiałam. Nie sądziłam, że w ogóle wie, kim jestem.

Aż tu nagle stał nade mną. Nie wiem, jak długo. Na takich imprezach przewija się zawsze mnóstwo ludzi, a ja skupiałam się na lukrze tortu, ale w końcu zorientowałam się, że ktoś mi zagląda przez ramię, i kiedy się odwróciłam, byłam pewna, że Andrew mnie nie poznał.

– Cześć, nazywam się Andrew Marks – wyrecytował sztywno, jakbyśmy znajdowali się na zajęciach z savoir—vivre’u, ćwicząc właściwą formę poproszenia młodej damy do tańca, i to była jego pierwsza kwestia. – Miałabyś ochotę zatańczyć?

Jak wszystkie dziewczęta wcześniej podkochiwałam się w tym i owym, ale dopiero wtedy poczułam, co to znaczy, kiedy serce zabije mocniej i zapiera ci dech w piersiach. Chciałam powiedzieć mu, że mnie zna, choć nie zdaje sobie z tego sprawy. Jestem tą samą dziewczyną, którą widywał na kilkudziesięciu imprezach już przedtem, tyle że tym razem miałam na sobie bardziej „dorosłą” sukienkę, pomalowane rzęsy i włosy ułożone u fryzjera. Ale jednocześnie nie chciałam mu tego zdradzić. Podobała mi się rola tajemniczej, pięknej nieznanym... W momencie, gdy odparłam: „Z przyjemnością”, po raz pierwszy uświadomiłam sobie, że fajniej być laską niż chłopczycą. Pewnie dlatego tak dobrze zapamiętałam tamten wieczór.

A może z powodu sposobu, w jaki Andrew mnie trzymał.

Najpierw orkiestra grała *Stayin’ Alive* Bee Geesów i wszyscy wstali, żeby poszaleć, nawet tata tańczył z jedną z rozwódek, które polowały na niego, od kiedy mama umarła. Ale nie obchodziło mnie to. Myślałam tylko, jak dobrze Andrew tańczy i jak przystojnie wygląda w garniturze. Był naprawdę wysoki. Od tamtej chwili podobali się mi głównie wysocy.

Kiedy skończyli grać tę melodię, przeszli do *How Deep is Your Love*, też Bee Geesów. Znasz to, prawda? Uwielbiam tę piosenkę, lubiłam ją od dawna. Uważam ją za najbardziej romantyczny kawałek, jaki znam. Kiedy orkiestra zagrała go tego wieczoru, w sali balowej szpitala, poczułam, że pocę się lekko

pod pachami. Ludzie zaczęli schodzić z parkietu, amatorzy harców nie mieli ochoty spleść się w uścisku przy wolnym kawałku. A my? Trudno powiedzieć. Kiedy popatrzyłam w górę, byłam pewna, że on też nie wie, co robić.

Najwyraźniej jednak kusilo go, żeby zatańczyć, podobnie jak i mnie. Zorientowałam się, że spróbujemy, ale to on musiał podjąć decyzję. Stałam tak, pocąc się, starając się uśmiechem pokryć zażenowanie, aż zebrał się na odwagę i wykonał mały gest. Nieśmiało wzruszył ramionami. Jego spojrzenie mówiło: „Mogę zatańczyć, jeśli chcesz”. To mi wystarczyło. Zrobiłam stanowczy krok w jego stronę, on otworzył ramiona i przyciągnął mnie do siebie. A potem zrobiło się tak, jakby na tym przyjęciu nie było nikogo poza nami, nikogo innego w tej sali, nikogo innego na świecie, tylko Andrew Marks, ja i ta piosenka.

Tego wieczoru zrozumiałam, że lubię być ładna. Wcześniej to się dla mnie nie liczyło, dopiero od tej pory. Nadal to dla mnie ważne, nawet teraz, kiedy leżę w tym łóżku, w poplamionej, związanej z tyłu bawełnianej koszuli i na pociechę wspominam suknię, w której tańczyłam z Andrew Marksem. To wciąż się liczy, choć nie wiadomo, co mnie teraz czeka.

Dziś usunięto mi piersi.

Bez wątpienia trzeba było to zrobić, podjęłam decyzję bez wahania, ale wystukanie tych słów już tak łatwo mi nie przyszło. Nawet popatrzeć na nie trudno, czytać je na świecącym lekko ekranie laptopa. Usunęli mi piersi. Mam w sobie gen, z powodu którego znalazłam się w grupie nieproporcjonalnie dużego ryzyka, jeśli chodzi o raka piersi. Gdyby nie ten gen, to, jak mówił lekarz, można by poprzestać na lumpektomii. Ale myślę, że i tak poprosiłabym o wycięcie całych piersi. Chcę się tego pozbyć raz na zawsze. A jednak dziwnie to było usłyszeć.

– Zalecam pozbycie się obu piersi.

Jakby to były stare buty narciarskie.

Potem czeka mnie operacja rekonstrukcji. A później, praktycznie rzecz biorąc, mogę się uznać za zdrową. Jestem więc dziś w szczególnym nastroju. Z powodu moich piersi, ale pewnie i z powodu leków. Najciekawsze jednak, że po obudzeniu się z narkozy od razu pomyślałam o Tobie. Musiałam wejść na forum i sprawdzić, co się dzieje z bohaterką Twojej historii.

Nie znasz mnie i rozumiem, że absolutnie nie mam prawa wnikać w Twoje doświadczenia, ale nie potrafię się powstrzymać. Nie odpowiedziałaś na moją

prywatną wiadomość, nie ma problemu, ale jeśli mogłabyś dać znać, jak dalej toczy się Twoja historia, to – choć nie potrafię wyjaśnić czemu – bardzo by mi na tym zależało.

PW

Od: Brooke B.

Do: Samantha R.

Forumrakapiersi.org

Andrew Marks to nasz pediatra, jest naprawdę świetny. Wygląda na takiego, który wspaniale się całuje. To prawda?

PW

Od: Samantha R.

Do: Brooke B.

Forumrakapiersi.org

Nie umiem Ci opisać, jak bardzo się ucieszyłam, kiedy zalogowałam się dziś i zobaczyłam, że moja ikonka miga. Nikt z forum dotąd do mnie nie napisał. Od razu wiedziałam, że to Ty. (A tak przy okazji, nie mam najlepszych skojarzeń z niespodziankami w e-mailach. Kiedyś Ci o tym opowiem. *Wielki dramat*).

To nie był najłatwiejszy dzień. Na szczęście operacja rekonstrukcyjna zakończyła się pełnym sukcesem i chirurg nie przewiduje żadnych komplikacji. Wszystko poszło dobrze, na ile to możliwe. Mimo to smutno mi, jestem osłabiona i martwię się trochę, czy kiedyś jeszcze poczuję się równie dobrze, jak zaledwie trzy tygodnie temu. Byłam prawdziwym sportowcem. Teraz jestem pacjentką. Wiem, że powinnam być wdzięczna losowi, wiem, że mogło być o wiele gorzej, ale przykro mi i w tej chwili nie czuję się jak szczęściara.

Ucieszyła mnie Twoja wiadomość. Nie mogę wprost uwierzyć, że Andrew to Twój lekarz. Słyszałam, że poszedł w ślady ojca, ale nie miałam pojęcia, że nadal jest w Greenwich. Straciłam z nim kontakt, kiedy studiował w Yale. Nie ma go na Facebooku – to dość wyjątkowe jak na znajomych, w których gronie dorastałam. Chyba ostatni raz widziałam go na pogrzebie jego ojca. Jakieś dziesięć lat temu. Całe miasto przyszło. Widziałam Andrew z daleka, ale nie miałam okazji zamienić z nim choćby paru słów.

Nie dziwi mnie, że wciąż jest przystojny. Zawsze był, zwłaszcza tamtego

wieczoru z Bee Geesami i ze mną w ramionach. Tańczyliśmy trochę, przez jeszcze trzy, cztery piosenki, a kiedy zaczął się następny wolny taniec (*Can You Feel the Love Tonight* Eltona Johna), nadciągnął mój ojciec i tubalnym głosem obwieścił, że teraz odbijany. Zauważyłam, że Andrew zrobił dziwną minę. Znał tatę (wszyscy znali) i chyba właśnie wtedy zorientował się, kim jestem. Popatrzyłam mu w oczy, bałam się, że dostrzegę w nich żal albo zażenowanie, ale nic z tych rzeczy. Był całkiem zadowolony i szalenie przystojny. Skłonił się grzecznie i uniósł moją dłoń, z nieco przesadną galanterią podając ją ojcu. To było bardzo niedzisiejsze i zabawne, mogłoby wydać się banalne, ale tak mi się podobał, że uszłoby mu wszystko na sucho. Zatańczyłam więc z tatą, a potem wróciłam do stolika i zeszkrobywania lukru z mojego tortu czekoladowego. Andrew nie pojawił się już, aby poprosić mnie znów do tańca albo się pożegnać, albo cokolwiek. Pojechałam do domu, zrobiłam sobie gorącą kąpiel i długo leżałam w wodzie.

W poniedziałek w swojej szkolnej szafce znalazłam liścik napisany czerwonym atramentem na kartce wyrwanej z kołnotatnika.

Dziękuję za świetny wieczór.

Do zobaczenia.

A.M.

Nadal mam ten list. Wszystko mi się w nim podoba. To wspaniałe, że zadał sobie trud, aby dowiedzieć się, która szafka jest moja, i użył słowa „świetny”, którego chyba od tamtej pory nie napotkałam w podobnym kontekście. To nadal jedno z najśłodszych moich wspomnień, mimo że nic z tego nie wyszło. Bardzo romantyczne. W sumie gdybyś mi powiedziała, że masz to wszystko nagrane na taśmie, nie chciałabym tego oglądać raz jeszcze, bo bałabym się, że nie było tak idealnie, jak mi się wydaje. I do tej pory uważam Andrew za swojego pierwszego chłopaka, choć niestety nie mogę potwierdzić, że wspaniale całuje.

Proszę, odpisz.

PW

Od: Brooke B.

Do: Samantha R.

Forumrakapiersi.org

Szkoda. Przystojniak z niego.

PW

Od: Samantha R.

Do: Brooke B.

Forumrakapiersi.org

Nic dziwnego. Jego ojciec był jedynym facetem w mieście przystojniejszym od mojego. Jest żonaty? Ma rodzinę? Wygląda na szczęśliwego?

Może znasz, a może nie, odpowiedzi na te pytania. Rozumiem, że leczy Twoje dzieci, czyli niekoniecznie jest przyjacielem rodziny. Przede wszystkim jednak chcę wiedzieć więcej o Tobie. Przepraszam za wtykanie nosa w nie swoje sprawy, kiedy Ty najwyraźniej nie chcesz się zwierzać, ale spytam jeszcze ten jeden raz, a potem obiecuję dać spokój.

Jak się ma Twoja bohaterka?

PW

Od: Brooke B.

Do: Samantha R.

Forumrakapiersi.org

Jaki wielki dramat odkryłaś przypadkiem w e-mailu?

PW

Od: Samantha R.

Do: Brooke B.

Forumrakapiersi.org

Znalazłam zdjęcie nagiej kobiety w skrzynce e-mailowej męża. To stało się podczas naszej podróży poślubnej. Byłam więc mężatką całe dwa dni.

PW

Od: Brooke B.

Do: Samantha R.

Forumrakapiersi.org

Ojej, przykro mi.

Nie chciałam żartować z czegoś tak poważnego.

Powiem Ci jednak, że być może to prawdziwe szczęście. Mówisz, że jakoś trudno Ci teraz czuć się szczęściarą, i dobrze to rozumiem, ale w pewnym stopniu nią jesteś, bo tak szybko odkryłaś, że wyszłaś za niewłaściwego mężczyznę. Większości nie udaje się stwierdzić tego po dwóch dniach. Niektórym zabiera to dwa lata, a innym nawet dwadzieścia. Nie zawsze jest to tak oczywiste. Nagie zdjęcie kobiety wydaje się nie tyle koszmarną niespodzianką, ile znakiem z nieba, jak migające światło czy okrzyk przez megafon: „Wyszłaś za dupka! Uciekaj, nim zmarnuje ci dużo więcej niż dwa dni życia!”.

Jestem mężatką od dawna. Często pytają mnie o moje małżeństwo i zawsze odpowiadam to samo – być żoną właściwego mężczyzny to najwspanialsza rzecz na świecie, ale też ciężka praca. Natomiast wyjście za niewłaściwego mężczyznę to najgorszy błąd, jaki może popełnić kobieta.

Co prawda nie z własnego doświadczenia, ale wiem, jak to jest. Przerabiałam to z kilkoma najbliższymi przyjaciółkami. Nie zdradzę żadnych nazwisk ani szczegółów, ale wiedz, że wielu facetów z eleganckich przedmieść nagle odkrywa w sobie gejów albo uzależnia się od leków na receptę, albo ni stąd, ni zowąd pragnie wyruszyć w pieszą wędrowkę dookoła świata. Bywa jeszcze gorzej: stają się obcy, zimni, bo są rozczarowani sami sobą lub zazdroszczą sąsiadowi z przeciwka, który właśnie postawił dobudówkę za milion. Oddalają się emocjonalnie, tak jakby to ich towarzyszkę życia były winne, że ponieśli porażkę.

Mężczyźni są skomplikowani, Samantho, ale też bardzo prości. Jeśli Twój był takim dupkiem, że zdradzał Cię już dwa dni po ślubie, i w dodatku okazał się tak nieudolny, że go przyłapałaś, odkrycie tego tak szybko wyjdzie Ci na dobre. Gorzej, gdybyś przejrzała na oczy dopiero po urodzeniu bliźniaków, wzięciu wspólnego kredytu i zarezerwowaniu safari w Afryce.

W pełni rozumiem, jak trudno Ci teraz pojąć własne szczęście, ale jeśli zanalizujesz wszystko na chłodno, zamiast poddawać się emocjom, dojdiesz do wniosku, że jesteś teraz w całkiem niezłej sytuacji. Nawet jeśli masz na sobie szpitalną koszulę, a nie piękną suknię.

PW

Od: Samantha R.

Do: Brooke B.

Forumrakapiersi.org

Wiesz, w ostatnich tygodniach wiele osób próbowało mi powiedzieć coś pokrzepiającego. Tata stwierdził, że nie ma takiej znanej metody leczenia, której by mi nie zapewnił, gdybym tylko sobie życzyła. Pielęgniarka pocieszała, że przy rekonstrukcji piersi fajne jest to, że mogę wybrać dowolny rozmiar i nigdy nie będą obwisłe. A moja przyjaciółka ze studiów powiedziała: „Kotku, zawsze byłaś seksowna, i będziesz”. Doceniam ich wsparcie, ale żadne z nich nie zdołało sprawić, żebym poczuła się szczęśliwą. A Tobie się to udało. Dziękuję.

PW

Od: Brooke B.

Do: Samantha R.

Forumrakapiersi.org

Na zdrowie. Dobranoc.

PW

Od: Samantha R.

Do: Brooke B.

Forumrakapiersi.org

Dzień dobry!!!! Mam nadzieję, że czujesz energię bijącą z moich wykrzykników. Spałam dłużej i lepiej niż kiedykolwiek, od momentu gdy to się zaczęło. Obudziłam się pełna siły i optymizmu. Wypisują mnie do domu dziś albo jutro. Nareszcie widzę światełko w tunelu.

W pełni szanuję to, że nie chcesz pisać o tym, co dzieje się z Tobą teraz. Wiem po sobie, jak jest ciężko i jak bardzo to wszystko osobiste. Zresztą w przeciwieństwie do mnie masz męża, z którym możesz dzielić się tym, co czujesz, wspólnie popłakać i się pośmiać. To on jest od obejmowania Cię i sprawiania, żebyś poczuła się szczęśliwą.

Nie potrzebujesz mnie. Rozumiem i nie będę się już narzucać. Ale pamiętaj, że pomogę Ci, na ile to w mojej mocy, jeśli tylko będziesz chciała.

PW

Od: Brooke B.

Do: Samantha R.
Forumrakapiersi.org

Pozwól, że opowiem Ci nieco o sobie.

Kiedy skończyłam studia, pracowałam w marketingu dla Donny Karan. Lubiłam tę pracę, ludzi i przede wszystkim ubrania, ale to nie była żadna pasja, tylko zajęcie... Nigdy nie interesowała mnie kariera, nigdy nie widziałam w niej sensu. Co miałabym robić? Coś sprzedawać? Promować? Po co? Nic, co mogłabym sprzedawać czy promować, nie liczyłoby się dla mnie tak bardzo, jak rodzina.

Taka właśnie jestem. I mogę opowiedzieć Ci, co się teraz ze mną dzieje. Żyję dalej swoim życiem, ni mniej, ni więcej. A tak przy okazji, racja, mam wokół siebie mnóstwo ludzi, którzy się o mnie troszczą, i cudownego męża, któremu mogę się zwierzyć, a on często mnie przytula, sprawia, że czuję się szczęśliwa, i przez wszystkie te lata spędzone razem niczego przed nim nie ukrywałam. Ale o tym jednym mu nie powiedziałam i nie jestem pewna, czy w ogóle powiem. A jeśli będziesz starała się mnie przekonać, że powinnam, to nie odezwę się już do Ciebie ani słowem.

PW

Od: Samantha R.

Do: Brooke B.

Forumrakapiersi.org

O czym Ty mówisz? Dlaczego mu nie powiedziałaś?

PW

Od: Brooke B.

Do: Samantha R.

Forumrakapiersi.org

Prosiłam, nie pytaj o te rzeczy.

PW

Od: Samantha R.

Do: Brooke B.

Forumrakapiersi.org

Nie, o to nie prosiłaś. Tylko żeby nie namawiać Cię do niczego i na to zgoda. Ja tylko zadaję pytanie, bo zupełnie nie wiem, co myśleć.

PW

Od: Brooke B.

Do: Samantha R.

Forumrakapiersi.org

Nie zrozumiałabyś.

PW

Od: Samantha R.

Do: Brooke B.

Forumrakapiersi.org

Słuchaj, niełatwo mnie obrazić.

Wielu ludzi mówiło mi rzeczy, które powinny mnie dotknąć. Znajomy ojca powiedział kiedyś, że mam za mały tyłek. Trener piłkarski stwierdził, że nieźle gram jak na „bogata dziewczuszkę”. Kiedy pracowałam w telewizji, reżyser dziennika zdecydował raz, że pośle gdzieś mnie, a nie drugą producentkę, bo mnie „raczej nie będą podrywać”. Kiedyś całą noc gziłam się z jakimś chłopakiem na imprezie, a na drugi dzień on nie pamiętał nawet, jak mam na imię. No i – nie zapominajmy – przyłapałam męża na zdradzie podczas miodowego miesiąca.

Chodzi o to, że potrafię się nie przejmować albo kpić prawie z każdej takiej historii, więc kiedy twierdzisz, że nie umiałabym Ciebie zrozumieć, jest mi przykro. Powiedz mi, co się stało. Pomóż mi zrozumieć. Chcę Cię wspierać, ale nie mogę, jeśli mi nie pozwolisz.

PW

Od: Brooke B.

Do: Samantha R.

Forumrakapiersi.org

Już Ci wszystko opowiedziałam.

Kończyłam czterdzieści lat, więc poszłam na pierwszą mammografię

zgodnie z radą przystojnego młodego pediatry, który kiedyś zatańczył z Tobą przytulango, aż całkowicie stopniało Ci serce. Nie spodziewałam się złej wiadomości, więc byłam kompletnie nieprzygotowana na to, co usłyszałam.

Rak piersi.

Taki, który nie poddaje się pewnym metodom leczenia, jak to określili... Inwazyjny rak, który może się rozprzestrzeniać. Który może oznaczać śmierć. To nie miało sensu. Było jak sen, zły sen. Życie straciło kolor, stało się białoczarne. Słyszałam dzieci, ale nie rozumiałam, co mówią. Patrzyłam na nie, ale ich nie widziałam. Po raz pierwszy w życiu straciłam kontakt z własnymi dziećmi. Nic nie czułam.

Mój mąż nie był tego wszystkiego świadomy. Ma kierownicze stanowisko na Wall Street i wyjechał do Chin na trzy tygodnie, dzień przed mammografią. Tak wypadło. Uznałam, że w czasie jego nieobecności nie będę miała wiele do roboty. Pomyliłam się.

Był więc w Chinach, kiedy to się działo, i zostanie tam jeszcze kilka dni. Dzwoni dwa razy dziennie, jak w zegarku, a ja nic mu nie mówię. Kiedy jest daleko, czuje potrzebę upewniania się, że u nas wszystko w porządku. Dzwoni raz rano, raz wieczorem, i po prostu nie ma tu miejsca na złe wiadomości.

Potem wróciłam do lekarza, by wyjaśnił mi, dlaczego potrzebuję naświetlań i chemoterapii nawet po lumpektomii. Na szczęście badania wykazały obecność komórek nowotworowych jedynie w piersi.

– To proste, Brooke – tłumaczył. – Możemy zminimalizować ryzyko nawrotu choroby. Statystyki mówią jasno, mogę ci je pokazać. Zagrożenie jest znacznie mniejsze, kiedy zastosuje się terapię wspomagającą, naświetlania i chemię. Jeśli choroba powróci, nie wyleczę jej. Mogę mieć nad nią kontrolę, ale nie będę w stanie jej wyeliminować. Chcemy, aby nie było wznowy, a jedynie włączając leczenie już teraz, możemy zmaksymalizować nasze szanse, że to się uda.

Miałam tylko jedno pytanie, ale wstydziłam się je zadać, więc powiedziałam co innego.

– Panie doktorze, pomyliłam się, kiedy wcześniej rozmawialiśmy o mojej historii rodzinnej. To nie tak. Zapomniałam o babci. Miała raka. Umarła przed sześćdziesiątką.

Lekarz pokiwał głową.

– Jaki to był rak? – zapytał.

Wzruszyłam ramionami.

– Chodzi mi o to, czy to był rak piersi? Jajników?

– Nie wiem – odparłam. – Nikt nigdy mi nie powiedział.

Bo nie powiedział.

– Czy to się stało przed twoim urodzeniem?

– Byłam nastolatką.

– Miałaś kilkanaście lat, kiedy umarła – powtórzył lekarz z niedowierzaniem – i nikt nigdy nie mówił ci, dlaczego umarła?

Brzmiało dziwnie, ale to była prawda.

– Czy masz jakieś pytania dotyczące terapii? – zapytał.

Miałam. Tylko jedno, i czas było je zadać.

– Czy wyłysieję?

– Najlepsze metody, które można tu zastosować, powodują wypadanie włosów, więc pewnie tak.

I wtedy zaczęłam płakać. Powiedziałam, że pojadę do domu, żeby wszystko przemyśleć, choć lekarz twierdził, że w ogóle nie ma się nad czym zastanawiać.

– To bardzo trudne – powiedziałam.

– Bez wątpienia – odparł. – Ale decyzja powinna być łatwa.

Nie miał racji. Wcale niełatwa.

Tego dnia siedziałam więc znowu w wannie. Ostatnio spędzam w niej coraz więcej czasu. Może dlatego, że stale mi zimno, a gorąca woda mnie rozgrzewa. A może dlatego, że czuję jakąś lepkość na skórze albo od środka, jakbym była stale brudna, i tylko gorąca kąpiel przynosi mi ulgę. Potem Scott wrócił do domu.

Tak się cieszył, że mnie widzi. Powiedział, że miał wrażenie, jakby wyjechał na lata i tyle stracił, a ja na to, że dla mnie też to było za długo. Bardzo chciał uściskać dzieci, potem żonę, w tej kolejności i na bardzo różne sposoby, co też zrobił, i było mi cudownie, że mnie pragnie. Gdy dzieci odrabiały lekcje, wymknęliśmy się ukradkiem na górę i kochaliśmy się w garderobie, ja pochylałam się nad toaletką, a on z trudem powstrzymywał jęki rozkoszy. Cały czas przyciskał mnie mocno, a ja wszystko czułam, nie jak wtedy, kiedy go nie było. Dziesięć minut później umyta zesłam na dół

i pomagałam w matematyce. I było tak, jak być powinno. Znów miałam swoje idealne życie. Nie mogłabym tego popsuć, nie tamtego wieczoru. Może za jakiś czas, ale nie wtedy. Ten wieczór miał być idealny, nie było w nim miejsca na raka. To działo się dziesięć dni temu. Wszystko jakoś wróciło do normy. Mój mąż chce mnie z samego rana, nim pogna do pociągu. Dzieciom trzeba zrobić drugie śniadania, uczesać je, pomóc im się pogodzić, kiedy się kłóć. Pies wymaga spacerów i czułości, za co wiernie mnie kocha. A kiedy mam wolne, idę do wanny pomoczyć się w gorącej wodzie, na którą teraz reaguję, może nie w pełni, ale na pewno mocniej niż tydzień temu. Przeszłam lumpektomię, po której została blizna, nic wielkiego, nic, co zauważyłby mój mąż. Jak już zauważy i spyta, powiem mu, że miałam cystę. Ale rak się w moim życiu nie mieści i ja go do niego nie wpuszczę, bo to by wszystko zmieniło, a ja tego nie chcę. Robiłam, co mogłam, żeby było idealnie, i nie pozwolę, by rak to zniszczył. Kiedy jednak samotnie siedzę w wannie, miotam się między szloch a euforią, bo osiągnęłam to, o co błagałam, kiedy wszystko się zaczęło. Mam wczoraj i większość dnia dzisiejszego. Czy kobieta może pragnąć czegoś więcej?

PW

Od: Samantha R.

Do: Brooke B.

Forumrakapiersi.org

No i miałaś rację. Nie rozumiem.

Jesteś inteligentną kobietą, Brooke, bo przecież nie da się zbudować życia w tak wielkiej zgodzie ze swoimi marzeniami, jeśli się nie jest naprawdę mądrym. Ale może, jak ja nie potrafiłam dostrzec, że miałam wielkie szczęście, odkrywając plugawą naturę męża, tak samo Ty wypierasz fakty. Nie możesz po prostu udawać, że nie masz raka. W życiu tak się nie da. Specjalista powiedział Ci, że potrzebujesz chemoterapii i naświetlań. Nie wolno Ci tego ignorować, bo nie chcesz, żeby to była prawda. Musisz w pełni wyzdrowieć, musisz to zrobić dla męża, dzieci, a przede wszystkim dla siebie.

Martwisz się, że Twój mąż nie da sobie z tym rady? Boisz się, że to zniszczy Twoje małżeństwo? Że on przestanie Cię kochać? Bo tak by można wnioskować z Twoich słów, a jeśli się nie mylę, mam też odpowiedź na Twoje pytanie: „Czy kobieta może pragnąć czegoś więcej?”. Może – męża, który da sobie z tym radę.

Musisz to zrobić, Brooke. Jak mogę Ci pomóc?

PW

Od: Brooke B.

Do: Samantha R.

Forumrakapiersi.org

Pomóc mi? Skąd, na Boga, pomysł, że możesz mi pomóc? To wszystko dzieje się ze mną. Jak możesz mnie w ogóle osądzać i oceniać moje małżeństwo? Nie chciałabym Ci przypominać, że jedna z nas w tej korespondencji ma nieco dłuższy staż małżeński niż druga, więc jeśli ktoś miałby udzielać porad w tej kwestii, to raczej ja.

Nie znasz mnie, nic nie wiesz o moim życiu. To, że urodziłyśmy się w tym samym mieście, nie oznacza, że jesteśmy podobne. Myślałam, że dzięki temu lepiej się rozumiemy, ale teraz widzę, że Ty wcale mnie nie rozumiesz.

Kiedy byłam w szkole średniej, pojechałam na obóz przetrwania, do lasu, i skaleczyłam dłoń gałęzią. Wychowawcy próbowali zatamować krwotok, ale się nie udało, powiedzieli więc, że muszę jechać do szpitala, bo ranę trzeba zszyć. Ale choć moja tolerancja na ból jest żadna, nie chciałam zawieść drużyny. Zacisnęłam zęby, dezynfekowałam ranę spirytusem, żeby nie było infekcji, nie krzyczałam, choć ból był taki, że powaliłby słonia, a potem sama zszyłam skórę igłą i niebieską nitką, które znalazłam w plecaku. Dopiero kiedy wygrałyśmy zawody, zgłosiłam się do lekarza, który spojrzał na moją dłoń, roześmiał się i kazał mi wrócić za tydzień na zdjęcie szwów.

Co do mojego męża to wyraźnie sugerujesz, że nie może być taki cudowny, skoro nie udźwignie tego, co się teraz ze mną dzieje. Chwileczkę. Nigdy nie mówiłam, że on nie da sobie z tym rady. To ja nie dam sobie z tym rady. A to wielka różnica.

Proszę więc, nie odpowiadaj na ten e-mail. Jeśli napiszesz, ja i tak tego nie przeczytam. Potrzebuję trochę czasu, żeby zdecydować, co robić, a już wiem, jakie jest Twoje stanowisko. Nie twierdzę, że nigdy nie chcę już o Tobie słyszeć. Ale najpierw muszę ochłonać po Twojej poprzedniej wiadomości. Kiedy będę gotowa, dam Ci znać. I wtedy otwarcie powiem, co postanowiłam, a Ty myśl sobie, co chcesz. Nie wiem, ile mi to zajmie. Wszystko to dla mnie nowe, podobnie jak dla Ciebie. Skontaktuję się więc w odpowiednim czasie. Na razie, życzę Ci zdrowia, siły i, proszę, daj mi spokój.

Katherine E.
Forumrakapiersi.org
Greenwich, Connecticut
Data dołączenia: 30/9/2011

Halo, halo, jest tam kto?

Tak strasznie potrzebny mi ktoś, kto powie, że nic mi nie będzie, że ostatnie trzy tygodnie życia to nie początek mojego końca. Szukam kogoś, z kim mogłabym porozmawiać, kto by mnie zrozumiał. Czy znajdzie się jakaś ochotniczka?

Mam na imię Katherine. Właśnie skończyłam czterdzieści lat. I dopiero co spotkałam mężczyznę, który mógł odmienić moje życie, stać się kimś, kto, jak napisałam, jest mi teraz tak bardzo potrzebny – partnerem, kochankiem, przyjacielem. Kimś, kto troszczy się o mnie jak nikt dotąd. Całe życie czekałam na niego, a tu tydzień po jego pojawieniu się wybuchła ta bomba. Pewnie stąd powiedzenie, że coś komuś nie było pisane. Nie znoszę tak o tym myśleć.

Przez dwadzieścia lat pracowałam na Wall Street i w sumie szło mi bardzo dobrze. Pieniądze to dla mnie nie problem, nawet teraz. Pewnie to jakaś pociecha, ale słowo „pociecha” obecnie nie mieści się w moim słowniku. Nigdy nie czułam się tak fatalnie. Nigdy.

Żałuję teraz, że w świecie morderczej rywalizacji, w jakim funkcjonowałam całe życie, nie pozwoliłam sobie na dwie rzeczy. Pierwsza to słabość. Nie pozwalałam sobie na żadne słabości. Zawsze miałam wrażenie, że okazanie ich kompletnie mnie rozwali, i w efekcie skazałam się na samotność... Druga to że nie pozwoliłam sobie przeboleć rozstania z mężczyzną, który złamał mi serce. Te dwie rzeczy są chyba ze sobą powiązane. Może gdybym przestała zadręczać się tamtym zawodem miłosnym, pojawiłby się ktoś inny, prawdziwa bliskość, co jednak nie jest możliwe bez przyznania się do słabości, no i tak dochodzimy znów do punktu wyjścia. Nie można oczekiwać miłości, jeśli nie jest się gotowym cierpieć dla niej, a ja zamiast podjąć to ryzyko, wolałam więc się z bólu po utracie mężczyzny, który od dwudziestu lat mnie nie kocha. Brzmi to tak głupio, że szlag może trafić, bo przecież nie jestem głupia, a tak żyłam, i dlatego teraz poza strachem czuję żal i wściekłość. Nic nie jest tak niszczące, jak uzalanie się nad sobą, a żadna złość nie jest gorsza od tej, kiedy złościmy się na siebie samych. I męczy mnie

to, jakby nie dość było raka.

Krótko mówiąc: znalazłam się w kompletnej rozsypce.

Było to tak. Skończyłam czterdzieści lat i postanowiłam zrobić sobie wakacje. Niby nic szczególnego, tylko że ja nigdy nie brałam urlopów. Tyrałam prawie przez trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku, odkąd skończyłam studia biznesowe, bo nie chcę dać satysfakcji dupkom, którzy ze mną pracują, że są bardziej pilni ode mnie.

Jednak w tym roku skończyłam czterdzieści lat, umówiłam się na randkę w ciemno i, mniejsza o szczegóły, ale w każdym razie poszło tak marnie, że zdecydowałam się wziąć trochę wolnego. Pojechałam w góry, do Kolorado i zakochałam się, najpierw w krajobrazie, a potem w mężczyźnie, który ma na imię Stephen. Spotkałam go podczas górskiej wędrówki, a on zaprosił mnie potem na kolację. Nie do restauracji, ale do knajpki, gdzie nie serwuje się filet mignon, tylko hamburgery, sztucce są zawinięte w papierową serwetkę, a drinki zamawia się u barmana, a nie sommeliera. Zabraliśmy ze sobą psa. Czekał na zewnątrz. Było cudownie. Jadłam burgery, frytki, sałatkę z kapusty i kiszzone ogórki, wypiliśmy trzy piwa i trzy cole. Graliśmy w rzutki i oglądaliśmy mecz baseballowy w telewizji. Potem powiedział, że chce mi pokazać swoje ulubione miejsce w Aspen, dał mi prowadzić psa na smyczy i ruszyliśmy we trójkę w dół wzgórza, w kierunku parku, kiedy słońce zachodziło właśnie nad górami. Brodziliśmy po ogromnej łące, gdzie jakieś dzieciaki grały w nogę, a grupka nastolatków jeździła na deskorolkach. Szliśmy po miękkiej trawie i rozmawialiśmy. Bardzo naturalnie, swobodnie, bez długich chwil milczenia. Coś takiego prawie się nie zdarza, kiedy się jest z mężczyzną, którego ledwie się zna, a z którym tak bardzo chciałoby się przespać.

Minęliśmy mały mostek nad wartkim strumieniem i skręciliśmy do parku. Pod naszymi stopami zachrząścił żwir na ścieżce rozdzielającej się na cztery mniejsze. Wskazał na lewo i powiedział, żebym poprowadziła, a on pójdzie za mną. Chciał, żebym najpierw sama to zobaczyła. Spuścił psa ze smyczy i suczka pobiegła przodem. A Stephen rzekł: „Idź za nią, ona zna drogę”. Martwiłam się jednak, jak będę się prezentować z tyłu, kiedy pójdę przed Stephenem, więc wzięłam go pod ramię i zdecydowałam: „Chodźmy razem”. I tak zrobiliśmy. Weszliśmy w sam środek sanktuarium Johna Denvera.

Wkroczyłam w najbardziej spokojne, cudowne, magiczne miejsce, w jakim kiedykolwiek byłam. Łagodnie szmerzące wody, strumyki górskie, z wielkimi

kamieniami wśród traw, gdzie można przysiąc, i większe wyniosłe skały z wygrawerowanymi słowami jego pieśni. Jeśli ich nie znacie, to powiem, że są piękne, bardziej jak wiersze niż teksty do muzyki.

Usiedliśmy na ziemi i zamknęłam oczy, wdychając głęboko górskie powietrze, a kiedy je otworzyłam, twarz Stephena była tuż przy mojej i pocałował mnie, nie pytając o zgodę. A ja położyłam mu dłoń na głowie i mocno przycisnęłam wargi do jego ust. Całowaliśmy się na trawie, w zapadającym zmroku, w którym ledwie co było widać, a w uszach szumiał nam strumień. I pomyślałam sobie, że jeszcze nigdy nie kochałam się w miejscu publicznym, ale jeśli sytuacja do tego zmierza, nie miałam nic przeciwko. Byłam absolutnie zdecydowana. Zgodziłabym się na wszystko, czegóż on zechce, miałam w nosie, że ktoś może nas zobaczyć.

Ale on tego nie chciał. Całował mnie jakiś czas, a potem siadł bliżej, objął mnie swoim wielkim ramieniem i przygarnął do siebie. Był taki silny, cudowny. Jego dłonie pachniały lekko ketchupem, oddech trochę piwem, a koszula tak, jakby przesiedział w niej przy wielu ogniskach, i tylko tulił mnie, póki nie zrobiło się tak ciemno, że już nie dałoby się odczytać słów na skałach, a potem pocałował mnie znowu i poderwał się jednym skokiem.

– Co o tym myślisz? – spytał, patrząc dokoła, i wiedziałam, że ma na myśli to sanktuarium, ale w swojej odpowiedzi ujęłam wszystko.

– Jest bosko.

Uśmiechnął się.

– Mam cię odprowadzić?

Sama byłam zaskoczona swoją odpowiedzią.

– Prowadź mnie, dokąd zechcesz.

Zrozumiał.

Mieszka w przepięknym domu na Red Mountain. Niesamowite widoki. Wnętrze urządzone z prostotą. Przytulna atmosfera. Kiedy weszliśmy, przeprosił i poszedł do łazienki, a ja czekając, doszłam do wniosku, że chcę go poślubić. Rzuciłam się na niego, kiedy się tylko pojawił z powrotem. Nie zdążyliśmy dotrzeć do łóżka.

Nadal fruwałam w powietrzu, kiedy rano od niego rano wychodziłam. Naprawdę fruwałam. Około dziesiątej wsiedliśmy do jego jeepa i pojechaliśmy do miasta. Na pożegnanie pocałował mnie namiętnie i obiecał, że zadzwoni po południu. Wiedziałam, że dotrzyma słowa.

W piekarni na Main Street kupiłam sobie croissanta z czekoladą i café latte. Raczyłam się nimi w drodze do hotelu, zacierając ręce na myśl o tym, co za chwilę mnie czeka. Poprzedniego dnia po południu wysłałam swojej towarzyszce podróży esemesa, że poszłam na randkę, a potem nie dałam znaku życia.

Odpowiedziała: „Jak nie wrócisz na noc, to uznam, że albo łeb ci ucieli, albo zupełnie ci odpieprzyło!!!”.

Przepraszam za język, ale ona tak właśnie pisze.

Robiąc niezły raban, otworzyłam drzwi, z nadzieją że znajdę ją dokładnie tam, gdzie rzeczywiście była. Siedziała w głównym pokoju i czytała jakiś szmatławiec.

– Jestem, kochanie – powiedziałam zuchowato. – I mam głowę na miejscu!

Opowiedziałam jej wszystko. Cieszyła się jeszcze bardziej niż ja. Bo czy mogło się zdarzyć coś lepszego? Jeśli nawet, to nic nie przychodzi mi do głowy. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek była szczęśliwsza niż w tamtej chwili, z detalami opowiadając mojej przyjaciółce, Marie, o tej cudownej nocy i z ustami wymazanymi czekoladą, dopijając swoją latte. Czego więcej można chcieć?

Oby wypełniała mnie wielka dobroć

Obym była zdrowa

Obym była spokojna i swobodna

Obym była szczęśliwa

To słowa medytacji, która przynosiła mi ulgę przez wiele lat. Starłam się żyć w zgodzie z nimi, były dla mnie światełkiem w tunelu w chwilach czarnej rozpacz, ale aż do tego dnia zakłęcie się nie spełniło. Teraz wszystko miało się zmienić, bo wreszcie *naprawdę* przepełniała mnie dobroć, byłam spokojna, swobodna i szczęśliwa. Jedyne problem w tym, że nie byłam zdrowa. Ale tego jeszcze nie wiedziałam.

Wróciłam do Nowego Jorku, by rzucić pracę, uporządkować swoje sprawy i przeprowadzić się do Aspen na zawsze. Może wyszłabym za Stephena, może nie, ale gdyby nie okazał się tym właściwym, mogłabym poznawać innych mężczyzn, wędrować po górach, jeździć na nartach i konno. Byłam gotowa. Sądziłam, że w ciągu dwóch tygodni znów znajdę się w Kolorado.

Kiedy przyjechałam do domu, odwiedziłam terapeutkę, która przyklasnęła moim planom. Chyba zakręciła jej się łza w oku. Mnie na pewno.

– To twoja najlepsza decyzja – powiedziała. – Nieważne teraz, co z tego wyjdzie. Będzie mi ciebie brakowało, ale mam nadzieję, że już się nie zobaczymy.

Nim opuściłam jej gabinet, mimochodem wspomniałam, że bolą mnie plecy i ostatnio nie mogę nawet ćwiczyć. Przyznałam się, że odkładam wizytę u lekarza, bo obawiam się, że to dyskopatia, co może wymagać operacji i dłuższej rozłęki z bieżnią. Ale teraz ból zrobił się tak dokuczliwy, że niedługo zacznie mi już za bardzo utrudniać życie.

– Idź do lekarza, zanim wyjedziesz z Nowego Jorku – poradziła. – Zaczynj nowe życie bez czegoś, co nad tobą wisi...

Wydawało się, że to dobry pomysł.

Poszłam do lekarki następnego dnia. Powiedziała, że powinnam umówić się z fizjoterapeutą i mogę się zapisać na koniec miesiąca.

– Nie, Sheilo – zaprotestowałam. – Wyjeżdżam i przez jakiś czas nie zamierzam tu wracać. Musimy to od razu załatwić.

Powiedziała, że nie ma szans na ustalenie czegoś z miejsca. Ale żeby przyspieszyć sprawy, skierowała mnie na prześwietlenie i rezonans magnetyczny. Przepisała mi też środek przeciwbólowy, ściślej mówiąc, niesteroidowy lek przeciwzapalny do zażywania, gdy ból da się we znaki. Wieczorem wzięłam dwa, popiłam kieliszkiem białego wina i zasnęłam, nie mogąc się już doczekać, kiedy rzucę pracę.

Obudziłam się w świetnej formie. Środki przeciwbólowe działały cuda, nie czułam się tak lekko od miesiący. Przed śniadaniem czterdzieści minut pobiegałam na bieżni bez trudu i bólu. Na rentgen byłam umówiona w południe, zostało więc dość czasu na spotkanie z szefem i zgłoszenie rezygnacji. (Muszę przyznać: perspektywa, że powiem mu prosto w twarz „odchodzę”, niezmiernie mnie cieszyła. To długa historia. I tak przy okazji wspomnę, naprawdę niezła, pełna seksu i zdrad, ale nie pora, żeby się w to zagłębiać).

Poszłam wprost do jego biura.

– Muszę się natychmiast widzieć z Philem – oznajmiłam jego asystentce, strasznej wydrze, tak głośno, że można mnie było usłyszeć na korytarzu.

– Oj, no... – zawahała się i zaczęła coś tam bełkotać, jak to ludzie

zaskoczeni i bezradni.

– W czym problem? – spytałam zjadliwie. – Po prostu wciśnij guziczek i powiedz mu, że wchodzę.

Potem nastąpiła scena jak z kiepskiego sitcomu. Danielle wstała zza biurka i rzuciła się do drzwi dzielących jej mały pokój od gabinetu, który chciała ochronić. Stałam wprawdzie bliżej nich, ale ona była zdeterminowana i nie zamierzała się poddać. Prześcignęłaby mnie bez problemu, gdyby nie jej trzynastocentymetrowe szpilki Jimmy Choo (nosiłam takie i możecie mi wierzyć, to nie są buty dobre do biegania). Zrobiła trzy kroki w moim kierunku, po czym padła jak długa twarzą na dywan, lądując z pacnięciem dokładnie pomiędzy mną a drzwiami. Musiałam tylko zrobić krok nad nią, co uczyniłam z przyjemnością.

Ale najpierw przy niej uklęknęłam.

– Cokolwiek słyszałaś o mnie i Philu, to prawda – wysyczałam z uśmiechem – a jeśli o tym wiedziałaś i z rozmysłem pastwiłaś się nade mną tyle lat, to powiem ci jedno: pieprz się.

A potem weszłam do środka i oznajmiłam facetowi, który omal nie zrujnował mi życia, że już dla niego nie pracuję. Powiedzcie, czy dzień może zacząć się lepiej?

Jestem trochę zmęczona i smutno mi pisać o tym, co było dalej. Jeśli jest tu ktoś, kto chciałby wiedzieć, to mu opowiem. Napisz do mnie. Widzę, że jest tu możliwość prywatnej korespondencji. Jeśli jej użyjesz, to ja też. Przydałby mi się ktoś, z kim mogłabym porozmawiać, kto by zrozumiał, kto wie coś o dniach, które zaczynają się naprawdę dobrze, ale nie najlepiej się kończą. Bo w tej chwili mam wrażenie, jakby dotyczyło to tylko mnie jednej jedynej.

PW

Do: Katherine E.

Od: Samantha R.

Forumrakapiersi.org

Jestem.

Jestem, żeby Cię wysłuchać. Jestem, żeby z Tobą płakać albo się śmiać. Cokolwiek jest Ci potrzebne. Będę tu w paskudne dni i te lepsze, które, zapewniam Cię, też nadejdą. I będę tu, kiedy już przez to przejdiesz, jak ja,

i zaręczam Ci, że to będzie jeszcze wspanialsze uczucie, niż możesz sobie wyobrazić.

Mam na imię Samantha. Zwróciłam uwagę na Twój wpis najpierw dlatego, że jesteśmy z tego samego miasta. Dorastałam w Greenwich, choć właściwie nie mieszkam tam od czasów szkoły średniej. Mam teraz dwadzieścia osiem lat. Historia mojego życia nie jest specjalnie ciekawa, daleko jej do Twojej. Żaden marzyciel nie czeka na mnie w Aspen, ani w ogóle nigdzie, jeśli chodzi o ścisłość. Wysłałam raz za męża, ale związek nie potrwał długo, finał był żaloszny. Rozpoznano u mnie chorobę kilka miesięcy po rozpadzie małżeństwa, kiedy pod względem fizycznym i psychicznym czułam się zdrowsza niż kiedykolwiek przedtem, i teraz staram się odzyskać taką formę. Chcę być jeszcze silniejsza. Naprawdę wierzę, że to doświadczenie okaże się dla mnie zbawienne.

Wiesz, do tej pory nie zdziałałam nic specjalnego. Całe życie byłam na utrzymaniu ojca, a przez krótki czas męża. Nigdy nie miałam poczucia, że to, co robię, naprawdę się liczy.

Aż do tej pory.

Stwierdzono u mnie nieinwazyjnego raka w lewej piersi. Dano mi do wyboru kilka możliwości, ale od razu zdecydowałam się na podwójną mastektomię i rekonstrukcję piersi. Chciałam pozbyć się choroby do końca i nie przeszkadzało mi, że posuwam się dla pewności aż tak daleko. Kiedy obudziłam się z narkozy, pierwsza twarz, jaką zobaczyłam, należała do siostry z oddziału. Polubiłam tę pielęgniarkę. Ma na imię Jenny. Fajna, miła dziewczyna, chyba rok czy dwa lata młodsza ode mnie. Pomogła mi uwierzyć, że wszystko będzie dobrze. Rozmawiałam z nią, nim zawieźli mnie na salę operacyjną, a ona uśmiechnęła się i obiecała, że będzie przy mnie siedzieć, kiedy się obudzę, i tak właśnie było. Znow uśmiechała się do mnie, a kiedy tylko zobaczyłam te jej dołeczki, wiedziałam, że poszło jak trzeba. Pierwsze, co powiedziała, to: „Gratulacje. Już nie masz raka”.

Nie potrafię powtórzyć tych słów i nie płakać, pewnie nigdy to mi się nie uda. Ścisła mnie w gardle, kiedy to teraz piszę. Ale właśnie tamtego dnia, w tym łóżku, mając jeszcze to zdanie w uszach, a łzy na policzkach, odnalazłam swoje powołanie. Chcę poświęcić się, na ile tylko potrafię, temu, aby inne kobiety poczuły to, co ja wtedy. Nie wiem jeszcze, jak się do tego zabrać, to dla mnie coś nowego, ale może najlepiej zacząć właśnie tak. Przeczytałam Twoją wiadomość i się zgłaszam. Służę Ci wszystkim, co mam,

a co mogłoby Ci się przydać. Uchem, ramieniem, podwiezieniem do lekarza lub szpitala, albo na lotnisko, albo na przedstawienie na Broadway. Jeśli będę w stanie pomóc Ci jakoś, choć w jednej trudnej chwili, to uznam, że zrobiłam, co do mnie należy.

To skromny plan, wiem. Myślę o tym jak o grupie wsparcia bez grupy. Na razie jestem tylko ja. Odzywałam się i do innej kobiety z forum. Też jest z Greenwich, przez jakiś czas wymieniałyśmy miłe e-maile i mam nadzieję, że do mnie dołączy, ale tymczasem jestem jednoosobową grupą, która Cię zaprasza. Jak się do tego zabierzemy, zależy tylko od Ciebie.

Wystarczy jedno Twoje słowo.

PW

Od: Katherine E.

Do: Samantha R.

Forumrakapiersi.org

Jestem wzruszona okazanym mi sercem i Twoim gestem. Z zasady nie za bardzo wierzę w ludzką szlachetność, ale tego wieczoru zrobiłaś krok, który skłania mnie do zmiany stanowiska... Może dla Ciebie to mały krok, lecz dla mnie wielki.

Prawie nie bywam już w Greenwich. Mieszka tam nadal moja matka, tłukąc się po domu, w którym dorastałam. Tak bym to właśnie ujęła, że bardziej tam straszy, niż żyje. Stała się kimś, o kim można zapomnieć, że siedzi w pokoju. Spotkania z nią to nie są najweselsze chwile, więc rzadko u niej bywam.

Mieszkam na Manhattanie, całkiem ładnie, chociaż planowałam – i nadal planuję – zostawić to wszystko i uciec w góry. Miałam tak zrobić. Tak się cieszyłam.

A potem poszłam na rezonans magnetyczny.

Najpierw odkryłam, że mam klaustrofobię. Chyba nie można lepiej przekonać się o tym, niż leżąc jak parówka zamknięta w ciasnej rurze, wśród ogłuszającego hałasu. To było straszne. Powtarzałam sobie w kółko, że to zaraz się skończy, że tylko muszę oddychać i mieć zamknięte oczy. Wróciłam do domu po cylindrowej torturze, uraczyłam się butelką naprawdę dobrego wina i czekałam na wiadomość, dlaczego tak bardzo bolą mnie plecy. Byłam przygotowana na uszkodzenie nerwu, wysunięcie się dysku, nadwężenie mięśni przez stres, zapalenie stawów, nawet drobne złamanie kości, którego

nie potrafię wyczuć palcami. Najbardziej stawiałam właśnie na złamanie. I już wyobrażałam sobie żmudną rehabilitację. Konieczność przzerwania wszystkich ćwiczeń. Wypiłam toast za moją bieżnię i za to, jak mało będę za nią tęsknić. Jeśli tylko wolno mi będzie wspiąć się od czasu do czasu na jakąś górę, to da się przeżyć.

Potem zadzwonił telefon i głos z drugiej strony powiedział:

– Katherine, muszę się jutro z tobą zobaczyć.

To zabawne, ale z początku nie rozpoznałam tego głosu. Sądziłam, że to Phil, mój szef, u którego złożyłam rezygnację tego dnia rano. Zachichotałam nawet do słuchawki. Spodziewałam się, że dzwoni, by mi powiedzieć, jak jestem mu potrzebna, że firma nie da sobie rady beze mnie, że przypomni mi o dziesiątkach milionów w akcjach, które pozostawiam, a tak przy okazji, jego żona właśnie go opuściła (rzeczywiście tak się stało) i zdał sobie sprawę, że to mnie kochał przez wszystkie te lata, więc błaga, bym za niego wyszła.

Ale głos mówił dalej.

– Rezonans wykazał coś, co mnie niepokoi, i musimy umówić ci konsultację z onkologiem.

I wtedy uświadomiłam sobie, że to nie Phil.

Nie tak szybko jednak dotarła do mnie powaga sytuacji... Rzadko choruję, nie rozmawiam więc wiele z lekarzami. Pewnie skojarzyłam, że „onkolog” to znaczy „rak”, ale nie od razu.

– Z czym mamy tu do czynienia, doktorze? – spytałam, nadal myśląc, że to problem z plecami. – Coś poważnego?

– Musimy się spotkać i pomówić – powiedział. – Jutro, w przychodni.

Wreszcie zaświtało mi, że nie chodzi o wypadający dysk. Usiadłam i patrzyłam, jak zaczynają mi drżeć kolana. Z całej siły ścisnęłam słuchawkę. Nie chciałam jej upuścić, nie chciałam też przestać mówić. Gdybym się rozłączyła, od razu zostałabym sama, a tego naprawdę nie chciałam...

– Trzeba wyjaśnić to teraz – stwierdziłam, starając się o pewny ton. – Przestraszyłeś mnie.

– Musimy się uspokoić i spokojnie porozmawiać.

– Dobrze – odparłam. – Mój szofer podjedzie po ciebie za dziesięć minut.

Zapadła na chwilę cisza.

– Katherine, nie wiem, czy mogę się tego podjąć – powiedział z wahaniem.

– Dobrze, w porządku – zgodziłam się. – W takim razie powiedz mi tylko zaraz, że to nic specjalnie poważnego i że nie mam się czym tak znowu martwić. Bo, prawdę mówiąc, telefon o szóstej wieczorem, wystraszenie mnie, a potem powrót do swoich zajęć to coś, co nie wydaje mi się odpowiednim zachowaniem lekarza wobec pacjenta. Jeśli to sprawa poważna, doktorze, chcę o tym wiedzieć i rozmawiać o tym teraz.

Znów się zawahał.

– Jaki to będzie samochód? – spytał.

– Cholera jasna – zakląłam. – Umieram, tak?

– Są pewne wątpliwości, Katherine. Nikt nie mówi, że umierasz – stwierdził. – Będę przy wejściu na Madison Avenue za dziesięć minut.

Pół godziny później doktor Armitage wszedł do mojego mieszkania, a za nim mój szofer. Od razu spojrzałam na Maurice'a. Chciałam zobaczyć wyraz jego twarzy, tak jak przyglądam się twarzom stewardes, gdy tylko coś się dzieje w samolocie. Jeśli robią wrażenie spokojnych, wszystko musi być w porządku, prawda? Ale Maurice uciekał wzrokiem, spuścił oczy. Poczłapał do krzesła i przysiadł w milczeniu, patrząc na swoje buty.

– Spytałem Maurice'a, kto jest twoim najbliższym przyjacielem – zaczął doktor – powiedział, że on.

– Fakt – wyjąkałam, jakby słowa więzły mi w gardle. – Ale dlaczego go tu przyprowadziłeś?

– Musimy pomówić o tym, co wykazał rezonans, a część z tego może być trochę skomplikowana – stwierdził. – Druga para uszu zawsze się przyda.

– Po prostu powiedz mi – poprosiłam. – Za bardzo rozciągamy ten dramat. Już nie chcę czekać.

Doktor Armitage zdjął okulary.

– Są pewne rzeczy, które mnie niepokoją – oznajmił. – Odstępstwa od normy. Wygląda to na jakiś guz na kręgosłupie.

– Mam raka?

– To bardzo prawdopodobne – przyznał.

Powiedział mi to z uroczą łagodnością... Zachował spokój, zapewne nie pierwszy raz przeprowadzał taką rozmowę, jego ton był serdeczny.

– Nietypowe, że guz pojawił się w kręgosłupie – ciągnął. – To zwykle przerzuty z innych miejsc. Najczęściej biorą się z raka piersi. W każdym razie

sądzę, że musisz natychmiast skonsultować się z onkologiem. Rozmawiałem ze swoim przyjacielem, doktorem Richardem Zimmermanem, moim zdaniem jest najlepszy. Może obejrzeć cię jutro. Na razie dam ci coś przeciwbólowego i coś na uspokojenie i najlepsze, co możesz zrobić, to postaraj się teraz odpocząć. Oczywiście dzwoń do mnie, jeśli będziesz miała jakiegokolwiek pytania.

Nie miałam pytań.

A może miałam za dużo, aby pomyśleć o jakimś konkretnym...

W każdym razie nic nie powiedziałam.

Za to odezwał się Maurice.

– Panie doktorze, Katherine ma receptę na ambien. Myślę, że to najlepsze na sen... Czy mogę dać jej jedną tabletkę?

– Oczywiście – usłyszałam odpowiedź lekarza, ale już odpływałam. Zasnęłabym bez pigułek. I tak się stało. Od razu na kanapie, w ubraniu, biżuterii i makijażu. Maurice mnie nie ruszał, choć kiedy się zbudziłam, byłam otulona miękkim kocem i miałam wetkniętą pod głowę poduszkę z sypialni.

Następnego dnia po południu poznałam doktora Z., najmiłszego człowieka na świecie. Wyjaśnił mi ze swoim silnym brooklyńskim akcentem, że został lekarzem, bo jego ukochana matka zmarła na raka piersi i na jej pogrzebie zdecydował, że poświęci życie pomaganiu innym kobietom w walce z tą chorobą. Pomyślałam wtedy, że czasem spotyka się najlepszych ludzi w najgorszych okolicznościach. Szkoda, że nie wiedziałam tego dużo wcześniej. To nie zmienia sytuacji, ale jednak jest trochę lepiej...

Po wstępnej przemowie doktor Z. wyciągnął wyniki rezonansu i położył je na stole. Potem kazał mi zdjąć bluzkę oraz stanik i zbadał mi piersi.

– Zauważyłaś ten guzek? – zapytał, naciskając tuż obok mojego prawego sutka.

– Raczej nie – powiedziałam.

Za bardzo wstydziłam się przyznać, że w ogóle nie zauważyłam. Wiem, że powinnam badać sobie piersi, ale tego nie robiłam, nigdy. Rozumiem, że to głupie, ale w sumie nie bardziej niż zmarnowanie dwudziestu lat na wzdychanie do jednego mężczyzny. Robimy mnóstwo głupstw. O tym myślałam, gdy kciukiem i palcem wskazującym ścisnął kawałek po kawałku mojej piersi. Jak na inteligentną przecież kobietę robię sporo głupot.

Kiedy doktor Z. skończył, odchylił się i zdjął okulary.

– Dobrze – powiedział tym samym tonem, z którego nie dało się nic wywnioskować. – Oto, co trzeba zrobić. Badanie krwi, więcej testów, biopsja guzka w piersi i może jeszcze inne biopsje.

– Chwileczkę, doktorze, myślałam, że martwimy się o mój kręgosłup i kości.

– Większość nowotworów zaczyna się gdzieś i wędruje dalej – tłumaczył. – Na przykład bardzo rzadki jest rak wątroby. Zwykle ognisko nowotworu jest gdzie indziej, choćby w piersi.

– Chcesz powiedzieć, że mam raka piersi, który dał przerzuty na kości?

Wydało się mi, że w tym momencie okazał cień emocji. Jakby z trudem przełykał, zanim się odezwał.

– To właśnie musimy sprawdzić. Wyślemy cię na biopsję. Zrobimy tomografię piersi i brzucha, a także kości. Wrócisz w końcu tygodnia i przejrzymy wyniki.

Mogłabym opowiadać w nieskończoność o kolejnych badaniach i smakującym kredą płynie, który musiałam pić, i o nocach na tabletkach nasennych, ale nie ma w tym wielkiego sensu. W piątek przyszłam znów do doktora Z., a on poinformował mnie rzeczowym tonem, że mam raka piersi, który prawdopodobnie dał przerzuty na kręgosłup.

Co zadziwiające, w tamtej chwili w ogóle nie zareagowałam. To tak jak na sali sądowej: ktoś zostaje uznany za winnego i skazany na dożywocie, ale nawet się nie skrzywi, nie krzyknie ani nie zapłacze. Zawsze zastanawiałam się, dlaczego niektórzy oskarżeni zachowują się tak spokojnie, a teraz rozumiem. To dlatego, że już wiedzą. Ja też wiedziałam. Wiedziałam, co powie mi doktor Z., jeszcze zanim przestąpiłam próg jego gabinetu.

– Mówisz, że moja choroba jest śmiertelna? – zapytałam.

– Mówię, że twojej choroby nie potrafimy wyleczyć – stwierdził. Oczywiście miał wprawę w wygłaszaniu takich kwestii. – Co nie znaczy, że nie możemy jej leczyć, często przez wiele lat, ale według naszej obecnej wiedzy nie jest to choroba, którą możemy wyeliminować.

Chciałam zapytać go, ile czasu mi zostało, ale słowa uwięzły mi w gardle.

– Pamiętaj, Katherine – ciągnął – że trwają badania, które przynoszą fantastyczne efekty, osiągamy postępy co roku, a nawet każdego dnia

i z godziny na godzinę... Będziemy to leczyć, dopilnujemy, żebyś czuła się najlepiej, jak to możliwe, zadbamy, żebyś mogła prowadzić takie życie, jak chcesz, i pocieszające jest to, że możemy zrobić dla ciebie dużo więcej niż pięć lat temu. Mamy przy tym wszelkie podstawy, by przypuszczać, że za rok będziemy mogli zrobić jeszcze więcej, i jeszcze więcej w kolejnym roku. W ten sposób będziemy to rozgrywać.

Zamknęłam oczy i zapytałam:

– Jak myślisz, ile czasu mamy na to rozgrywanie?

Uśmiechnął się.

– A jak tam u ciebie z poczuciem humoru?

– Ponoć to moja największa zaleta.

– Dobrze więc. Jeśli pytasz mnie, kiedy umrzesz, to odpowiem, że gdybym wiedział, już teraz wziąłbym dzień urlopu, bo to oznacza mnóstwo papierkowej roboty. Postaraj się podejść do tego z uśmiechem, właśnie takim jak teraz. Słuchaj, ja nie zastanawiam się, kiedy umrzesz. Jedyna rzecz, o jakiej oboje powinniśmy myśleć, to jak będziesz żyć.

No i taka jest, Samantho, moja historia. Nie poszłam do niego na kolejną wizytę. Ale oczywiście pójdę, pewnie jutro albo pojutrze. Po prostu nie potrafiłam się jeszcze na to zdobyć. Nie byłam w stanie w ogóle nic. Nie wychodziłam z domu, prawie nie jadłam, prawie nie spałam. Nie umiem opisać, jak się czuję. Szczerze mówiąc, boję się, że nie posłucham lekarskich zaleceń... Bo jestem bardzo samotna. Nie mam męża, chłopaka, siostry ani księdza. Nie mogę angażować w to Maurice'a. Jest cudownym człowiekiem, ale to mój szofer, nie powinnam zwałać mu tego na głowę... Nie można prosić ludzi, którzy dla ciebie pracują, o takie sprawy, bo w gruncie rzeczy nie masz pojęcia, co oni naprawdę do ciebie czują, i lepiej żeby tak zostało.

I choć nie wiem, jak dam sobie radę sama, wiem, że raczej nie będę próbowała wciągnąć w to mamy. Nic jej nie powiedziałam i nie zamierzam tego robić. Jeśli umrę, to dowie się, kiedy ktoś zaprosi ją na pogrzeb.

Innymi słowy: nie wiem, czy jestem gotowa wrócić do lekarza, słuchać tego wszystkiego, zadawać pytania, dostawać odpowiedzi i zacząć się leczyć... Na pewno zmienię zdanie za dzień lub dwa. Pójdę tam, bo muszę. Ale byłoby mi dużo łatwiej, gdyby ktoś ze mną był. Zanotował, co trzeba. Zadał pytania, które mnie nie przyjdą do głowy. I może pottrzymał mnie za rękę. Od dawna nikt nie trzymał mnie za rękę. Wiem, że się nie znamy, więc trochę mi wstyd o to

prosić, ale teraz myślę, że może jesteś moją najlepszą szansą. Może dlatego, że szansą jedyną... Jeśli więc chciałabyś się spotkać jutro na mieście, to zapraszam na lunch, porozmawiamy sobie i kto wie, co będzie dalej.

Może uratujesz mi życie.

PW

Od: Samantha R.

Do: Katherine E.

Forumrakapiersi.org

O której i gdzie?

SAMANTHA

MAM NADZIEJĘ, że zdołałam ukryć zdumienie, gdy kierownik sali zaprowadził mnie do stolika. Po prostu gdybym mogła zgadywać, która to kobieta w tej restauracji – Michael’s na East Side – Katherine byłaby ostatnią, jaką bym wskazała. Była opanowana i wyglądała kwitnąco, wcale nie robiła wrażenia chorej lub zagubionej, czy w ogóle jakby czegoś jej brakowało. Nie jest klasyczną piękną, ale to bardzo interesująca kobieta, młodsza, niż się spodziewałam.

– Jestem Katherine Emerson – przedstawiła się, wstając, kiedy podchodziłam do stolika. Miała niski głos operowej śpiewaczki.

– Cześć – powiedziałam, bo nic innego nie przyszło mi do głowy.

Wyciągnęła rękę, a ja swoją. Uścisnęła ją mocno, tak wita się mój ojciec, ale kiedy powinna była mnie puścić, nie puszczała. Trzymała moją dłoń odrobinę dłużej, niż wypada. To robi z człowiekiem rak. Sprawia, że trzymasz czyjąś dłoń odrobinę dłużej niż zwykle, bez względu na to, jak wspaniale wyglądasz.

– Miło z twojej strony, że przyszedłaś – powiedziała Katherine.

– Zabawne – odparłam, siadając naprzeciwko przy słonecznym dwuosobowym stoliku udekorowanym pośrodku białymi liliami. – Mam wrażenie, że to ja powinnam ci podziękować. Bez sensu, wiem, ale tak to odbieram. – Zaśmiałam się lekko... Katherine nie, nawet się nie uśmiechnęła. Nie wyglądała na osobę, która często się uśmiecha, niezależnie od stanu zdrowia.

– Jeszcze raz podsumuję fakty – powiedziała. – Jestem kobietą samotną. Rzuciłam pracę w dniu otrzymania diagnozy, dosłownie tego samego dnia. Nie najlepiej wybrałam sobie czas, ale teraz niewiele mogę na to poradzić. Planowałam przeprowadzić się na zachód, żeby być z mężczyzną, którego dopiero co poznałam, ale najwyraźniej nie było mi to pisane. W gruncie rzeczy jestem całkiem sama i muszę sobie radzić w pojedynkę, a coś mi mówi, że jeśli nie znajdzie się nikt, kto doda mi otuchy, to w jakimś momencie uznam, że nie warto. Dlatego szukam, chciałabym mieć kogoś, kto podtrzyma mnie na duchu, kiedy stracę pewność.

Usłyszałam jakiś brzęk i przez chwilę myślałam, że ktoś upuścił drobne, ale

potem zorientowałam się, że to sztuczce Katherine. Zachowywała się spokojnie, mówiła pewnie, jej twarz nie zdradzała niepokoju, ale palce nie dały się opanować. Stale poprawiała sztuczce po lewej stronie talerza, nieświadomie obracała nerwowo widelce, nie słysząc ich dźwięku. Przypomniało mi się dzieciństwo, jak pojechałam z tatą na wieś i zobaczyliśmy kaczki na stawie. Tata powiedział, że są dla niego wzorem.

– Ich łapki pracują pod wodą jak szalone – odezwał się. – Ale wcale tego nie widać.

Wyciągnęłam rękę i położyłam na jej dłoni. Usłyszałam, jak wyrównuje się jej oddech. Dłoń Katherine rozluźniła się pod moją, a kiedy znów spojrzała mi w oczy, zupełnie się zmieniła...

Nie zauważyłam tego od razu, ale była drobniutka. Pewnie nie zorientowałam się, bo robi oszałamiające wrażenie i w efekcie wydaje się wypełniać więcej przestrzeni, ale wszystko ma filigranowe. Malutkie dłonie, palce tak szczupłe, jak ciasno zwinięte banknoty. Drobne rysy twarzy, oczy, zęby. Patrząc z bliska, miałam wrażenie, że jej ramiona kończą się dużo wcześniej, niż zaczynają się rękawy. Była, jak nazwałaby to moja matka, *petite*, i kiedy tak trzymałam jej rękę, jej twarz powiedziała mi, że nie przeszkadza jej, że to wiem, nawet jeśli inni nie zwracają na to uwagi.

– Porozmawiajmy o czymś innym – zaproponowałam wesoło, lekko ściskając jej dłoń. – Mamy mnóstwo czasu, żeby omówić resztę.

– Podoba mi się ten pomysł – zgodziła się Katherine. – Napijesz się wina?

– Wolno ci pić?

– Do cholery, nikt nie powiedział, że nie mogę. A teraz mam na to wielką ochotę.

– Dobrze. Jeden kieliszek.

– Świetnie – powiedziała – dla mnie zostanie reszta butelki.

Tym razem się uśmiechnęła.

Dwa kieliszki potem zaczęła mi opowiadać, jak się nudzi.

– Wiesz, zawsze zastanawiałam się, ile tracę, kiedy tak stale pracuję – stwierdziła cicho. – A teraz widzę, że nic nie traciłam. Może podróże, do Paryża, Londynu, Aspen, ale przecież nie da się w kółko podróżować. W tym tygodniu siedziałam w domu i oglądałam telewizję. Mam ponad osiemset programów, a nie ma nic, co warto zobaczyć.

– Lubię teleturnieje – powiedziałam.

Katherine mało się nie zadławiła.

– O, Boże, te są najgorsze!

Zaśmiałam się.

– Uwielbiam je. Uwielbiam ludzi.

– Ludzi?! – krzyknęła. – Jeszcze gorzej! Staram się wierzyć, że w tych teleturniejach biorą udział największe głupki na świecie. Bo jeśli gdzieś są jeszcze głupszy, to nasza cywilizacja skazana jest na zagładę.

Dolała sobie wina.

– Ale podchodzą do tego tak poważnie – zaproponowałam. – Tak bardzo się starają.

– Błagam. – Wzięła łyk wina. – Oglądałam *Family Feud* dziś rano, powtórkę starej serii, w której Richard Dawson zwykł całować wszystkie kobiety, już takie grubiaństwo wystarczyłoby, żebym zniecierpliwiła te programy, ale na tym nie koniec, bo kiedy jedna kobieta skończyła całować się z Richardem Dawsonem, on kazał jej wymienić kraj w Ameryce Południowej, a ona mówi „Hiszpania”. Pomyślałam: no trudno, babka nie jest Magellanem, świat się nie zawali... Następny w kolejce był jej brat idiota i Richard pyta go o jakiś kraj w Ameryce Południowej, a on wznosi oczy do nieba, dostaje zęza, jak kot, który musi do kuwety, i mówi: „Wiesz, Richardzie? Sądzę, że ona dała właściwą odpowiedź, też powiem, że Hiszpania”.

Parsknęłam śmiechem.

– Nie mogłam wprost w to uwierzyć – opowiadała, kręcąc głową, i widziałam, że mój śmiech jest zaraźliwy, udzielił się jej, i wreszcie też zaczęła chichotać. – Rzeczywiście, to śmieszne, jak się zastanowić.

– Paradne – oceniłam. – A jednak i smutne. Żal mi ludzi występujących w show, tak strasznie się starają. Czasem płaczę nad nimi.

Popatrzyła mi w oczy.

– Płaczesz podczas teleturniejów?

– Zawsze.

– Faktycznie – powiedziała, kręcąc głową. – Świetnie się dogadamy.

– No właśnie – potwierdziłam, ocierając łzy śmiechu lnianą serwetką. – Będziemy najlepszymi przyjaciółkami od serca.

– To mi pasuje – zgodziła się. – Najlepsze przyjaciółki od piersi.

KATHERINE

OD RAZU JĄ POLUBIŁAM.

Bo jak tu nie lubić? Jest wrażliwa, słodka, inteligentna. Gdyby była mężczyzną, zakochałabym się w niej jeszcze przed otwarciem drugiej butelki. Może i tak się stało. Można się zakochać w kimś, z kim nie chce się kochać. W tym sensie się zakochałam. Zakochałam się w Samancie od pierwszego wejrzenia.

Zanim przyszła, powiedziałam sobie, że będę z nią zupełnie szczerą. W moim życiu chyba skończył się czas gierki... A jeśli nawet nie, to na pewno niczego nie zyskam, bawiąc się z nią w kotka i myszkę. O cokolwiek zapyta, odpowiem jej szczerze, zamiast przyjmować postawę obronną, tak jak robiłam właściwie we wszystkich relacjach w dorosłym życiu.

Kiedy wreszcie przestałyśmy się śmiać z beznadziejnych uczestników teleturnieju, westchnęłam głęboko i próbowałam nakierować rozmowę znów na to, co musiałam z nią omówić.

– Chciałam znaleźć w internecie trochę informacji na temat choroby... Ale tyle tego, że mnie przytłacza. Nie wiem, co jest wiarygodne, a co nie.

– Robiłam to samo – powiedziała Samantha. – Też tak się czułam. Wchodziłam wszędzie. W zasadzie najwięcej dowiedziałam się z portali społecznościowych, na przykład z Facebooka.

– Ja nawet nie jestem na Facebooku. W ogóle nie jestem na bieżąco, jeśli chodzi o plotki – stwierdziłam. – Nie wiem, dlaczego nie założyłam konta. Wydaje mi się, że jeśli ktoś nie odzywa się do ciebie od dwudziestu lat, to wie, co robi.

Samantha zaśmiała się z tego, ale ja nie. Nie byłam szczerą... Nie tak obiecywałam sobie zachowywać się podczas tego lunchu. To były moje typowe żarty, mechanizm obronny, i po co mi to teraz?

– Tak naprawdę – uciekłam wzrokiem – z innej przyczyny. Uczciwie ci przyznam, że nie założyłam profilu, bo bałam się, że nie będę miała tam żadnych przyjaciół. Nawet teraz nie chce mi się dalej pisać o moim przypadku chorobowym... Z obawy, że nikogo to nie obchodzi.

Dalej patrzyłam gdzieś obok. Czekałam na odpowiedź, ale ona nie

odezwała się ani słowem. Trwało to tak długo, że wreszcie musiałam na nią spojrzeć. Bardzo ładna z niej dziewczyna. Ma ciemnoniebieskie oczy i kości policzkowe, za jakie chirurgom plastycznym zapłaciłoby się wszystkie pieniądze. Ale najwspanialsza jest w niej empatia, jej człowieczeństwo. To widać w twarzy. Emanuje z niej.

– Mój Boże, Samantha, jestem taka samotna – przyznałam.

Położyła dłoń na mojej ręce.

– Już nie.

Odchrząknęłam raz, drugi. Bałam się, że się rozpłaczę. Chciałam dalej mówić, ale nie miałam pojęcia co...

– Chcesz, żebyśmy na chwilę przerwały? – spytała.

– Nie, nie – zaprotestowałam... – Po prostu mów do mnie. Opowiedz mi o sobie. Wiem tylko, że płaczesz przy oglądaniu teleturniejów, no, a tak szczerze mówiąc, powinnam wiedzieć trochę więcej, jeśli mam oddać swoje życie w twoje ręce.

Wydawało się, że chwyta moje poczucie humoru, co było miłe, bo mam wrażenie, że to moja najlepsza cecha. Nie wtedy, kiedy używam go jako broni albo żeby zyskać przewagę, w tych przypadkach pewnie mój dowcip bardziej mi szkodzi, niż pomaga, ale powiedzenie czegoś zabawnego we właściwym momencie ożywia rozmowę. Widziałam, że Samantha to docenia.

Potem zaszokowała mnie historią swojego nieudanego małżeństwa. Mam nadzieję, że nie zdradził mnie wyraz twarzy, to znaczy – szczęka nie opadła mi aż na stół. To wszystko wydawało się nieprawdopodobne, kompletnie nie pasowało do takiej kobiety jak Samantha. Wydaje się przecież rozsądna i poukładana. Nie wiem, jakiego typu ludzie są skłonni unieważnić małżeństwo po trzech dniach, ale o coś takiego nie podejrzewałabym osoby, którą miałam przed sobą.

– Mogę tylko powiedzieć – stwierdziłam, kiedy skończyła – że ten facet musi być bezdennie głupi, skoro pozwolił ci odejść. I choć ledwie cię znam, mówię to z pełnym przekonaniem.

– Bardzo miło z twojej strony.

– Co za imbecyl – powiedziałam dla podkreślenia, a ona się roześmiała.

– A ty, Katherine? Byłaś kiedykolwiek mężatką?

– Nigdy – odparłam. – Raz było blisko. A przynajmniej tak mi się

wydawało, ale pewnie nie aż tak blisko, jak sądziłam. Moje związki z mężczyznami to jeden wielki horror. Albo się będziesz śmiać, albo mnie palniesz, kiedy opowiem ci, w jak beznadziejne sytuacje się łądowałam.

– Wypróbuj mnie.

Nabrałam głęboko powietrza.

– Raz zostałam porzucona podczas sesji terapii dla par. Pewnie chodzenie na terapię dla par przed ślubem powinno dać mi do myślenia, ale jakoś mi to umknęło. Innym razem przygotowałam kolację dla faceta, przyjechał, kochaliśmy się, a potem ze mną zerwał i spytał, czy mimo wszystko może zostać na kolacji, bo jakby od razu wyszedł, to trafi na korki, a ja się zgodziłam.

Samantha chciała coś powiedzieć, ale jej przerwałam.

– No i pewnego razu chciałam zerwać z facetem, a on namówił mnie, żebym tego nie robiła, i poszliśmy do domu i kochaliśmy się, po czym on, paląc papierosa w moim łóżku, powiedział, że chyba mam rację i powinniśmy się rozstać.

Znów się śmiała. Już nie tym swoim zaraźliwym, histerycznym śmiechem, ale ze zrozumieniem, jak to kobieta, która dobrze wie, że faceci potrafią być kompletnie do luzu.

– Ale w żadnym z tych przypadków nie było mowy o ślubie. Byli jak autobusy albo pociągi, jeden ucieknie, to przyjedzie drugi – stwierdziłam. –

Phillip to co innego. Razem studiowaliśmy zarządzanie. Uczyliśmy się wspólnie, podróżowaliśmy, niby nie mieszkaliśmy razem, ale praktycznie tak było. Rzadko bywał w swoim domu przez te dwa lata, kiedy byliśmy parą. Pod koniec studiów powiedział mi, że poznał w Cambridge inną kobietę, wyluzowaną panienkę, niesamowicie atrakcyjną i łatwą. Nie tylko w sensie seksu. Niczego od niego nie wymagała. Uważała wszystko, co mówi, za mądre i zabawne. Każdy jego pomysł wydawał się jej genialny. Mnie też. Ale ja byłam mu równa, a ona nie. Uznał, że woli taką opcję... Ona go wielbiła, a fajnie jest być uwielbianym.

Samantha pochyliła się ku mnie i słuchała w skupieniu.

– Pamiętam, gdzie siedzieliśmy, kiedy mi powiedział. W głębi taniej restauracji, we wnęce. Pił mleczny koktajl waniliowy, a ja wzięłam kawę. Słuchałam każdego słowa i potem powiedziałam: „Słuchaj, kocham cię bezgranicznie i wyjdę za ciebie natychmiast, jeśli mnie poprosisz, ale jestem

też po Harvardzie i planuję robić dokładnie to, co ty zamierzasz robić po studiach, więc bierz mnie albo rzuć, ale nie wymagaj, żebym nie była ci równa”.

Dolałam sobie trochę wina, nim dokończyłam tę historię.

– Poszłam do domu i czekałam. Minęły trzy dni, cztery, pięć. Nie miałam od niego żadnej wiadomości. Potem zadzwonił. W sobotę... Powiedział: „Tęsknię za tobą do bólu. Czy mogę przyjść się z tobą zobaczyć? Mam ci coś ważnego do powiedzenia”. Płakałam z radości, bo wiedziałam, jak będzie. Stał w progu dwadzieścia minut później, po czym zaniósł mnie do sypialni i kochaliśmy się, zanim którekolwiek z nas zdołało coś powiedzieć. A kiedy leżeliśmy słodko zmęczeni, widziałam, że ma łzy w oczach, więc znów zaczęłam płakać i już, już chciałam powiedzieć, że nie musi mnie prosić, bo wiem, i kocham go, i mogę natychmiast się ubrać, a biec do ratusza i wyjść za niego jeszcze tego wieczora, i później się zastanowimy, co powiemy rodzinie... Ale on usiadł, zapalił papierosa i wzdychając, oznajmił: „Chryste, Kat, tak strasznie będę za tobą tęsknić”. Cała krew odpłynęła mi z twarzy. Nawet nie byłam zła, nie od razu, nawet nie byłam smutna. Zrobiłam się tylko malutka. Czułam się tak mała, jakby w ogóle niewidzialna, jakbym znikła. I w jakimś sensie taka zostałam przez prawie dwadzieścia lat.

Niewielka łza spłynęła po policzku Samantha.

– Ożenił się z tą panienką? – spytała.

– W rzeczy samej. Niecały rok później.

– Och, nie.

– Poczekaj – powiedziałam. – Nie słyszałaś jeszcze najgorszego.

SAMANTHA

NIE MOGĘ UWIERZYĆ, że pracowała dla niego przez wszystkie te lata.

Nie potrafię sobie wyobrazić powrotów do biura co poniedziałek i pytania Roberta, jak mu minął weekend. Wszystko jedno, o jakie pieniądze tu chodziło, nie ma sumy, dla której warto byłoby się tak poświęcać.

Najbardziej podziwiam w Katherine to, jak bardzo jest sobie świadoma. Doskonale siebie zna. Dobrze wie, jak chore było jej życie od czasów Phillipa, i może jeszcze lepiej, z czym teraz ma do czynienia. Rozumie, z czym musi się zmierzyć, i jest silna. Czułam jej siłę tego popołudnia i w kolejnych tygodniach podziwiałam ją coraz bardziej.

Chyba najtrudniejsze dla silnej osoby jest przyznanie się, że potrzebuje pomocy. Myślę jednak, że przez ten czas, który spędziłyśmy razem, Katherine przekonała się, że to nie jest słabość, ale raczej wielka odwaga: przyjąć mnie, zdać się na mnie, pozwolić mi być adwokatem jej zdrowia, bo właśnie nim się z miejsca stałam, tam, nad drugą butelką burgunda.

Trzy dni później, absolutnie zdeterminowane, kierowałyśmy się do wejścia ogromnego kompleksu szpitala Memorial Sloan-Kettering, gdzie na dziewiętnastym piętrze Katherine miała spędzić dwa dni, aby poddać się biopsjom, otrzymać drugą i trzecią opinię specjalistów na temat diagnozy, a potem zacząć chemoterapię. Katherine powiedziała mi o dziewiętnastym piętrze podczas pierwszego lunchu. Najwyraźniej to sekret powszechnie znany bogatym i gwiazdom, coś jak wyspa należąca do Davida Copperfielda. Piętro dla wyjątkowych pacjentów z rakiem. Nie stosuje się tam lepszych niż gdzie indziej metod leczenia, różnica polega na warunkach. Katherine powiedziała, że mam spodziewać się luksusowego hotelu w stylu Four Seasons, ale pomieszczenie, do którego najpierw dotarłyśmy, przypominało bardziej motel na jakimś wygwizdowie w nieprzyjemnej okolicy. Pieniądze i świadomość, że wybieramy się na dziewiętnaste piętro, nie uchroniły nas przed koszmarem izby przyjęć na pierwszym piętrze, gdzie tłoczyli się ludzie starający się dostać do lekarza.

Zagotowałam się.

Katherine i tak była wystarczająco zdenerwowana, niezależnie od trzygodzinnego czekania ze względu na biurokrację i zmianę pielęgniarek na

dyżurze. Starła się mnie uspokoić i wreszcie pomyślałam: „Jeśli ona mnie pociesza, to co ja właściwie tu robię? Od czego tu jestem?”. Wzięłam więc sprawy w swoje ręce. Zajrzałam do schowka, kiedy nikt nie widział, i podwędziłam nosze na kółkach. Skinęłam głową na Katherine i nim zdążyła zaprotestować, kazałam jej się kłaść.

Potem powiozłam Katherine przed stanowiskiem pielęgniarek i ochroną do jedynych wind, jakie miałam w polu widzenia. Nacisnęłam guzik i wstrzymałam oddech. Z ulgą odkryłam informację na tylnej ścianie:

OBSŁUGUJE PIĘTRA od 10 do 19

– Trafiliśmy – szepnęłam do Katherine, która robiła wrażenie, jakby wygodnie jej było tak leżeć z głową na dwóch poszewkach zawiniętych przeze mnie w wałek. – Jedziemy!

Ale przycisk się nie zapalił. Dotykałam go kciukiem, palcem wskazującym, stukałam paznokciem, wpychałam całą dłońią. I nic. Tylko drzwi się zasunęły, a my czekałyśmy. Zadziwiające, jak można się wkurzyć tym, że winda nie rusza. Jeszcze jedna z takich rzeczy jak lodówka, na które nie zwraca się uwagi, póki działają.

– Chyba nie jedziemy – powiedziała Katherine.

Spojrzałam w dół. Miała zamknięte oczy. Głos ściszony, zrelaksowany.

– Wiem.

– Dlaczego nie ruszamy? – spytała.

– Wszystko pod kontrolą – stwierdziłam z udawaną pewnością siebie.

Nie otworzyła oczu, ale uśmiechnęła się szeroko.

– Zabawna jesteś, wiesz? – powiedziała. – Obudź mnie, jeżeli kiedykolwiek dojedziemy na dziewiętnaste.

Tkwiłyśmy w windzie dość długo, wreszcie wpadłam na pomysł. Otworzyłam torebkę i wyrzuciłam wszystko na podłogę. Potem uklęknęłam i czekałam, a kiedy tylko zabrzmiał dzwoneczek i dźwięk otwierających się drzwi, zawołałam:

– O, cholera!

Dwie kobiety w fartuchach laborantek weszły do windy.

– Coś się stało? – spytała jedna.

– Wszystko mi się wysypało – powiedziałam, nerwowo zbierając rzeczy. –

Wcisną panie dla mnie dziewiętnaste?

Kiedy klęczałam, moja głowa była tuż przy twarzy Katherine. Usłyszałam przeciąganie kartą po szczelinie działającej jak zamek i poczułam, że winda rusza, a moja przyjaciółka wyraźnie próbowała stłumić śmiech.

Gdy opuszczaliśmy windę, ochroniarz musiał nas sprawdzić czujnikiem, co zrobił, rzucając na nas tylko jedno podejrzliwe spojrzenie, a potem pielęgniarka poświęciła dziesięć minut na wygłoszenie mi kazania, że wdarliśmy się tu, łamiąc przepisy. Przepraszałam i zgrywałam niewiniątko, ciesząc się, bo Katherine chyba usnęła. Choć nieźle mnie postraszyli, czułam też wielką ulgę, bo nikt nie spytał, skąd mam nosze.

Wreszcie zabrano nas do pokoju. Nawet w najśmielszych snach nie wyobraziłabym sobie, że coś takiego można znaleźć w szpitalu. Apartament urządzony równie ekskluzywnie jak mój dla młodej pary na Hawajach. Łazienka w marmurach, dwa płaskie telewizory, wygodne skórzane fotele, puszysta wykładzina i menu, które przypominało kartę dań z bistro na Fifth Avenue. Kurczak pieczony, kartofelki z rozmarynem, brokuły sauté, tarta jabłkowa z sosem waniliowym, sorbet malinowy.

– Stylowo – stwierdziłam, kiedy tylko zamknęły się drzwi za pielęgniarką, która nas tu ulokowała.

Katherine zeskoczyła z wózka i pewnym krokiem podeszła do okna.

– Dziękuję, że mnie tu przywiozłaś – powiedziała.

– Myślałam, że śpisz.

– Medytowałam.

Usiadła na małym drewnianym krześle, zapatrzona w horyzont. Dzień był pochmurny i nad morzem wieżowców wisiała dramatyczna szarówka.

– Pozwolisz, że zapytam, ile to kosztuje?

– Trzy tysiące dziennie – odparła, odwrócona do mnie plecami, nadal spoglądając w okno. – Ubezpieczenie tego nie pokrywa.

– Warte tych pieniędzy.

– Bez ciebie bym tu nie dotarła – powiedziała, nadal nie odwracając się do mnie.

Podeszłam i położyłam jej dłoń na ramieniu.

– Całkiem wygodne miejsce na parę dni – oceniłam.

– Gdyby nie to – odezwała się Katherine i wskazała na coś za mną.

Obejrzałam się i od razu to zobaczyłam. Jedyna rzecz, jakiej nie znalazłoby się w luksusowym, hotelowym apartamencie... Łóżko. Nieróżniące się od innych szpitalnych łóżek. Ścisnęło mnie w gardle.

– Pójdę do Burneys'a – powiedziałam. – I wykupię dział z bielizną pościelową.

– Nie – zaprotestowała, położyła dłoń na mojej i przytrzymała mnie. – Po prostu zostań ze mną.

KATHERINE

SAMANTHA NOCOWAŁA ze mną w tym pokoju. Pościelili jej na kanapie. Dali miękkie poduszki i kołdrę z pierza. Jak skończyli, wyglądało to wygodniej niż łóżko. Byłam zadowolona. Nie chciałam narażać jej na niewygodę.

Następnego dnia, wcześniej rano przyszedł doktor Z. Poprosiłam Samanthę, aby została i posłuchała, co on powie, trochę dlatego, że od kiedy to wszystko się zaczęło, głowa nie pracowała mi dobrze, ale też po prostu nie chciałam być sama.

Doktor Z. powtórzył, jaki program zaczynamy, zapowiedział, że spędzę w szpitalu tylko kilka dni, i wyjaśnił, że potem przejdę chemoterapię w ośrodku niedaleko mojego domu. Samantha, niech ją Bóg błogosławi, cały czas notowała. A ja słuchałam z zamkniętymi oczami.

Potem doktor zadał pytanie, które mną wstrząsnęło.

– Katherine, czy jest coś, co bardzo chciałabyś zrobić?

Otworzyłam oczy.

– Co masz na myśli?

– Coś, o czym marzysz.

– To znaczy?

– No, niektórzy chcieliby pojechać na safari, inni nauczyć się gry na pianinie. Albo coś pomiędzy jednym a drugim.

Poczułam, jak ogarnia mnie panika.

– Chcesz mi powiedzieć, że jeśli jest coś, czego dotąd nie zrobiłam, to lepiej się z tym pospieszyć?

– Bynajmniej – stwierdził i by mnie uspokoić, położył dłoń na mojej stopie.

– Przepraszam, jeśli odniosłaś takie wrażenie. Chodzi mi o to, że lubię pracować, mając określony cel. Następne kilka tygodni to nie będzie nic przyjemnego, więc łatwiej je zniesiesz, jeśli powiesz sobie: jeszcze dziewięć dni i obejrzę żyrafy w ich naturalnym środowisku.

Znów się położyłam i spojrzałam na Samanthę. Wpatrywała się w doktora. Miała włosy wgniecione z jednej strony, tej, na której spała. W dłoni trzymała

długopis.

– Mogę się zastanowić?

– No pewnie. Nie traktuj tego jak obowiązku – poprosił doktor Z. – Po prostu czasami to pomaga.

Naprawdę miał uroczy uśmiech.

Kiedy wyszedł, Samantha klapnęła na łóżko obok mnie. Wtedy wydawało mi się, że znam ją od zawsze.

– Wystraszyłaś się, co? – spytałam. – Bo ja jak cholera.

– Rzeczywiście, wystraszyłam się jak jasna cholera – przyznała. – Dopiero kiedy wyjaśnił, o co chodzi, poczułam się lepiej. Wierzę, że mówi prawdę.

– Ja też – zgodziłam się.

– To według mnie ma sens – powiedziała Samantha. – W każdym razie brzmi logicznie.

Poszła do łazienki, umyła zęby i uczesała włosy. W dwie minuty była gotowa. Kiedy wyszła, wyglądała fantastycznie: zdrowo, pięknie, promiennie.

– Masz taką naturalną urodę – powiedziałam, widząc ją w świetle promieni słońca padających z okna. – Szczerze ci zazdroszczę.

Samantha się roześmiała.

– Żartujesz! Jesteś o dwanaście lat starsza, a założę się, że wszyscy biorą nas za bliźniaczki. To ty wyglądasz fantastycznie.

– Kochanie, żeby wyglądać na twoją siostrę, muszę poświęcić godzinę. A ty uwinęłaś się w minutę. Gdybyś mnie dała tylko tyle czasu, wyglądałabym na twoją babcię.

– Nieprawda i dobrze to wiesz – powiedziała i potarła brodę, jakby się nad tym zastanawiała. – A może nie wiesz. No to cię przekonam...

– Bo jesteś moją najlepszą przyjaciółką od piersi.

– No właśnie. Bo jestem twoją najlepszą przyjaciółką.

TEGO RANKA BŁAGAŁAM, żeby sobie poszła i wróciła do swoich zajęć, ale się uparła. Powtarzała, że nigdzie się nie ruszy, że wyjdziemy stąd razem, i po jakimś czasie musiałam przestać się z nią spierać.

– Tylko to sobie zaplanowałam – stwierdziła. – Nie mam nic ważniejszego do roboty.

No i jak to dziewczyny, zaczęłyśmy gadać o chłopakach.

– Poza tym dupkiem, za którego wyszłaś, byłaś kiedyś z jakimiś fajnymi facetami? – spytałam.

– Z jednym czy dwoma. Najbardziej romantyczna przygoda spotkała mnie w wieku czternastu lat. Z chłopakiem, który nawet nigdy mnie nie pocałował. Do tej pory stale go wspominam. Ostatnio nawet komuś o tym opowiadałam. Jestem żalosna?

– Serio? – zdziwiłam się. – Mnie pytasz o takie rzeczy? Zmarnowałam całe życie, wzdychając do idioty, który zostawił mnie dla laski, przy której Kim Kardashian mogłaby uchodzić za noblistkę... Więc nie mnie cię oceniać.

– Powiedz, co z nami jest nie tak? – wybuchnęła Samantha. – Przecież jesteśmy atrakcyjne. Dlaczego wybrałyśmy sobie takich nic niewartych facetów?

– Ciekawe pytanie – westchnęłam i zastanowiłam się chwilę. – Myślę, że umiem wszystko racjonalizować. Dokładnie analizuję wszystkie minusy, niezależnie od tego, czy facet jest przystojny, zabawny i czy w ogóle się mną interesuje.

– Daj przykład – poprosiła Samantha.

Usiadłam na łóżku.

– Zabawmy się w taką grę – zaproponowałam. – Powiem ci coś o jakimś mężczyźnie, a ty zdecyduj, czy to powinno go dyskwalifikować jako kandydata.

Przyciągnęła fotel bliżej łóżka i zapadła się w jego poduchach. Oparła stopy tuż przy moich, jakbyśmy były dziewczynkami, którym rodzice pozwolili razem przenocować.

– Jestem gotowa – oświadczyła.

– Dobrze – rzuciłam. – Zacznijmy od czegoś łatwego. Codziennie rozmawia przez telefon ze swoją mamą.

– Jest chora?

– Zdrowa jak byk.

– A on w jakim jest wieku?

– Ma około trzydziestu pięciu lat.

– Odpada! – zawołała Samantha i zaczęłyśmy się śmiać jak wariatki.

– Pewnie mój problem polega na tym, że w moim życiu są właściwie sami mężczyźni – powiedziałam, kiedy złapałam oddech. – Gdybym miała przyjaciółki jak z *Seksu w wielkim mieście*, w porę by mnie ostrzegły.

Samantha powierciła się na fotelu, zaplotła łydki na moich i ścisnęła je.

– Dawaj dalej – poprosiła.

Podumałam chwilę.

– No dobrze, a gdyby miał małą suczkę i nie chciał jej wysterylizować, boby się bał, że to boli, i wobec tego suczka ma co jakiś czas cieczkę, więc musi ją ubierać w szorciki i zmieniać jej podpaski.

– O, to chyba zmyślasz – parsknęła Samantha.

Roześmiałam się.

– Przysięgam, że nie.

Wyskoczyła z fotela i zbliżyła twarz do mojej.

– Żartujesz? Spotykałaś się z facetem, który zmienia suczce podpaski?

– Tak. Kiedy pierwszy raz mieliśmy pójść do łóżka, powiedział, że po drodze musi wpaść do apteki. Myślałam, że kupuje prezerwatywy.

– A kupował podpaski?

– Zgadza się.

Samantha zaczęła przechadzać się w tę i z powrotem.

– Wyjaśnijmy coś – powiedziała. – Jechaliście do niego, a on zatrzymał się przy aptece, żeby kupić suczce podpaski, i tego dnia pierwszy raz się kochaliście?

– Tak.

– To coś tak dyskwalifikującego, że chyba więcej nie zdzierzę. Tego już nic nie przebije.

Uśmiechnęłam się.

– Kochanie. Wracaj na fotel. To dopiero rozgrzewka.

SAMANTHA

GRA W „ABSOLUTNIE ODPADA” stała się od razu naszą ulubioną zabawą. W ciągu tego i następnych dni do rozpuku śmiałyśmy się z szokujących scenariuszy, które dane nam było przeżyć albo które zmyśliłyśmy. Im bardziej szalone, tym lepiej. W tym czasie nic nie cieszyło mnie bardziej niż śmiech Katherine.

Są takie powiedzenia jak „śmiech to zdrowie” i powtarzamy je często, ale nie zdajemy sobie sprawy, jak bardzo są prawdziwe, dopóki naprawdę nie potrzebujemy takiego lekarstwa. To porzekadło na pewno nie kłamie. Kiedy Katherine się śmiała, była zdrowa, taka jak dawniej. Robiła to za rzadko, bo trudno się śmiać, kiedy się walczy o życie, ale jak już nadarzy się okazja, śmiech może działać cuda.

Została w szpitalu tylko trzy dni. Cieszyła się, kiedy wracałyśmy do domu, a ja może nawet jeszcze bardziej. W tamtym okresie, u niej w mieszkaniu, cudownie nam się rozmawiało, szczerze, na bardzo różne tematy. Opowiadałyśmy sobie o naszym życiu. O mężczyznach i pracy, modzie i rodzinie. Mówiłyśmy i o raku, tak jak potrafi mówić ktoś, kto wie, w czym rzecz. Jeśli się samemu tego nie doświadczy, to nie ma dobrego sposobu, żeby wyjaśnić komuś, co to oznacza. Byłoby to jak opowiadanie o wypadku, w którym ta osoba nie uczestniczyła, a w którym omal się nie zginęło, na przykład o pożarze silnika i lądowaniu awaryjnym, albo biwaku w lesie, podczas którego trzeba było położyć się, udając nieżywego, i modlić się, by niedźwiedź tylko nas obwąchał i ruszył dalej, a nie rozszarpał na strzępy... Nie da się opowiedzieć, jakie to było straszne w tamtej chwili, bo sam fakt, że się o tym opowiada, dowodzi, że się przeżyło, a przecież tamten lęk był tak silny, bo nie było wiadomo, co się stanie. Kiedy opowiada się o takiej sytuacji, nie jest już tak straszna jak wtedy, kiedy to się działo. Z wyjątkiem raka.

Rak nie ląduje jak samolot ani nie odchodzi jak niedźwiedź. Nawet w moim przypadku, a już dla Katherine na pewno. Świadomość tego sprawia, że pełne napięcia oczekiwanie nigdy się nie kończy i przypomina to lęk, kiedy przy lądowaniu człowiek się żegna i ściska aż do bólu poręczę, albo kiedy leży nieruchomo na ziemi, a niedźwiedź obwąchuje mu włosy. Może nie wszystkie chwile z Katherine takie były, ale to uczucie nie odpuszcza, choćby nie wiem

jak udawać, że minęło.

Kiedy mówiła o raku, była bardziej smutna niż przerażona. Sądzę, że miała w sobie wiele żalu. Lęk przed chorobą, strach przed śmiercią to jedno, a zastanawianie się, dlaczego coś się robiło i zmarnowało tak wiele możliwości – to zupełnie inna sprawa... Przypuszczam, że kiedy Katherine myślała o końcu swojego życia, myślała o tym, jak bardzo inaczej chciałaby je urządzić, jak inaczej mogła wyglądać każda jego minuta od czasów Phillipa, i właśnie to ją najbardziej przygnębiało.

Ale ogarniał ją jeszcze większy smutek, gdy mówiła o Stephenie.

– Nigdy nie wierzyłam w miłość od pierwszego wejrzenia – powiedziała.

– A okazało się, że nie miałas racji.

– Tak – Katherine uśmiechnęła się. – Kiedy tylko go zobaczyłam, wiedziałam. To było olśnienie, cudowne, słodkie uczucie, od którego robiło mi się ciepło w środku, jakby mnie ktoś posmarował miodem. W ciągu jednego dnia zrozumiałam, że w moim życiu wszystko jest nie takie, jak bym chciała. I, przede wszystkim, zaczęłam to zmieniać. Powiedziałam mu, że za dwa tygodnie wrócę, i naprawdę zamierzałam tak zrobić. Rzuciłam pracę, planowałam sprzedać mieszkanie, postawić wszystko na tego mężczyznę. A wtedy...

Głos jej się załamał. Czasami rak powoduje i to. Sprawia, że trudno ci dokończyć zdanie.

– Pojadę do Aspen i go znajdę – zdecydowałam. – Jak nie podasz mi jego nazwiska, to wsiadam w samolot.

Katherine popatrzyła na mnie bardzo poważnie.

– Posłuchaj – powiedziała. – Wiem, że mówisz to w dobrej wierze i w dobrej wierze byś to zrobiła, pewnie ja na twoim miejscu zrobiłabym to samo. Ale nie zrobię, a ty nie wchodź w moje buty. Obiecuj, że nie pojedziesz do Aspen, nie będziesz szukać Stephena przez internet ani nic w tym stylu. Przysięgnij. Bo za każdym razem, kiedy tu przyjdiesz, będę się bała, że on nadciąga za tobą, a tego nie zniosę.

Westchnęłam ciężko.

– Nie pojadę – poddałam się.

– Musisz mi to przysiąc.

– Przysięgam. Ale skoro mnie nie wolno, ty musisz to zrobić. Musisz mu

powiedzieć, co się stało.

– Nie mogę – stwierdziła Katherine. – Kazałam asystentce poinformować go, że już nie pracuję w banku i że nie wie nic ponad to. Ja tylko...

Nie skończyła i tego zdania. Nie musiała. Jasne, za dużo tych „tylko” trzeba byłoby wyliczać.

Asystentka, o której wspomniała, to wesoła, urocza dziewczyna z Brooklynu. Ma na imię Marie i jest o rok ode mnie młodsza. Chyba najbardziej prowokująco ubrana kobieta, poza prostytutkami, jaką w życiu widziałam. Nie licząc mnie, to ona najczęściej odwiedzała Katharine. Jeździła z nami albo z samą Katherine do ośrodka chemoterapii. Dużo się śmiała i robiła mnóstwo hałasu, ale miało to sens. Choć było ciężko, nie wolno nam było wpadać w ponury nastrój. Podchodziła do wszystkiego optymistycznie, nawet w najgorsze dni. Od razu ją pokochałam i było widać, że Katherine też ją uwielbia. A Marie odwzajemniała uczucia Katherine, zupełnie bezinteresownie i z pełnym oddaniem. Teraz już nie musiała być jej za nic wdzięczna, nie musiała niczym się wykazywać, ale po prostu obchodził ją los przyjaciółki i to było niezwykle ważne.

Pewnej środy zachorowałam. Zwyczajne przeziębienie, trochę kataru, ale wiedziałam, że nie pozwolą mi towarzyszyć Katherine podczas chemoterapii. W trakcie leczenia system odpornościowy jest prawie bezbronny, jeśli ktoś w ośrodku choćby zakaszle, zaraz grzecznie prowadzą go do wyjścia.

Posłałam więc Katherine pocałunek na pożegnanie, pewna, że Marie jej nie opuści, i wyszłam. Było gorące, słoneczne popołudnie, chciałam się przewietrzyć. Miałam wrażenie, jakbym od miesiąca nie wychylała nosa na zewnątrz. Świeży powiew od razu poradził sobie z moim przeziębieniem. Wskoczyłam więc na rower, pojechałam do Central Parku i trzy godziny pilnie pedałowalam. Co dwadzieścia minut przystawałam, żeby napić się wody i pogimnastykować się na Owczej Łące, padając na trawę, robiąc pompki, przysiady i pajacyki. Dookoła mnóstwo opalających się studentów, popijających coś ukradkiem albo i popalających. Było świetnie. Przypominałam sobie, jak ważna dla stanu umysłu jest dobra kondycja. Nawet opiekując się Katherine, miałam dość czasu, aby zająć się swoim ciałem. Mogłam walczyć o czyjeś zdrowie, a jednocześnie troszczyć się o swoje.

O zmierzchu wróciłam do domu i włączyłam laptop. Nim się uruchomił, zrobiłam jeszcze na podłodze dwadzieścia pompek. Chciałam przygotować sobie dobrą kolację. Chude białko, pełne ziarna, owoce i woda. Może

i kieliszek wina, bo życie jest krótkie.

Potem ekran komputera ożył i zobaczyłam, że jest do mnie jakaś wiadomość. Przez moment pomyślałam o skrzynce e-mailowej Roberta i zaczęły dygotać mi ręce...

– Daj spokój, Samantho – powiedziałam głośno, kiedy z nosa ściekła mi kropelka potu. – Przestań panikować, nie każdy e-mail grozi życiową katastrofą.

PW

Od: Brooke B.

Do: Samantha R.

Forumrakapiersi.org

Spotkałam doktora Marksa w Starbucksie i wspomniałam o Tobie.

(Nie martw się, nic nie powiedziałam o tańcu, Bee Geesach i pocałunkach, które nie doszły do skutku, nic a nic. Byłam dyskretna).

Jest wolny i koniecznie chciałby się z Tobą zobaczyć.

Daj znać, co chcesz zrobić.

KATHERINE

NIGDY NIE POŚWIĘCAŁAM tyle uwagi zakupom.

Marie wreszcie wychodzi za mąż. Chce, żeby to była fantastyczna, elegancka uroczystość. Spieszy jej się, ale mówi, że zrezygnuje, jeśli nie zgodzę się być jej druhną. Podejrzewam, że jest w ciąży i stąd to tempo. A ona ani nie potwierdza, ani nie zaprzecza.

– Nie chcę skupiać na sobie uwagi – protestowałam. – Jeśli na przyjęcie przyjdą wszyscy z banku, to siłą rzeczy zrobi się sensacja, że „Katherine jeszcze żyje”, a nie tak powinien wyglądać najważniejszy wieczór w twoim życiu.

– I dlatego właśnie nie wyobrażam go sobie bez swojej najlepszej przyjaciółki – upiera się Marie.

– Ale nie robisz tego specjalnie dla mnie? – spytałam ostrzegawczo. – Przyjęcia to ostatnia rzecz, jakiej mi teraz potrzeba do szczęścia.

– Nie robię tego dla ciebie – zapewniła. – Proszę, żebyś ty zrobiła to dla mnie.

No, dobrze. Pod koniec tygodnia Samantha i ja wybieramy się na zakupy, bo żadna z moich kreacji teraz na mnie nie pasuje. Straciłam pięć kilo od czasu, kiedy zaczęłam chemoterapię, i choć włosy trzymają się lepiej, niż przewidywałam, przyzwyczaiałam się do noszenia peruki o długich ciemnych włosach, o ton ciemniejszych niż moje, zgodnie z radą mojego fryzjera. Powiedział, że lepiej komponują się z moją bladą cerą.

W czasie chemii Marie bez przerwy paplała mi do ucha o przygotowaniach, a potem odprowadziła mnie do domu. Nie minęło dziesięć minut, jak wyszła, a tu dzwonią z recepcji. Aż uśmiechnęłam się z nostalgią. Kiedy Marie dla mnie pracowała, wiecznie czegoś zapominała w biurze. A to zostawiła okulary, a to klucze, a to książkę. Przyjemnie było pomyśleć, że są na świecie rzeczy, które nigdy się nie zmieniają.

Nacisnęłam przycisk.

– Proszę spytać, czego zapomniała, pošlę jej na dół windą.

Nastąpiła chwila ciszy, nim odezwał się portier.

– Nie, proszę pani. Jest tu jakiś pan. Przedstawił się jako Phillip, mówi, że pamięta go pani ze studiów.

BROOKE

NAPISAŁAM E-MAIL DO SAMANTHY, bo chciałam ją poznać.

Przypadkowe spotkanie z człowiekiem, którego kiedyś kochała, stwarzało świetną okazję. Ale i tak coś bym wymyśliła. Chciałam z nią porozmawiać. Zobaczyć ją. Dowiedzieć się, jak wygląda, usłyszeć jej głos. Żyjemy w dziwnym świecie. Możemy utrzymywać kontakty z osobami, których nie widzieliśmy na oczy i nie znamy ich głosów. Tak jakby to nie byli prawdziwi ludzie, ale postaci z jakiejś książki, które można sobie dowolnie wyobrazić. Ale Samantha była prawdziwa i wiedziałam o tym. Miałam pewność, że prędzej czy później się do niej odezwę. To byłoby nie w porządku, gdybym tego nie zrobiła.

Poza tym doktor Marks jest taki fajny i inteligentny i wydaje się wrażliwy. No, w końcu jest pediatrą, a to specjalność wymagająca wrażliwości, prawda? Dokładnie taki typ mężczyzny, w jakim mogłabym się zakochać, choć wyszłam za kogoś zupełnie innego. Scott jest twardy, a doktor Marks słodki. Uwielbiam twardość, ale od czasu do czasu myślę, że wszystkim nam przydałoby się też trochę słodczy.

Kiedy go zobaczyłam, pił latte z cukrem i cynamonem.

– Jak tam u ciebie, wszystko w porządku? – zapytał.

Chwilę trwało, nim skojarzyłam, o co mu chodzi. Zapomniałam, że to on radził mi zrobić pierwszą mammografię i mimowolnie zapoczątkował to, co stało się najgorszym doświadczeniem w moim życiu. Ja zapomniałam, ale on najwyraźniej nie, i choć nie chciałam sobie o tym przypominać, jego troska sprawiła, że jeszcze bardziej mi się spodobał.

– Świetnie – powiedziałam. – Dziękuję.

– Cieszę się – stwierdził i się uśmiechnął. – Ostrożności nigdy dosyć.

– Też tak myślę – ucięłam i przeszłam do innych tematów.

Po jego twarzy poznałam, że Samantha nie jest mu obojętna. Powiedziałam, że poznałam przypadkiem („przyjaciółkę przyjaciółki przyjaciółki”) dziewczynę, która znała go jako nastolatka. Jego prawe oko zmrużyło się nieco, kiedy wymieniłam jej imię, i uśmiechnął się leciutko połową twarzy. Tak chyba działają niektóre wspomnienia... Jedne wywołują śmiech, inne płacz, a te naprawdę dobre – półśmiech.

Po rozlicznych katastrofach, jakich byłam świadkiem, straciłam chęć do swatania, ale ta okazja sama wpadła mi w ręce, no i dawała pretekst do zaproszenia Samantha na lunch, co rozważałam od jakiegoś czasu.

„Chętnie spotkam się z Tobą na mieście, napisałam, wybierz gdzie”.

Nie mogłam zaprosić jej do Greenwich. Wszystkich tu znam, a nie chciałam się tłumaczyć, jak poznałam Samantha.

Nie wyjawiałam nikomu swojego problemu. Ani mężowi, ani dzieciom, a już na pewno nie byłam skłonna zwierzać się miejscowym paniom, których głównym zajęciem jest wtykanie nosa w nie swoje sprawy. Naprawdę nie mam zamiaru tłumaczyć, *dlaczego* nic nie powiedziałam. W ogóle nie chcę już o tym mówić. Tak naprawdę ledwie mogę o tym myśleć. W ostatnim czasie pękłam tylko raz, podczas kolacji u naszych przyjaciół, Robertsonów. On jest nadętym inwestorem, a ona bezwstydną żoną-trofeum, ale urządzają uroczę przyjęcia i świetnie się bawiłam, dopóki jedna z pań, blondynka z gigantycznymi tipsami na paznokciach, Emily, nie zaproponowała tematu konwersacji.

– Mam pytanie do wszystkich mężów przy tym stole – powiedziała głośno.
– Żonami zajmiemy się później...

Zawiesiła głos z przewrotnym błyskiem w oku, tak jakby miała dla nas prawdziwą bombę.

– Gdyby twoja żona miała jutro umrzeć, ożenisz się znowu? – spytała, unosząc kieliszek jak przy toaście.

Ku memu przerażeniu rozległ się pomruk. Najwyraźniej wszyscy uznali, że to stosowny temat do roztrząsania przy stole.

– Słyszałam, jak mówili o tym w programie *Panie domu* – ciągnęła Emily – i pomyślałam, że to cholernie interesujące!

Byłam innego zdania.

Wcale nie wydawało się mi to ciekawe. I nie miałam chęci odpowiadać. Nie interesowało mnie też, co odpowiedzą inni, a już na pewno, co powie mój mąż.

Odczekałam stosowną chwilę, aby przeprosić, i poszłam do łazienki, gdzie przesiadziałam jakąś godzinę, zanim ktoś się zaniepokoił. To Scott w końcu zapukał do drzwi.

– Kochanie, wszystko w porządku? – zapytał.

– Niedobrze mi – szepnęłam zachrypnięta. – Muszę wracać do domu.

Ten jedyny raz od czasu postawienia mi diagnozy powiedziałam Scottowi, że nie czuję się dobrze. Wróciliśmy do siebie, pomógł mi wejść na górę, a ja zapewniłam, że dam sobie radę, muszę tylko odsapnąć, a on zszedł na dół zrobić sobie kanapkę, potem otworzył piwo, wreszcie włączył telewizor, żeby obejrzeć mecz baseballowy. I znów wszystko było normalnie, tak jak lubię.

Nie powiedziałam więc nic. I nie zamierzam.

Samantha wybrała na spotkanie restaurację Michael's. Podobno to dla niej szczęśliwe miejsce.

„Bardzo przyda się mi trochę szczęścia”, odpisałam i spotkałyśmy się w południe w czwartek.

Wyglądała dokładnie tak, jak sobie wyobrażałam. Porcelanowa, dziewczęca cera i wysportowana sylwetka. Ładna w naturalny, niewymagający żadnych starań sposób. Nie da się ze szczegółami odgadnąć, jak ktoś wygląda, ale trochę można przewidzieć i w tym przypadku wszystko mi się zgadzało.

W drodze z Connecticut przećwiczyłam, co powiem.

– Chciałabym zacząć od tego, że ci dziękuję – powiedziałam, kiedy usiadłyśmy po niezręcznym uściskaniu się na powitanie. – To bardzo miłe z twojej strony, że tak się mną przejęłaś. Przynajmniej powinnam ci postawić lunch, pozwól więc, że ja zapłacę, a jeśli dojdzie do twojego ślubu z doktorem Marksem, liczę na zaproszenie.

Samantha uśmiechnęła się uroczo, tak odrobinę, uniosły się tylko kąciki jej ust. Miałam wrażenie, że wzmianka o nim poruszyła w niej dokładnie to samo, co w nim wypowiedziane na głos jej imię. Minęło tyle lat, a oni nadal są w sobie trochę zakochani.

– Zgodzę się, żebyś zapłaciła – powiedziała. – A co do Andrew Marksa, to zobaczymy, ale najpierw powiedz mi, jak się masz.

– Świetnie – zapewniłam. – Cudownie. Czuję się zdrowa, szczęśliwa i silna. Mam z powrotem swoje życie, właśnie takie, jakiego chcę, i staram się nie zamartwiać rzeczami, na które nie mam wpływu, pomówmy więc o czymś innym.

Nie spodziewałam się, że moja odpowiedź ją zadowoli. Musiałam to tylko na wstępie wyjaśnić, żeby potem, kiedy *naprawdę* nie będę już mogła o tym mówić, powtórzyć to samo...

– Dobrze – podjęła dzielnie. – Dla mnie nie ma sprawy. Wiesz, że mnie to naprawdę interesuje i że zrobię wszystko, żeby ci pomóc. Ale nie będę błagać. Jeśli wolisz rozmawiać o czym innym, zgoda.

– Świetnie – ucieszyłam się. – Pogadajmy o twoim dawnym chłopaku.

– Może najpierw się napijemy?

Tak też zrobiliśmy. Nim przeszliśmy do rzeczy, każda z nas skończyła kieliszek wina i zamówiła drugi.

– Jak to możliwe, że tak fantastyczny mężczyzna, w którym podkochiwały się w szkole wszystkie dziewczyny, jest wolny po tylu latach? – spytała Samantha. – Powody mogą być tylko dwa. Albo jest nieuleczalnym kobieciarzem, albo jakimś oszołomem.

Staralam się powstrzymać czkawkę.

– Mógłby jeszcze być gejem.

– To mnie pocieszyłaś – stwierdziła.

– Przecież nie mówię, że jest. Może się trochę pogubił i sam nie wie, czego chce w seksie.

– Chcesz mnie swatać czy wystraszyć, żebym póki czas uciekała, gdzie pieprz rośnie?

Roześmiałam się.

– Widziałam twoją minę, kiedy tylko o nim wspomniałam – powiedziałam. – Nigdzie nie uciekniesz i obie to wiemy. Chcesz, żebym mu dała numer twojego telefonu albo adres e-mailowy?

– A nie mogłabym sama do niego zadzwonić?

– O, nie – zaprotestowałam. – W żadnym przypadku.

– Czemu nie?

– Jesteś na to za ładna. On musi się za tobą uganiać.

Samantha odstawiła kieliszek i spojrzała na mnie poważnie.

– Wiele twoich przekonań jest dla mnie dość niezwykłych – powiedziała. – Jakby to były zasady kobiety o wiele starszej od ciebie.

– To prawda – zgodziłam się. – Wpoily je mi babcia i mama, które powtarzały, że najwspanialsze w byciu kobietą jest bycie kobietą. Babcia mówiła: „Te zasady świetnie się sprawdzały przez tysiąc lat”. Oczywiście, była też przeciwna temu, żeby kobiety nosiły spodnie, co przyjmowałam

z odrobiną goryczy, ale przeważnie się z nią zgadzałam i nie wstydę się tego, choć może wydam się staroświecka.

Samantha podniosła kieliszek do ust i tylko przytknęła go do nich.

– Zabawne – stwierdziła. – Gdybym cię nie znała, to na pierwszy rzut oka wzięłabym cię za kogoś w moim wieku. Ale gdybym nigdy cię nie widziała i tylko słuchała, co mówisz, pomyślałabym, że jesteś rówieśnicą mojej matki. A prawda leży pośrodku.

– Mam czterdzieści lat i tego nie ukrywam.

Samantha zastanawiała się chwilę.

– Czterdzieści lat, dorastałaś w Greenwich, założę się, że znasz kogoś, kogo ostatnio spotkałam. Nazywa się Katherine Emerson.

– Jak najbardziej – potwierdziłam. Pamiętałam ją. – Była o klasę wyżej ode mnie w szkole. W tamtych czasach nawet się lubiliśmy, ale później ona przestała utrzymywać kontakty.

Samantha przysunęła się bliżej, wyraźnie coś jej się z tym skojarzyło.

– Raz czy dwa napomknęła, że coś złego stało się z jej ojcem, ale nie powiedziała mi, o co chodzi.

– Ja wiem, co się wtedy stało – stwierdziłam. – Całe miasto wiedziało.

Samantha tylko patrzyła na mnie. Miałam zamiar jej powiedzieć, nie było sensu tego ukrywać, ale chciałam, żeby mnie poprosiła. Po jej oczach widziałam, że jej na tym zależy. Nie mam pojęcia, dlaczego ten lunch zamienił się w próbę sił, ale tak właśnie było.

– Dobrze ją znasz? – spytałam.

– Znam ją doskonale, a jednocześnie tylko trochę – przyznała Samantha. – Poznałam ją w ten sam sposób, jak ciebie.

I w tym momencie żarty się skończyły.

– Czy ona wyzdrowieje? – spytałam.

– Nie wiem – powiedziała Samantha. – I nie chcę grzebać w jej rodzinnych sekretach, ale jeżeli to coś, o czym wszyscy wiedzą, może po prostu mi powiedz.

Nie widziałam już powodu, żeby przed nią grać.

– Jej ojciec trafił do więzienia, kiedy miałyśmy około dwunastu lat. Sądzę, że to były jakieś sprawy biznesowe, nie żadne morderstwo czy coś w tym

rodzaju, raczej unikanie płacenia podatków, takie tam sprawy. Ale zniknął, a potem zachorował w więzieniu i już nie wrócił do domu, a Katherine już nigdy nie była taka jak przedtem. To bardzo inteligentna dziewczyna, jak pamiętam, wydawało się mi jednak, że nigdy nie podniosła się po tym, co spotkało jej rodzinę.

– To prawda – potwierdziła Samantha.

– Nie poukładało się jej?

Samantha milczała chwilę.

– Osiągnęła wielki sukces, jest bardzo bogata. Mieszka szalenie elegancko, ale nie poszło jej najlepiej w tym, co naprawdę się liczy.

Potem Samantha uniosła dłoń, zawołała kelnera, którego poprosiła o papier i długopis. Kiedy je przyniósł, naskrobała coś szybko i podała mi kartkę.

– Dziękuję za lunch – powiedziała. – Musimy niedługo umówić się znowu. To mój numer telefonu, powiedz Andrew, żeby zadzwonił.

Wstała i wyszła. Ot, tak.

KATHERINE

NIE NAZWAŁAM GO Phillipem przez prawie dwadzieścia lat.

To nie był przypadek, o czym dobrze wiedział. Kiedy mnie zatrudnił, już jako dyrektor, ledwie osiemnaście miesięcy po uzyskaniu dyplomu z zarządzania na Harvardzie, stwierdził, że wszyscy nazywają go „Phil”, ale ja mogę nadal mówić do niego „Phillip”.

– W porządku – odparłam. – Dla mnie też już będziesz „Philem”.

Kiedy więc usłyszałam przez intercom jego pełne imię, zdrętwiałam.

– Proszę pani – zawahał się portier – czy mam skierować pani gościa na górę?

Ciekawe pytanie.

Z jednej strony ostatnie, co mi się marzyło, to spotkanie z nim, a z drugiej niczego nie pragnęłam bardziej niż właśnie tego. No i co weźmie górę w tej chwili? Przysięgam, że nikt nie przygotowuje nas do podejmowania decyzji, które naprawdę liczą się w życiu. W szkole uczą rachunków i grzecznej zabawy z innymi dziećmi, potem sięga się po książki, które pomogą we wszystkim, od medytacji do rozmontowania zapalnika bomby nuklearnej, ale nikt nie powie ci, co robić, kiedy śmierć zagląda ci w oczy, a na progu staje skruszony mężczyzna, który zrujnował ci życie.

– Oczywiście – usłyszałam swój głos – proszę go przysłać na górę.

Potem było tak, jakbym włączyła autopilota. Przeleciałam z salonu do pokoju z lustrem. Nieźle. Nie widział mnie od początku leczenia, odkąd odeszłam z banku. Czy to naprawdę zdarzyło się zaledwie kilka miesięcy temu? Wydawało się, jakby to działo się w innym życiu.

Podeszłam do kanapy i siadłam po turecku, wzięłam głęboki wdech, przytrzymałam powietrze i wolno je wypuściłam. I jeszcze raz, przytrzymałam, wypuściłam. I jeszcze, i jeszcze, tak głęboko, jak się dało.

Oby wypełniała mnie wielka dobroć

Obym była zdrowa

Obym była spokojna i swobodna

Obym była szczęśliwa

Kiedy rozległ się dzwonek do drzwi, nie otwierając oczu, wcisnęłam guzik, by wpuścić Phillipa, a potem jeszcze chwilę pooddychałam. Usłyszałam, że drzwi się otwierają i delikatnie zamykają. Głośne kroki na klepce, stukanie, jakie robią tylko eleganckie buty do garnituru. Potem kroki się zatrzymały i mimo że sama głośno oddychałam, usłyszałam jego posapywanie, ale nie otworzyłam oczu, nim się odezwał.

– Cześć, Kat – powiedział swoim ochrypłym barytonem. – Twój widok to ukojenie dla strapionych oczu.

Wzięłam ostatni głęboki wdech, wypuściłam powietrze i wtedy podniosłam powieki. Przedemną stał mężczyzna, którego nie poznawałam. Odkąd go pamiętam – przez wszystkie te lata, kiedy z chłopaka o imieniu Phillip zmienił się w Phila, z najatrakcyjniejszego studenta na najlepszej uczelni w kraju w najbardziej przebiegłego prezesa na Wall Street – po raz pierwszy widziałam go w takim stanie. Tak jakby z jego ciała uleciał cały duch, pozostały tylko nogi, ręce, tułów. Błady, poszarzały, ze spierzchniętymi wargami. Wydawał się też grubszy niż podczas naszego ostatniego spotkania.

– Mój Boże, Phil, wyglądasz jak kupa nieszczęścia – powiedziałam. – Podobno to ja jestem umierająca. U diabła, co się tobą dzieje?

Zbiłam go tym z pantałyku. Nikt tak do niego nie mówił, nawet ja, ani wtedy, dawno temu, ani teraz.

Trzeba mu przyznać, że okazał klasę. Zaczął się śmiać. Nie zachichotał, ale wybuchnął szczerym, głośnym śmiechem, jakiego nie słyszałam u niego od czasów Harvardu. Wall Street to średnio zabawne miejsce. Miło było patrzeć, jak się śmieje, od razu wyglądał zdrowiej, ale w tym wybuchu było coś upiornego. Słyszałam, jak świszczy mu w płucach, kiedy nabierał powietrza między kolejnymi salwami.

– Znowu palisz, co? – stwierdziłam.

Podniósł ręce do góry.

– Przyznaję się do zarzutu.

Westchnęłam i wskazałam kanapę.

– Chodź, siadaj. Mam wrażenie, że chcesz pogadać.

I rzeczywiście. Jednak nie usiadł. Najpierw wyciągnął papierosa z kieszonki na piersi sportowej marynarki i nerwowo zaczął nim obracać.

Patrzyłam w milczeniu, jak wyławia ze spodni srebrną zapalniczkę.

– Na wypadek gdybyś zapomniał – wtrąciłam. – Mam pewne drobne problemy zdrowotne.

– O, przepraszam – zmiłogował się i zgasił papierosa o obcas, choć jeszcze go nie zapalił. – Cały ja, prawda? – urwał. – Nieżył ze mnie dupek, co, Kat?

Nie odezwałam się. Czekał. Może chciał, żebym mu wybaczyła albo żebym go zwymyślała, ale nie miałam zamiaru niczego mu ułatwiać. Cokolwiek zamierzał powiedzieć, będzie musiał sam sobie z tym poradzić.

– Kiedy dowiedziałem się, że chorujesz, poczułem się fatalnie, z wielu powodów, i chciałem coś zrobić, żeby to naprawić. Może jestem do niczego, nie wiem, ale wydaje mi się, że jeśli coś dla ciebie zrobię, będę mógł spać nieco spokojniej.

Nadal milczałam. Dość długo czekałam na te słowa, cokolwiek miały znaczyć... Powinnam ich wysłuchać, nim każę mu się wynosić.

– Przede wszystkim chcę ci powiedzieć – zaczął – że nigdy nie przyjąłem twojej rezygnacji. Zataiłem to przed zarządem. Po pierwsze dlatego, że chciałem ci dać czas na zmianę decyzji. Potem dowiedziałem się, że jesteś chora. Ogłosiłem, że plotki na temat twojego odejścia są nieprawdziwe, że nadal jesteś w stu procentach członkiem naszego zespołu i będziemy cię wspierać na każdy możliwy sposób. Zostało to zaakceptowane jednogłośnie, co oczywiste. Przekazuję ci więc najserdeczniejsze pozdrowienia od zarządu. Wszyscy się o ciebie martwią i jeżeli tylko mogliby coś dla ciebie zrobić, są w każdej chwili gotowi do pomocy.

– To miło – powiedziałam, ale wiedziałam, że te pozdrowienia to jeszcze nie najważniejsza wiadomość.

– Oczywiście jako kierownik wyższego szczebla możesz liczyć na pokrycie kosztów medycznych, nie wydasz ani centa z własnej kieszeni, bez względu na to, ile potrwa leczenie i ile kosztuje. Masz na to moje słowo i pełne poparcie zarządu.

– To bardzo miło – stwierdziłam, choć nadal nie doszedł do sedna sprawy.

– A ponieważ nie przyjąłem twojej rezygnacji, zyski z udziałów pozostają, co oznacza pełne wynagrodzenie na tym samym poziomie co wcześniej, bez ograniczeń czasowych. A i ty, i ja wiemy, że to tylko cząstka układanki.

Teraz załapałam i oczy mi się zaszkliły, jeszcze zanim dokończył.

– Przy jednogłośnie zgodzie zarządu podniosłem ci wszystkie korporacyjne udogodnienia i bonusy. Od pierwszego przyszłego miesiąca każdy cent, jaki do ciebie przychodzi, będzie zrewaloryzowany zgodnie z kursem rynkowym i przekazany na twoje prywatne konta bez żadnych dodatkowych warunków.

Wszystkie pieniądze, z których zrezygnowałam. Wszystkie. Kiedy odchodziłam, zostawiłam na stole dziesiątki milionów dolarów w akcjach i nie było mi żal. A teraz miałam to wszystko dostać z powrotem. Phillip mi to oddał.

– Nie musiałeś tego robić – powiedziałam.

– Wiem – zgodził się i wreszcie usiadł obok mnie. – Ale wydawało mi się, że tak trzeba.

– No – westchnęłam i poklepałam go po udzie – to bardzo miło.

– Myślę, że przynajmniej tyle mogę zrobić. Jak powiedziałem, może dzięki temu będę spał spokojniej dziś w nocy.

Siedzieliśmy więc tak razem w przyjemnej ciszy. Tylko wyraźne tykanie mojego starego zegara po dziadku niosło się echem po pokojach. Po wszystkich tych latach zdałam sobie sprawę, że to za tym najbardziej tęskniłam. Taką przyjemną ciszą. Nie myślałam o tym przez dwadzieścia lat, może dlatego, że nigdy tego nie zaznałam. Siedzenia we dwójkę na kanapie, z dłonią na jego udzie, jego ręką na mojej, w milczeniu, przy tykaniu zegara. To było miłe.

Potem oczywiście zepsuł cały ten nastrój.

– Kat – zaczął – mam nieprzepartą ochotę cię pocałować.

Nie chciałam się z niego naśmiewać.

Naprawdę nie chciałam. Jestem jednak pewna, że w tamtej chwili zraniłam jego dumę, choć przecież w ogóle nie miałam zamiaru go urazić. Dni, kiedy marzyło mi się, by go upokorzyć, minęły. Kiedy zaśmiałam mu się w twarz, to była tylko naturalna reakcja na jego niezgrabne podchody, nic więcej.

– No, tego się nie spodziewałem – powiedział, a po oczach mogłam poznać, jak bardzo go to zabolalo.

– Przepraszam – wydukałam. – Po prostu mnie zaskoczyłeś.

Już wstawał, ale złapałam go za rękę.

– Nie, nie idź. Posiedź ze mną. Nie całuj mnie ani nic takiego, tylko posiedź ze mną.

Wziął głęboki wdech i znów usiadł, założył nogę na nogę, zrobił się oficjalny. Był taki dziecinny. Mały chłopczyk, zły, że nie dostał, czego chce.

– Wiem, co myślisz – powiedziałam, a on zerknął na mnie. – Myślisz sobie: daję dziewczynie pięćdziesiąt milionów dolarów, więc mam prawo oczekiwać, że pozwoli mi dobrać się sobie do majtek.

To go trafiło.

Nagle zaczął się śmiać jeszcze głośniej niż ja, świszcząc tym swoim oddechem palacza, trochę poczerwieniał, ale to było zabawne i spontaniczne. Znów przyjemnie było po prostu siedzieć tak razem. Pośmialiśmy się jakiś czas, a potem wzięłam jego dłoń i położyłam sobie na kolanach, znów milczeliśmy, aż przerwał tę ciszę, żeby powiedzieć mi o drugiej sprawie, z którą przyszedł.

I to już było dla mnie kompletne zaskoczenie.

BROOKE

CHCIAŁABYM BYĆ JAK CI, co zaznaczają sobie w książkach ważniejsze fragmenty. Wiecie, jak to robią? Podkreślają albo zaginają strony, a najbardziej zorganizowani trzymają w pamięci komputera cytaty i całe akapity, które szczególnie ich poruszyły. Sama na wiele takich trafiłam, ale nigdy ich nie zapisuję. Co za błąd. Zazdroszczę ludziom, którzy potrafią cytować wielkich przywódców i pisarzy. Na prozowanej kolacji ktoś nagle powie: Wiecie, że generał Patton mawiał bla, bla, bla... Chciałabym umieć przytoczyć słowa Pattona. Byłoby świetnie. A ja tylko wtrącam: Nie pamiętam, gdzie to czytałam, ale bla, bla, bla... Wierzcie mi, że bla, bla, bla jest zawsze o wiele ciekawsze, kiedy doczepi się do niego nazwisko.

Teraz na przykład myślę o tym, że nie ma dwóch identycznych płatków śniegu. Czy nie zostało to napisane w jakimś wierszu? Czy ktoś nadał temu głębsze znaczenie? Jeśli nie, powinien, bo to najbardziej dający do myślenia drobny fakt naukowy, o jakim słyszałam.

Nie ma dwóch dokładnie takich samych rzeczy. Ani ludzi. Najlepszy przykład to moje bliźniaki. Są podobne, jak to rodzeństwo, ale nie identyczne, gdyby jednak, miałyby taką samą krew, DNA, odciski palców, a jednak nie byłyby takie same. Moje dzieci różnią się od siebie bardziej, niż wynikałoby to z ich materiału genetycznego, bo mimo dużego podobieństwa nie ma dwóch takich samych osób... Podobnie jak płatków śniegu.

Samantha chyba tego nie rozumie.

Ona patrzy na życie w swój sposób, ja na swoje inaczej. Ma swoje wartości, troski, przekonania i ja to szanuję. Ale z jakiegoś powodu ona nie może mi się odwzajemnić... Zachowuje się tak, jakbym popełniała samobójstwo, a przecież nic takiego nie robię. Na razie nie mam raka. Nie jestem głupia ani tak oderwana od rzeczywistości, jak jej się wydaje. Rozmawiałam szczegółowo, *do bólu* szczegółowo z lekarzem o swojej decyzji i doszłam do konkluzji, jaka mi odpowiada. I nie żebym przywiązywała do tego wagę, ale on mówi, że nie jestem jedyną pacjentką, która dokonuje takiego wyboru. Mogłabym przejść wszystkie przeznaczone dla mnie formy terapii, zmusić wszystkich, których znam i kocham, do czekania. I po co? W najlepszym wypadku zmniejszyłabym ryzyko nawrotu o dziesięć procent. Niech będzie, jak jest. Jeśli poświęcę wszystko, co lubię, co lubią mąż i dzieci, znajdę się w o dziesięć procent lepszej sytuacji. W takim razie nie

mam zamiaru tego robić.

Gdy byłam dziewczynką, miałam koleżankę o imieniu Amanda. Później wpadła w złe towarzystwo, wsiadła do auta z jakimiś starszymi chłopakami, trochę popili, wjechali pod wielką ciężarówkę na autostradzie o drugiej w nocy. W szkole chodziły słuchy, że Amandzie w wypadku ucięło głowę. Zawsze miałam nadzieję, że to nieprawda. W każdym razie zginęła, nim skończyła szesnaście lat. Z czego wniosek, że nikt nie wie, co niesie jutro. Czy Amanda dokonałaby innych wyborów, gdyby zdawała sobie sprawę, jak to się skończy? No pewnie. Ale nie miała pojęcia. Podejmujemy decyzje, bazując na tym, co wiemy, i musimy ponosić konsekwencje. Gdyby obiecali mi, że terapie gwarantują zdrowie, a ich odrzucenie oznacza chorobę, to oczywiście bym się im poddała. Jednak lekarz nie mógł mi tego zaręczyć. Powiedział, że nie potrafi przewidzieć, co się stanie ani w jednym, ani w drugim przypadku. Statystyki się zmieniają, zależą od uwarunkowań genetycznych, postępu badań, a czasem nawet statusu socjoekonomicznego. I wielu innych rzeczy, których w pełni nie pojmuję.

Postanowiłam więc, że będę cieszyć się życiem tu i teraz.

Wszystko, co mam, dzieje się teraz. Niczego nie brakuje mi do szczęścia i nikt mi nie obiecywał, że taka sytuacja będzie trwać wiecznie, bez względu na to, co zrobię. Zamierzam więc to przeżyć, cieszyć się tym, cenić to, co mi dane w każdej sekundzie. A potem niech się dzieje, co chce.

Samantha tego nie rozumie.

– Brooke, gdyby mnie powiedzieli, że zwiększę szansę na przeżycie o jeden procent, zniósłabym absolutnie wszystko – powtarza mi za każdym razem, kiedy rozmawiamy.

– Wiem – odpowiadam – ale nie jesteś mną.

– To po prostu bez sensu – upiera się.

– Nie dla mnie – oponuję. – Ty żyjesz jutrem i nic w tym złego, bo najlepsze dni jeszcze przed tobą. Ale ja mam najlepszy okres właśnie teraz. I to już się nigdy nie powtórzy, cokolwiek zrobię, więc za nic tego nie oddam.

Mniej więcej w tym punkcie rozmowy mówię jej zwykle, że musimy zmienić temat, bo inaczej nie będę mogła dłużej się z nią przyjaźnić.

– Widzisz? – biada. – Nie jesteś w stanie tego znieść, bo wiesz, że mam rację.

Ale ja nic takiego nie wiem.

Tym sposobem tylko utwierdza mnie w moim przekonaniu.

Samantha to jedyna osoba w moim życiu, która wie, przez co przeszłam. I w gruncie rzeczy nie potrafi mówić o niczym innym. Tak właśnie byłoby, gdybym zaczęła się z tym obnosić. Wszyscy rozmawialiby ze mną tylko o tym. Tylko to by widzieli, patrząc na mnie. Tylko o tym by myśleli, spotykając moje dzieci, mojego męża. To stałoby się całym moim życiem, a ja tego nie chcę. Pragnę takiego życia, jakie właśnie mam.

Błąd Samanthy polega też na przeświadczeniu, że chodzi głównie o Scotta. O to, by nie przestał mnie kochać, kiedy dowie się o chorobie. Żeby nie przestał mnie pożądać albo się nie załamał. Samantha bardzo się myli. Mam dobrego męża. Może nie jest ideałem, żaden facet nie jest, ale gdyby usłyszał, co powiedzieli mi lekarze, na pewno zmusiłby mnie do przejścia przez wszystkie terapie i nie byłoby dyskusji. Właśnie dlatego nie chcę, żeby się dowiedział. Wybrałam dziś. Zdecydowałam się przeżyć i cieszyć się każdą cudowną chwilą życia, jakie zbudowaliśmy razem ze Scottem. Tak długo, jak się da... Mam nadzieję, że to potrwa, ale nic nie jest wieczne, więc wezmę tyle, ile zdołam, i będę za to wdzięczna. Samancie wydaje się to bez sensu, może zresztą nie tylko jej, ale dla mnie jest logiczne i chyba tylko to się liczy.

W każdym razie dziś wieczorem dzwonię do Samanthy, bo za godzinę ma randkę z doktorem Marksem i jestem tak podekscytowana, że chyba eksploduję. Dawno już nikogo nie wyswatałam. A w dodatku mam słabość do Andrew, co sprawia, że na swój sposób to wszystko jest jeszcze bardziej frapujące...

– Tak, układam sobie włosy u fryzjera – powiedziała, odbierając telefon.

To wszystko... Żadnych powitań, tylko od razu pretensje, że od tygodnia pouczam ją na temat tej randki. Ale przecież ta biedna dziewczyna nie ma matki, która mogłaby jej przemówić do rozsądku. Doktor Marks jest przystojnym, uroczym, wolnym mężczyzną, a tacy nie trafiają się często. Na spotkanie z nim w eleganckiej restauracji nie może przyjść z włosami zawiązanymi w kitkę i makijażem ograniczającym się do błyszczyka na ustach. Dla takiego faceta warto się trochę postarać.

– Czemu jesteś taka zgryźliwa? – powiedziałam, choć specjalnie mi to nie przeszkadzało.

– Przepraszam – powiedziała zniecierpliwiona... – Po prostu robi się trochę późno. Co tam?

– Chciałam ci tylko życzyć wspaniałego wieczoru i szczęścia – wyrecytowałam. – Mam nadzieję, że czar nie prysnął. Coś czuję, że magia nadal działa.

– Dziękuję – odparła spokojniej. – Nie mogę się doczekać.

– Denerwujesz się? – spytałam.

– *Nie* denerwuję się – stwierdziła z wahaniem. – Ale jestem podekscytowana. To istotna różnica.

– Niech ci będzie – zgodziłam się. – Teraz pamiętaj: nie pij za dużo, nawet nie próbuj za nic płacić, a poza tym pamiętaj: ani słowa na temat mojej sytuacji.

Samantha ciężko westchnęła.

– Wiesz – ofuknęła mnie – najlepsze, co mogłabym dla ciebie zrobić, to mu powiedzieć.

– Wiem, że tego nie zrobisz – zaproponowałam. – Wiem, że nie zawiodłabyś mojego zaufania. Przypominam ci tylko, bo jest jedynym moim znajomym, którego i ty znasz...

– A Katherine?

– No tak, dobrze, ona pewnie też mnie pamięta – zgodziłam się. – Jej też nie mów. Musisz lecieć. Życzę ci cudownego, romantycznego, wyjątkowego wieczoru. Nie idź z nim do łóżka na pierwszej randce, w żadnym wypadku. Poza tym, jeśli nie zadzwonisz do mnie jutro z samego rana i nie opowiesz dokładnie, jak było, nigdy ci tego nie wybaczę.

KATHERINE

– POWIEDZ, CO SŁYSZAŁAŚ na temat mojego małżeństwa?

Te słowa zawisły w powietrzu jak echo rzuconej petardy. Phil siedział przy mnie, trzymaliśmy się za ręce, jego kolano dotykało mojego. Tak blisko nie byliśmy od dawna. Nie zamierzałam go pocałować. To było wykluczone, co nie znaczy, że jakaś częśćka mnie tego nie chciała. Wbrew sobie, wbrew temu, co się wydarzyło, nawet teraz musiałam przyznać, że on jest w moim typie. Silny i inteligentny, decyzyjny i dynamiczny. Miał w sobie wszystko to, czego brakowało mojemu ojcu. Naprawdę nigdy nie myślałam o tym w ten sposób, dopiero teraz. Nagle na tej kanapie, tak blisko Phillipa, by czuć dym papierosów w jego włosach i dostrzec niedogolony skrawek skóry pod brodą, zdałam sobie z tego sprawę. Jest kimś, kim chciałam, żeby był mój ojciec. Och, ile pieniędzy zaoszczędziłabym na terapiach, gdybym wcześniej to sobie uświadomiła.

W każdym razie, choć Phil nie wyglądał najlepiej, nadal prezentował się dobrze. Nadal ma te duże, silne dłonie, wyrobione w dzieciństwie, kiedy na Brooklynie pomagał dźwigać swojemu ojcu skrzynki z mlekiem... Można zrobić manicure, ale mięśnie dłoni zawsze zdradzą prawdę o mężczyźnie.

A ja przecież nie przestałam być kobietą. Może to najistotniejsza rzecz, z której zdałam sobie sprawę, tak sobie siedząc. Łatwo czasem o tym zapomnieć, jak się jest chorym, trzeba przywyknąć do rozbierania się przy pielęgniarkach i nawet nie trudzisz się, by zamknąć drzwi, kiedy atrakcyjny młody lekarz wypytuje, ile miałaś wypróżnień w tym tygodniu. To mało kobiece, kiedy boisz się przeczesać, bo za dużo włosów zostaje na szczotce, kiedy zaczynasz nosić męskie bokserki zamiast seksownej bielizny, bo łatwiej je zdejmować i wkładać. Uświadomiłam sobie, że od trzech miesięcy nie zaglądałam do swojej garderoby, ale kiedy Phil trzymał mnie za rękę, postanowiłam tam pójść, może nawet zaraz po jego wizycie. Chciałam się ubrać po swojemu. Umalować. Kupię tę perukę o długich blond włosach, na którą próbowała namówić mnie Samantha. Nagle zaczęłam się nawet cieszyć na eleganckie przyjęcie weselne Marie, przed którym tak się broniłam. I szczerze mówiąc, podobnie myślałam o ewentualnym seksie z Philem.

Ale wtedy zadał to pytanie na temat swojego małżeństwa i wszystko, co

zaczynało we mnie topnieć, natychmiast zlodowaciało. Delikatnie wysunęłam dłoń z jego ręki, zasłoniłam szyję kołnierzem swetra i przez resztę wspólnie spędzonego czasu trzymałam ręce przy sobie...

– Słyszałam, że ty i Holly jesteście w separacji – powiedziałam beznamiętnie. – Przepraszam, że nie napisałam do ciebie, ale byłam trochę zajęta.

– Nie to miałem na myśli – sprostował, poprawiając się, trochę skrępowany. – Co konkretnie słyszałaś?

Nie chciałam go urazić. Naprawdę nie miałam takiego zamiaru. Choć przez tyle lat życzyłam mu wszystkiego, co najgorsze, a teraz nadarzała się świetna okazja, by mu odpłacić, wcale tego nie chciałam. Może dlatego, że robił wrażenie tak bezbronny. Może samo to mnie satysfakcjonowało, może nie musiałam zobaczyć, jak cierpi, bo to byłoby za łatwe. Nie chciałam powtarzać mu, co usłyszałam, żeby go upokorzyć, ale fakt faktem i wydawało się, że nie ma sensu tego ukrywać.

– Mówili, że Holly miała romans – powiedziałam wolno i ostrożnie. – Takie plotki krążyły po biurze. Ale wiem, jakie bzdury ludzie wygadują, i uznałam, że to chyba nieprawda.

– To prawda.

Nie całkiem umiałam zinterpretować jego spojrzenie.

– Przykro mi – stwierdziłam.

– Dziękuję – odparł, a potem umilkł i wziął głęboki wdech. – Ale jest coś jeszcze. – Wyjął kolejnego papierosa z kieszeni i nie zapalając go, trzymał między palcami. – Nie wiem, czemu ci to mówię, ale z jakichś powodów chcę, żebyś wiedziała. Może z racji tego, co było między nami. Wydaje mi się, że cię to ucieszy. Albo po prostu potrzebuję się komuś zwierzyć i z jakiejś przyczyny czuję, pomimo wszystko, że jesteś mi bliższa niż ktokolwiek inny.

Patrzyłam tylko na jego twarz i zaczęłam się trochę złościć. Po tylu latach, dlaczego on, u diabła, mówi tak do mnie właśnie *teraz*?

– Poza moim lekarzem będziesz jedyną osobą, która o tym wie. Zasady zawodowe zobowiązują go do dochowania tajemnicy. Naszej rozmowy coś takiego oczywiście nie obejmuje, ale wierzę, że mogę liczyć na twoją dyskrecję. Mówię ci to w zaufaniu i niech to pozostanie tylko między nami.

– Nikomu nic nie powiem.

– Moje małżeństwo przechodziło poważny kryzys od lat – powiedział. – I żeby ci nie skłamać, przyznam, że powód był ten sam, dla którego wybrałem ją, a nie ciebie.

Aż mnie nieco podniosło.

– No, nie mogę się doczekać, co to takiego.

– Holly nie była taka wymagająca – stwierdził. – Zwykle zaproszenie do restauracji było dla niej najwspanialszą randką na świecie. Kiedy mówiłem, że wybierzemy się do Europy, zachowywała się tak, jakbyśmy mieli lecieć na Księżyc. Ty byłaś inna. Ty wносиłaś więcej niż ja, a jednocześnie podobnie wyobrażałaś sobie przyszłość. Miałem wrażenie, że niczym ci nie zaimponuję. Ona doceniała wszystko dużo bardziej. Było mi z nią łatwiej.

Czyli nic nowego. Sama tak to sobie tłumaczyłam, ale kiedy on wypowiedział to na głos, poczułam się rozczarowana. Dwadzieścia zmarnowanych lat z tak banalnego powodu: na Holly wszystko, co dawał jej Phil, robiło o wiele większe wrażenie niż na mnie.

– Z początku było świetnie – ciągnął – dzięki dzieciom. Kiedy były małe, ja stałe pracowałem, a Holly była z nimi, więc nasz wspólny czas był zwykle zarezerwowany na seks. Ale kiedy Daniel miał dziesięć, może jedenaście lat, a Michael pojechał do szkoły z internatem, zostaliśmy sami, tylko ona i ja, i wyszła cała pustka. Holly na nic nie naciskała. Nie mobilizowała mnie. I choć kiedyś uważałem ją za idealną żonę, nagle okazało się, że jest wręcz przeciwnie.

Przerwałam mu ostro.

– Phil, nic w tej historii na razie mnie nie zainteresowało i naprawdę obawiam się, że już nie będzie lepiej. Dziękuję, że zatroszczyłeś się o moje pieniądze, to był wielki gest z twojej strony i nawet jeśli w ten sposób chciałeś tylko ulżyć swojemu sumieniu, zrekompensować mi całe to gówno, jakie przez ciebie przeszłam, i tak bardzo to doceniam. Szczerze mówiąc, wreszcie zdałam sobie sprawę, że to nie ty kazałeś mi to przeżywać. Ale ja sama. Ty mnie tylko rzuciłeś, a ludzi codziennie spotykają gorsze rzeczy. Fakt, że pozwoliłam się temu zdominować na tak długo, to był mój, a nie twój problem. Podobnie fakt, że wybrałaś sobie na żonę nudną dziwkę, to twój problem, nie mój. Wybacz więc, nie będę płakać nad tym, że cię zdradziła. Pewnie oszczędziła ci konieczności podzielenia twojego dorobku na pół, co wywalczyłaby przy rozwodzie, gdybyś kazał się jej po prostu wynosić. Miło było cię widzieć, musimy znów się umówić. Ale na dziś chyba mam dość.

Wstałam i ruszyłam do sypialni. Już prawie uciekłam, kiedy powiedział:

– Kat, nie wiem, po co ci to mówię, ale tak naprawdę to nie ona mnie zdradzała, tylko ja ją.

Zatrzymałam się. Nie odwracałam się, ale słuchałam.

– Oszukiwałem ją od lat. Zaczęło się chyba w drugim roku naszego małżeństwa, choć byłem wtedy jeszcze z nią szczęśliwy. Może brzmi to idiotycznie, ale robiłem to po prostu dlatego, że mogłem. W żadnym razie nie w pracy, ale i tak nadarzało się mi mnóstwo okazji. W samolotach, barach hotelowych, klubach sportowych. Mogłem zdobyć każdą kobietę, jaką chciałem, i robiłem to, bez zastanowienia. Nie uważałem, że to koliduje z moim małżeństwem, uczuciami wobec żony, a nawet z moją moralnością. Po prostu było to coś, co robiłem, bo nie miałem wyraźnych powodów, aby sobie odmawiać.

– Pewnie, jako narcystyczny socjopata nie miałeś. Mów dalej – rzuciłam.

– W ostatnich latach to się zmieniło. Nie częstotliwość, ale znaczenie. Byłem kompletnie rozczarowany swoim małżeństwem. Zacząłem oczekiwać więcej od tych kobiet. Nie chodziło tylko o trochę komplementów, drobiazg od jubilera i mnóstwo seksu. Chciałem rozmawiać. Chciałem zjeść razem kolację. Chciałem, aby to się liczyło, i wtedy zrozumiałem, że to musi się zmienić.

Umilkł. Odwróciłam się do niego. Nadal siedział. Robił wrażenie mniejszego, niż mi się kiedykolwiek wydawał. Phillip to duży facet, w każdym sensie. Ale nie na tej kanapie. Nie dzisiaj.

Ciągnął swoją opowieść.

– Pytanie było, co dalej? Chciałem się wyrwać, ale to by mnie kosztowało około stu milionów dolarów. I nagle, zanim się spostrzegłem, zauważyłem to coś na swoim wacku. Drobiazg, wiesz. Mała krostka. W ciągu kilku dni bardzo urosła i wtedy...

– Daruj sobie ten fragment – zaprotestowałam.

– Wreszcie poszedłem do lekarza i oczywiście to była opryszczka. Lekarz zapytał, czy wiem, jak mogłem się zarazić. Odpowiedziałem, że nie mam pojęcia. Ale on drążył, co przez to rozumiem, a ja, że byłem ostatnio z pięcioma czy sześcioma kobietami, na co on, czy wśród nich jest moja żona, a ja, że ona to najmniej prawdopodobne źródło zakażenia.

– To najbardziej koszmarna historia, jaką słyszałam – stwierdziłam.

Phil zignorował to i pruć dalej.

– Spytałem lekarza, co robić, a on poradził, żebym lepiej wyjaśnił żonie, jak to się stało, bo i tak sama odkryje. Powiedziałem mu, że w tym układzie pewnie mnie zostawi. On na to: Phil, jeśli nie przekonasz jej, że złapałeś to od niej, to według mnie jesteś skończony. I wtedy jakby żarówka zapaliła mi się w głowie. Poszedłem prosto do baru w hotelu St. Regis, wypiliśmy trzy drinki, a potem wróciłem do domu i zacząłem krzyczeć: „Jak mogłaś mi to zrobić? Ufałem ci, a teraz takie upokorzenie!”. Ze wszystkich sił starałem się wmówić jej, że nie mam pojęcia, jak inaczej mogłem to złapać. Szedłem w zaparte. Zgadnij, co zrobiła po dziesięciu minutach wyzwisk?

Załapałam.

– Przyznała się.

Uśmiechnął się.

– Właśnie tak było. Załamała się i powiedziała mi, że sypia od dwóch lat z trenerem tenisa. Błagała, bym jej wybaczył, a ja byłem nieco wstawiony, więc aż zapomniałem, od czego to się zaczęło, i krzyczałem: „Ty, dziwko! Zdradziłaś mnie!”. I od razu oświadczyłem, że chcę rozwodu, zadbam, aby jej i chłopcom niczego nie zabrakło, ale jeśli będzie chciała wycisnąć ze mnie więcej, ogłoszę całemu światu, jaka z niej zdzira.

Ciężko oddychał, wydając świst z płuc palacza. Chciałam coś powiedzieć, ale nie mogłam. Naprawdę mnie zatkało. Po prostu podeszłam do niego i usiadłam obok na kanapie.

– Tak właśnie to wyglądało – skończył.

– Mówisz, jakbyś był z tego dumny.

– Nie jestem dumny – powiedział. – Nie w tym rzecz, ale cieszę się, że mam to za sobą, i jestem szczęśliwy, że nie kosztowało mnie to połowy tego, na co całe życie pracowałem.

Skinęłam głową.

– To według ciebie nielogiczne? – zapytał.

– Pewnie logiczne.

I nie było już nic do powiedzenia. Wyciągnęłam rękę, dotknęłam jego policzka, przytrzymałam dłoń chwilę, a potem wstałam i ruszyłam do sypialni.

– Jeszcze raz dziękuję za pieniądze, Phil – powiedziałam przez ramię. – Muszę trochę odpocząć. Wiesz, gdzie są drzwi.

SAMANTHA

CHCIAŁAM SPOTKAĆ SIĘ z nim w Greenwich.

Zaproponował, że przyjedzie do centrum, to było szalenie miłe z jego strony, tłumaczył, że nie chce sprawiać mi kłopotu, że stale tu bywa i że jest większy wybór, ale ja postawiłam na swoim. Tak dawno nie jadłam kolacji w Greenwich. A perspektywa zrobienia tego w towarzystwie Andrew Marksa była bardzo kusząca. Niczym powrót do domu. Ludzie mówią, że to niemożliwe, ale nie mają racji, można wrócić do domu, w jakimś stopniu, i ten wieczór był świetną okazją.

Pożyczyłam samochód od swojego byłego szefa. Kiedy wsuwałam się za kierownicę, uświadomiłam sobie, że nie prowadziłam od powrotu z Hawajów. W Nowym Jorku rzadko jeździ się samemu autem. A potem zaświtało mi, że nie robiłam tego i na Hawajach. Ani w Los Angeles, gdzie Robert miał szofera, który dowoził nas wszędzie, gdzie musieliśmy się pojawić. Gdy włączałam się do niezbyt nasilonego ruchu na West Side Highway, doszłam do wniosku, że nie prowadziłam samochodu od ostatniego razu, kiedy byłam gdzieś na zdjęciach, a więc od roku, może więcej. Jakie to dziwne.

Przyjemnie było znów siąść za kierownicą.

Greenwich zmieniło się od moich dziecięcych czasów. Tam, gdzie dawniej znajdował się sklep z ubraniami GAP, teraz jest Apple. A nowa restauracja zajęła miejsce uwielbianej przeze mnie małej włoskiej knajpki, gdzie siadało się przy stolikach wystawionych na zewnątrz. Nazwy już nie pamiętam. Sprzedawcy aut nadal pozostali na miejscu, choć niektórzy pozmieniali szyldy. Zniknęło małe kino, a na końcu miasta wyrósł multiplex. Wszystko trochę inne, ale i takie samo. Moja ulubiona pizzeria jest tam, gdzie była, a na wystawie dalej stoi figurka ubranego w fartuch kucharza, który kręci ciasto nad głową. Kwaciarnia na początku Main Street nadal otwarta, chyba nawet większa niż dotąd. I, oczywiście, na krańcu miasta stoi dumnie szpital. Od razu tam podjechałam, zaparkowałam samochód i pospacerowałam trochę. Ze wszystkich miejsc, które sprawiają, że w tym mieście czuję się jak w domu, to jest najważniejsze.

Do restauracji, jaką zaproponował Andrew, chodziliśmy przy wyjątkowych okazjach, świętować urodziny moje albo rodziców. Mama ją uwielbiała. Pamiętam krzesła tak duże, że siadałam na nich z podwiniętymi nogami, jak na

kanapie. Ojciec zabrał mnie tam kilka razy po śmierci mamy, ale pamiętam tylko, że byliśmy bardzo smutni i ludzie zatrzymywali się przy naszym stoliku. Witali się, mówili, jak bardzo im przykro, życzyli nam wszystkiego dobrego. Pewnie dlatego przestaliśmy tam chodzić. Ale i tak zawsze lubiłam to miejsce. Nie można obwiniać restauracji o to, że spędziło się tam kilka smutnych wieczorów.

Zostawiłam kluczyki auta portierowi i chwilę stałam na zewnątrz, myśląc o tym wszystkim. Markiza była nowa, ale reszta wyglądała tak, jak zapamiętałam. Szef sali miał na sobie smoking, a ja odnosiłam wrażenie, że go poznaję, chyba już pracował, kiedy byłam tu ostatnim razem. Pewności nie miałam, ale tak mi się wydawało. W każdym razie pięknie mnie powitał i zaprowadził do stolika, gdzie czekał Andrew.

Jak sprzedawcy aut, sklepy i całe miasto Andrew wyglądał znajomo, a jednocześnie trochę inaczej. Nadal miał wijące się, choć nieco mniej bujne, kasztanowe włosy, szerokie ramiona, ale plecy nie były już tak wyprostowane i sztywne jak dawniej. Trochę się przygarbił, tak jakby wysoki wzrost przez te lata stał się dla niego niewygodny. Nadal miał ten sam uśmiech, spokojny i wyrażający pewność siebie, piękne zęby, a oczy uważne i pełne energii. Nadal był bardzo przystojnym mężczyzną, nawet jeśli nie tamtą szkolną gwiazdą koszykówki. Byłabym głupia, gdybym spodziewała się, że wcale się nie zmienił, żadne z nas nie jest już szkolnym czempionem...

Byłabym też głupia, gdybym oczekiwała, że na sam jego widok poczuję to, co wtedy, kiedy poprosił mnie do tańca. Nie dlatego, że on się zmienił, ale dlatego że i ja nie byłam taka sama. Serce nie trzepotało mi jak u czternastolatki, bo już dawno przestałam nią być. Nie mogłam zakładać, że ledwie on pojawi się przede mną, cofniemy się do szkoły średniej, złączymy Bee Geesów, a my zatańczymy i będzie dokładnie jak wtedy. Takie oczekiwania są nierealne – i to między innymi ludzie mają na myśli, mówiąc, że nie da się wrócić do domu. Nie wróci tamta muzyka i taniec. Ale to nie znaczy, że nie będzie cudownie.

– Dlaczego wybrałaś pediatrię? – spytałam.

Piliśmy bardzo orzeźwiające wino, które zamówił, wymawiając jego nazwę po francusku...

– Zawsze wiedziałem, że zostanę lekarzem – odparł. – Jako dziecko wiele czasu spędziłem w szpitalu, czułem się tam jak w domu. Na pewno ty też masz podobne wspomnienia.

Skinęłam głowę.

– Jeśli chodzi o specjalizację, to najpierw zastanawiałem się nad chirurgią. Przepracowałem dwa lata w izbie przyjęć na ostrych dyżurach i nie znosiłem tego. Okropne godziny pracy i nieprawdopodobne dramaty. Ta praca daje satysfakcję, ale codziennie czułem się kompletnie wypalony. Chyba załamałbym się nerwowo przed trzydziestką. Na pediatrii godziny są bardziej unormowane, rzadko zdarzają się tragedie, a już na pewno nie dochodzi do nich raz za razem. Poza tym lubię dzieci. Niektóre lecę od pierwszego dnia ich życia... Poznaje się też ich rodziny. To może najprzyjemniejsza strona tej pracy, człowiek staje się częścią społeczności. Znam chyba połowę matek w mieście.

Roześmiałam się.

– Jak Brooke.

– Tak. Jest wyjątkowa, prawda?

Wzięłam spory łyk wina.

– Jak najbardziej.

Przynieśli nam przystawki. Jedliśmy szybko i pośmialiśmy się jeszcze trochę. Przychodziło nam to swobodnie i naturalnie. Sama przyjemność. Jakbyśmy byli najlepszymi przyjaciółmi, co dziwne, bo przecież to nieprawda. W rzeczywistości ani w szkole średniej, ani później nie mieliśmy okazji lepiej się poznać. Łączyło nas tylko pochodzenie. Ale czasami to bardzo dużo.

Zjedliśmy już wszystko, co mieliśmy na talerzach, i Andrew nalewał sobie czerwone wino do kieliszka, kiedy na jego twarzy pojawił się jakiś nowy wyraz, tak jakby chciał powiedzieć coś, czego nie jest do końca pewien. To samo dostrzegłam w tamten wieczór, wieki temu, kiedy stał przede mną i chciał zatańczyć wolny taniec, ale trudno mu było poprosić.

– Słyszałem, że wyszłaś za męża.

Zabrzmiało to jak stwierdzenie faktu, które jednak zawierało pytanie, nawet jeśli nie zadał go wprost.

– Powiedziała ci to Brooke?

– Nie. Tak tu mówili. Nie Brooke.

Życie bywa zabawne. Podsyła ci podkrecone piłki w najmniej spodziewanym momencie. W jednej chwili zagłębiasz się w romantyczne wspomnienia o chłopaku, którego uwielbiałaś w liceum, a już w następnej

musisz się tłumaczyć, dlaczego przez trzy dni byłeś żoną faceta, który pewnego dnia może zostać gubernatorem Kalifornii.

– Nie chciałem poruszać niezręcznych tematów – zmitygował się Andrew, najwyraźniej czując, że popsuł nastrój. – Zastanawiałem się tylko, czy może coś źle zrozumiałem. Wiesz, jak to jest z pocztą pantoflową. Nie musisz nic mówić, jeśli nie chcesz. Przepraszam. To pewnie niedobry temat.

– Nie, nie – uspokoiłam go. – Żaden sekret czy coś w tym rodzaju. Wyszłam za mąż. Na krótko. Za niewłaściwego mężczyznę. Teraz sędzę, że i tak miałam szczęście. Mogłam stracić z nim lata życia, a w efekcie zmarnowałam tylko kilka dni.

– Przykro mi – powiedział.

– Nie ma powodu do zmartwienia.

Mówiłam szczerze. Nie było mi przykro i nie chciałam, żeby on uważał to za smutne. Wyglądał na zaniepokojonego. Bał się, że zepsuł cały wieczór. A ja gorączkowo zastanawiałam się, co powiedzieć, żeby rozładować atmosferę. Wreszcie na coś wpadłam.

– Jest coś, czego żałuję dużo bardziej niż tego – stwierdziłam. – Chcesz wiedzieć czego?

– Jeśli tylko masz ochotę mi o tym powiedzieć.

Nachyliłam się do niego.

– *Naprawdę* szkoda, że nigdy nie przekonałam się, czy tak dobrze całujesz, jak mi się wtedy wydawało.

BROOKE

PIERWSZE SŁOWA SAMANTHY, kiedy z rana odebrałam telefon i usłyszałam jakiś szum, którego nie umiałam z początku rozpoznać, wywołały szeroki uśmiech na mojej twarzy.

– Odpowiedź brzmi – powiedziała rozemocjonowana – TAK!

– Cudownie – ucieszyłam się. – Mniejsza o to, jakie pytanie masz na myśli, ale jestem zachwycona, że TAK.

– Pytałaś kiedyś, czy Andrew Marks tak dobrze całuje, jak na to wygląda. Wtedy nie umiałam ci odpowiedzieć. Teraz potrafię.

– O rety. Opowiedz mi wszystko.

Opadłam na kanapę, podwinęłam nogi, a ona zaczęła mówić. Jak ja uwielbiam takie historie... Podobno poszli od stolika do baru, potem do innego baru napić się na dobranoc, a potem, oboje zbyt pijani, aby prowadzić, wezwali taksówkę i pojechali do domu ojca Samantha. W tym momencie nieco mnie zmroziło. Przerwałam jej.

– Samantho, co to za hałas, który słyszę w tle?

– Nie wiem – odparła. – Jaki hałas?

– O, Boże, jesteś w aucie, prawda? – spytałam.

– Tak, jestem – potwierdziła uradowana. Prowokowała mnie.

– Jedziesz właśnie do domu – stwierdziłam oburzona. – Spędziłaś z nim noc, tak?

Usłyszałam, że krztusi się ze śmiechu.

– Tak.

– No co za puszczalska!

Śmiała się i śmiała. Zapewniła, że dotrzymała obietnicy. Najpierw jej nie wierzyłam i nadal nie jestem pewna, czy wierzę, ale nie mogłam zarzucić jej kłamstwa. To nie miałoby sensu.

– Tak naprawdę – ciągnęła – zastanawialiśmy się też wspólnie, czy powinniśmy traktować to jak pierwszą randkę, biorąc pod uwagę, że już mamy za sobą coś w tym rodzaju.

– Owszem, kochanie, ale kiedy to było? – spytałam.

– Prawie czternaście lat temu.

– Ograniczenia w tej sprawie mogą być różne, ale w żadnym wypadku coś sprzed ponad trzynastu lat się nie liczy – powiedziałam. – Jeśli więc uprawiałaś z nim seks tej nocy, to ma pełne prawo uznać cię za dziwkę.

– Brooke, ja z nim nie uprawiałam seksu.

– Skoro tak twierdzisz.

– Brooke – powiedziała nieco urażona – nie mogę z tobą o tym rozmawiać, jeśli tak do tego podchodzisz. Nie mam powodu cię okłamywać. Nie spałam z nim, koniec, kropka.

– Masz rację – wycofałam się. – Przepraszam.

– Dziękuję.

Na chwilę zapadła cisza. Słuchałam szumu wiatru. Tak jakby fruwała nad autostradą.

– Jedziesz kabrioletem? – spytałam.

– Nie, ale mam opuszczone okna i otwarty dach.

– Czujesz się tak świetnie, jak to wynika z twojego tonu?

– Brooke, nigdy w życiu nie czułam się tak wspaniale.

– Opowiedz mi więcej – poprosiłam. – Jaki był najlepszy moment?

Nie musiała się zastanawiać ani chwili.

– Pamiętał tamtą piosenkę.

Wiadomo, o co chodziło, ale i tak pytałam dalej, wiedziałam, że sprawiało jej przyjemność mówienie o tym, nawet większą niż mnie słuchanie.

– Wspominaliśmy tamten wieczór, kiedy tańczyliśmy, i powiedziałam, że to był dla mnie pierwszy raz z chłopakiem. Zażartował, że zachowywał się chyba dość delikatnie. Czuliśmy się tacy swobodni. A potem on zaczął mówić, co zapamiętał z tamtego wieczoru, i kiedy doszedł do części, gdy zagrali tę wolną piosenkę, pomyślałam, że on na pewno zapomniał już, co to było. Ale nie. Wiedział, *How Deep is Your Love...* i jeśli mam być szczerą, nie mam pojęcia, co mówił dalej. Pochyliłam się do niego i szepnęłam: Tak bardzo wtedy chciałam, żebyś mnie pocałował. Potem wstaliśmy, a on objął mnie dokładnie tak samo jak w wieczór sprzed lat, i pocałowaliśmy się w salonie mojego taty.

– Grała ci w myślach tamta muzyka? – spytałam.

– Chyba tak.

– Samantha, znam wiele historii, ale to musiał być najbardziej romantyczny

pocałunek na świecie.

Jej głos zacierał się wśród szumu wiatru.

– Wiem – powiedziała.

SAMANTHA

W ODPOWIEDNIM ŚWIETLE wszystko jest cudowne.

Zapomniałam, kto to powiedział, wyczytałam gdzieś, i w zupełności się zgadzam. To prawda. Tego ranka światło wszędzie było odpowiednie, i wszystko było cudowne. A szczególnie promienie słońca skrzące się na rzece Hudson, kiedy przejeżdżałam most George'a Washingtona. Mieniły się nieskończonymi możliwościami.

W takie dni nawet ośrodek chemoterapii wygląda weselej, a kiedy pacjent jest w dobrym humorze, to pomaga. Katherine najwyraźniej tego dnia była. Poznałam to od razu, kiedy przyjechałam. Jej oczy błyszczały prawie tak jasno, jak woda na rzece Hudson. Coś się stało i nie mogła się doczekać, żeby mi powiedzieć, ale najpierw zapytała, co z Andrew.

Kiedy jej relacjonowałam, w najdrobniejszych szczegółach, każdą sekundę mojego wieczoru i długiej nocy, zorientowałam się, że rozglądałam się po sali, jakbym dotąd jej nie widziała. Byłam w ośrodku z Katherine mnóstwo razy, ale chyba zawsze tak bardzo skupiałam się na niej, że nie docierało do mnie nic poza tym. Nie zwracałam uwagi na przestronną, otwartą salę z fotelami i urządzeniami do kroplówek za każdym z nich ani na stojący pośrodku kontuar pielęgniarek, ani na szereg zmieniających się serdecznych, pomocnych sióstr, jednej weselszej od drugiej. Nawet nie spojrzałam na stół z jedzeniem i picciem, ciastami i kanapeczkami, sokami i kawą. Poczęstunek przeznaczony jest dla wszystkich gości ośrodka, ale ja nigdy nic nie jadłam. Katherine też nie. Zwykle terapia wywołuje u niej mdłości, senność i robi jej się zimno. Zawsze ma narzucony na ramiona kaszmirowy koc i kolorową kołderkę na nogach. Tego dnia nalałam sobie kawy i obserwowałam też innych pacjentów. Niektórzy drzemali, inni czytali albo słuchali muzyki, mało kto wyglądał na naprawdę cierpiącego. Robili wrażenie zwyczajnych, zdrowych ludzi. Katherine też.

Kiedy skończyłam relacjonować swoją randkę z Andrew, Katherine opuściła okulary do czytania na koniec nosa, jak nauczycielka, która zamierza zadać trudne pytanie...

– Dlaczego go nie przeleciałaś? – spytała trochę za głośno.

Dałam jej znak, żeby mówiła ciszej, i rozejrzałam się dokoła. Ale nikt na

nas nie patrzył. Jeśli któryś z pacjentów coś usłyszał, to nie dał po sobie poznać.

– Błagam, Katherine, zachowuj się trochę.

– Błagam, Samantho – odparła, przedrzeźniając mnie – mam teraz na głowie ważniejsze sprawy niż przyzwoite zachowanie.

– Powiem ci więc, że nie był to właściwy czas ani miejsce – stwierdziłam.

– Słuchaj – wypaliła. – Po tym, co się zdarzyło, myślę, że dom twojego ojca byłby miejscem jak najbardziej właściwym, a jeśli on jest tak przystojny, jak mówisz, to co za głupie gadanie o właściwym czasie...

– Czemu jesteś dziś taka wściekła? – spytałam. – Co w ciebie wstąpiło?

Wtedy opowiedziała mi o wizycie Phillipa, pieniądzech, opryszcze i jego niezdarnym, żalonym umizgiwaniu się do niej, a kiedy skończyła, wniosek mógł być tylko jeden.

– Mój Boże, Katherine – powiedziałam – trzeba to uczcić. Musisz to jakoś odreagować.

– Niezłe jaja, co? – stwierdziła i zaczęłyśmy się śmiać.

I nagle sobie przypomniałam.

– Sobota! – zawołałam i uderzyłam się w czoło. – Ślub Marie! Super elegancja-Francja, świetna okazja do flirtowania. Jutro idziemy na zakupy, poszukamy dla ciebie odpowiedniej kreacji.

– Byłoby świetnie, masz rację – zgodziła się.

Zobaczyłam ten cień smutku, jaki czasem ją ogarniał i pojawiał się w jej głosie. Takie „ale” we wszystkim. To właśnie oznacza życie z rakiem. Przede wszystkim to. Zawsze jest jakieś „ale”.

– Fajnie – powiedziałam różnym tonem – bądź gotowa jutro zaszaleć. Będziesz najseksowniejszą laską na weselu.

Zdawało mi się, że Katherine powstrzymuje łzy.

– Dziękuję, Samantho.

To był dla mnie kolejny znak, że się smuci. Rzadko mówi do mnie po imieniu. Zwykle kiedy to robi, jest przygnębiona.

Zmieniłam więc temat.

– Kat – zaczęłam wesoło. – Muszę ci zadać najbardziej niestosowne pytanie na świecie.

Najwyraźniej wyrwałam ją ze smutnych myśli. Uniosła brwi i zaintrygowana czekała.

– Te pieniądze, które zabezpieczył dla ciebie Phil...

Nachyliła się do mnie.

– Tak?

– Ile tego jest?

Katherine lekko przekrzywiła głowę niczym pies, który nie bardzo wie, co słyszy. A po chwili odchyliła się z powrotem na oparcie i głośno się roześmiała.

– Masz rację – przyznała. – Przegięłaś.

– Wiem – stwierdziłam. – Mimo to pytam.

Uśmiechnęła się.

– Dowiesz się, kiedy trzeba.

– Co to znaczy?

– Niedługo zrozumiesz – zapewniła.

– Katherine, nie mów takich rzeczy.

– Nie, nie to mam na myśli – uspokoiła mnie. – Dowiesz się, o co chodzi i ile dał mi Phil, już niebawem. Dużo wcześniej, nim coś mi się stanie.

Potrząsnęłam głową.

– Nic nie rozumiem.

– Rzeczywiście – szepnęła tajemniczo. – Ale zrozumiesz.

KATHERINE

NIE CHCIAŁAM JESZCZE MÓWIĆ Samancie o swoich planach. Niedługo przyjdzie na to czas. Jeśli czegoś się nauczyłam przez dwadzieścia lat funkcjonowania w świecie korporacji, to tego, że plany ogłasza się wtedy, gdy są już gotowe. Pośpiech, nawet minimalny, pozostawia zbyt wiele miejsca na błąd. Nie nadeszła więc jeszcze pora, by z czymkolwiek się zdradzić, choćby tylko Samancie. Trzeba trochę poczekać.

Najpierw musiałam wyszykować się na wesele. To było naprawdę bardzo miłe ze strony Marie, że wybrała mnie na świadka i tak bardzo nalegała, żebym wzięła udział w uroczystości. Nawet specjalnie wyznaczyła termin na ten weekend, kiedy kończę pierwszą serię terapii. Dziś biorę ostatnią na razie chemię – ale na pewno to nie koniec. Nie wiem, czy doczekam dnia, gdy nie będę już miała przed sobą żadnych zabiegów. Pewnie nastąpi to w momencie wyczerpania wszystkich możliwości, ale mam nadzieję, że to jeszcze odległa przyszłość. Na razie jednak spodziewałam się przerwy, a doktor Z. powiedział, że trzy, cztery dni po tej turze powinnam czuć się świetnie. To samo mówił Marie i dlatego tak a nie inaczej zaplanowała swój ślub, naprawdę wspaniałomyślny gest.

Ale to nakłada na mnie wielką presję. Podejrzewam, że na uroczystości pojawią się właściwie wszyscy, których znam i z którymi pracowałam przez te lata, a prawie nikt z nich nie widział mnie od czasu, kiedy zachorowałam. Nie da się uniknąć sytuacji, że przyjęcie skupi się na mnie w równym stopniu, co na Marie. Powiedziałam jej o tym. Tłumaczyłam, że żadna panna młoda nie powinna poświęcać swojego najpiękniejszego dnia, ale Marie tylko się uśmiechała. I choć tego nie przyznała, pomyślałam, że właśnie tego chce. Pragnęła wydać to przyjęcie dla mnie, dobrze wiedząc, że gdyby ktoś specjalnie chciał mi je zorganizować, nigdy bym się nie zgodziła, więc w głębi duszy byłam przekonana, że robi to z premedytacją... Żebym nie szukała wymówek. I choć to najpiękniejsza sprawa, to też dla mnie wielki stres.

Tylko raz przyparłam ją do muru.

– Marie, czuję się tak, jakbyś zapraszała mnie na mój własny pogrzeb – powiedziałam.

Zareagowała bardzo spokojnie.

– Szefowo, to mój ślub. I basta. Możesz mieć inne zdanie, ale proszę, zrób to dla mnie.

Nie było jak odmówić, więc już nie próbowałam.

Dlatego teraz ja i Samantha spędzimy dzień w sklepie Bergdorf Goodman, kompletując najbardziej oszałamiającą kreację roku. Do diabła, jeśli to miałyby być ostatni raz, kiedy ci wszyscy ludzie mnie zobaczą, niech zapamiętają, że wyglądałam fantastycznie.

Jednak zanim mogłyśmy ruszyć na zakupy, musiałyśmy przetrzymać ostatnie popołudnie z chemią, i byłam na to przygotowana...

– Zmieńmy temat – zaproponowałam. – Wymyśliłam kilka nowych „absolutnie odpada”.

– Świetnie. – Samantha przysunęła się do mnie z krzesłem. – Możemy tę grę wypróbować na jakichś facetach z sobotniego przyjęcia.

– Dobrze. Czy to absolutnie dyskwalifikujące, jeśli kandydat nada psu imię po mordercy kanibalu Jeffreyu Dahmerze?

Wybuchnęła śmiechem.

– Tak – powiedziała. – Odpada! Bez szans!

– Fakt – potwierdziłam. – Kolejne: czy to całkiem dyskwalifikujące, jeśli siedzisz w samolocie obok atrakcyjnego nieznanego, a on miło z tobą rozmawia, a potem wyciąga iPada i ogląda film porno?

Samantha się uśmiechnęła. Wyglądała dziś wyjątkowo pięknie.

– Czy on robi to ukradkiem?

– A co to za różnica?

– Bo jeśli chce, abyś to zobaczyła, to jest zboczeńcem i bada, czy może masz ochotę na szybki numer w toalecie. Ale jeśli ukrywa, na co patrzy... – Zastanowiła się chwilę. – Nie, masz rację, wykluczone, porno w samolocie zupełnie go skreśla...

– A czy ma znaczenie, jakiego typu to porno? – spytałam.

– Nie sądzę.

– Czyli soft jest równie złe jak hard?

– Nie – odparła – ale i tak facet nie wchodzi w rachubę.

– Jasne – podsumowałam. – Dobrze. Mam jeszcze dla ciebie inny fajny

przykład. Całą noc o nim myślałam. Co powiesz: spotykasz się z facetem i rozmawiacie o zasadach związku, a on pyta, czy uznałabyś za zdradę, gdyby go wyłomotał masażysta.

Podobał mi się wyraz przerażenia w twarzy Samantha.

– Odpada! – krzyknęła.

– Dlaczego?

– Jak coś takiego mogło przyjść mu do głowy?

– Nie wiem. Może po prostu chce być przygotowany na wszelkie ewentualności.

– Mowy nie ma, skreślony – powiedziała zdecydowanie Samantha. – Bez szans.

– Domyślałam się tego werdyktu – stwierdziłam. – Jesteś dość surowym sędzią.

Spojrzałam na zegarek. Została jeszcze godzina. W tej sali czas włókł się niemiłosiernie. Czasem dni mijają w okamgnieniu, minuty przelatują, ale godziny trwają wieczność. Starłam się wymyślić jakiś kolejny beznadziejny przypadek, ale wtedy Samantha wspomniała nazwisko, którego dawno nie słyszałam.

– Spotkałam kogoś, kto cię zna – powiedziała. – Brooke Biltmore.

Nie można zapomnieć kogoś takiego jak Brooke. Była najbardziej towarzyską dziewczyną w Greenwich, krążyły o niej legendy. Nie mieliśmy w szkole Paris Hilton, ale Brooke najbardziej przypominała kogoś w tym rodzaju. Chodziła o klasę niżej niż ja i była wzorem, modna, serdeczna, piękna i urocza. Chłopcy adorowali ją, nauczyciele ubóstwiali, młodsze dziewczyny uważały ją za bożyszcze i nawet te, które jej zazdrościły, musiały przyznać, że ma poukładane w głowie.

Wstyd, ale sama myśl, że po tylu latach Brooke Biltmore mnie pamięta, mile mnie polectała. Chyba nigdy do końca nie wyrastamy z czasów licealnych.

– Gdzie ją spotkałaś? – spytałam, siląc się na obojętny ton.

– W Greenwich.

– A konkretnie?

– Jej dzieci są pacjentami Andrew. To długa historia, ale poznałam ją. Jest mniej więcej w twoim wieku, wymieniłam więc twoje imię i nazwisko, na co

powiedziała, że dobrze cię pamięta – wytłumaczyła Samantha.

Musiałam postarać się, aby nie okazać rozpierającej mnie dumy.

– Jak wygląda?

– Jest cudowna – stwierdziła Samantha bez wahania.

– Zawsze była taka.

– To widać.

– I co? Ma męża, dzieci i nadal mieszka w Greenwich?

– Zgadza się – odparła. – Jest mężatką, nie wiem wiele o jej mężu, ale mają bliźniaki, nie jestem pewna w jakim wieku.

Skinęłam głową.

– Wszystko pasuje.

– Jaka była w szkole? – spytała Samantha.

– Dokładnie taka sama – powiedziałam. – Cudowna, z udanym mężem i pięknymi bliźniakami.

– Nigdy bym cię nie podejrzewała o to, że będziesz prawić złośliwości pod adresem takiej dziewczyny jak ona.

– Masz rację – zgodziłam się po namyśle. – Muszę przyznać, że ona była w porządku. Miała w sobie jakąś uczciwość, nie dało się jej nienawidzić. Była dobra. Dużo bardziej autentyczna niż przeciętna panienka z dobrego domu. Fajnie, że jej się wszystko ułożyło.

Kiedy to powiedziałam, Samantha zrobiła dziwną minę. Chyba jednak nie wszystko grało u Brooke. Ale nie spytałam. Jeśli zechce, to mi wyjaśni.

– Jak mnie wspomina? – zapytałam.

– Powiedziała, że byłaś bardzo inteligentna.

No i o to mi chodzi. To właśnie lubię w Brooke. Czy taka Paris Hilton zorientowałaby się, które dziewczyny w szkole są naprawdę inteligentne? Choć Brooke miała armię wielbicieli, zwróciła uwagę na to, że jestem mądra.

– To miło – stwierdziłam. – Coś jeszcze?

Teraz Samantha wydawała się jeszcze bardziej zakłopotana, czego nie umiałam rozszyfrować. Może miało to związek z tym, że u Brooke nie jest aż tak dobrze. Musiałam zapytać.

– Co?

– Powiedziała, że twój ojciec był w więzieniu.

No i jest.

To uczucie. Nerwowy ucisk w żołądku, coś jak uderzenie w twarz, krew napływająca do policzków. Tyle czasu minęło, a to wróciło. Jak już mówiłam, nigdy naprawdę nie wyrasta się z liceum.

– Rzeczywiście. Pamięta mnie.

– Nigdy mi o tym nie mówiłaś – rzuciła Samantha, tak jakby miała do mnie żal, i rozumiałam ją. Nie dlatego, że miała prawo wiedzieć wszystko, ale dlatego, że zakładała, tak jak zresztą i ja, że wszystkim się szczerze dzielimy. Tymczasem ja coś zataiłam.

– Wydawało mi się, że to już bez znaczenia – wyjaśniłam. Ale to nieprawda, w żadnym razie. Jeśli twój ojciec poszedł do więzienia, to zawsze będzie miało dla ciebie znaczenie, nawet jeśli dożyjesz stu lat. – Chcesz wiedzieć, jak to było?

– Tylko jeśli rzeczywiście chcesz mi o tym opowiedzieć.

– Wcale nie chcę. Ale opowiem.

Samantha zmarszczyła brwi.

– Źle to wyszło – stwierdziłam. – To niezbyt miły temat, dlatego nigdy nic nie mówię, ale nie chcę, żebyś myślała, że coś przez tobą ukrywam.

– Katherine, nie musisz...

– Siadaj i odpręż się – przerwałam jej. – To nie jest krótka historia.

Rzecz dotyczyła brata mojej matki – wujka Edwarda – który był niesamowicie bogatym człowiekiem i totalnym kretynem. Zarobił pieniądze na nieruchomościach, kupował zrujnowane budynki, wysiedlał biedaków, którzy w nich mieszkali, burzył i budował apartamentowce. To oczywiście legalne i pewnie można by uznać, że dzięki niemu dzielnice piękniały, ale ja zawsze zastanawiałam się, gdzie się podzieją ci biedni ludzie. Raz go o to spytałam. Tylko raz.

– A gównu mnie to obchodzi.

Cała jego odpowiedź.

Dlatego więcej już nie pytałam.

Tata pracował dla niego. Jako kierownik miał sporo wolnego czasu i poświęcał go mnie, co było fantastyczne. Ale rzucało się w oczy, że nie

przepada za swoją pracą, a w lecie, kiedy skończyłam jedenaście lat, odkryłam dlaczego. Byliśmy w domu wuja w South Hampton. Co roku odwiedzaliśmy go tylko raz, latem. Moi rodzice najwyraźniej nie czuli się tam dobrze, ale ja świetnie. Dom był niesamowity. Z basenem i trampolinami, a pokój do zabaw moich kuzynów był większy niż cały nasz dom. Uwielbiałam spędzać tam czas, aż do dnia, kiedy odkryłam otwór w przewodach wentylacyjnych.

Właściwie to nie ja go odkryłam. Pokazał mi go najstarszy kuzyn. Miał na imię Richard i myślałam, że jest fajny, bo przypominał trochę Johna Travoltę i palił. Richard pokazał mi wlot do wentylacji w bawialni na dole, gdzie mógł ukradkiem popalać, wydmuchując dym prosto do rur. Uznałam go za geniusza...

Kiedy skończyłam jedenaście lat, postanowiłam, że i ja spróbuję. Wiedziałam, gdzie znaleźć papierosy. Wuj trzymał je na kredensie. I wiedziałam, gdzie mogę zapalić. Nadal pamiętam, jak waliło mi serce, kiedy wyłowiłam dwa papierosy z paczki, zatknęłam za pasek dresu i na palcach zesłam po schodach. W bawialni nikogo nie było. W domu zostali tylko wuj i ojciec. Zamknęli się w gabinecie wujka. Powiedzieli mi, że muszą coś omówić, więc nie wolno im przeszkadzać.

Otworzyłam kratkę wentylacyjną i włożyłam głowę do środka, ale nim zapaliłam zapałkę, usłyszałam głosy. Trochę zniekształcone, trochę dudniące, ale od razu je rozpoznałam i byłam w stanie zrozumieć, co mówią.

– Nigdy mnie nie szanowałeś.

To mówił mój ojciec.

– Nie rób z siebie idioty.

To był wuj.

– Jeśli myślisz, że po tym, jak traktowałeś mnie przez te lata – powiedział ojciec – pomogę ci się wywinąć, chyba jesteś szalony.

– Pozwól, że ci coś powiem – zgromił go wuj. – Spijasz śmietankę od lat. Pierwszy raz o coś cię proszę, więc zrobisz, co mówię.

– A jak nie? Grozisz, że odetniesz swoją własną siostrę i jej rodzinę od biznesu?

– Nie – odparł wuj. – Nie tym grozę.

– To czym?

Potem nastąpiła długa cisza. Niczego więcej nie usłyszałam.

Kilka miesięcy później mój ojciec poszedł do więzienia, został skazany na cztery lata za unikanie płacenia podatków. Nigdy nie powiedziałam nikomu, że wiem, co się stało. I nigdy nie czytałam tego, co pisali w gazetach. Ale tamtego dnia odebrałam dwie ważne lekcje. Po pierwsze pieniądze bez władzy nic nie znaczą. Po drugie w paleniu nie ma nic fajnego. Zostawiłam te dwa papierosy w otworze wentylacyjnym i zamknęłam za sobą kratkę. Pewnie nadal tam leżą... I nigdy nie próbowałam palić, nigdy w życiu.

Kiedy skończyłam swoją historię, Samantha siedziała z kamienną twarzą. Nie wiedziała, co powiedzieć.

– A co się stało, kiedy był w więzieniu? – spytała w końcu.

– Odwiedzałyśmy go.

– I jak to było?

– Więzienie nie było takie straszne. Odwiedziny przypominały pójście na lunch do kiepskiej restauracji, tyle że trzeba było do niej jeździć daleko na północ, a po uregulowaniu rachunku zostawić tam ojca. To było najgorsze. Nie tyle widzieć go w tym miejscu, ile bez niego wsiadać znów do auta i ruszać do domu.

– O czym rozmawialiście podczas takich odwiedzin?

– Mało co pamiętam. Tak jakby działo się to w innym życiu. Albo we śnie.

– A kiedy wrócił do domu?

To było trudne.

– Nigdy nie wrócił. Umarł na zawał niecałe dwa lata po aresztowaniu.

– O, mój Boże – westchnęła Samantha.

– Moja matka od tamtej pory nie przypomina już dawnej siebie, nic a nic. Nigdy nie przeboleje tego, co się stało. Pewnie ja też nie. I zawsze trudno nam było o tym rozmawiać, bo ona twierdzi, że zrobił to wszystko dla mnie, i wydaje jej się, że to dobrze, ale dla mnie to dużo, dużo gorzej.

Siedziałyśmy w milczeniu pośród cichego szumu urządzeń. Od czasu do czasu ktoś się zaśmiał albo zadzwonił telefon. Z oddali dobiegały dźwięki jakiejś melodii, której chyba nie znałam. Już prawie kończyłyśmy.

– Coś ci powiem, Samantha – odezwałam się. – Z tego wszystkiego wniosek, że jeśli nie masz władzy, pieniądze są bez znaczenia. A dla ciebie, że powinnaś przestać tak stale przeproszać za to, jak zostałam wychowana i za

uprzywilejowaną sytuację. To, co teraz robisz, jest wspaniałe, i nie można do tego przypinać metki z ceną.

Samantha siedziała nieruchomo. Nic nie powiedziała.

– Poza tym – dodałam – pieniądze to jednak nie wszystko. Życie jest coś warte dzięki innym wspaniałym rzeczom, które mogą cię w nim spotkać. Zapamiętaj to sobie.

– Mówisz na przykład o Andrew? – spytała.

– Tak, to zależy od ciebie.

Przeczuwałam, że właśnie o nim teraz myśli.

– Samantho – zaczęłam – wcześniej, kiedy powiedziałam ci, że Brooke wyglądała na kogoś, kto świetnie poukłada sobie życie, zauważyłam po twojej minie, że coś jest nie tak. W tym momencie poczułabym się lepiej, gdybym wiedziała, że jej życie nie jest aż tak idealne. Powiesz mi?

Najwyraźniej zastanawiała się nad tym głęboko.

– Jej życie nie jest idealne, Katherine, wierz mi.

– W jakim sensie?

Samantha zbliżyła dłoń do ust.

– Powiem tylko tobie, bo nie chcę zawieść jej zaufania. Brooke to jedna z tych kobiet, które oceniają siebie i inne kobiety według tego, jakich mają mężczyzn.

Skinęłam głową. Nie byłam specjalnie zaskoczona.

– Takie kobiety zawsze uważały, że jestem żalosna.

– Może dlatego, że je onieśmielasz.

– Gadanie! – prychnęłam. – Zachowują się tak, jakby wszystko to, co mam, było tylko namiastką tego, co mają one.

– To może one cię onieśmielają?

Zastanowiłam się.

– Nie wiem. Ale wszystko jedno.

Samantha podeszła i poprawiła mi poduszki pod bolącym krzyżem.

– Myślę, że z tego wszystkiego powinniśmy wyciągnąć jeden ważny wniosek – powiedziała. – Od czasu do czasu trzeba sobie trochę odpuścić.

To już kompletnie mnie rozwaliło.

– No – wysapałam – kiedy tak mówisz, wydaje się to cholernie proste.

Potem usiadła na krześle przede mną i czekałyśmy w milczeniu, aż reszta trucizny ścieknie do moich żył. Zostało już tylko kilka minut.

BROOKE

POWIEM TO RAZ i nie będę więcej wracać do tematu.

Nie ma potrzeby dalej o tym mówić, bo w ten sposób gubi się z oczu cel, którym jest życie. Nie tyle utrzymanie się przy życiu, ile życie. To ja i tylko ja określam, co to znaczy żyć. Nikomu nie narzucam swojego zdania, ale i nikogo nie proszę o radę.

Dla mnie szczęście to jedyny cel, jaki umiem sobie wyobrazić. Naprawdę nie mam innego. Niektórzy szukają go w salach konferencyjnych, na szczytach gór, spędzają czas na negocjacjach i wspinaczce, szczęściem jest dla nich zysk albo piękne widoki. Ja nie muszę szukać szczęścia aż tak daleko. Mam je tutaj, wokół siebie, codziennie, prawie każdej minuty. Nie muszę nic zdobywać, żeby czuć się szczęśliwa. Szczęście to nie coś, co mam nadzieję odnaleźć po drodze do mglistych, odległych celów – szczęście to cel sam w sobie. To kierunek, jedyny wart starań, przynajmniej ja tak sądzę i stale powtarzam to dzieciom. Jedyne, czego dla nich pragnę, to szczęście. Nie zależy mi, żeby były ambitne, wysportowane albo miały zacięcie naukowe. Nie obchodzi mnie, czy chcą zostać lekarzami, nauczycielami albo śmieciarzami. Chcę tylko, aby były szczęśliwe. „I żyli długo i szczęśliwie” to zawsze najlepsze zakończenie. Według mnie nie warto opowiadać historii o innym finale.

Czasem więc myślę sobie: jakim prawem ona poucza mnie, jak mam żyć?

Mam na myśli chorobę, raka. Nie Samanthę. Ją uwielbiam za to, że stara się mi mówić, co mam robić. Jest na tyle młoda, by nie przyjmować do wiadomości, że są różne sposoby myślenia. I to urocze, że tak się o mnie troszczy. Doceniam to. Nie złoszczę się na nią, kiedy biada nad moimi decyzjami, co zresztą robi coraz rzadziej. To miłe. Teraz możemy się zwyczajnie przyjaźnić. Może kiedyś pozna Scotta i moje dzieci. Pewnie chciałyby tego, ja zresztą też. Może moglibyśmy zorganizować spotkanie w czwórkę, jeśli sprawy z doktorem Marksem zajdą wystarczająco daleko, a coś mi mówi, że na to się zanoszą.

To nie tylko podszepty wyobraźni, a wyraźne przeczucie. Albo nawet przekonanie. Z tego, co przeszłam, musi wyniknąć coś dobrego. Może właśnie o to chodzi. Może doktor Marks i Samantha się pobiorą i będą mieli syna albo córkę, i to dziecko zostanie kiedyś świetnym naukowcem, który odkryje sposób na leczenie raka – a to nigdy by się nie zdarzyło, gdybym nie zachorowała, nie poznała Samanthę i nie umówiła jej z Andrew.

To nie na Samanthę więc się wściekam, ale na raka. Jak ta choroba, podstępna, ukryta, której ani nie widzę, ani nie czuję, miała czelność pojawić się tak bez zapowiedzi, nieproszona, i wymuszać na mnie jakieś zmiany? Rak to cała lista nowych warunków, wykaz tego, co powinnam zrobić i czego już nigdy nie zrobię. Nawet teraz, kiedy go ze mnie wygnano, chce mi narzucać, jak mam się zachowywać, żeby nie wrócił.

Ale nie zamierzam go słuchać. Mam swoje plany i stawię czoło chorobie na własnych warunkach, niczyich innych. Jeśli zechcę wozić autem gromadę dzieci albo jeździć z nimi na szkolne wycieczki jako opiekunka, albo układać sobie włosy suszarką co sobota i prowadzić pikantne rozmowy z mężem przez telefon, kiedy nie ma go w domu, to tak będę robić i nie mam zamiaru tłumaczyć się z tego ani niczego żałować.

Każdemu, kto mnie osądza, powiem, żeby pilnował własnego nosa.

A rakowi mówię po prostu: PIEPRZ SIĘ!

KATHERINE

WYGLĄDAM PIĘKNIE.

Chyba nie ma dwóch lepszych słów niż te, prawda?

Nawet „kocham cię” nie zawsze brzmią lepiej. Do diabła, to „kocham cię” przysporzyło mi więcej cierpień niż jakiegokolwiek inne krótkie zdanie, poza „masz raka”, a nawet może i to tylko przypadek.

Teraz cieszy mnie „wyglądam pięknie”, bo dawno już sobie tego nie mówiłam ani tak nie pomyślałam, nawet nie przyszło mi do głowy, by tak pomyśleć...

Zacznijmy od peruki, która jest niesamowita. Nie wiem, czemu tak długo się przed nią broniłam. Mam teraz długie, wijące się blond włosy, zupełnie jak Charlize Theron. Bardzo mi się to podoba.

Ale nie tylko peruka tego wieczoru wygląda świetnie.

Kiedy patrzę na swoje odbicie w dużym lustrze przy garderobie, jestem zachwycona, aż trudno wyrazić to słowami. Po raz pierwszy nie doszukuję się, co tu jest nie tak. Zwykle spoglądam w lustro, żeby wypatrzeć mankamenty, wady urody, kurze łapki, bladą plamkę na żakiecie, gdzie kiedyś kapnął sos z sałatki i pralnia nie najlepiej się spisała. Dziś przeciwnie. Skupiam się na tym, co wygląda świetnie, i sporo tego. Nie tylko włosy, czy tam peruka, ale i reszta. Oczy mi błyszczą, kolor wrócił na policzki – przynajmniej w dużym stopniu – nie robię więc wrażenia wymizerowanej. Nadal jestem chuda, ale w mojej postawie widzę dumę, jakiej nigdy dotąd nie dostrzegałam, coś w wygięciu pleców, uniesionej brodzie, ognistym spojrzeniu. Ono mówi, że jestem. Że jeśli kiedykolwiek się wycofałam, to wróciłam, a to, dokąd zmierzam, może poczekać. Dziś wieczór jestem tutaj i wyglądam oszałamiająco. Nawet jeśli to rak sprawił, że tak się czuję, że taką się widzę, niech tam. Przynajmniej coś dobrego z tego wyszło.

Kiedy odzywa się domofon, jestem gotowa. Rzucam ostatnie spojrzenie w lustro i puszczam do siebie oczko. Wyglądając grzywkę, myślę, że naprawdę wypełnia mnie wielka dobroć, jestem spokojna, swobodna i szczęśliwa. Może po raz pierwszy od czasu, kiedy byłam dzieckiem, naprawdę jestem szczęśliwa.

Na dole czeka Marie. Maurice ją zabrał i razem podjechali po mnie. Jest przepiękna w swojej sukni, długiej, powłóczystej, białej jak trzeba. Według jej standardów to kreacja bardzo tradycyjna, piersi prawie zakryte, choć przyzwyczaiałam się do ich nieskrępowanego eksponowania i teraz mi go brak.

– No, no – mówię dumnie, wysiadając z windy. – Witam pannę młodą.

Marie aż drży z emocji.

– Wyglądasz cudownie, Katherine, naprawdę, aż chce mi się płakać.

– Pamiętaj – upominam ją – to twój wieczór. Nie przyjęcie pożegnalne Katherine, ale twój ślub i nie zachowuj się tak, bo wrócę na górę.

Marie uśmiecha się. Widzę łzy w jej oczach.

– Będzie dobrze, szefowo – mówi. – Kazałaś mi w Aspen zastanowić się, dlaczego warto żyć. Już wiem. Właśnie dla takich wieczorów.

Wyciąga dłoń, a ja biorę ją i ściskam. To taka urocza dziewczyna i naprawdę bardziej inteligentna, niżbym się po niej spodziewała. Kocham ją tego dnia. Całym sercem.

– Jestem taka dumna... – zaczynam, ale ku mojemu własnemu zaskoczeniu słowa więzną mi w gardle. Jeśli skończę zdanie, to się rozpłaczę, a przecież nie chcę, nie w tym hallu, nie zepsuję wieczoru Marie.

– Kocham cię, szefowo – mówi, a ja jeszcze raz ściskam jej dłoń i wychodzimy przez obrotowe drzwi.

Maurice stoi i otwiera przed nami drzwi auta. Uśmiecha się szeroko, trzyma pod ręką czapkę. Wieczór jest piękny, świeży, w powietrzu czuje się już trochę jesień. Wydaje się, jakby od czasu, kiedy się marzło, minął rok. Ostatnio ciągle było mi zimno, ale inaczej. To chłodne powietrze dodaje energii, więc przystaję na dłuższą chwilę. Przed wejściem do samochodu patrzę na światła, które przebijają się przez zmierzch zapadający nad Nowym Jorkiem.

– Maurice – mówię – jest tyle piękna na świecie, tyle pięknych rzeczy w życiu. Nie wiem, czemu tego wcześniej nie widziałam.

– Zawsze to widziałaś, byłaś tylko za bardzo zajęta, żeby zwracać na to uwagę.

Jeśli się nie mylę, jego też ściska w gardle.

– Cudownie widzieć cię w takiej formie – ciągnie. – Nigdy nie wyglądałaś piękniej niż dziś.

Uśmiecham się figlarnie.

– Może tego wieczoru dopisze mi szczęście.

Jeszcze raz rozglądam się wokół, pochylam głowę i wślizguję się do auta obok Marie.

Podczas jazdy prawie nic nie mówimy. To niedaleko, kilka przecznic, a ruch nie jest duży. Przecinamy Central Park, obok nas, tuż przy oknie Marie, przystaje taksówka, taka staromodna, nie widywałam ich od lat. Pamiętam, że kiedy byłam małą dziewczynką, tego rodzaju taksówką rodzice zabrali mnie do nowojorskiego Radio City Music Hall na przedstawienie świąteczne. Podróżowaliśmy pociągiem z Connecticut, jedliśmy lunch w pobliżu Central Station, kanapki z sałatką jajeczną i deser czekoladowy, a potem ojciec wezwał taksówkę, a ja zachwycona patrzyłam, jak rozkłada dodatkowe siedzenie. To chyba była nasza ostatnia wspólna Gwiazdka.

Światło zmienia się na zielone, taksówka przesuwa się naprzód, a ja opieram się i przysuwam twarz do ucha Marie.

– Jak się czujesz? – pytam.

Nawet na mnie nie spojrzała.

– Już nie mogę się doczekać.

Uśmiecham się. Tak powinno być. Na jej miejscu też bym się niecierpliwiła.

Wynurzamy się z parku, kiedy gasną ostatnie promienie dziennego światła i zaczynają zapalać się uliczne latarnie, ożywając na nadchodzący wieczór. W okamgnieniu podjeżdżamy na okrągły podjazd, pod okazałe wejście do eleganckiego wieżowca Central Park West.

– Czeka na nas prywatna winda – mówi Marie do Maurice’a, wskazując na drugie drzwi, bliżej rogu. – Podjedź tam, proszę.

Potem stajemy, Maurice wysiada z auta i przytrzymuje otwarte drzwi. Zrobiło się nieco zimniej. Kiedy tak czeka, widzę, jak jego oddech zamienia się w parę i spod daszka czapki unosi się w ciemniejące niebo.

– Winda jest na wprost – mówi Marie. – Wjedź na samą górę.

– Ty nie idziesz?

– Potrzebuję minutki dla siebie – stwierdza. – Spotkamy się na górze.

Kładę dłoń na jej udzie i delikatnie ściskam. Potem wysuwam się na zewnątrz, wygładzam suknię i rozprostowuję nogi. Klepię Maurice’a po ramieniu, wskazując mu Marie.

- Gdyby czegoś potrzebowała, to proszę, pomóż jej we wszystkim.
- Oczywiście – zapewnia Maurice. – Teraz idź. Zimno tu.

Została nam godzina do ceremonii. Nie ma pośpiechu.

Elektryczne drzwi rozsuwają się przede mną i czuję powiew ciepłego powietrza, kontrastujący z rześkim chłodem wieczoru. Kiedy przyjeżdża winda, wybieram najwyższe piętro i opieram się o poręcz na tylnej ścianie. W górnym rogu nad przyciskami i certyfikatami jest małe, okrągłe lustro. Próbuję się w nim przejrzeć, ale jest za daleko i zniekształca sylwetkę jak krzywe zwierciadło w wesołym miasteczku. Przytrzymuję się poręczy za sobą i przytupuję wsłuchana w szum mijanych pięter. Potem czuję lekkie hamowanie i słyszę melodyjne ding.

Kiedy tylko drzwi otwierają się w hallu apartamentu, tak jak u mnie w domu, odzywa się muzyka. Na scenie naprzeciwko drzwi znajduje się orkiestra, siedmio-, może ośmioosobowa. Wszyscy elegancko ubrani, a kiedy wychodzę z windy, zaczynają grać *Isn't It Romantic?* Uwielbiam tę piosenkę.

Pokój jest rozświetlony na różowo i zielono, z żyrandolem połyskującym jak brylanty, rzucającym srebrne i złote ogniki. Piękna, głośna muzyka wypełnia mi uszy, aż mi się męci w głowie, więc z początku nie widzę w tym wszystkim nic dziwnego. Nie dociera do mnie, że jest tam tylko krąg taneczny i jeden stolik zamiast rzędów krzeseł, z przejściem pośrodku dla młodej pary. Ale jakoś nic z tego nie chwytam, kiedy idę wolno do stolika, gdzie siedzi jakiś mężczyzna, odwrócony do mnie tyłem, jego szerokie plecy w smokingu wydają się jakby znajome. Orkiestra gra, światła się skrzą, pokój tonie w poświęcie, a moje obcasy stukają leciutko o parkiet. Przystaję na chwilę, rozglądam się i widzę, że nikogo więcej tu nie ma. Tylko orkiestra, ten mężczyzna przy stoliku i ja.

I wtedy, gdyby były jeszcze jakieś wątpliwości, słyszę tupot łap z prawej strony, drzwi się otwierają i z ciemności wypada golden retriever. Rzuca się do mnie, po czym nagle skręca, wykonując akrobatyczny skok, a potem zatrzymuje się, przeciąga i zwija się w kłębek przy stoliku, parę kroków dalej. Orkiestra gra, a moje serce bije tak szybko, że czuję je w skroniach i słyszę w uszach. Otwieram usta, ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk, więc po prostu kładę rękę na ramieniu mężczyzny, a on podnosi wzrok i uśmiecha się do mnie. Zdaję sobie sprawę, że przez ostatnie trzy miesiące widziałam jego twarz tysiące razy. Widziałam ją za każdym razem, kiedy zamykałam oczy, by uciec stąd, gdzie byłam, przenieść się tam, gdzie chciałabym być, a teraz mam

ją przed sobą i jest lepiej niż w marzeniach. Bierze mnie za rękę, wstaje, całuje delikatnie w policzek, obejmuje w talii i zaczynamy tańczyć, gdy orkiestra gra, a zachwycony pies kręci się wokół naszych nóg.

BROOKE

WRESZCIE TO ZROBIŁAM.

Od dawna chciałam nauczyć się zapamiętywać cytaty i nazwiska ich autorów... Uwielbiam czytać i obiecałam sobie, że jak inni będę podkreślać znaczące fragmenty, przyczepiać je do lodówki lub do lustra w łazience albo zapisywać na iPadzie.

No i zaczęłam.

Pomysł przyszedł mi do głowy zeszłego wieczoru, podczas kolacji z mężem i bliźniakami oraz serdeczną przyjaciółką rodziny, kochaną dziewczyną o imieniu Ashley, która dorastała na naszej ulicy i często opiekowała się naszymi dziećmi, nim wyjechała na studia. Ma teraz dwadzieścia jeden lat i przyjechała odwiedzić rodziców. Zawsze przy takiej okazji wpada też do nas, jak wczoraj. Siedziała nad kopiastym talerzem makaronu z serem z dodatkiem brokułów i śmiała się, wspominając nasze wspólne czasy.

Pierwszy raz została z bliźniakami, kiedy miały ledwie rok, i zawsze opowiada im, jakie były świetne, co wszyscy uwielbiamy. Dzieci nigdy nie mają dość słuchania szczególnie o wieczorze, kiedy Megan dostała takiej biegunki, że kupa strzeliła Ashley we włosy i wylądowała metr za nią. Dzieci spadają przy tym z krzeseł ze śmiechu.

Ashley wyrosła na śliczną, pewną siebie kobietę. Patrząc na nią ze swego rodzaju dumą i wiem, że Scott podobnie. Oboje pamiętamy ją z czasów, gdy była niewiele starsza od naszych dzieci teraz, i przyszła naszym podjazdem na próg z tacką ciasteczek, które upiekła wraz z mamą, aby powitać nas jako sąsiadów. To było nasze pierwsze mieszkanie i to dzięki niej poczuliśmy się tu jak w domu. Kiedy cztery lata później urodziły się bliźniaki, Ashley stała się naszą podporą. Płakałam, gdy odbierała świadectwo maturalne.

W każdym razie bawiliśmy się świetnie, aż tu nagle Jared zaczął opowiadać o czymś, o czym żadne z nas dotąd nie słyszało, nawet jego siostra. Przypomniał sobie chłopaka z czasów szkolnych Ashley, nieśmiałego Erica, który często do niej wpadał, kiedy pilnowała dzieci. My ze Scottem nie mieliśmy nic przeciwko temu, skoro jej rodzice to akceptowali. Eric był uroczym chłopakiem i lubił bawić się z naszymi dziećmi, a kiedy bliźniaki kładły się spać, Ashley i on siadali na kanapie, by pooglądać telewizję, zanim Scott i ja wrócimy do domu. Było to bardzo niewinne i sympatyczne.

I oto zeszłego wieczoru przy kolacji Jared opowiedział nam, jak w czasach Erica obudził go w nocy ból brzucha. Mój synek zszedł więc na dół i zobaczył, że Eric i Ashley się całują! Co za okropność! Bliźniaki są jeszcze w takim wieku, że pocałunki wydają się im czymś obrzydliwym. Zaprawieni nieco winem Scott i ja parsknęliśmy śmiechem, a Megan zrobiła zabawną minę, żeby wyrazić zniesmaczenie. To było bardzo zabawne. Tyle że Ashley się nie śmiała.

– Jared – powiedziała, lekko się czerwieniąc – nic takiego nie pamiętam. Musiało ci się to przyśnić.

– Nie. – Pokręcił głową stanowczo. – Nie spałem. Pamiętam. Całowaliście się!

A Megan zerwała się od stołu i zaczęła się wygłupiać, objęła się sama rękami, po czym zaczęła cmokać, tak że aż pies się zdenerwował i zerwał na nogi.

Scott, któremu udało się opanować śmiech, popatrzył na Jareda.

– Czy to właśnie tak wyglądało, kiedy Ashley i Eric się całowali?

– No, mniej więcej – potwierdził Jared, którego uwaga skupiła się znów na makaronie – tylko że nie mieli ubrań.

Te słowa na chwilę zawisły w powietrzu. Scott natychmiast wziął spory łyk Pinot Noir i popatrzył szybko na Ashley, która była już czerwona jak piwonia, miała rozchyłone usta i na pewno gorączkowo myślała, jak przekonać Jareda, że to mu się śniło albo że fantazjuje, ale zanim zdołała cokolwiek wydukać, ciszę przerwała Megan, która zaczęła tańczyć jak szalona po pokoju, cmokając i śmiejąc się tak głośno, że aż upadła i dalej wiła się ze śmiechu, krzycząc:

– Całowali się na golasa! Całowali się na golasa!

– Jared – powiedziała Ashley, bo musiała zaprotestować, choć najwyraźniej to była prawda. – Zmyślasz. To nieładnie.

– Nie – odparł rzeczowo. – Widziałem twoje cycuszki.

To dla Megan było już za wiele.

– Widziałem twoje cycuszki! Widziałem twoje cycuszki!

Łzy płynęły jej po policzkach, tarzała się po podłodze, wciąż się zarykując, ubawiona i zafascynowana zarazem, jak to tylko dzieci potrafią. Wiedziała, że to śmieszne i krępujące, i wiedziała, że jest w tym coś nie w porządku, ale nie rozumiała co ani dlaczego. Mogła więc tylko robić dużo hałasu i poszła na

całego, dopóki Scott tego nie ukrócił.

– Dosyc.

Nie krzyknął, prawie nigdy tego nie robi, powiedział to jednak tonem nieznoszącym sprzeciwu. Bardzo lubię ten ton. Słyszałam go w wielu sytuacjach, które nie mają związku z zakłóceniami przy kolacji. Megan szybko wróciła na swoje miejsce i do jedzenia, Jared pił mleko, a ja dołam Ashley i sobie wina, wzięłam długi łyk. Zapanowała cisza, słysząc było tylko brzęk sztućców i nie miałam odwagi, żeby spojrzeć w twarz Ashley i przekonać się, jak bardzo jest przerażona.

Nagle Scott zaczął się śmiać. Najpierw cichutko, pod nosem, tak jakby wiedział, że nie powinno go to bawić, ale bawiło. Mnie też. I kiedy Scott pozwolił sobie na śmiech, ja też nie wytrzymałam i wkrótce oboje chichotaliśmy, ile wlezie, a z nami dzieci, choć nie wiedziały czemu, one chętnie śmieją się przy byle okazji. Wreszcie wstałam, obesłam stół i objęłam mocno Ashley, która na szczęście też zaczęła się śmiać. Później spokojnie już siedzieliśmy sobie przy butelce wina, lub szklance mleka, ciesząc się, że jesteśmy razem, mój mąż, syn, córka, ich dawna opiekunka i ja, a w pokoju było tyle miłości, że wisiała w powietrzu jak poranna mgiełka na wiosnę.

Dziś, kiedy pocałowałam męża na do widzenia i zabrałam dzieci do szkoły, usiadłam do komputera i odnalazłam cytat zapamiętany jeszcze w college'u. To z *Fausta* Goethego, który wcale mi się nie podobał wtedy, kiedy go czytałam, ale na zawsze zapamiętałam ideę – człowiek układa się z diabłem, odda duszę za jedną idealną chwilę, moment, kiedy poczuje się spełniony, absolutnie szczęśliwy.

Cytat znalazł się szybko:

*I wtedy mógłbym rzec: trwaj chwilo,
o chwilo, jesteś piękną!
Czyny dni moich czas przesilą,
u wrót wieczności klękną.
W przeczuciu szczęścia, w radosnym zachwycie,
stanąłem oto już na życia szczycie!*^[1]

Wydrukowałam to, każę zafoliować i będę nosiła przy sobie. A może powieszę na lodówce. Ale to dopiero początek. Będą i inne cytaty, idee, ludzie, którzy mnie rozumieją, choć nigdy nie poznali. Inne słowa i zdania, do których będę mogła sięgnąć w razie potrzeby, w kościele albo na prozanej

kolacji, albo żeby nauczyć czegoś dzieci. Mogę ich użyć w dyskusjach z Samanthą na temat moich decyzji albo kiedy jestem w wannie i sama się zastanawiam, co jest słuszne. Dobrze wiedzieć, że są ludzie, którzy lepiej niż ja potrafili ująć w słowa to, co czuję. Nie żebym musiała się z czegoś tłumaczyć. Ale dobrze wiedzieć, że są tacy, którzy mają takie samo zdanie jak ja.

SAMANTHA

Siedem miesięcy później

O SIÓDMEJ RANO robi się tu straszny ruch.

Wstałam w tę niedzielę wcześniej, żeby sprawdzić pocztę, i właściwie mi to nie przeszkadza, nawet nie musiałam nastawiać budzika, choć ciężko pracuję, odkąd zaczęliśmy. Coś w tym słonym, świeżym powietrzu nad oceanu wydaje się znajome, dodaje energii, wyostrza myśli. Wśród zgiełku miasta zwykle budzę się otumaniona, bez względu na to, jak długo spałam. Ale tu, przy plaży od razu jestem skupiona i wypoczęta, nawet po wypitym wczoraj winie i pływaniu nago o północy.

Dom jest fantastyczny, dokładnie taki, jak mówiła Katherine, a nawet bardziej. Pijąc teraz kawę w kuchni, czuję ciepło słońca, które wynurza się zza dwóch odpływających chmur i wznosi się nad oceanem. Słyszę mewy zza szumu fal, kiedy nurkują po to, co morze zniosło przez noc bliżej brzegu. Ściąga tu mnóstwo surferów. Widzę już trzech na wodzie, ale na plaży musi ich być ze dwudziestu. Wkładają kombinezony, poranek jest chłodny, pewnie na zewnątrz jest nie więcej niż piętnaście stopni. Po śniadaniu będzie dwadzieścia jeden.

Katherine zostawiła pełne szafy. Mam na sobie jej srebrny szlafrok z miękkiej flaneli, a pod spodem własną jedwabną piżamę. Nie lubię nosić jej ubrań, tu czy w mieście, ale od czasu do czasu robię wyjątek. Tego ranka wydawało się to właściwe. Luksusowe i dekadentkie, jak deser z bitą śmietaną.

Kiedy się zalogowuję, widzę, że czeka na mnie ponad siedemdziesiąt e-maili. Muszę zatrudnić więcej osób. Przedsięwzięcie okazało się większe, niż mogło się marzyć Katherine albo mnie, co jest wspaniałe, biorąc pod uwagę, że od samego początku podeszliśmy do tego bardzo ambitnie. Ale stało się dla mnie jasne, że potrzebuję pomocy. Siedemdziesiąt wiadomości to za dużo na niedzielny poranek, szczególnie tak piękny i spokojny jak ten. Najchętniej zatrudniłabym Marie, ale lada dzień rodzi i kiedy z nią ostatnio rozmawiałam, odniosłam wrażenie, że nie chce więcej pracować. Zobaczymy, co będzie po urodzeniu dziecka, kiedy jakoś okrzepnie. Może zmieni zdanie, ale zbytnio bym na to nie liczyła. Wydaje się całkiem zadowolona. Nie będę jej naciskać, tylko zapytam na wszelki wypadek...

Nikt nigdy nie zaimponował mi tak, jak Marie. To, co zrobiła i jak, było największym aktem odwagi i miłości, z jakim się spotkałam... Powiedziałam Katherine, że nie miałam z tym nic wspólnego i że nic nie wiedziałam. I jedno, i drugie jest prawdą, czy Katherine w to uwierzyła, czy nie. Obiecałam jej, że nie będę mieszać się w sprawę Stephena, i nie było mowy, żebym kiedyś złamała dane jej słowo.

Dowiedziałam się o wszystkim w tym samym czasie, co Katherine, tego wieczoru, kiedy miał być ślub. Maurice podjechał pod mój dom, ale ku swojemu zdumieniu w środku zobaczyłam samą Marie, bez Katherine. Kiedy Maurice wysiadł, aby otworzyć mi drzwi, rzuciłam mu pytające spojrzenie.

– Wskakuj – powiedział. – Ona na pewno to wyjaśni.

Przez „ona” miał na myśli Marie, nie Katherine. I rzeczywiście wytłumaczyła mi, od razu na miejscu, siedząc w swojej sukni ślubnej, kiedy auto wolno toczyło się z podjazdu, a przez otwarte okno wpadały ostatnie promienie słońca.

– Uknęłam wielki spisek – powiedziała. Aż dygotała z emocji, tak jej się trzęsły ręce, że ledwo dała radę upić łyk wody z butelki. – To chyba najlepsza rzecz, jaką w życiu zrobiłam. Mam nadzieję. Naprawdę mam taką nadzieję.

I powtarzała to raz za razem, patrząc w dal. Otaczał nas zgiełk typowy dla Nowego Jorku w sobotni wieczór.

– Marie, gdzie jest Katherine?

W odpowiedzi uśmiechnęła się tak promiennie, że aż to się udzielało innym. Wyraźnie była tak podekscytowana, że przeszedł mnie dreszcz, i choć nie usłyszałam jeszcze, o co dokładnie chodzi, od razu wiedziałam, że naprawdę dokonała czegoś wielkiego.

Nabrała głęboko powietrza i zaczęła opowiadać.

O tym, jak Stephen po raz pierwszy zadzwonił do biura i pytał o Katherine. Marie postąpiła wtedy zgodnie z zaleceniem. Wyjaśniła, że Katherine odeszła z pracy i nie zostawiła żadnych wiadomości do przekazania. Kiedy zadzwonił drugi raz, następnego dnia, powtórzyła to samo. Trzeci raz próbował zmienić głos i telefonował z innego numeru, niezdarne i zaniepokojony. Marie zbyła go znowu, ze łzami w oczach.

Kolejnego dnia nie dzwonił, następnego też nie. Ale z upływem czasu, choć Marie nie musiała już odrzucać jego telefonów, coraz bardziej ją to gnębiło. Gryzło ją i gryzło, aż zapisało się w głębokich pokładach pamięci, jakby

zdarzyło się w jakimś śnie albo innym życiu. Co, jak powiedziała Marie, w pewien sposób było prawdą.

Minął miesiąc i dała spokój snom. Wpadła w rytm opieki nad Katherine, zajmowała się swoją pracą i zastanawiała się nad przyszłością, bo od trzech tygodni spóźniał się jej okres. To było coś niezwykłego, u Marie wszystko zawsze chodziło jak w zegarku. Od kiedy skończyła siedemnaście lat, nigdy nie miała opóźnienia nawet o jeden dzień. I od razu wiedziała, że jest w ciąży, na pewno, nawet nim poszła do apteki i zobaczyła bladoniebieski pasek. Minął kolejny tydzień, zanim powiedziała cokolwiek lekarzowi i narzeczonemu. Kiedy wreszcie Adam usłyszał od niej nowinę, uzgodnili, że pobiorą się najszybciej, jak to możliwe. Nie chcieli urządzać wielkiego wesela, bo jego rodzina sądziła, że Marie poluje na bogatego męża, a jej rodzina uznawała jego bliskich za snobów, nie było więc sensu się z tym szarpać. Poszli do łóżka i kochali się wyjątkowo namiętnie, a potem leżeli w ciemności i popijając cydr z wąskich kieliszków do szampana, fantazjowali, co by zrobili w dzień ślubu, gdyby mieli nieograniczone możliwości.

– Poprosiłbym, żeby do ołtarza przyprowadził cię Bruce Springsteen, podał mi twoją dłoń, a potem zagrał na harmonijce *Born to Run* – powiedział Adam.

– Wynajęłabym balon i moglibyśmy wypowiedzieć przysięgę, patrząc na wschód słońca z góry.

– To mi się nawet podoba – stwierdził Adam i zastanowił się chwilę. – Wiesz, moglibyśmy to zrobić, jeśli chcemy. Ale gdzie?

– W Aspen – powiedziała bez wahania – wzięlibyśmy iPoda, głośniki i puścilibyśmy sobie piosenkę Johna Denvera *Annie's Song*.

I wtedy po prostu wszystko wróciło. Marie powiedziała Adamowi od razu, tej nocy, leżąc w łóżku naga, na początku ciąży, że musi jechać do Aspen odszukać Stephena. Nie potrafiła go znaleźć w internecie, bo nie знаła jego nazwiska, a nawet gdyby znała, to nie chciała rozmawiać z nim przez telefon – a tym bardziej porozumiewać się e-mailowo – uznała, że musi mu to powiedzieć bezpośrednio. Musiała upewnić się, czy on czuje to samo, co Katherine i czy na pewno są dla siebie stworzeni. Musiała przekonać się, czy on chce o nią walczyć i być z nią, kiedy zrobi się źle, bo nie było wielkich nadziei, że do tego w końcu nie dojdzie. No i poleciała z tą mało realistyczną misją, a Adam z nią. Wynajęli pokój w Grand Hyatt u podnóża gór i pierwszego dnia powędrowali na Smugglers Mountain, ale na próżno wyczekiwali na tarasie widokowym męczczyzny o surowej urodzie

i cudownego golden retrievera. Wieczorem poszli do Jimmy's, siedli przy barze i jedli burgery, Adam pił piwo i przypatrywali się wszystkim wchodzącym facetom... Marie była pewna, że kiedy zobaczy Stephena, od razu go rozpozna. Nie miała pojęcia jak, ale w to wierzyła.

Około dziewiątej dali za wygraną i poszli na Main Street po lody. Po drodze słyszeli muzykę i odkryli, że na łące przed parkiem do jazdy na deskorolkach jest koncert jazzowy, usiedli więc, żeby posłuchać, nacieszyć się świeżym powietrzem i lekkim wiatrem. Gdy przyszła pora, by iść spać, Marie przypomniała sobie, co jest po drugiej stronie parku, i wzięła Adama za rękę.

- Chodź – powiedziała. – Muszę ci coś pokazać.
- Co takiego?
- Pomyślałam, że tam chciałabym wziąć ślub.

W miarę jak oddalali się od źródła muzyki, szum wody płynącej po kamieniach stawał się coraz bardziej intensywny, a kiedy minęli żwirową ścieżkę i tabliczkę z napisem „Sanktuarium Johna Denvera”, już nie słychać było jazzu, tylko wartki nurt strumienia i chrzęst żwiru pod butami. Cały czas trzymała go za rękę i myślała o tym, jak cudownie byłoby składać najważniejsze w życiu obietnice w tym właśnie miejscu, kiedy zobaczyła psa.

Rozpłakała się, opowiadając o spotkaniu ze Stephenem i o tym, jak płakała też tamtej nocy. Był dokładnie taki, jak sobie wyobrażała, i pamiętał każdy drobiazg z czasu spędzonego z Katherine, nawet nerwowe esemesy od Marie. Tego wieczoru wiele czasu przesiedzieli na skałach, a Stephen słuchał uważnie, kiedy wszystko mu wyjaśniała, włącznie z opisem diagnozy, sposobu leczenia Katherine i tym, co może ją czekać oraz jak się czuje. Podobno kiedy skończyła, Stephen nie wahał się ani chwili. Miał do powiedzenia tylko trzy słowa.

- Chcę ją zobaczyć.

Następnego dnia przy śniadaniu obmyślili plan i zaczęli przygotowania.

- A reszta – powiedziała Marie do Maurice'a i mnie – to już historia.

Westchnęła głęboko i zapadła cisza, wszyscy byliśmy wzruszeni. Objęłam Marie, ucałowałam ją i przytulałam, aż poczułam, jak jej łzy mieszają się z moimi. Usłyszałam trzaśnięcie drzwi. To Maurice dosiadł się do nas.

- Nie wiem, czy to wypada – powiedział. – Ale ja też muszę się z wami uściskać.

Wszyscy troje obejmowaliśmy się długo, myśląc o Katherine i Stephenie. Zastanawialiśmy się, co w tej chwili robią. Co sobie mówią? Czy trzymają się za ręce, tańczą?

Potem Maurice poprawił swoją służbową czapkę.

– No i co teraz, moje panie?

– Jedziemy do mnie – stwierdziła Marie. – Adam czeka z sędzią pokoju, żebyśmy się pobrali.

No i ruszyliśmy. Maurice i ja byliśmy jedynymi świadkami pary młodej. A teraz Marie i Adam spodziewają się córeczki i chcą nazwać ją Katherine.

Dlatego bardzo chciałabym zatrudnić Marie, jest wymarzoną pracownicą. W dodatku Katherine też myślała o tym, by włączyć ją w to, co teraz robimy. Może w pewnym momencie zdołam ją namówić.

Brakuje mi Katherine.

Cieszę się, bo wiem, że jest w lepszym miejscu, ale to nie zmienia faktu, że potwornie za nią tęsknię. Za energią w jej spojrzeniu, długim krokiem. Nawet kiedy ból pleców najbardziej dawał się jej we znaki, a chemia powodowała mdłości i suchość w ustach, trudno było za nią nadażyć. Była niesamowita, zawsze, w swoje najlepsze i najgorsze dni. Bardzo mi jej brakuje.

To rano następnego dnia po spotkaniu ze Stephenem powiedziała mi o swoim pomysle. Prawie nie spałam tej nocy, przewracając się w łóżku z boku na bok z telefonem na poduszce, żeby obudził mnie od razu, jeśli Katherine zadzwoni, i rzeczywiście odezwała się do mnie w końcu zaraz po dziewiątej.

– Witaj, słońce – powiedziała. – Co wiesz o moim wieczorze?

– Wszystko i nic – odparłam. – Pamiętaj, że ja nie miałam z tym nic wspólnego.

– Wiem – zgodziła się. – Zrobiłaś dokładnie, co trzeba. I Marie też. To szczęście, że was mam.

– Nie zapomnij, że jest jeszcze Maurice – powiedziałam. – Płakał jak dziecko, kiedy się dowiedział, co się święci.

Aż zaczęła się śmiać.

– Gdzie jesteś? – spytałam.

– W domu. Muszę z tobą o czymś pomówić. Od jakiegoś czasu się do tego zbieram. Teraz jest chyba idealny moment.

– Katherine, cokolwiek to jest, może zaczekać. Jeśli w ciągu następnych trzydziestu sekund nie opowiesz mi wszystkiego, ale to wszystkiego o wczorajszej nocy, to chyba wyskoczę ze skóry.

Znów się roześmiała.

– Opowiem. Słowo. Ale musisz przyjść. Opowiem ci przy śniadaniu.

– Czy może poznam kogoś wyjątkowego, kto spędził u ciebie noc?

– Może.

Za pięć minut wskoczyłam do taksówki.

Nie poznałam Stephena od razu. Był w sypialni. Spał. Katherine opowiedziała mi o ich wieczorze, jak tańczyli i pili szampana do północy, potem pojechali do niej, gdzie się kochali, a później dotarło do nich, że przecież nie jedli kolacji, więc rzucili się do lodówki, siedli przy stole w kuchni i patrzyli na wschód słońca. Teraz on odpoczywał, ale ona nie, bo miała mi coś ważnego do powiedzenia i to już nie mogło dłużej czekać.

– Pamiętasz, jak spytałaś, ile mam pieniędzy, a ja stwierdziłam, że dowiesz się, kiedy trzeba? – zaczęła.

– Pamiętam.

– No to nadszedł czas.

I tak, kiedy siedziałam przy stole u niej w kuchni, piłam kawę i jadłam bajgla z serkiem kremowym, wszystko mi powiedziała. To niesamowite, jak szczegółowo wszystko zaplanowała. Tego ranka przekonałam się, że Katherine naprawdę była genialna, co pewnie powinno być oczywiste, jeśli wziąć pod uwagę jej sukcesy zawodowe, ale żeby naprawdę docenić geniusza, trzeba go zobaczyć w akcji...

Mówiła, że kiedy godzinami patrzyła, jak leki ściekają jej do żył, układała sobie w myślach ten plan. W sumie więc poświęciła tej sprawie więcej czasu i energii niż jakiegokolwiek z prowadzonych na Wall Street.

– Niektóre były warte ze sto miliardów dolarów – dodała. – Ale w końcu to tylko pieniądze. A jeśli Wall Street i mój ojciec czegokolwiek mnie nauczyli, to że pieniądze są bez znaczenia. Z kolei ktoś inny nauczył mnie, że liczy się tylko, co się z pieniędzmi robi.

Popatrzyła mi prosto w oczy.

– To ty mnie tego nauczyłaś.

Wyciągnęła piękny skórzany segregator z teczki, która stała przy jej nogach,

i otworzyła pierwszą stronę.

– Zapisałam wszystko, bo chciałam to sformułować dokładnie – wyjaśniła.
– Nigdy nie byłam dobra z mówienia ludziom, co czuję, więc tak będzie bezpieczniej. Mam nadzieję, że nie zabrmi to zbyt oficjalnie. Zresztą, jeśli nawet tym zapisom brak emocji, to nadrabiają szczerością.

Potem Katherine odchrząknęła i zaczęła czytać:

– W pierwszym nawiązanym pisemnie kontakcie, Samantho, powiedziałam Ci, że przywróciłaś mi wiarę w to, że ludzie są z natury szlachetni. I każdego dnia od tamtej pory umacniałaś ją we mnie. Nie sądzę, abym kiedykolwiek zdołała wyrazić słowami, ile w ostatnich miesiącach znaczyły dla mnie twoja przyjaźń i zaangażowanie. Ale na pewno mogę powiedzieć, że nie dotrwałabym do tej chwili bez Ciebie. Brzmi to banalnie, ale to prawda. Myślę więc, że gdybym miała powiedzieć, że uratowałaś mi życie, to nie byłoby w tym żadnej przesady. I bardzo trudno jest znaleźć sposób, w jaki mogłabym Ci podziękować.

Katherine łyknęła trochę kawy. Obu nam lekko drżały dłonie.

Kiedy zaczęła czytać dalej, jej głos się zmienił, wrócił jej profesjonalny ton, jakby prowadziła prezentację w sali obrad.

– Przez ostatnich kilka tygodni wiele rozmyślałam, co zrobić ze swoimi pieniędzmi. Mam nadzieję pobyć tu jeszcze długo, ale nigdy nie wiadomo, co może się stać, i chcę, żeby wszystko było jasne. Jedyni ludzie, o których muszę się zatroszczyć, to moja matka i Maurice, zadbam więc, żeby ich zabezpieczyć. Planuję zostawić Marie wszystkie swoje ubrania i biżuterię, Bóg świadkiem, że jej się przydadzą. A swoje mieszkanie zostawię Tobie. Sądzę, że chętnie przeprowadzisz się do centrum, bliżej parku.

Chciałam coś powiedzieć, ale uniosła dłoń, żeby mnie pohamować.

– Pozwól, że przejdę do naprawdę ważnej części – powiedziała. – Wielki pomysł, nad którym pracowałam, nie ma nic wspólnego z tym, co zostało tu powiedziane. Ale ma wielki związek z tobą. W jednym ze swoich e-maili, jeszcze zanim się spotkałyśmy, stwierdziłaś, że uważasz się za grupę wsparcia bez grupy. Dziś proponuję ci grupę. W tej kopercie są dokumenty poświadczające założenie fundacji charytatywnej, która będzie moim dziedzictwem, i propozycja pracy dla ciebie. Chciałabym, żebyś została prezeską, z pełną swobodą formowania tej organizacji i jej misji. Zapewnimy tysiącom kobiet takie wsparcie, jakiego ty mi udzieliłaś, i zrobimy to w taki

sposób, w jaki uznasz za stosowne.

Zamknęła segregator i popchnęła po blacie w moim kierunku. Kiedy zobaczyłam, co jest napisane na okładce, wargi mi zadrżały.

FUNDACJA PRZYJACIÓŁEK OD PIERSI

– Prawie wszystkie sprawy prawne potrzebne do wszczęcia działań zostały załatwione. Dziś po południu mamy spotkanie z prawnikami. Musisz szybko się z nimi zapoznać. Z doktorem Z. widzimy się jutro. Poprosiłam, aby był naszym pierwszym konsultantem medycznym. Później wszystko będzie w dużym stopniu zależało od tego, jak to obmyślisz. Mam do ciebie pełne zaufanie, Samantha. Wierzę, że zajmiesz się tym i dokonasz wiele dobrego. Żeby tysiące kobiet mogło poczuć się jak ty, kiedy pielęgniarka z dołkami w policzkach oznajmiła, że już nie masz raka. To nasza misja.

Pogładziłam palcami gładką skórzaną okładkę. Milczałam. Nie miałam pojęcia, co powiedzieć.

– To trochę przytłaczające, wiem – odezwała się Katherine nieco łagodniejszym tonem. – Jeśli chcesz mieć trochę czasu do namysłu, rozumiem.

Nie potrzebowałam czasu na zastanawianie się. Wstałam, obeszłam stół, objęłam ją i w ten sposób moje życie nabrało nowego sensu.

Tak to się zaczęło.

Doświadczenie, które przyniosło mi uczucie spełnienia. Jestem wyczerpana, padam na twarz, to zajęcie pochłania mnie bez reszty, ale uwielbiam je bez reszty. Do tej pory nie wiedziałam, jak to jest oddać się czemuś tak bardzo. Trudno wyrazić, co to za satysfakcja, a jednocześnie jakie wielkie wyzwolenie. Nie zamieniłabym na nic żadnej chwili z ostatnich miesięcy i nie mam innych planów na najbliższą przyszłość. Zamierzam prowadzić tę fundację, dopóki nie stanie się zbędna, dopóki kobiety takie jak Katherine czy Brooke albo ja nie będą mogły po diagnozie „rak piersi” powiedzieć: „O cholera, muszę wziąć tydzień wolnego”. Albo: „Mam nadzieję, że ten lek nie rozwali mi żołądka”. Naprawdę wierzę, że dożyję takiego dnia.

Katherine dała mi wolną rękę. Mogę decydować, jak spożytkować jej ogromny dar dla fundacji. Pomyślałam, że najpierw trzeba zapewnić poradnictwo i wsparcie kobietom tuż po diagnozie. Właśnie od tego zaczęliśmy i stale to rozwijamy. Pomagamy też finansowo kobietom, które

muszą zwolnić się z etatu lub w czasie terapii mogą pracować tylko w ograniczonym zakresie. To skomplikowane, ale przynosi wiele satysfakcji. Dzięki nam sytuacja bardzo się poprawiła. Jestem przekonana, że przynajmniej dwie z naszych podopiecznych straciłyby dach nad głową, gdyby nie nasza pomoc. To więc istotna część naszych działań. Ale szybko zdałam sobie sprawę, że to nie wystarczy, by uzasadnić wielki dar Katherine. Dlatego jakiś miesiąc po starcie zdecydowałam, że naszą podstawową funkcją ma być finansowanie przełomowych badań medycznych. Do tej pory w imieniu Katherine zasililiśmy ponad piętnastoma milionami dolarów prace naukowe dotyczące metod walki z rakiem. W przyszłym roku podwoimy stawkę. Phillip Rogers, tytan z Wall Street, który niegdyś złamał serce Katherine, czuwa nad naszymi inwestycjami i świetnie sobie radzi, mimo kryzysu w światowej gospodarce. Jego oddanie dla sprawy, chęć spełnienia woli Katherine są dla nas bezcenne... To na swój sposób bardzo budujące.

Jeśli chodzi o Katherine, ona i Stephen już po tygodniu od jego przyjazdu wrócili do Aspen. Kiedy mówiła, że zostawia wszystko w moich rękach, nie przesadzała. Stwierdziła, że dość czasu w swoim życiu przepracowała, a za mało wspinała się po górach... Dodała, że według niej ja z kolei dość już się nawędrowałam i dla odmiany powinnam trochę popracować.

– I nie licz na zbyt częste wiadomości ode mnie – ostrzegła. – Zawsze miałam zasadę, że trzeba obsadzić właściwe osoby na odpowiednich stanowiskach, a potem się nie wtrącać. Ty jesteś właściwą osobą do tego zadania. Nie będę ci wchodzić w paradę.

I konsekwentnie się tego trzyma. Przez jakiś miesiąc odzywała się do mnie dwa razy dziennie. Z czasem już tylko raz. A potem jeszcze rzadziej. Teraz mam z nią kontakt raz w tygodniu, zwykle e-mailowy, i choć brak mi jej głosu, nic nie mogłoby mnie ucieszyć bardziej niż świadomość, że jest tam, gdzie czuje się szczęśliwa i spokojna. To dla mnie cud, że ma tak wesoły ton, że nic jej nie dolega. W przyszłym tygodniu zaczyna drugą serię chemoterapii i, jak poprzednio, sprowadzi sobie doktora Z. do Kolorado, aby skonsultował się z jej lekarzami. Wiem, że wszyscy są bardzo zadowoleni z wyników leczenia. Często rozmawiam z doktorem Z. na temat spraw fundacji. O ile może, informuje mnie na bieżąco o Katherine. Rozmawiam z nim dużo częściej niż z nią.

Ostatnio odezwała się do mnie trzy dni temu. Nabrała zwyczaju, że wysyła mi pozdrowienia ze szczytów gór, głównie z Maroon Bells, które wchodzi

w skład Elk Range, gdzie jest sześć wzniesień o nazwie Fourteeners, co oznacza czternaście tysięcy stóp wysokości, czyli cztery tysiące dwieście sześćdziesiąt siedem metrów. Kiedy powiedziała mi o pierwszej tego typu wspinaczce, spytałam doktora Z., czy wchodzenie na taką wysokość jej nie zaszkodzi.

– Czy słyszałaś ją kiedy szczęśliwszą? – odparł.

– Nie.

– No to chyba nie ma dla niej lepszego miejsca na świecie – stwierdził.

To mnie przekonało. Zawsze więc się cieszę, kiedy przychodzi do mnie e-mail i widzę, że musiał być wysłany dziewiętnaście godzin wcześniej. To oznacza, że była zbyt blisko nieba, żeby dzwonić. Stephen, niech go Bóg błogosławi, jest zawsze przy niej. Do każdej wiadomości załączają zdjęcie i za każdym razem mają na sobie jakieś coraz bardziej ekstrawaganckie kapelusze. No i zawsze przy nogach płacze im się pies.

Tak to z nią teraz jest, a ja przyjechałam do jej domu w Hampton. Niestrudzenie namawiała mnie, abym spędzała tu weekendy, ale dopiero pierwszy raz z tego korzystam. Po prostu za dużo było do zrobienia w mieście. Kiedy jednak obudziłam się dziś rano, nasycone solą powietrze przypomniało mi, tak jak potrafi to zrobić tylko zapach, tamte dni na Hawajach i pomyślałam, że muszę tu bywać częściej. Pojeździć na rowerze, pooddychać tym powietrzem, pobiegać plażą, popływać, kiedy ocean stanie się nieco cieplejszy. Może w przyszłym roku wezmę udział w kolejnym triathlonie. Mogłabym zarezerwować sobie nieco czasu na ćwiczenia. Byłoby wspaniale. Czuję się nieźle, ale mogłoby być lepiej, więc warto się nieco wzmocnić. Przywiózł nas tu Maurice. Nadal pracuje dla Katherine, z pełnym wynagrodzeniem. Podejrzewam, że nigdy nie odejdzie. Kochają się, ona i on, i bez wątpienia on tęskni za nią jeszcze bardziej niż ja, częściej też z nią rozmawia. Na razie wozi mnie po mieście, kiedy go potrzebuję, co zdarza się nieczęsto, i opiekuje się domem. Łatwo zrozumieć, dlaczego Katherine polegała na nim przez tyle lat – ma w sobie spokój, który działa kojąco nawet po najdłuższym i najcięższym dniu.

I to mniej więcej cała historia. Trudno powiedzieć, co będzie dalej... Teraz muszę iść. Słyszę, że Andrew zaczyna się ruszać na górze. Sypia dużo dłużej niż ja. Chyba pobiegnę i wskoczę do niego do łóżka, zanim się za bardzo nie wybudzi. Od dłuższego czasu to nasz pierwszy wspólny weekend i stęskniłam się za nim. Zwykle wpada do miasta, żebyśmy razem zjedli kolację, albo ja

pędzę do Connecticut, żeby go zobaczyć. To nie idealne rozwiązanie, ale takie jest życie. On jest zajęty, ja jestem zajęta, wiecie, jak to bywa. Dobrze nam razem. Brooke dostaje hysterii, że nie mówimy o ślubie. Tak naprawdę jej oburzenie szalenie mnie bawi, dodaje pieprzyku całej sytuacji, jakby nasz związek był czymś niemoralnym, a przecież nie jest. Andrew bardzo mi się podoba. Myślę, że może nawet go kocham, ale na razie całkiem wystarcza mi to, że naprawdę go lubię.

Od: Katherine Emerson

Do: doktor Gray

Wysłane: wtorek, 11 kwietnia 2012 roku

6:02:07 rano

Pozdrowienia z czubka świata!

Otwórz sobie to zdjęcie, które zrobił mi Stephen, kiedy słońce wychylało się zza horyzontu. To najpiękniejsze, co w życiu widziałam. Ta kulka za mną to Florence. Fajna, prawda?

Musiałam napisać natychmiast, żeby się z Tobą tym podzielić – choć nie mam pojęcia, kiedy to do Ciebie dotrze – wreszcie poradziłam sobie z Twoją zagadką! Chcę, żebyś dowiedziała się o tym jako pierwsza. Dałaś mi zadanie, zanim się tu wtedy wybrałam. Miałam odkryć, dlaczego warto żyć. I myślałam, że znalazłam odpowiedź. Myślałam, że warto żyć dla tych wszystkich pięknych rzeczy, które mogą się wydarzyć. Widziałam, że nie zachwyciła Cię moja odpowiedź, kiedy wróciłam, a teraz wiem czemu. Zdałam sobie sprawę, że się myliłam. Uświadomiłam to sobie, kiedy poczułam, jak promień słońca muska mnie po policzku.

Oto, do czego doszłam:

Wartość życia nie polega na tym, co może się wydarzyć. Chodzi o to, co się dzieje teraz. O ten moment, który jest tak samo mój, jak wszystkich innych. Nie ma znaczenia, ile jeszcze chwil mi pozostało. Liczy się tylko to, że teraz żyję bardziej intensywnie niż kiedykolwiek i żyję jak inni. Ten moment należy do mnie tak samo jak do każdej innej osoby. I czy ma się raka, czy nie – właśnie o to chodzi. Warto żyć dla tego, co dzieje się teraz.

Nie wczoraj, nie jutro, ale właśnie teraz.

Mam nadzieję, że jesteś ze mnie dumna, i mam nadzieję, że niedługo przyjedziesz mnie odwiedzić. Teraz już muszę iść. Stephen skończył szykować śniadanie i powinniśmy się pospieszyć, jeśli mamy zdążyć na umówione masaż. Pozdrów ode mnie Nowy Jork, a jeśli ktoś zapyta, jak się czuję, powiedz, że jeszcze nigdy nie czułam się lepiej.

HEIDI

NIKKI ZA MIESIĄC miała skończyć dwa lata, kiedy się poznaliśmy, a teraz jest dwunastolatką, więc rachunek prosty. To był jej pierwszy dzień w przedszkolu i byliśmy tam z nią, Stacy i ja, a Heidi towarzyszyła Walkerowi. Stacy i Heidi były wtedy w zaawansowanej ciąży i jak to kobiety w tym stanie szybko znalazły wspólny język. Kilka miesięcy później Heidi urodziła Georgię, a Stacy Steviego, i potem spędziliśmy razem mnóstwo wesołych chwil.

Z nikim nie było fajniej niż z Heidi. Zwłaszcza na nartach. Była najpiękniejszą narciarką, jaką widziałem. I miała dla mnie mnóstwo cierpliwości, choć ledwie za nią nadążałem. Moim ulubionym wspomnieniem z nart z Heidi jest to, jak próbowała zmusić mnie do szybszej jazdy, proponując, żebym ją gonił po stoku niczym James Bond dziewczynę – czarny charakter. Gnałem za nią, jak mogłem, a kiedy tylko trochę się zbliżałem, dobiegało do mnie, jak podśpiewuje sobie temat z *Bonda*. Było mnóstwo zabawy.

Opowiedziałem tę historię na jej pogrzebie.

Jeśli, jak ja, wierzycie, że w świecie powinna być jakaś sprawiedliwość, tak samo trudno przyszłoby Wam pogodzić się z tym, co stało się z Heidi. Była całkiem zdrową, szczęśliwą, seksowną, wysportowaną, prowadzącą drużynę piłkarską mamą i żoną, a tu nagle zaczęły boleć ją plecy. Zanim doszli do tego, że ma raka, który zaczął się od nowotworu piersi i dał przerzuty na kości, już prawie nic nie dało się zrobić. Gdy został zaatakowany mózg, to był koniec. Umarła trzydziestego września 2009 roku.

Podczas nabożeństwa w jej intencji, zanim opowiedziałem historię o Jamesie Bondzie, siedziałem dwa rzędy za Walkerem, Georgią i Adamem, wściekły jak chyba nigdy w życiu. Nigdy nie byłem świadkiem większej niesprawiedliwości. A potem z ławki słuchałem czytania czegoś, co brzmiało jak listy, ale później wyjaśniło się, że to były wpisy internetowe kobiet, których nazwisk nie znałem. Najbardziej wzruszające refleksje, na jakie kiedykolwiek trafiłem. Pisały o Heidi, jakby była ich siostrą. Choć Heidi nie miała siostry. Pod koniec tego wieczoru już nie byłem zły.

Siedzieliśmy w kuchni, Stacy i ja, kilka dni później, kiedy przypomniały mi się tamte słowa, i zapytałem, kto je napisał. I wtedy Stacy powiedziała, że Heidi podczas choroby nawiązała niesamowicie silne relacje z grupą kobiet

z portalu społecznościowego, nazywała je swoimi przyjaciółkami od piersi. Umarła i nie spotkała się z żadną z nich, ale one ją kochały i opłakiwały, tak jakby była ich siostrą. Którą, jak myślę, w pewien sposób rzeczywiście była.

I stąd wzięła się ta książka, i oto dla kogo została napisana. Dla Adama, Walkera i Georgii, dla Bobby'ego i Natalie, i Boba seniora, i Carole, i całej reszty rodziny Heidi. I dla wszystkich innych mężów, synów i córek, braci i sióstr, matek i ojców, którym nic już nie wypełni pustki po tych, co odeszli. A przede wszystkim dla Heidi. Jeśli w tym świecie jest jakaś sprawiedliwość, to jeszcze kiedyś pojeździmy razem na nartach.

PODZIĘKOWANIA

Zawsze są ludzie, bez których jakiejś książki by nie było. W tym przypadku jednak jest też trochę takich, bez których w ogóle nie mogłaby zostać napisana. Poczynając od Jacques'a de Spoelbercha, mojego agenta literackiego i towarzysza gry w golfa, przyjaciela. Miesiąc, a może nieco więcej, od kiedy zacząłem pracować nad powieścią, obudziłem się pewnego ranka zlany zimnym potem, przekonany, że tracę czas. Wysłałem, co miałem, do Jacques'a z prośbą, aby mnie nie oszczędzał. Prosiłem, aby powiedział wprost dziennikarzowi sportowemu, że nie ma sensu pisać narracji na trzy różne damskie głosy. Ku memu zaskoczeniu zadzwonił następnego dnia i stwierdził: „Mike, myślę, że uchwyciłeś, co trzeba. Pracuj dalej”. Taki był początek. I każdego dnia, od tamtej pory do teraz, był niestrudzonym obrońcą projektu „Aniołki Heidi”. Jacques jest najlepszym przyjacielem i agentem, jakiego można sobie wymarzyć, a Lou Oppenheim z Headline Media Management i Peter Benedek z United Talent Agency to tacy agenci, o których się marzy, którym bardziej zależy na twoim szczęściu niż na czymkolwiek innym. Jestem wybrańcem losu, bo mam po swojej stronie Jacques'a, Lou i Petera.

Ta książka nie mogłaby też być napisana bez doktora Richarda Zelkowitza z Whittingham Cancer Center w Norwalk, w stanie Connecticut. Opiekował się Heidi. Ostatnie miesiące jej życia były trudne, ale doktor Z. sprawił, że bardziej znośne, na ile to tylko możliwe. Jest takim lekarzem, jakiego każdy z nas chciałby mieć. Leczy pacjentów tak, jak leczyłby swoich najbliższych. Kiedy zaczynałem pisać, wiedziałem, że będę musiał poznać doktora Z., żeby nie zrobić błędów we fragmentach dotyczących spraw medycznych. Wszystko, co mi się udało, to dzięki niemu.

Ta książka trafiła potem do rąk instruktorki jogi, Sarah McGrath, i malarki Elaine de Spoelberch, które, razem z moją żoną Stacy, czytały ją, kiedy byłem w połowie prac, i wskazywały, co powinienem poprawić. Elaine powiedziała mi: „Zapomnij o mężczyznach. Chcę czytać o kobietach”. A Sarah, dość brutalnie, uświadomiła mi, jakich słów nie użyje dwudziestoosmioletnia kobieta. To dzięki pomysłom Elaine i Sarah powstało takie zakończenie, choć może wcale nie chciały mnie zainspirować. Uwielbiam je obie. Dziękuję Paniom!

Jeśli chodzi o Kate Nintzel z William Morrow, to brak mi słów. A jeśli są, to ja nie potrafię ich znaleźć. Od pierwszej chwili, kiedy się poznaliśmy,

rozumiała, ile ta książka dla mnie znaczy, i wiedziała, jak sprawić, żeby była jak najlepsza. Nie da się wykonać zadania lepiej, niż zrobiła to Kate jako redaktor. I nie wyobrażam sobie, że można byłoby to robić z większą pogodą ducha. Dziękuję, Kate, dzięki Tobie to wszystko doszło do skutku.

Dziękuję też Richardowi Koenigsbergowi ze Spielman Koenigsberg & Parker, Markowi i Jasonowi Bradburnom z Morgan Stanley Smith Barney, i Michaelowi Prevettowi z Gotham Group za ich cenne uwagi, pomoc i przyjaźń.

Chciałbym podziękować kolegom w ESPN (Entertainment and Sports Programming Network), którzy wszyscy ciężko pracują, by wspierać V Foundation, a szczególnie Mike'owi Golicowi, z którym od czternastu lat prowadzę programy i od którego nauczyłem się więcej, niż pewnie to sobie uświadamia. Jestem dumny, że przez te wszystkie lata mogłem zajmować miejsce obok niego, i zawsze będę się szczyił tym, że moje nazwisko kojarzone jest z ESPN.

W końcu wyjaśnię, że wymyśliłem określenie „Aniołki Heidi” nie w nawiązaniu do sfer niebieskich. Skojarzenie nawiązuje do serialu *Aniołki Charliego*. Heidi bardzo się to podobało. Używałem go w odniesieniu do trzech przyjaciółek, które wspólnie jej pomagały. Nigdy czegoś takiego nie widziałem i nie uwierzyłbym, że coś takiego jest możliwe, gdybym nie zobaczył tego na własne oczy. Bezwarunkowa miłość, jaką okazywały, zasługuje na książkę. To nie ta książka, nie umiałbym jej napisać. Mogę tylko powiedzieć, że przez resztę życia będę podziwiał, jak te trzy kobiety stały za swoją przyjaciółką murem i nigdy nie zawiodły, bez względu na to, jak bywało ciężko. I dlatego ta książka jest poświęcona i im, i wszystkim innym aniołom, gdziekolwiek są.

[1] Przełożył Emil Zegadłowicz.